

SF

NANCY KRESS

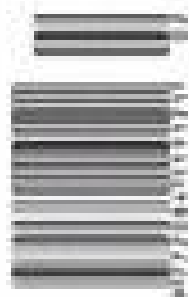
Nr 2 - KWIECIEŃ/MAJ 2012
ISSN 2084-1191 INDEX 260954
CENA 25,99 ZŁ



PRAWDOPODOBIENSTWO

KSIEZYC

PRAWDOPODOBIENSTWA





NANCY

KRESS

KSIEŻYC

PRAWDOPODOBIENSTWA

Probability Moon

Przełożył z angielskiego

Robert J. Szmidt

Dla charlesa,

Który z pewnością na to zasłużył

WSTĘP

Przygotowując się do wydania czasopisma, którego drugi numer trzymacie w ręku, rozważaliśmy wiele opcji. Mogliśmy kupić kilka z wielu niezwykle modnych cykli o wampirach/wilkołakach, mieliśmy opcje na całkiem udane fantasy, ostatecznie jednak po godzinach spędzonych nad konspektami uznaliśmy, że tytuł zobowiązuje i trzeba się skupić na starym dobrym science fiction.

A skoro fantastyka naukowa w dobrym, ale i rozrywkowym wydaniu, to nie sposób pominąć Nancy Kress, autorki niezwykle popularnej w Stanach i znanej także Polakom czytelnikowi. Zwłaszcza że ostatnimi czasy nasi wydawcy jakby o niej zapomnieli, a tytuły zaproponowane nam przez agentów nie tylko okazały się bardzo ciekawe, ale i przypomniały nam książki, na jakich się wychowaliśmy. I dzięki którym połączyliśmy bakcyla fantastyki.

Do tej pory znaliście Nancy Kress z cyklu „Żebracy”, który powstał w latach dziewięćdziesiątych (polskie wydanie w oficynie Prószyński i S-ka) i przyniósł autorce niemałe uznanie. Historia wspomnianej trylogii jest niemal identyczna jak dzieje cyklu

„Prawdopodobieństwo”, którego druk zaczynamy w tym numerze, najpierw była obsypana najważniejszymi nagrodami nowela „Hiszpańscy żebracy”, później - na fali sukcesu -

powstała pełnowymiarowa powieść i jej kontynuacje, dłuższe formy okazały się równie dobre jak pierwowzór i szybko zjednały autorce rzesze wiernych czytelników.

Trudno powiedzieć, jaki wpływ miał tamten sukces na decyzję, by podobnej obróbce poddać opowiadanie napisane niespełna rok po wydaniu ostatniego tomu „Żebraków”, lecz zbieżność ta nie wydaje się przypadkowa. „Kwiaty więzienia Aulit” (*The Flowers of Aulit Prison*) zgarnęły w 1997 roku Nebulę (jedną z czterech znajdujących się w kolekcji autorki), a zaraz potem nagrodę im. T. Sturgeona. W Polsce tekst ten ukazał się na łamach miesięcznika „Nowa Fantastyka”, numer 11/1997, wywołując oddźwięk wśród czytelników).

Trzy lata później na półki amerykańskich księgarń trafiła powieść, której akcja rozgrywa się w świecie nagrodzonego opowiadania. I zupełnie jak w przypadku „Żebraków”, okazała się równie dobra jak pierwowzór. Dość powiedzieć, że tom zamykający trylogię

„Prawdopodobieństwo” otrzymał w 2003 roku nagrodę Campbella, może nie tak prestiżową jak Hugo czy Nebula, lecz również należącą do najważniejszych wyróżnień na fantastycznym poletku.

Znając te fakty, nie wahaliśmy się długo przed zakupem całego cyklu, którego lektura dostarczy Wam wielu wrażeń. Prócz niezwykle ciekawej - jak to zwykle u Kress - wizji społeczeństwa przyszłości mamy tu masę tajemnic i odniesień do nauki. Jest zagadka na skalę wszechświata - pytanie, kto zaszczepił życie na dziesiątkach planet zamieszkałych przez istoty niezwykle podobne do ludzi i mające niemal identyczne z ludzkim DNA. Są artefakty pozostawione przez pradawną, nieznaną cywilizację i obca rasa rywalizująca z ludźmi o ich zdobycie. To wszystko jednak jest tylko tłem akcji, która przeniesie Was na powierzchnię utopijnej planety, gdzie mieszkańcy połączeni są silnymi więzami empatii, zwanymi

„dzieloną rzeczywistością”. Tak ludzcy i obcy zarazem. Z pozoru niezdolni do krzywdzenia innych. Jedyne inteligentne istoty w kosmosie, u których rozwinął się ten zadziwiający mechanizm.

Z ich tajemnicą zmierzy się ekipa naukowców pod kierownictwem doktora Bazargana, nie wiedząc o tym, że w pobliskiej przestrzeni toczy się walka, której stawką jest przetrwanie ludzkiej cywilizacji. Nie zdradzę więcej szczegółów, odkryjcie je sami, czerpiąc z lektury tak dużą przyjemność jak my podczas przygotowywania tego tekstu do druku.

Niech kwiaty Waszej przyszłości kwitną jak najdłużej.

Aleksander Kusz

PROLOG

Lowell City, Mars

Asystent zmaterializował się obok generała Stefanaka w najgorszym momencie z możliwych. Dziewczyna, która z nim była, odebrała nazbyt staranne szkolenie, by zareagować; od dwóch lat pracowała w firmie, która zaliczała się do najpopularniejszych i najdyskretniejszych w tej branży na całym Tytanie. Towarzyszka generała nie zwróciła więc uwagi na pojawienie się intruza, generał jednak stracił erekcję.

- Najmocniej przepraszam, sir - powiedział hologram, unikając jego wzroku - ale nadeszła

wiadomość o najwyższym priorytecie.

- Nie ma sprawy - odparł generał zwyczajowo. - Jedną chwileczkę.

Dziewczyna już wkładała sukienkę ze spuszczoneymi skromnie oczami. Miała oczywiście świadomość, że i tak otrzyma zapłatę. Stefanak narzucił szlafrok i skłonił się jej, a ona odwzajemniwszy ten gest, opuściła pomieszczenie bocznymi drzwiami. Długie czarne włosy spływały jej po plecach, połyskując na koniuszkach holograficznymi koralikami. Poza tym była jak najbardziej z krwi i kości.

Lepiej, żeby ta wiadomość naprawdę okazała się taka ważna, pomyślał generał.

Przeszedł do gabinetu, by zaczekać na Malone'a, który musiał przebyć całą bazę, aby z działu łączności dotrzeć do jego kwatery. Wiadomości tej rangi były ręcznie kodowane i dostarczane osobiście. Ta musiała nadejść zaledwie przed momentem. Czekaając, Stefanak nalał sobie drinka i pogрузił się w rozmyślaniach o dziewczynie.

Może powinienem znów zrobić porządek z hormonami, westchnął w duchu. W końcu nie mam już osiemdziesięciu lat.

Malone zjawił się z kostką komunikacyjną, uklonił się i odszedł. Stefanak aktywował

tarczę ochronną. Kiedy była włączona, nic - żadne promieniowanie elektromagnetyczne, żadna fala, cząsteczka powietrza ani nawet pojedyncze neutrino - nie mogło przeniknąć do gabinetu ani go opuścić. Dopiero gdy tarcza ochronna się uaktywniła, generał umieścił kostkę w czytniku, stosując się do procedury obowiązującej przy wiadomościach o najwyższym priorytecie.

Informacja pochodziła od zespołu zwiadowczego wysłanego na odległą i mało istotną planetę, powołanego do życia na Uniwersytecie Princeton i obsadzonego przez humanistów, którzy mieli przeprowadzać badania w swoich dziedzinach „nauki”. Z tym że każdy taki zespół zwiadowczy miał w swoim składzie przedstawiciela armii, zazwyczaj oficera przygotowywanego do roli dowódcy. Większość młodych oficerów robiła co mogła, aby nie trafić do zwiadu. Zadanie to oznaczało bowiem standardowy rok miałkiej nudy na jakiejś prymitywnej planecie, najczęściej niezamieszkannej.

Nie tym razem jednak.

Stefanak odczytał zapis z kostki aż dwa razy. Potem przez całe pięć minut siedział bez ruchu, rozmyślając. Zeus był albo mógł być dostępny bez ściągania większej uwagi. O oficera dowodzącego było trudniej, aczkolwiek istniały sposoby na obejście tego problemu. Fizycy...

to działka Malone'a. Może jednak zdoła tak to zorganizować, żeby wyprawa wydawała się jeszcze jedną zwykłą ekspedycją szkoleniową. Tak. Salemos nadawała się do tego idealnie, miała odpowiednie kontakty...

Skończywszy planować, Stefanak dezaktywował tarczę ochronną. Malone czekał na zewnątrz. Generał kazał mu zwołać natychmiast spotkanie Rady Obrony Sojuszu Solarnego, z udziałem

wyłącznie najwyższych rangą oficerów, dając jasno do zrozumienia, że obecność wszystkich rządów członkowskich jest wskazana.

To odkrycie mogło zmienić wszystko.

1

Rafkit Seloe

Kiedy Enla wyszła na zewnątrz, zastała zniszczone grządki. Obły rant rabaty był

nienaturalnie prosty. Krzewy dzelitiby, jeszcze nie rozkwitłe, zamieniły się w stos połamanych gałązek. Nikt rozsądny nie potraktowałby w ten sam sposób olliniby i padzalıby w pełnym rozkwicie; te z pewnością zostały przesadzone do czyjegoś ogrodu. Enla przyglądała się dołkom, w których do niedawna rosła dzelitiba. Na dnie jednego coś leżało -

matowocząmy wilgotny kształt. Wydobyła go patyką. Nieżywy freb. Obracała małego ssaka ostrożnie, żeby sprawdzić przyczynę śmierci, i w końcu wypatrzyła na wiotkiej szyi miejsce, gdzie zagłębił się nóż.

Zatem sąsiedzi wiedzieli już o Taborze.

Enla poczuła łaskotanie w szyjowłosach. Rozejrzała się. W polu widzenia nie było nikogo, mimo że słońce stało już nad horyzontem, a dzień zapowiadał się ładny i ciepły. A przecież wszyscy powinni być w drodze na pola, do wytwórni mydła położonej nad rzeką, do Rafkit Seloe. Dzieci powinny się bawić na centralnym placu wsi, spożywając razem wystygłe śniadanie, podczas gdy starsze niechętnie opiekowałyby się młodszym rodzeństwem. Zamiast tego panowała cisza i pustka, co było równie czytelnym przekazem jak wyprostowany rant i brakujące rośliny. Sąsiedzi Enli Pek Brimmidin czekali na jej wyjazd.

Obeszła ponownie grządke, udając, że poddaje ją uważnym oględzinom, i usiłując zapanować nad oddechem. To zawsze był dla niej szok. Chociaż wcale nie taki niespodziewany, koniec końców wieśniacy już pięciokrotnie odkryli, kim jest, i zmusili ją do przenosin. Czasami robili to tak jak teraz - zaniechując wszelkich prawdziwych działań w jej obecności. Czasami zaś po prostu patrzyli przez nią, jakby jej nie widzieli, i zajmowali się swoimi sprawami jakby nigdy nic, jakby nie było pośród nich Enli, jakby była duchem.

Którym oczywiście była. Albowiem Enla była nierzeczywista.

W żadnym razie nie mogła tu dłużej zostać. Jej sąsiedzi się nie mylili. Ile jednak wiedzieli? Z pewnością zrozumieli, że jest nierzeczywista. Że została uznana winną śmierci swojego brata. Że z niewiadomego powodu, pomimo wyroku Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty, nie trafiła za swą zbrodnię do więzienia w Aulit. Ale czy jej sąsiedzi zdawali sobie sprawę, że stara się zapracować z powrotem na rzeczywistość? Raczej nie. Chociaż co bystrzejsi mogli się tego domyślać. Na przykład staruszek Frablit. Niewiele uchodziło jego uwagi. Może Inno. Może Glamit...

Enla przysiadła na ławie przed chatą, aby się zastanowić, dokąd powinna iść. Chyba na północ. Plotki o niej raczej tam nie dotarły, większość mieszkańców wsi miała krewnych na południu. Znowu popatrzyła na prosty rząd kamieni, który jeszcze minionego wieczoru zakrzywiał się miłym dla oka łukiem. Niedobrze, bardzo niedobrze. Musi wyjechać jak najprędzej, jeszcze tego ranka, natychmiast.

Już teraz ból głowy był tak silny, że rządowe pigułki na nic się nie zdawały. Może gdyby zwiększyła dawkę... Nadzór Rzeczywistości i Pokuty dał jej jasno do zrozumienia, że ma prawo to zrobić, jeśli nierzeczywistość da się jej zanadto we znaki. Jak dotąd Enla radziła sobie przy małej dawce. Trzeba być twardym, jeśli chce się pozostać nierzeczywistym i przy tym nie oszaleć. Tak, Enla była twarda. Bo trzeba być twardym, aby zabić ukochanego brata.

Nie, nie myśl o tym.

Zerwała się na nogi. Odejdzie teraz, w tej chwili. Spakuje kilka swoich rzeczy - chata i meble były oczywiście wynajęte - wyprowadzi z szopy rower i pojedzie przed siebie. Zanim i jej sąsiedzi dostaną bólu głowy. Przynajmniej tyle była im winna.

Nagle zauważyła, że ktoś pedałuje ku niej.

Ostłoniła oczy, chroniąc je przed blaskiem wstającego czerwonego słońca, i mrużąc powieki, spojrzała w stronę drogi. Gdy to czyniła, raz jeszcze dostrzegła błysk na niebie, krótkie lśnienie... co to może być? Widywała to już wcześniej, zawsze o świcie albo o zmierzchu, jakby wysoko na nieboskłonie wisiało coś błyszczącego. Na pewno nie był to jeden z siedmiu księżyców Świata ani żaden ptak... A innej możliwości nie było. Nic nie widzę, mawiali staruszek Frablit, Inno i każde z dzieci. Jednakże Enla miała lepszy wzrok niż oni wszyscy razem wzięci. Silna, brzydka, bystra - oto cała Enla. A, i jeszcze nierzeczywista.

Zbliżająca się do niej postać była już rozpoznawalna. Młodzieniec na rządowym rowerze, z szyjowłosami ledwie jaśniejszymi od dziecięcego brązu. Jeżeli należał do Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty - a powinien tam pracować, gdyż żadna inna sekcja rządu nie kontaktowałaby się z nią po zapadnięciu wyroku - musiał zdawać sobie sprawę z jej nierzeczywistości. Gdyby przyznał, że ją widzi, choćby doręczając rządową wiadomość, dałby milcząco do zrozumienia, że nierzeczywista kobieta na ławie przed chatą istnieje, a tego oczywiście nie mógł zrobić. Trudna sytuacja.

Posłaniec zachował się w jedyny dopuszczalny sposób. Ignorując ją, rzucił na zakurzoną drogę nieopodal list starannie zaadresowany do Enli Pek Brimmidin. Następnie szybko zawrócił w stronę miasta.

List miał kształt koła, wyglądał niezwykle urzędowo opatrzony oryginalną rządową pieczęcią. Enla go otworzyła. Było to wezwanie: czekała na nią praca.

Wypuściła powietrze z ulgi i wdzięczności. Czasami kwiaty duszy rozkwitały w najwłaściwszym momencie. Praca dawała jej dobry powód do odejścia stąd. Praca oznaczała zajęcie. A co najważniejsze, praca zapewniała kolejną porcję pokuty przybliżającą ją do zakończenia kary. Gdyby to była wystarczająco poważna praca, mogłaby nawet zakończyć karę całkowicie, uwolniłaby Enlę i pozwoliła jej znów stać się rzeczywistą. I oczywiście uwolniłaby też Tabora.

Enla spakowała plecak, wyprowadziła z szopy rower i ruszyła w kierunku miasta. Już nigdy nie ujrzy tego miejsca. Wokół nadal nikogo nie było. Proszę bardzo, niech się chowają.

Jej nie robiło to różnicy.

Musiała się jednak zatrzymać, aby zażyć następną pigułkę. Przeklęty ból głowy!

Wwiercał się pomiędzy oczami, nieomal wywołując łzy. Tyle nierzeczywistości, tyle izolacji... Nie. Dość rozpamiętywania. Zamiast tego musi myśleć o czekającej na nią pracy, o pięknie dzikich kwiatów rosnących wzdłuż drogi do miasta, o czymkolwiek, byle nie pamiętać, że jest nierzeczywista, tak samotna i... że zamordowała własnego brata.

Przez cały ranek Enla pedałowala bez wytchnienia. Kończył się am, najobfitszy sezon w roku i pora zbiorów larfrutów. W sadach roiło się od wieśniaków ze śpiewem zrywających owoce. Pomiędzy wsiami i sadami rozciągały się długie, bogate w roślinność odcinki drogi, otoczone oszałamiająco wspaniałymi dzikimi kwiatami, wśród których najbardziej rzucały się w oczy dające cień wekifiriby, żółte mittiby i ognistoczerwone dzwonkowate adkiniby.

Rozgrzane powietrze pachniało słodko jak sama dzielona rzeczywistość, a słońce na niebie płonęło czystym pomarańczowym blaskiem. Enla minęła parę rowerów i dwukołowych wózków, szybko zmniejszając dystans do Rafkit Seloe. Powinna być na miejscu około południa.

Jednakże parę mil przed Rafkit Seloe skręciła z głównej drogi, kierując się do wsi Gofkit Shamloe. Znienacka bowiem rozpaczliwie zapragnęła zobaczyć raz jeszcze Tabora.

Jej siostra, Anu Pek Brimmidin, mieszkała w samym sercu wsi, tuż przy centralnym placu. O tej porze dnia tłoczyli się na nim wieśniacy powracający z pól i sadów na obiad.

Starcy gotowali strawę, kobiety tkwały, a dzieci naprzykrzały się wszystkim, ganiając pomiędzy solidnymi ceglanyimi paleniskami. W powietrzu unosił się smakowity zapach jedzenia. Grupa młodych zaśmiewając się, tańczyła do wtóru melodii wygrywanej przez okropnie fałszującego starego Solora Peka Raumula. Odkąd Enla pamiętała, w Gofkit Shamloe pora posiłków zawsze była najprzyjemniejsza.

Był to czas życia i ciepła, czas, gdy dzielona rzeczywistość przepełniała powietrze równie silnie jak woń pieczystego.

Jechała między mieszkańcami, jakby była niewidzialna. Nikt jej nie zatrzymał, nikt do niej nie przemówił, nikt nawet na nią nie spojrział. Nikt nie zabronił jej przekroczyć progu otwartej chaty Anu.

Tabor spoczywał na posłaniu w pokoju na tyłach. Leżał na plecach, jego mocne młode nogi były proste niczym pnie drzew, palce miał za to lekko podkurczone. Szyjowłosa, bardziej złocista niż u Anu czy Enli - co za niesprawiedliwość, że to chłopak dostał całą urodę! - unosiły się w opływającym go płynie przezroczystej trumny. Nie wydawał się ani trochę starszy niż w dniu, gdy

słudzy Pierwszego Kwiatu uwięzili go, czyniąc równie nierzeczywistym jak Enla za ich wspólną zbrodnię. Kiedy nachyliła się nad trumną, niewidzące ciemne oczy Tabora odwzajemniły pusto jej spojrzenie.

- Jeszcze tylko rok pokuty, Taborze. Rok bez trzydziestu sześciu dni. Za tyle będziesz wolny. I ja też.

Tabor nie odpowiedział. Ale też nie musiał odpowiadać. Równie dobrze jak Enla znał

datę swego pogrzebu, gdy zostanie uwolniony z płynu i szkła, które więziły jego ciało, aby mógł połączyć się z przodkami. Enla słyszała opowieści o nierzeczywistych zmarłych, którzy skarżyli się, zwłaszcza nocami, sprawiając, że domy, gdzie spoczywali, nie nadawały się do mieszkania. Wiedziała jednak, że w wypadku Tabora jest inaczej. Tabor zawsze miał dobre maniery i z pewnością nie niepokoił domostwa ich siostry. Ani też nie nasączał jej snów strachem. Pozostawiał to Enli.

Zaszeleściło u wejścia do sypialni. Siostrzeniec Enli, mały Fentil, wsunął się do pokoju, wziął coś z drewnianej skrzyni i opuścił pomieszczenie, udając, że jej nie widzi.

Matka dobrze go wychowała. Mimo to musiała go rozboleć głowa nad dziecięcymi szyjowłosami, tak samo jak fizyczne obcowanie z nim tylko pogłębiało ból Enli. Był to widomy znak, że powinna się stamtąd zbierać.

Przeszła dom Anu w odwrotnym kierunku, nie patrząc na kwietny ołtarz - tyle przynajmniej była winna siostrze - by nie zbrukać go nierzeczywistymi spojrzeniami, po czym wsiadła na rower i popedałowała do stolicy.

Ku jej zdziwieniu urzędnik w Rzeczywistości i Pokucie zwrócił się do niej po nazwisku.

- Pek Brimmidin, możesz wejść.

Zazwyczaj mężczyzna ów, bardzo stary i bardzo zmierzły, o szyjowłosach ani żółtych, ani siwych - czasami wydawało się, że niemal całkowicie bezbarwnych - nie odzywał się słowem. Spoglądał na nierzeczywistych, którzy zjawiali się z petycją albo skargą, albo po prostu się zameldować - musiał bowiem odnotować w księgach ich obecność, zatem nic dziwnego, że znał od początku nazwisko Enli. Niemniej nigdy wcześniej go nie użył.

- Dziękuję - odparła Enla, chcąc sprawdzić, czy powie do niej coś jeszcze. Jednakże jego wzrok już utracił ostrość, krótka chwila dzielonej rzeczywistości dobiegła końca.

Ale dlaczego w ogóle miała miejsce? Co takiego ów zmierzły mężczyzna wiedział na temat jej nowej pracy? Najwyraźniej był dobrze poinformowany. Jak wszyscy wieloletni urzędnicy.

Gabinet Kartota Peka Nagredila był pusty, kiedy weszła do środka, co dało jej możliwość dokładniejszego obejrzenia wyjątkowo brzydkich rzeźb umieszczonych na stole.

Obłości były jawnie przesadzone, kolory nazbyt wyraziste. Enla poczuła nagle spóźniony żal z powodu ukradzonej padzaliby, której płatki szczyły się niezwykle krzywiznami. W

gabinecie Peka Nagredila, rzecz jasna, nie było żadnych kwiatów, aby nie narażać ich na spojrzenia nierzeczywistych. Nikt też nie miał zamiaru przywitać jej kwieciami.

- Pek Brimmidin. Mam dla ciebie pracę informatora. - Pek Nagredil nigdy nie strzegł sobie języka na darmo.

Osiągnął niedawno wiek średni, ale zdawał się tak silny, tak niewzruszony, że zdaniem Enli najprawdopodobniej nawet nie potrzebował pigułek, by móc z nią rozmawiać.

Czy to w ogóle możliwe? Czy Pek Nagredil mógł być tak toporny, by nie czuć potężnego otępiającego bólu duszy, całkiem jakby ktoś mełł żwir wewnątrz czaszki, ani nawet tego przejmującego ostrego klucia między oczami, które powstawało, ilekroć stawało się jasne, że dwie osoby nie postrzegają Świata w ten sam sposób? Nie. Niemożliwe. Każdy Światanin musiał dzielić rzeczywistość z resztą Światan albo cierpieć fizyczny ból. Peka Nagredila nie mogły obowiązywać inne reguły. Miał duszę. Z pewnością więc zażywał pigułki.

Enla zapytała:

- Na czym polega ta praca, Peku Nagredilu?

- Na przekazywaniu informacji na temat Ziemian, którzy zamieszkają w domostwie Hadzila Peka Voratura.

Enli opadła szczęką. Chciała przemówić, ale nie wypowiedziała żadnego słowa.

- Chyba słyszałaś, że Ziemianie powrócili? - kontynuował nieporuszony Pek Nagredil.

Przesunął rzeźbę minimalnie na prawo, cofnął się o krok, żeby sprawdzić efekt, po czym dzieło sztuki wróciło na miejsce.

- Nie - zdołała w końcu powiedzieć Enla. - Nie słyszałam o tym.

Nigdy nawet nie widziała Ziemianina. Prawie nikt ich nie widział. Przybyli przed półrokiem do wsi po przeciwnej stronie Rafkit Seloe w metalowej łodzi, która spłynęła z nieba. Byli nadzwyczajnie brzydacy, jak pisano w raportach, i zdumiewająco aroganccy, aczkolwiek najwyraźniej nie stanowili zagrożenia. Stawiali mnóstwo niegrzecznych pytań, ale też rozdawali sporo ładnych prezentów, co zachęcało niektórych do udzielania odpowiedzi.

Po paru dekadniach raptownie się spakowali i odlecieli swoją metalową łodzią.

Najistotniejsze pytania gnębiły oczywiście nie Ziemian, tylko Światan. Czy Ziemianie są rzeczywiści? Czy mają dusze? Gdy Ziemianie zniknęli, nie zostawiając nawet marnego kwiatu pożegnania, kapłani z Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty dopiero zaczęli badać te sprawy.

A teraz, jeśli wierzyć słowom Peka Nagredila, pojawili się znowu.

- Wiedzieliśmy, że Ziemianie wrócą - mówił dalej Pek Nagredil. - Słyszano, jak oznajmili: „Wrócimy po gotowy wyrób”. To wytrawni handlarze, rozumiesz. Zatem sama widzisz, Pek Brimmidin, że ta praca wymaga wiele taktu. Dlatego wybraliśmy ciebie.

Wykazałaś się w pracy informatora. Z upoważnienia Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty wolno mi powiedzieć, co następuje. Jeśli dobrze się sprawisz także tym razem, twój dług wobec dzielonej rzeczywistości zostanie zmyty. Znowu będziesz rzeczywista, podobnie jak twój brat Tabor.

Znowu będę rzeczywista... Enla opuściła głowę. Nie chciała, by Pek Nagredil ujrzał

wyraz jej twarzy. Znowu rzeczywista... i Tabor również. Brat, który spoczywał w trumnie z chemikaliami powstrzymującymi jego ciało przed rozkładem, zostanie wyjęty z niej, obmyty i pochowany pod kopcem z kwiatów. A jego dusza będzie mogła połączyć się z przodkami.

Enla zaś zamieszka znowu w Gofkit Shamloe z Anu, aby gotować z nią w południe na wspólnych paleniskach, tańczyć na łące i uprawiać kwiaty otwarcie, bez poczucia winy i wstydu...

Ogarnęło ją pragnienie tak silne, że gdyby nie orientowała się lepiej, powiedziała by, że nadal ma duszę.

- Przyjmuję tę pracę, Peku Nagredilu.

- Dobrze. Oto, co się wydarzyło. Ziemianin, który odwiedził przedtem Świat, niejaki Ahmed Pek Bazargan, wczoraj przybył w swej latającej metalowej łodzi do leżącego na południe stąd Gofkit Jemloe. Poprosił, aby mógł zamieszkać w tamtejszym najznacniejszym domostwie, u Voraturów, w zamian za taki czynsz, jaki zostanie wyznaczony. Nadzór Domów przystał na jego prośbę, a Hadzil Pek Voratur naturalnie wyraził zgodę.

- Oczywiście - potaknęła Enla, która o Voraturach słyszała nawet w Gofkit Shamloe.

Był to znaczny kupiecki ród, zamożny i szanowany, a Ziemianie już zademonstrowali gotowość do dzielenia się wspaniałymi towarami. Najbardziej jednak ucieszyło Enłę normalne brzmienie jej głosu.

- Zamieszka tam sześciu Ziemian. Jak zapewne się domyślasz, ich wizytą interesuje się nie tylko Nadzór Domów, ale też inne sekcje rządu.

Enla faktycznie się tego domyślała. Jak również tego, że niczym Pierwszy Kwiat na powrót rozkwitnie pytanie: „Czy Ziemianie są rzeczywisci?”.

- Ty także zamieszkas pod dachem Voratura, Pek Brimmidin - podjął Pek Nagredil -

i będziesz przekazywać informacje o wszystkim, co mówią i robią Ziemianie. Będziesz służącą. Twoim zadaniem będzie sprzątanie w żłazie, gdzie zamieszkają ziemskie dzieci.

- Dzie... dzieci? Ziemskie dzieci?

- Tak. Będiesz...

- Ziemianie przywieźli ze sobą dzieci? Jakie dzieci? I po co?

Po raz pierwszy Pek Nagredil lekko się zmieszał.

- Twierdzą, że chcą je wychować na Światan. U boku dzieci Voratura.

Enla i Pek Nagredil spoglądali na siebie przez powietrze nabrzmiałe tym, czego żadne z nich nie wypowiedziało na głos. Dzieci nie rodziły się rzeczywiste; musiały dopiero wrosnąć w dzieloną rzeczywistość. Kilkorgu nigdy się to nie udało, przez co niestety musiały ulec zniszczeniu. Skoro Ziemianie zamierzają wychować swoje dzieci na Światan, czy to oznacza, że chcą, aby stały się rzeczywiste? A może dostała właśnie dowód na to, że dorośli Ziemianie wcale nie są rzeczywisci? Że nie mają duszy?

- Będiesz składała raporty co dekadzień - informował Pek Nagredil, wyraźnie czerpiąc otuchę ze znajomej rutyny. - Zawrzesz w nich wszystko, czego się dowiedziałaś o Ziemianach. Przekażesz każdy szczegół, jakkolwiek nieistotny by się zdawał.

- Peku Nagredilu - wypaliła Enla - czy mam rozumieć, że na podstawie moich raportów zapadnie decyzja o tym, czy Ziemianie są rzeczywisci?

- To nie twoja sprawa - rzekł ostrym tonem Pek Nagredil i Enla zauważyła, że grzebienie na jego czaszce zaczęły pulsować.

Spodziewała się takiej reakcji. Nie miała prawa oczekiwać odpowiedzi na swoje pytanie. Udzielenie jej byłoby przyznaniem, że należy do dzielonej rzeczywistości, a przecież sama się z niej wykluczyła, popełniając zbrodnię.

- Zgoda, Peku Nagredilu - powiedziała tylko. - Zgłoszę się w domostwie Voraturów jutro przed południem.

- Możesz odejść, Pek Brimmidin. - Żadnego kwiatu pożegnania.

Zamyślona Enla odjechała na swoim rowerze, opuszczając Rafkit Semloe i kierując się do Gofkit Jemloe. U Voraturów spodziewano się jej dopiero jutro, aczkolwiek nikt nie wiedział, o jakiej dokładnie porze. Postanowiła, że stawi się tam z samego rana.

Zanim dotarła do obrzeży Gofkit Jemloe, zapadał zmierzch. Enla wybrała zaciszne pole, rozwinęła śpiwór i ugotowała sobie coś dojedzenia nad małym ogniskiem.

Krzążając się, spoglądała na niebo. Noc była pogodna. Na tle czerni odcinały się cztery księżycy: Ap, jeden z dwóch szybko rozkwitających, które przebiegały przez niebo więcej niż raz, Lii, Kat i jaśniejący Obri, będący domem Pierwszego Kwiatu. Enla położyła się na wznak i zapatrzyła na Obriego. Słońce zachodziło za horyzont. Enla przypatrywała się uważnie, lecz pomimo wysiłków i

światnego wzroku nie dostrzegała nad głową charakterystycznego błysku towarzyszącego wschodom i zachodom.

2

Na pokładzie Zeusa

Czterdzieści pięć tysięcy kilometrów nad Rafkit Seloe David Campbell Allen III stał

w łazience na pokładzie Zeusa, statku Rady Obrony Sojuszu Solarnego, i oddychał głęboko, aby zapanować nad paniką.

Do licha! Nie powinien w ogóle czuć paniki! Przyłożył się przy ustalaniu składu Dyscypliny na ten dzień, uważnie dobierając składniki neurofarmaceutyku, tak by osiągnąć dynamiczną równowagę między stabilnością a hiperczujunością. Podchodził poważnie do własnej neurofizjologii („Straszny pedant z tego chłopaka, Diano” - usłyszał kiedyś słowa ojca. No ale po kimś takim jak on można było się czegoś podobnego spodziewać). Dlaczego jednak specyfik nie zadziałał tak jak trzeba?

Zbliżywszy się do ściany, David wsunął czubek palca w biomonitor, aby wykonać kolejne badanie. Wszystkie odczyty zdawały się w porządku: glutamina, serotonina, dopamina, środek zmniejszający wydzielanie kortykosteroidów, regulator ciała migdałowatego, PI5, neurotrofina BDNF dla wzmocnienia połączeń międzysynaptycznych i pamięci hipokampu. Cała reszta też. Może ździebko za dużo noraldiny, ale akurat tyle, ile trzeba dla stanu umysłu, na jakim mu zależało. No dobra, może ta panika była nie do uniknięcia. W takim razie poradzi sobie z nią. Oddychał głęboko, pochylając głowę ku ziemi.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebował świetnej formy. Musiał spisać się na medal.

(„Straszny sztywniak z tego chłopaka. Straszny smutas”).

Dlaczego bez przerwy myślę o ojcu?

David odpowiedział sobie od razu. Chodziło o łazienkę. Właśnie w łazience poinformował ojca, darzonego szacunkiem astrofizyka i czterokrotnego laureata Nagrody Barlina, że jego syn zamierza studiować w Princeton dziedzinę tak niekonkretną jak kosmoantropologia. Znajdowali się w męskiej toalecie restauracji Selfridge's w Lowell City na Marsie. David zdecydował zdradzić swoje plany w publicznej toalecie nie bez powodu.

Było to jedyne miejsce, gdzie ojciec potrzebował paru chwil, zanim stanął z nim oko w oko.

- Panie Allen - odezwał się melodyjnie system - wiadomość do pana.

- Słucham.

- Wahadłowiec jest opóźniony o pięć minut.

- Dziękuję.

David związał włosy na czubku głowy i włożył cywilny mundur Rady Obrony Sojuszu Solarnego, co jego zdaniem stanowiło modelowy przykład oksymoronu. Oficjalne wytłumaczenie brzmiało następująco: każda ekspedycja naukowa reprezentuje macierzysty Układ Słoneczny bez względu na to, czy jest natury militarnej, politycznej czy badawczej z ramienia Fundacji Uniwersytetu Transplanetarnego; każdy jej członek jest opłacany z dolarów pochodzących z podatków. Jednakże David wiedział, że nieoficjalnie chodziło o to, by mundury przypominały im o tym, co wszyscy reprezentują: cały Układ Słoneczny, a nie oddzielnie Marsa, Lunę, Pas, Hegemonię Konfucjańską, Federację Atlantycką czy coś innego.

Pod egidą nauki. Przynajmniej w teorii.

Problem w tym, że odpowiednik munduru oficerskiego kompletnie się nie nadawał do pracy antropologa w terenie. Był sztywny, onieśmielający i wyposażony - ratuj, Boże! - w mały paradny miecz. Ani myślał wystąpić w czymś takim na Świecie. Najwyraźniej, projektując ten mundur, nikt nie zwrócił się o radę do ksenologa. Miecz! Równie dobrze można by się pojawić na obcej planecie, strzelając z działa laserowego. Zresztą od jutra wszyscy członkowie zespołu będą się ubierać na miejscową modłę.

Pora na niego. Była to jego pierwsza ekspedycja, nie licząc praktyk studenckich. Pod każdym względem wyjątkowa, biorąc pod uwagę, że większość świeżo upieczonych naukowców musiała się zadowolić rasami tak dobrze poznanymi, jak mieszkańcy Telu czy Sien-Tu. Bułka z masłem. Tymczasem on, David Allen, znalazł się na Świecie - praktycznie dziewiczym terenie. W dodatku zawdzięczał to tylko sobie i ani razu nie poprosił ojca o wstawiennictwo. Co więcej, jego ojciec nawet nie wiedział, że ubiegał się o udział w tej ekspedycji. Nie wiedział aż do teraz, co już wydawało się Davidowi nieco dziwne; tego aspektu ekspedycji nie zdążył pojąć. Doktor Bazargan wyjaśnił, że ma to coś wspólnego z obecnością wojskowych na pokładzie i z toczącą się wojną. Poufne dane, tego typu sprawy.

Dochowanie tajemnicy było kluczowe.

David potakiwał, wysłuchując wyjaśnień, ale tak naprawdę niespecjalnie go to ciekawiło. O ile na Świecie nie spotkają Fallerów - a zapewniono go, że tak się nie stanie -

wojna będzie dla Davida równie odległa jak dla zdecydowanej większości ludzi. Właściwie były to tylko potyczki, rzadkie i mające miejsce z dala od Układu Słonecznego. Davida zbyt pochłaniały studia, by miał śledzić przebieg starć. Naukę od wieków interesowała wiedza, a nie doraźna sytuacja polityczna. Nauka była ponad to.

(„Straszny pedant z tego chłopaka, Diano”).

Był gotów im wszystkim pokazać.

Doktor Ahmed Bazargan przywitał członków swego zespołu w służbie wahadłowca.

Wokół nich hydroponicy ładowali masy ciętych kwiatów.

- Dzień dobry, Anno. Gotowa do odprawy?

- Jak nigdy - odparła z uśmiechem Anna Sikorski.

Była amerykańskim ksenobiologiem, kompetentnym i doświadczonym pomimo młodego wieku - miała zaledwie trzydzieści siedem lat. Bazargan osobiście zabiegał o jej uczestnictwo. Kiedyś już z nią pracował i wiedział, że zadziwia spokojem i przyjaznym nastawieniem. Może po prostu nadzwyczaj dobrze radziła sobie z doborem Dyscypliny, ale zdaniem szefa ekspedycji nie chodziło wyłącznie o to. Jej słodycz zdawała się sięgać głębiej, do podwalin charakteru. Doktor Ahmed Bazargan rzadko się mylił w takich sprawach.

Anna Sikorski specjalizowała się w ksenobiologii neurosystemalnej. Jak dotąd nie poczyniono wielkich odkryć na tym polu. Dzięki tunelom czasoprzestrzennym ludzkość natrafiła na trzydzieści sześć innych rozumnych gatunków kierujących się uczuciami i aż trzydzieści pięć z nich było w gruncie rzeczy ludźmi. Różniły ich drobiazgi w anatomii, biochemii i genomie. Triumfowała teoria mówiąca, że coś - albo ktoś - rozsiał po Galaktyce wspólnego pseudoludzkiego przodka, a następnie ewolucja doprowadziła do dywergencji w ramach dopuszczanych przez warunki poszczególnych planet. Wspomniane trzydzieści pięć gatunków mieściło się na ziemskiej skali rozwoju od epoki kamienia łupanego do czasów rewolucji przemysłowej.

To trzymało się kupy. Rachunek prawdopodobieństwa nie był mocną stroną Bazargana, ale nawet on rozumiał ideę natężenia strumienia odnowy. W każdej próbie te jednostki, które już rozpoczęły istnienie, miały szansę na życie dłuższe od przeciętnego. Ta sama zasada dotyczyła ludzi w średnim wieku, jak i gatunków na średnim poziomie rozwoju.

Probabilistyka zawsze przemawiała za tym, że cywilizacja Układu Słonecznego jest jedną z bardziej rozwiniętych w Galaktyce.

Nie licząc oczywiście zaginionej w mrokach dziejów rasy, która dokonała tego siewu.

No i Fallerów.

Bazargan obserwował Annę uśmiechającą się na widok podchodzącego do nich geologa, Dietera Grubera. W przeciwieństwie do Anny, która miała pociągłą zwyczajną, bezbarwną twarz (najwyraźniej w jej rodzinie nie stosowano modyfikacji genetycznej celem poprawienia urody potomstwa), wygląd fizyczny Grubera robił wrażenie. Osobnik udoskonalony genetycznie? Niewykluczone, aczkolwiek tej konkretnej informacji nie znalazłoby się w danych o członkach zespołu. Gruber, Niemiec z pochodzenia, wyglądał jak czyjeś wyobrażenie teutońskiego rycerza: był postawny, niebieskooki, o blond włosach i uśmiechu pełnym wyższości. Mógł się pochwalić udaną, nawet wspianą karierą naukową.

Kompetentny i zgodny, przejawiał jednak oznaki niezależności i uporu. Mimo to Bazargan nie przewidywał kłopotów we współpracy z geologiem, który zresztą miał i tak spędzać większość czasu na oddalonych obiecujących stanowiskach.

Niestety szef ekspedycji nie mógł powiedzieć tego samego o Davidzie Allenie.

Młody stażysta zmierzał właśnie ku nim nieco za szybkim krokiem. Wychowywał się w tylu różnych miejscach, że praktycznie nie miało znaczenia, w jakim kraju i na jakiej planecie się urodził. Wykazał się kompetencją podczas praktyk studenckich i miał smykałkę do języków, w czym przewyższał nawet Bazargana. Allen posiadał znajomość światańskiego nadzwyczaj szybko. Jeszcze na Ziemi, w trakcie przygotowawczego kursu językowego metodą immersji, oczywiście z wykorzystaniem wspomagania chemicznego i cyfrowego.

Ponadto doskonale sobie radził z zarejestrowanymi przez pierwszą ekspedycję odczytami mimiki twarzy i grzebieni czaszkowych.

Wyjąwszy to, Allen pozostawał tajemnicą, a dwie z jego cech wzbudzały niepokój Bazargana. Były to: intensywność i żarliwy idealizm, których połączenie mogło zaowocować histerią. Bazargan miał już do czynienia z czymś takim w przeszłości - w jego ojczyźnie, Iranie, cechy te przejawiali politycy i ajatollahowie, rewolucjoniści i generałowie. Przez wiele wieków Iran spływał krwią z tego powodu. Nic dziwnego, że Bazargan, ostrożny i systematyczny realista, nie ufał idealizmowi Davida Allena. Wystarczyło spojrzeć na obsesyjne stosowanie przezeń Dyscypliny - sięgał po mieszaninę neurofarmaceutyków kilka razy dziennie, zamieniając narzędzie mające wyostrzyć umysł w religię. Gdyby Bazargan miał coś do powiedzenia w tej sprawie, to nie Allen byłby stażystą ekspedycji, której i bez niego daleko było do normalności.

Lecz Bazargan nie miał w tym wypadku prawa głosu. Wśród naukowców, podobnie jak wśród członków Rady Obrony Sojuszu Solarnego, rządziła polityka. Antropologia miała permanentne braki w finansowaniu. Świat nauki był podzielony (jak zawsze zresztą). Z

Fundacji Uniwersytetu Transplanetarnego nadeszła wiadomość: „Ojciec Davida Campbella Allena życzy sobie, aby jego syn wziął udział w ekspedycji. Od tego mogą zależeć losy wyprawy”. Bazargan postanowił obrócić to na swoją korzyść. David Allen został wciągnięty na listę jako antropolog pomocniczy w badaniu żłobkowym.

Bazargan liczył na to, że matka dzieci będzie żyła i że to ona poprowadzi badanie.

Tymczasem antropolożka, doktor Hannah Mason, zginęła wskutek nieszczęśliwego wypadku, gdy zawiodła instalacja elektryczna na pokładzie Zeusa, i szef ekspedycji - zmuszony zrobić jak najlepszy użytek z pozostałych członków niewielkiego zespołu - musiał mianować Davida na stanowisko głównego antropologa wyprawy, gdyż takie było życzenie Allena seniora.

Bazargan i to rozumiał. Tak nadal załatwiała się sprawy w Iranie: rodzina przede wszystkim. Niemniej zastanawiał się, czy chłopak wie o tym. Przypuszczał, że nie. Zdaniem szefa ekspedycji Allen był mistrzem w samooszukiwaniu się.

- Przepraszam za spóźnienie - rzucił Allen, podchodząc do nich.

- Nie spóźniłeś się - odparł miłym głosem Bazargan. - Nie ma jeszcze Leili z bliźniętami.

- No i jak, Davidzie - zwróciła się doń z uśmiechem Anna. - Jesteś gotów na zejście?

- Bardziej niż gotów. Jak widzę, wy też nie przypasaliście mieczy...

- Miecze! - prychnął Dieter Gruber, szczerząc się. - Tyle dobrego, że nie musieliśmy brać sprzętu przeciwko piance paraliżującej czy promieniowaniu protonowemu.

- Nie rozumiem, czym kierowali się projektanci tych mundurów - dodała Anna.

- Rada Obrony Sojuszu Solarnego - rzekł tonem wyjaśnienia Allen. - Czy też raczej Rada Obrony Sojuszu Tekstylnego. Jej członkowie sądzą, że jednolite mundury będą nam przypominać, iż nasze niezależne rządy mają ze sobą coś wspólnego.

- I właśnie dlatego powinniście nosić miecze przy pasie - powiedział ktoś za plecami Bazargana. - Umundurowanie to nie menu, z którego wybiera się dowolnie, mój panie.

Bazargan odwrócił się, mimo że rozpoznał ten głos - nie sposób było nie wychwycić w nim władczej nuty. Pułkownik doktor Syree Johnson, fizyk wojskowy, była szefem naukowym ekspedycji, aczkolwiek nie wybierała się na dół, na Świat. Dlaczego nie? „Pani pułkownik specjalizuje się w fizyce przestrzeni kosmicznej”, poinformowano Bazargana mgliście i raczej mało przekonująco, kiedy o to zapytał. Jego zdaniem fakt ten także zaliczał

się do anomalii towarzyszących wyprawie.

David Allen zarumienił się.

- Miecz nie nadaje się do pracy w terenie, pani pułkownik. Wysyła czytelną wiadomość, że nie przybywamy w pokojowych zamiarach.

- Ale stanowi część munduru galowego - przypomniała mu pułkownik Johnson. -

Pierwsze spotkanie zespołu badawczego z tubylcami wymaga munduru galowego. Podczas pracy w terenie będziecie mogli się ubierać swobodniej.

Allen sprzeciwił się zapalczywie:

- Ważniejsze jest, aby...

Bazargan nie pozwolił mu dokończyć.

- Przypasaj miecz - rzekł wyraźnie. - Ty, Anno, i ty, Dieterze, także to zróbcie. Już idę po swój.

Anna i Gruber skinęli głowami i natychmiast ruszyli w stronę kwater mieszkalnych.

David, nadal zarumieniony, zacisnął wargi w wąską kreskę, ale również usłuchał. Bazargan do ostatniej chwili nie miał pewności, czy to zrobi.

Gdy wszyscy troje wrócili z mieczami przy boku, pułkownik Johnson konferowała z komandorem Rafaellem Peresem, dowódcą Zeusa, i pierwszym mechanikiem majorem Cantonem Lee. Korzystając z okazji, Allen wybąkał z wyrzutem, choć cicho:

- Proszę bardzo. Jestem w pełni uzbrojony, zgodnie z życzeniem pani pułkownik.

Chciałbym tylko wiedzieć, czemu ona utyka...

- Nie mam pojęcia - odrzekł Bazargan, mimo iż znał odpowiedź.

- Wyhodowanie zastępczej kończyny to łatwizna, zwłaszcza że Rada Obrony pokryłaby koszty. Celowe utykanie zakrawa na pretensjonalność.

- A oto i Leila - odezwał się znaczącym tonem Bazargan.

Kapral Leila DiSilvo zjawiała się w służbie, pchając przed sobą bliźnięta. Ben i Bonnie Mason leżeli w podwójnym wózku przystosowanym do lotów kosmicznych i smacznie spali.

Anna przyjrzała się czternastomiesięcznym niemowlętom, zabezpieczonym specjalnymi pasami na czas podróży na planetę, i westchnęła:

- Biedne pyzy.

- Co to takiego „pyzy”? - zapytał Allen z cieniem wyzwania w głosie pozostałym po rozmowie z pułkownik Johnson. - I czemu biedne?

- Pyzy to ziemski potrawa, prawie zapomniana. A biedne dlatego, że każde dziecko, które straciło matkę i nigdy nie poznało ojca, jest biedne.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś знаła moich rodziców - odrzekł Allen i natychmiast tego pożałował, co nie uszło uwagi Bazargana. Chłopak wyraźnie nie chciał współczucia kobiety starszej od niego o dziesięć lat.

Anna, jak zawsze taktowna, powiedziała tylko:

- Ben i Bonnie będą miały ciebie i inne dzieci. To powinno im wystarczyć.

Bazargan się uśmiechnął. Amerykanie nie przywiązywali wielkiej wagi do rodziny.

Przywykł do tego, lecz nadal było mu to trudno zrozumieć.

Pułkownik Johnson zakończyła naradę z oficerami Zeusa i ponownie zwróciła się do szefa ekspedycji.

- Powodzenia, doktorze Bazargan.

- Dziękuję, pani pułkownik.

- Chciałby pan jeszcze raz przećwiczyć sygnały alarmowe?

- Nie. Jesteśmy gotowi.

- W takim razie niech Allah ma was w swojej opiece.

Bazargan się zdumiał. Pułkownik Johnson, ta militarna formalistka, ukazała właśnie nieznaną mu dotąd twarz.

- Dziękuję - powtórzył. - Anno, Davidzie, Dieterze... idziemy.

Kiedy wahadłowiec, pilotowany przez lubianego opanowanego kapitana Daniela Austena, odrywał się od Zeusa, wszyscy patrzyli na planetę w dole. Bazargan przypomniał

sobie urywek perskiego wiersza, jak niemal zawsze, gdy nachodziła go refleksja. *Bądź pomny trudności, choć wszystko gładko idzie, Że co łatwe jest w zamiarze, często kończy się na wstydzie.* Amir Khusro, przełom trzynastego i czternastego stulecia.

Bazargan nie spodziewał się trudności na Świecie, jak dotąd najbardziej idyllicznej cywilizacji odkrytej przez naukowców. Planeta była żyzna i urodzajna, stanowiące monolit społeczeństwo - pokojowo nastawione i żyjące w dostatku. Nie, z pewnością zapowiadała się rutynowa wyprawa badawcza. Zebrać dane, wrócić do domu, dokonać analizy i opublikować wyniki.

Ale z drugiej strony było to, co nazywał anomaliami. Czemu pierwsza ekspedycja została odwołana na Ziemię po zaledwie dwóch miesiącach? Naukowcy założyli, że działania wojenne przybrały niekorzystny obrót, i przez osiem dni podróży z planety do tunelu czasoprzestrzennego dręczył ich niepokój. Jednakże żadne pogorszenie sytuacji nie miało miejsca, co oznaczało, że nie było uzasadnienia dla pośpiesznej ewakuacji ze Świata. Badacze gotowali się ze złości, wystosowywali pisma i składali oficjalne protesty - wszystko na darmo. Później żaden z nich nie ogłosił wyników swoich badań. Powód: brak wystarczającej ilości danych.

Rzeczeni naukowcy nie zdołali nawet dojść do konstruktywnych wniosków w sprawie kluczowej dla kultury Świata. Z czego wynika jej jednolitość? Czy „dzielona rzeczywistość” Światan jest politycznym mechanizmem kontroli, wynika z systemu wierzeń religijnych czy też raczej - pod czym podpisywała się Anna Sikorski - stanowi efekt unikalnej ewolucji i ma podłoże czysto biologiczne?

Brak wystarczającej ilości danych.

Dlaczego druga ekspedycja jest tak nieliczna, zorganizowana w takim pośpiechu i tak bardzo utajniona?

Brak wystarczającej ilości danych.

Dlaczego fizycy wojskowi przewyższają liczbą antropologów, mimo że ekspedycja -

przynajmniej teoretycznie - jest wyprawą antropologiczną, a co więcej, dlaczego ci fizycy wojskowi zostali wciągnięci na listę jako po prostu „pierwszy mechanik”, „trzeci oficer” i

„pilot wahadłowca”? Bazargan miał własne źródła informacji, bez których w Iranie nie sposób przeżyć, ale nawet dla niego wyprawę otaczał nimb tajemnicy. Czemu?

Brak wystarczającej ilości danych.

Bazargan odwrócił się do Grubera, Allena i Anny, przypiętych dla bezpieczeństwa pasami obok niego i tonących pośród genetycznie modyfikowanych czerwonych róż, żółtych dali i pomarańczowych hortensji.

- Jak już wylądujemy - powiedział do nich cicho - możecie zostawić miecze w wahadłowcu.

Syree Johnson śledziła trajektorię lotu wahadłowca na ekranach mostka kapitańskiego.

Automatycznie przywoływała w myślach dane dotyczące Świata. Planeta leżała w odległości koma sześćdziesiąt dziewięć jednostki astronomicznej od gwiazdy centralnej typu G8, emitującej czterdzieści osiem procent energii ziemskiego Słońca. Najwyższa wartość promieniowania elektromagnetycznego docierającego do powierzchni planety wynosiła koma sześćdziesiąt sześć mikrometra, czyli podobnie jak na Ziemi. Masa: siedemdziesiąt trzy procent masy kolebki ludzkości. Średnica: jedenaście tysięcy czterysta osiemdziesiąt kilometrów. Ciężenie na powierzchni: dziewięćdziesiąt procent ziemskiej grawitacji. Obrót dokoła własnej osi: dwadzieścia sześć koma dwa ziemskich godzin. Rok trwał dwieście trzynaście miejscowych dób. Nachylenie orbity względem ekliptyki: trzy koma dwa stopnia.

Jeden główny, rozciągający się niemal symetrycznie po obu stronach równika kontynent z pobliskimi wyspami, nieraz dużych rozmiarów. Niewyróżniająca się charakterystyka fizyczna z wyjątkiem podwyższonego promieniowania w drugim pod względem wysokości łańcuchu górskim, zidentyfikowanego przez detektory Zeusa jako strumień neutrin.

Nic z tego się nie liczyło.

Cokolwiek myśleli sobie antropologowie, jedyny istotny fakt na temat Świata był na razie znany wyłącznie Syree Johnson, jej kolegom fizykom i komandorowi Peresowi. A miał

tak wielkie znaczenie, że bez wahania sfinansowano i wyposażono ekspedycję na tę zacofaną planetę w odległym sektorze przestrzeni, obsługiwanym przez rzadko uczęszczany tunel czasoprzestrzenny. I mógł przesądzić o wyniku wojny z Fallerami - tymi dziwacznymi agresywnymi i bardzo niebezpiecznymi Obcymi.

Planeta, którą jej mieszkańcy nazywali etnocentrycznie Światem, miała siedem księżyców. Z tym że jeden z nich nie był jej naturalnym satelitą.

Teraz, gdy antropologowie opuścili pokład Zeusa, zespół pod dowództwem pułkownik Syree Johnson mógł się zabrać do pracy i odkryć, czym jest naprawdę ów siódmy

„księżyc”. Istniała już pewna hipoteza. Trzeba było tylko znaleźć dowody na jej potwierdzenie.

Gofkit Jemloe

Wszyscy mieszkańcy Gofkit Jemloe wylegli, by powitać Ziemian. Enla przekonała się, że Hadzil Pek Voratur jest bardzo ważnym człowiekiem. Zmierzał w stronę Ziemian parę kroków przed duchownym, niskim mężczyzną z mało udanymi uszami, którego imienia Enla nie zapamiętała.

Pek Voratur był korpulentny i postawny, miał dobrze odżywioną skórę, która błyszczała jak nasmarowana olejem, i szyjowłosa, które bez wątpienia były nasmarowane. Na elegancką tunikę narzucił wspaniale utkany kaftan z pewnością aż z wyspy Seuril, poza tym przytłaczał wszystkich widokiem wysadzanego złotem pasa oraz płaskiego szerokiego kapelusza przystrojonego świeżymi kwiatami sadzi. Obok niego kroczyła jego żona, Alu Pek Voratur, odziana z podobną przesadą. Oboje nieśli naręcza świeżych kwiatów w barwach gościnności - żółci i pomarańczu - a oprócz tego po bukietu świętych niebieskich kwiatów fimpili na znak błogosławieństwa gości. Te ostatnie powinien właściwie trzymać duchowny.

Enla wiele się dowiedziała o Peku Voraturze, widząc niebieskie kwiatki w jego dłoni.

Jednakże nie on interesował ją w tej chwili najbardziej. Enla nigdy wcześniej nie spotkała Ziemian.

Poczuła się nimi rozczarowana. Zbyttno przypominali rzeczywiste osoby (czy raczej osoby, które udowodniły, że są rzeczywiste; w wypadku Enli miało to spore znaczenie i było powodem jej obecności tutaj). Duzi, ale nie tak ogromni, jak twierdziły plotki. Dwie nogi, dwie ręce, tułów, dwoje oczu, jedno usta... Enla w głębi duszy spodziewała się potworów. A przynajmniej nieco egzotyki.

„Pek Bazargan powiedział sługom Pierwszego Kwiatu, że Światanie i Ziemianie wyrosli z tych samych nasion w zamierzchłych czasach”, oznajmił domownikom Pek Voratur, lecz zdaniem Enli nie wierzył w to, co mówił. Jakżeby mógł? Cóż to w ogóle za pomysł? Gdyby Ziemianie naprawdę wierzyli w takie rzeczy, duchowni Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty musieliby ich uznać za nierzeczywistych. Ale Pek Voratur mógł coś przekreślić. Trzeba było dać Ziemianom szansę. W końcu ważyły się losy dusz.

Enla wyciągnęła szyję ponad głowy tłumu; jako zwykła służąca stała z tyłu, ale na szczęście była wysoka.

Ziemianie nabrali zadowolająco obcego wyglądu, gdy się zbliżyli, postępując od strony swojej metalowej łodzi ku Gofkit Jemloe. Ich skóra miała różne odcienie brązu, od piaskowej po ziemistą, nie była zwyczajnie bladożółta. Czoła także wydały jej się dziwnie płaskie. Najbardziej zaś rzucał się w oczy brak szyjowłosa. Coś, co je trochę przypominało, zamiast na szyi znajdowało się na czubku głowy, zakrywając grzebienie czaszkowe, i było dość długie, by dało się ściągać w zaoblone tobołki. Niebrzydło to wyglądało, ale uniemożliwiała odczytywanie wyrazu twarzy.

Ci Ziemianie wiedzieli wystarczająco dużo, aby przynieść ze sobą żółte i pomarańczowe kwiaty. Enla patrzyła na masę kwiecica, jakiego nigdy dotąd nie widziała.

Gdyby obdarowali Peka Voratura ich nasionami, uczyniliby zeń najbogatszego człowieka na Świecie!

Jeden z Ziemian pchał wózek, paskudny wehikuł składający się z samych prostych linii, nakryty kocem i warstwą kwiatów. Enla nie potrafiła dojrzeć, co jeszcze jest w środku.

W końcu Ziemianie i Światanie zatrzymali się naprzeciwko siebie, a Enla wytrzymała słuch.

- Szanuję wasze kwiaty - przemówił Pek Voratur. Nim zdążyli się odezwać burmistrz i duchowny! Mimo to żaden z mężczyzn nie skrzywił się od bólu głowy, który Enla tak dobrze знаła; dzielona rzeczywistość nie została zakłócona. Zatem wszystko musiało być zawczasu przygotowane i przeciwiczone.

Najstarszy Ziemianin, prawdopodobnie mężczyzna, odparł, jak należało:

- Raduję się waszymi kwiatami.

Mówił z dziwnym akcentem, ale nie dziwniej niż mieszkańcy wyspy Coe Lidzil.

- Witajcie w kwiatach tego domostwa - dodała żona Voratura.

- Piękno waszych kwiatów raduje moją duszę - odparł inny Ziemianin. Zdaniem Enli, kobieta.

- Oby wasze ogrody wiecznie kwitły - dopowiedział burmistrz.

- Płatki waszych kwiatów są piękne - rzucił trzeci Ziemianin, nadzwyczaj postawny, straszliwie kalecząc światański. Czy oni nie znają innego słowa opisującego kwiaty poza

„piękny” i „piękno”? Naprawdę są aż tak ograniczeni?

- Wasze kwiaty opromieniają radością moje serce - zaintonował duchowny.

- Oby wasze kwiaty wiecznie cieszyły dusze waszych przodków - zakończył wymianę grzeczności ostatni z Ziemian, ten, który pchał wózek. Jego akcent był bez zarzutu.

- Nazywam się Hadzil Pek Voratur. Witaj w kwiatach mego domostwa.

- Nazywam się Ahmed Pek Bazargan. Witaj w kwiatach mego serca.

Ceremonia trwała, po wymianie grzeczności doszło do rytualnej wymiany kwiatów.

Enla notowała wszystko w pamięci, aby mieć co przekazać w raporcie. Jak na razie Ziemianie zachowywali się, jak na rzeczywiste osoby przystało.

Wreszcie Pek Voratur zdjął koc z wózka Światan - w porównaniu z wózkiem Ziemian znacznie ładniej zaoblonego - i oznajmił oficjalnie:

- Oto dzieci mego domostwa.

Miał oczywiście na myśli te z dzieci, które były za małe, aby ogłosić je rzeczywistymi

- te, które nadal pozostawały w izolacji w żłazie. Ogółem siedmioro: czworo umiejących chodzić i troje niemowląt. Wszystkie spoglądały nieśmiało ze swoich miejsc w wózku. Jedna z dziewczynek wyglądała na przestraszoną, skrzywiła nawet buzię, przymierzając się do płaczu. Starsze dzieci nie przywykły do tego, by zabierano je ze żłazu. Za to niemowlęta wydawały się nieporuszone: dwoje gapiło się szeroko otwartymi ciemnymi oczami, a jedno spało skulone w swoim koszyku.

Pek Bazargan odpowiedział:

- A oto dzieci mego domostwa.

W tej samej chwili Ziemianin zdjął koc z wózka przed sobą.

W środku było dwoje maluchów, znacznie pulchniejszych i większych niż potomstwo Światan. Nie miały szyjowłósów, ale ze czubki ich głów były prawie łyse, w oczach Enli zdawały się normalniejsze niż dorośli Ziemianie. Jasne oczy błyszczały niczym refleksy światła na czystej wodzie. Jedno i drugie spoglądało wokół bez mrugnięcia powieką, całkiem jak dzieci Światan, przez co wydawały się jeszcze bardziej rozczulające. Przez tłum przeszło przeciągłe „Hmmmmmmm”, wbrew sobie każdy się uśmiechał na widok takich uroczych maleństw.

Gdyby Enla miała w zwyczaju zakłady, postawiłaby na to, że Ziemianie zostaną uznani za rzeczywistych.

- Chodźmy do domu - rzucił Pek Voratur i wszyscy karnie się odwrócili, aby we właściwym szyku zaprowadzić przybyszów do jego domostwa.

Enla zajęła miejsce jak najdalej od dygnitarzy, sytuując się po prawej stronie krańca wachlarza, w jaki uformował się tłum eskortujący Ziemian. Tak się złożyło, że dzięki temu miała doskonały widok na to, co wydarzyło się potem.

- Patrzcie! Spójrzcie! Spójrzcie! - krzyknęło biegnące ku nim dziecko.

Dziewczynka miała ponad osiem lat i była duża jak na swój wiek. W podartej sukience, usmarowana błotem, z ramieniem pokrytym strupami. Nieustannie coś mamrotała.

Enla odwróciła wzrok. Oczy dziecka były zarazem dzikie i puste, pozbawione duszy.

Najwyraźniej była nierzeczywista, a jej krewni jeszcze nie odprawili koniecznej ceremonii.

Jakże mogli? To okrucieństwo, coś takiego powinno być zabronione.

Nikt nie patrzył na dziewczynkę. Tłum szedł jak przedtem, kierując się ku domostwu Hadzila Peka Voratura, jedni rozmawiali cicho, inni nucili pod nosem. Jednakże smutek dosięgnął ich jak wiatr żdźbła trawy. Enla czuła to każdym porem. Otaczające ją ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej, gdy wszyscy wspólnie ubolewali w dzielonej rzeczywistości.

Dziewczynka zatrzymała się, dostrzegła ziemskie dzieci i wydała gardłowe „0000!”.

Najwyraźniej nie umiała mówić. Zaczęła się zbliżać do gości.

Milcząco, nie gubiąc kroku, nawet nie patrząc na jej nierzeczywistą pustą powłokę, Światanie zaszli jej drogę. Płynnie poruszali się naprzód, tak że zawsze paru dorosłych Światan odgradzało nierzeczywistą ośmiolatkę od wózka z dziećmi Ziemian. Dziewczynka napierała głową i łokciami, ale nie mogła się przedrzeć. Po jakimś czasie zaprzestała wysiłków i uderzyła w głośny płacz. Światanie jej nie usłyszeli. Jak jeden mąż podążali dalej.

Wtedy to się stało. Ziemianin pchający wózek, David Pek Allen, zatrzymał się i uśmiechnął do nierzeczywistej powłoki!

- Niech sobie obejrzy dzieci - rzekł. - Przytrzymam ją, żeby nic im nie zrobiła.

Wszyscy zamarli.

Pek Allen sięgnął między dwoma mężczyznami i złapał nierzeczywiste dziecko za rękę, przyciągając je do siebie, a zarazem nie pozwalając, by nadmiernie zbliżyło się do wózka.

- Widzisz, dziewczynko? Tak wyglądają ziemskie dzieci.

Enla poczuła ból głowy, mimo że zażywała rządowe pigułki. Co w takim razie czuli pozostali? Twarze zaczęły się wykrzywiać. Jakaś staruszka zacisnęła powieki i przyłożyła suche dłonie do zamkniętych oczu. Czy Pek Allen nie czuł, jak bardzo pogwałcił dzieloną rzeczywistość? Czy nie czuł tego we własnej głowie, czy nie czuł za oczami dyskomfortu, który wkrótce miał się przerodzić w ból świadczący o tym, że stracił kontakt z całą wsią, z rzeczywistością?

Pek Allen uśmiechał się w najlepsze i mówił do nierzeczywistej istoty obok niego.

To mogło znaczyć tylko jedno: Pek Allen nie dzielił z nimi rzeczywistości. Sam był

zatem nierzeczywisty.

Umysł Enli zaczął wirować. Czy to odpowiedź - już, tak szybko? Nie, nie... Reszta Ziemian nie zauważyła nierzeczywistego dziecka. Co więcej Pek Bazargan właśnie podszedł

do Peka Allena, położył mu dłoń na ramieniu. Powiedział do niego coś, zbyt cicho jednak, by ktokolwiek w tłumie to usłyszał. Twarz Peka Allena poczerwieniała, po czym jak oparzony puścił rękę nierzeczywistej dziewczynki.

Ktoś zajął miejsce między nią i Ziemianami. Dołączył do niego ktoś inny. Do przodu wystąpił mężczyzna o ramionach zgarbionych w wyrazie wielkiej skruchy. W końcu nierzeczywista dziewczynka zniknęła.

Tłum ponownie ruszył, poczucie dzielonej rzeczywistości powróciło. Znowu każdy miał kontakt z każdym. Na twarzach osób stojących najbliżej Enla dostrzegała ślady ustępowania bólu. Wyglądały

się grzebiecie, wargi układały w drżące uśmiechy. Mężczyzna trzymający się za brzuch - niektórzy tak to odbierali w głębi trzewi - opuścił ręce oplecione wokół ciała. Mimo to tłum nie był taki jak przedtem.

Enla wyczuwała niepewność, napięcie. Widziała, że powiększył się dystans między Światanami a Ziemianami, nikt nie śmiał iść tak blisko gości jak wcześniej.

I tak orszak powitalny dotarł do bram domostwa Voratura.

Zadziwiająco trudno być informatorem w takim domu.

Dotychczas Enla musiała przekazywać informacje tylko o jednej osobie. Tutaj natomiast było czworo Ziemian, nie licząc dzieci, a w dodatku rzadko przebywali razem.

Niby jak mogła się znajdować w czterech różnych miejscach jednocześnie? Przecież to niemożliwe! Nadzór Rzeczywistości i Pokuty wymagał od niej zbyt wiele. Na domiar złego Ziemianie bardzo utrudniali jej zadanie.

Największy z nich, Dieter Pek Gruber, nawet nie mieszkał w domu. Przydzielono mu pokój, w którym umieścił wiele przedmiotów niewiadomego pochodzenia. Potem jednak odjechał na najpiękniejszym rowerze, jaki Enla kiedykolwiek widziała, wybierając się do gór Neury, gdzie zamierzał „rozejrzeć się za kamieniami”. Co to niby miało znaczyć? Tutaj, w Gofkit Jemloe, było wystarczająco dużo kamieni; wieśniacy zbierali je na polach i układali w krzywe murki. Kamienie zapychały rzekę, spowalniały rowerzystów, pstrzyły moczary.

Czemu więc Ziemianin pojechał aż do gór Neury, żeby ich nazbierać? Neury, święte góry, które zamieszkiwał Pierwszy Kwiat po opuszczeniu Obriego, były jak wiadomo także niezdrowe. Ci, którzy do nich dotarli, zazwyczaj chorowali i umierali. Wypadały im szyjowłosa, ciało pokrywało się wrzodami, puchły im gardła i czerniały języki. W ten sposób Pierwszy Kwiat chronił święte rabaty. Pek Gruber został o tym poinformowany. A mimo to udał się w góry. Po kamienie!

Oprócz niego był David Pek Allen, który wzbudził tyle wątpliwości w orszaku powitalnym. Zamieszkał, żywił się i spał w złązie z dwojgiem ziemskich dzieci i siedmiorgiem dzieci Voratura, których jeszcze nie ogłoszono rzeczywistymi. Wieśniacy traktowali swoje dzieci z obojętną czułością i opiekowali się nimi na przemian, podczas gdy rodzice pracowali w polu i bawili się, jednakże w zamożnych domach sytuacja przedstawiała się inaczej. Złaz oddzielały od głównego domostwa ogrody i podwórka. Dopóki sługa Pierwszego Kwiatu nie ogłosi, że dzieci Voratura cierpią dyskomfort, gdy tracą kontakt z dzieloną rzeczywistością, musiały pozostawać od niej odcięte. Rodzice odwiedzali je codziennie, ale były obsługiwane przez odrębną służbę: piastunki, kucharza i sprzątaczkę. Enli nie przydzielono do sprzątnięcia złązu. W minionym dekadniu ani razu nie widziała Peka Allena.

Byli jeszcze Ahmed Pek Bazargan i Anna Pek Sikorski. Przynajmniej ci dwoje mieszkali w głównym domostwie jako goście honorowi. Niestety Pek Bazargan niemal wszędzie towarzyszył Pekowi

Voraturowi albo jego żonie: chodził do portu, kiedy wypływała flota kupiecka gospodarzy, na targ, do parków, do Rafkit Seloe w odwiedziny do przyjaciół.

Tak więc Pek Bazargan rzadko bywał pod dachem. A nawet jeśli akurat nigdzie nie poszedł ani nie pojechał, Enla nie była w stanie niczego się dowiedzieć. Sprzątaczkę, jak się okazało, nie wchodziły do kwater gości w czasie, gdy przebywali w nich mieszkańcy.

A pokojów zajmowanych przez Pek Sikorski Enla nie sprzątała wcale. Ziemiarka otrzymała kwatere z widokiem na dziedziniec, nieopodal zewnętrznego muru, który otaczał

całe rozległe domostwo. Jedna komnata była jej sypialnią. W dwóch pozostałych umieściła masę dziwnych przedmiotów - to tam znosiła rośliny i nieżywe zwierzęta, które poddawała sekcji. A zatem Pek Sikorski była uzdrowiaczem, gdyż właśnie uzdrowiacze w ten sposób pozyskiwali składniki swoich pigułek i wywarów. Z tym że wyraźnie poprosiła Peka Voratura, aby nikt nie wchodził do jej pomieszczeń, nawet sprzątaczkę. Pewnie chciała zapobiec kradzieży, nim będzie gotowa sprzedać swoje wytwory Światanom. Trudno ją było za to winić. Niestety w związku z tym pod koniec pierwszego dekadnia - gdy wypadał termin złożenia pierwszego raportu - Enla nie miała nic do przekazania. W najlepszym razie bowiem minęła się z którymś z Ziemiaków w korytarzu czy na podwórku.

Jechała więc do Rafkit Seloe w ponurym nastroju. Podróż bardzo jej się dłużyła. Tak jak się spodziewała, Pek Nagredil nie był z niej zadowolony.

- Nic nie masz do przekazania o Ziemiakach? Nic zupełnie?

- Opowiedziałam przecież o ceremonii powitania i orszaku powitalnym.

- O tym słyszałem już wcześniej.

Enla się domyślała, że tak będzie. Tuż po ceremonii powitania widziała kobietę w tunice Nadzoru Kronik i Wieści pedałużającą ile sił w stronę Rafkit Seloe. Stamtąd informacje o Ziemiakach zostały przekazane od lustra do lustra, od wzgórza do wzgórza, aż rozeszły się po całym Świecie. Zanim zapadł zmrok, to, co się wydarzyło w orszaku powitalnym, należało już do dzielonej rzeczywistości.

Enla broniła się słabo.

- Opowiedziałam też o kwaterach, które każdy Ziemiak otrzymał w domostwie Peka Voratura.

- Ale nic poza tym! Nie wspomniałaś nawet, że Pek Sikorski najęła kuchennego chłopca, żeby łapał dla niej freby, które potem zabijała!

- Kto ci to powiedział?

- Pek Brimmidin - rzekł ostrym tonem Pek Nagredil - chyba nie sądzisz, że jesteś jedynym informatorem w domostwie Peka Voratura?

Enla pożałowała swojej głupoty. Oczywiście, że nie mogła być jedynym informatorem, skoro sprawa była tej rangi. Nadzór Rzeczywistości i Pokuty postarał się o większą liczbę informatorów. Kim byli? Enla doskonale wiedziała, że nie ma sensu o to pytać.

Pek Nagredil przemierzył mały gabinet, machinalnym ruchem poprawił położenie rzeźby, zerknął na tapiserię. Tego dnia nie uczesał starannie szyjowłosek. Jego grzebienie czaszkowe zmarszczyły się nagle. Enla wstrzymała oddech.

W końcu Pek Nagredil przemówił.

- Trzeba uciec się do sposobu. Oto co zrobisz, Pek Brimmidin...

To powiedziawszy, otworzył ciężką drewnianą skrzynię w rogu gabinetu.

Enla zaczekała do popołudnia, gdy prace porządkowe w domu cichły, a członkowie rodziny najczęściej załatwiali jakieś sprawy. Po cichu przekradła się przez labirynt połączonych podwórek i zadrzewionych parków do kwatery Pek Sikorski w pobliżu wschodniego muru. Ziemianka pracowała przy ławie. Enla rzuciła okiem na blat i natychmiast odwróciła wzrok. Przyszpilony do deski leżał martwy freb, rozcięty na podbrzuszu, z wylewającymi się wnętrznościami, z których część już została usunięta.

Dziwne przedmioty zaśmiecały pomieszczenie. Enla tupnęła, by zwrócić na siebie uwagę.

- Och! - krzyknęła Pek Sikorski, obracając się szybko. - Kim ty jesteś?

- Nazywam się Enla Pek Brimmidin i jestem sprzątaczką - odparła unizonym tonem. -

Wybacz, jeśli cię przestraszyłam.

- Wejdz, proszę - powiedziała Pek Sikorski. Miała dobre maniery; wyciągnęła żółty kwiat padzaliby z kosza powitalnego przy wejściu i wręczyła go Enli. - Witaj w kwiatkach tego pokoju.

- Piękno twoich kwiatów raduje moją duszę - odpowiedziała Enla, przyjmując kwiat, i pomimo zażytych pigułek niemal od razu poczuła ukłucie bólu między oczami. Jej słowa pogwałciły dzieloną rzeczywistość. Nie miała duszy, dopóki była nierzeczywista.

Pek Sikorski czekała. Najwyraźniej spodziewała się, że Enla odwzajemni się kwiatem.

No cóż, Enla właśnie po to tutaj przyszła. Jeszcze przez chwilę się wahała, uderzona dziwnością Ziemianki widzianej z bliska.

Pek Sikorski miała jasne włoski nad oczami, a także włosy na całej głowie. Ileż ich tam było! Nie związane w tobolek na samym czubku, jak podczas ceremonii Powitania, długie i jasne spływały jej po plecach. Najdziwniejsza jednak była naga szyja Pek Sikorski.

Czyżby nie marżała? Czyżby nie czuła wstydu? Zazwyczaj tylko bliscy patrzyli na szyję drugiej osoby: matki tulące niemowlęta, kochankowie badający nawzajem swoje ciała.

Dodatkowo Ziemiańska rozpaczała dziwny zapach. Nie nieprzyjemny, tylko właśnie dziwny, jednakże Enla nie potrafiła tego sprecyzować.

I miała małe dziurki na miękkich paskudnych przedłużeniach uszu. Na co te dziurki?

Czym są przedłużenia uszu? Jakąś deformacją?

- Pek Brimmidin? - odezwała się cicho Pek Sikorski.

- Wybacz mi, mój niemądry umysł mnie zawiódł - rzekła zawstydzona Enla.

- Przyjmij, proszę, kwiat gościa.

Wyciągnęła dłoń, na której spoczywała biała szmatka, i z wielką ostrożnością odwinęła biały kwiat, który Pek Nagredil wyjął z zamkniętej skrzyni.

Kwiat był suszony, nie świeży, to jest taki, jakich używali w trakcie najświętszych ceremonii najbardziej godni szacunku duchowni. Kwiat zachował się w idealnym stanie: z drobnymi karmazynowymi płatkami i długim zakrzywionym jęczyczkiem. Pek Sikorski jakby nigdy nie sięgnęła po niego.

- Kolor twojego kwiatu jest piękny...

Ziemiańska nie miała pojęcia, czym naprawdę był!

- Nie dotykaj! - zabroniła jej Enla. Zdumiona Pek Sikorski cofnęła rękę. - Jego płatki są trujące.

W jasnych oczach pojawiła się czujność.

- To kwiat kamorifiby - wyjaśniła Enla. - Kamorifiba rośnie wyłącznie na południu, na wyspie Kikily. Słudzy Pierwszego Kwiatu trą na proszek jęczyczki, starannie omijając płatki, i sporządzają miksturę, która zabiera ich jeszcze głębiej w dzieloną rzeczywistość, skąd wracają, aby dzielić się zdobytą wiedzą z innymi. Kamorifiba jest stosowana wyłącznie podczas najuroczystszych okazji. Ten kwiat należy do mojej rodziny od dwóch pokoleń. Mój dziad był duchownym. - Ból głowy wzmagął się, sycony każdym nierzeczywistym zdaniem.

Mimo to musiała dokończyć. - Nikt nigdy nawet nie pomyślał o dawaniu kwiatu kamorifiby.

To nie jest kwiat powitania. Nikt nigdy nie pomyślał również o jego otrzymaniu. Daruję ci ten oto kwiat kamorifiby, Pek Sikorski.

Ziemiańska ujęła ostrożnie kwiat wraz z białą szmatką, po czym popatrzyła twardo na Enlę.

- Czemu mi go dajesz, Pek Brimmidin? To cenny dar.

- Chcę cię o coś prosić w zamian, Pek Sikorski. O pewną informację. Jeśli nie zechcesz mi jej udzielić, podarunek i tak będzie twój.

Pek Sikorski skinęła głową, akceptując rytuał. Być może słyszała o nim od innych Ziemian, od tych, którzy pojawili się przed półrokiem. A może była jego świadkiem podczas tej wizyty, w domostwie Peka Voratura.

- Wolno mi zadać pytanie? - upewniła się Enla.

- Oczywiście.

Enla zapytała więc:

- Czy wy, Ziemianie, przybyliście tu po to, aby dowiedzieć się więcej o bólu głowy, który towarzyszy podzielonej rzeczywistości?

Pek Sikorski milczała przez długą chwilę. Czyli Pek Nagredil miał rację. To on powiedział Enli, jakich słów powinna użyć; to on podsunął pytanie sformułowane na podstawie informacji, które Nadzór Rzeczywistości i Pokuty już posiadał na temat Ziemian.

W końcu Ziemianka odparła:

- Pozwolisz, że spytam, dlaczego tak uważasz, Pek Brimmidin?

- Nie wiem - rzekła Enla i przez chwilę czuła błogosławioną chłodną słodycz dzielonej rzeczywistości. Mówiła prawdę. Nie wiedziała.

Pek Sikorski się uśmiechnęła.

- Jesteś bystrym obserwatorem, Pek Brimmidin. Nas, Ziemian, bardzo interesuje dzielona rzeczywistość. Opowiedz mi o bólu głowy, jeśli możesz.

- Nie mogę. Muszę wracać do sprzątanania.

Pek Sikorski skinęła głową. Wiedziała, że umowy dotrzymano: kwiat kamorifiby w zamian za odpowiedź. Nie mogła oczekiwać dalszych informacji. Niemniej to, co zaraz szybko dodała, wiele powiedziało Enli.

- Oczywiście nie jesteśmy tutaj wyłącznie z powodu dzielonej rzeczywistości. Jak już mówiliśmy, interesuje nas cały Świat.

- Tak - potwierdziła Enla, odwzajemniając uśmiech. - Oczywiście. Oby twoje kwiaty rozkwitały w mnogości.

- Oby twój ogród cieszył twych przodków.

Enla wyszła. Wypełniła pierwsze zadanie zleczone jej przez Peka Nagredila.

Do Peka Voratura zwróciła się po zmroku, gdy Pek Bazargan udał się podwórkami do złązu. Korpulentny kupiec siedział we wspaniałym rodzinnym ogrodzie razem z najstarszym synem Soshafem, omawiając interesy. Dokoła nich płonęły lampy zasilane olejem z roślin, wystające z pięknych kutych w żelazie uchwytów. Woń udatnie dobranych nocnych kwiatów mieszała się w powietrzu z cichym buczeniem skrzydeł życiodajów. Kiedy Enla się zbliżyła, obaj mężczyźni podnieśli głowy, zdziwieni widokiem burzącej ich spokój kobiety w tunice sprzątaczkii, aczkolwiek ich zdziwienie nie dorównywało zdumieniu sługi, który opuszczał

ogród z pustymi szklankami po pelu w dłoniach.

- Peku Voraturze - zaczęła - pragnę dzielić z tobą rzeczywistość.

- Dzielimy rzeczywistość - odpowiedział zwyczajowo Pek Voratur. - Kim jesteś?

- Nazywam się Enla Pek Brimmidin i jestem sprzątaczką. Pragnę powiedzieć ci coś o naszych ziemskich gościach, aby rzeczywistość była dzielona w pełni. - Wcześniej Enla zażyła podwójną dawkę rządowych pigułek. Pogwałcała wspólną rzeczywistość mocniej niż wtedy, gdy ona i Tabor...

Nie myśl o tym teraz!

- Co masz do powiedzenia o Ziemianach? - zapytał ostro Soshaf Pek Voratur.

Enla zrobiła zafrasowaną minę.

- Słyszałam rozmowę Peka Bazargana i Pek Sikorski. On powiedział: „Gdybyśmy tylko dowiedzieli się o bólu głowy wynikającym z dzielonej rzeczywistości, ta podróż by się opłacała”.

- Doprawdy? - zdumiał się starszy Pek Voratur. - A co tu jest do dowiadywania się?

Ból głowy po prostu jest. - Nagle jego oczy się zwęziły i Enla dostrzegła w nich chytry błysk kupca. - Pek Brimmidin, gdzie zasłyszałaś tę rozmowę?

- W ogrodzie przy kwaterze Pek Sikorski.

- A skąd się tam wzięłaś?

Enla wbiła oczy w ziemię.

- Poszłam obejrzeć kwiaty, Peku Voraturze. Kiedyś miałam słynący na całą okolicę ogród.

Pek Voratur zamruczał cicho, rozważając jej słowa. Enla spostrzegła, że wymienił z synem spojrzenia. Nadal nie podnosząc wzroku, dodała:

- Mam rękę do roślin...

- Tak, Pek Brimmidin. Ziemianka używa roślin do wytwarzania swoich wywarów. Ale oczywiście nie kwiatów.

- Oczywiście - potaknęła Enla, jakby i to wiedziała. Co było prawdą.

- Niewykluczone, że uzdrowiaczce przydałby się ktoś do pomocy. Czy wolałabyś to zajęcie od pracy sprzątaczką?

- O tak, Peku Voraturze!

- Niewykluczone również - ciągnął kupiec - że Pek Sikorski ponownie wyrazi na głos, przy innej okazji, co ją interesuje albo czego potrzebuje bądź też co chciałaby dostać.

Niewykluczone, że będziesz przy tym.

- Rozumiem... - Enla starała się nadać głosowi takie brzmienie, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy.

- Jeśli zasłyszysz coś podobnego, Pek Brimmidin, będziesz musiała znów dzielić rzeczywistość ze mną jako gospodarzem, abym mógł zaspokoić zachciankę mego gościa.

- Dobrze!

Pek Voratur nachylił się ku niej.

- Niewykluczone, że czasem zasłyszysz coś, mimo iż Ziemianie nie będą świadomi twojej obecności. Wtedy również przyjdź dzielić rzeczywistość ze mną.

Enla pokiwała głową.

- Ale Pek Brimmidin... Enlo... jest jeszcze coś, coś bardzo ważnego... Nie wolno ci dzielić rzeczywistości z Ziemianami. Nie rób takiej zszokowanej miny dziewczyno. Oni nie są ze Świata. Słudzy Pierwszego Kwiatu jeszcze nie ogłosili ich rzeczywistymi, a jak wiesz, nie dzieli się rzeczywistości z nikim, kto nie ma duszy. Dlatego nie powinnaś dzielić z nimi tego, że przekazujesz mi, co mówią między sobą. Zrozumiano?

- Ja nie...

- Dostałaś bólu głowy. Widzę po twoich oczach. Biedaczko... Pragniesz uprawiać ogród i dzielić rzeczywistość ze mną?

- Tak. Ja...

- Świetnie. Zatem umowa stoi. Oby twoje kwiaty rozkwitały w mnogości.

- Oby t-twoje ogrody cieszyły t-twyc przodków - wyjąkała Enla.

- Od jutra zaczniesz pomagać Pek Sikorski. Sam ją o tym poinformuję. Dobrej nocy, Enlo.

- Dobrej nocy - powtórzył jak echo syn kupca.

Enla ledwie widziała, gdy wracała na dziedziniec służących. Ból rozsiadł się pomiędzy oczami, kłuł tkankę za gałkami ocznymi. Nie czuła czegoś podobnego od czasu, jak... Co ona najlepszego uczyniła? Obiecała donosić na Ziemian Hadżilowi Pekowi Voraturowi. A Pek Sikorski będzie jej zadawać pytania na temat domostwa Peka Voratura, co zmusi ją do swego rodzaju donoszenia na Świat. Co dekadzień Enla będzie raportować Pekowi Nagredilowi, co udało jej się przekazać obu stronom. Jak dalece można naginać dzieloną rzeczywistość, zanim nie pęknie z traskiem niczym nadwerżony pręt z metalu, a ona, Enla, nie skończy nadziana na oba jego ostre końce?

Och, Taborze... Robię to tylko dla ciebie...

W połowie drogi, na pustym podwórku, dopadły ją zawroty głowy i mdłości. Wokół

było ciemno, nie paliła się ani jedna lampa. W kompletnych ciemnościach Enla zgięła się wpół i zwymiotowała. Och, proszę, tylko nie na kwiaty... proszę, niech tu nie będzie żadnych kwiatów...

Gdy atak nudności minął, potykając się, dotarła do swojej kwatery, którą dzieliła z trzema innymi służącymi. Otępiąta od ciągłego bólu głowy i wymęczona torsjami zaczęła przetrząsać zakamarki tuniki w poszukiwaniu rządowych pigułek, które pozwolą jej zasnąć.

4

Obiekt orbitalny numer 7

- Jeszcze trzysta kilometrów - poinformował pilot.

Całkiem niepotrzebnie; Syree Johnson знаła dokładne położenie obiektu co do metra.

Jednakże kapitan Daniel Austen, z którym już wcześniej współpracowała przy okazji innych zadań specjalnych, był niezwykle gadatliwy na służbie. Kompensował to dyskrecją po godzinach, tak że nie dało mu się nic zarzucić jako żołnierzowi.

Z tym że żadne z nich nie wykonywało jeszcze podobnego zadania specjalnego.

Planeta zwana Światem miała, wedle tubylców, siedem księżyców, z których każdy otrzymał zwięzłe brzmiące miano: Ap, Lii, Kat, Obri, Rai, Sel i Tas. Sześć z nich było naturalnymi satelitami. Natomiast Tas zdawał się przechwyconym artefaktem, równie starym jak sama planeta.

Artefakt, który członkowie zespołu zwiadowczego ochrzcili „obiektem orbitalnym numer 7”, okrążał Świat po orbicie niższej niż naturalne satelity, pozostając przeciętnie w odległości mniejszej niż dwa tysiące trzysta kilometrów od powierzchni globu. Aby to było możliwe, musiał poruszać się szybko, z prędkością sześciu kilometrów na sekundę, dokonując pełnego obrotu wokół Świata w ciągu dwóch koma trzydzieści cztery ziemskich godzin. Z

tego powodu, przynajmniej z perspektywy powierzchni planety, zdawał się ulegać retrogradacji, czyli poruszać z zachodu na wschód. Wyglądał przy tym również bardzo niepozornie. Przy średnicy czterech kilometrów miał rozmiar kątowy niespełna jednej dziesiątej stopnia. Krążył po idealnie kolistej orbicie odchylonej od płaszczyzny ekliptyki o pięćdziesiąt cztery stopnie. Niemal całkowity

brak mikrokraterów sugerował, że artefakt został przechwycony całkiem niedawno, być może zaledwie sto tysięcy ziemskich lat temu.

Miał wysokie albedo, ale przez to, że był matowy, nie występował refleks lustrzany. Nie zaobserwowano też obrotu wokół własnej osi.

- Sto pięćdziesiąt kilometrów - poinformował Austen.

Syree stała w pełnej gotowości, teraz więc nałożyła tylko hełm. Obiekt orbitalny numer 7 rósł na ekranach i chociaż nie osiągnął jeszcze odpowiedniej wielkości, można było zobaczyć znaki, które spowodowały pośpieszny powrót zespołu zwiadowczego.

Tylko jeden obiekt w całym znanym człowiekowi wszechświecie nosił podobne oznakowania - i nie był dziełem ludzkich rąk. Odkryty pięćdziesiąt trzy lata temu na orbicie za Neptunem otworzył ludzkości drogę do gwiazd. On również wyglądał jak mały księżyc.

Był jednak wrotami do rozległego systemu tuneli czasoprzestrzennych. Gdy statek kosmiczny docierał po długiej wędrówce za Neptuna i zdołał się wpasować w Tunel Czasoprzestrzenny

#1, przedostawał się w całkiem inne miejsce w Galaktyce, w pobliże innego układu planetarnego i kolejnego tunelu.

Odkrycie Tunelu Czasoprzestrzennego #1 zatrzęsało posadami cywilizacji solarnej Ludzkość nie tylko się dowiedziała, że nie jest we wszechświecie sama, ale także dostała do dyspozycji superautostradę kosmiczną.

A mówiąc ściśle, dostał ją Mars. Albowiem odkrycia pierwszego artefaktu Obcych dokonał marsjański statek zwiadowczy Kettleman. I dlatego Mars został właścicielem Tunelu Czasoprzestrzennego #1 w świetle raczkującego prawa kosmicznego, w dużej mierze opierającego się na dawnym prawie morskim. Głośne protesty nie na wiele się zdały w sądzie, konkretniejszych działań zaś nikt nie odważył się podjąć. Równowaga polityczna była nazbyt krucha, a zresztą nikt nie chciał ryzykować zniszczenia tak cennego tunelu w zamian za wątpliwą szansę na jego przejęcie. W gruncie rzeczy Mars okazał się nie najgorszym opiekunem bramy do gwiazd - nie był ani nazbyt potężny, ani nazbyt słaby, nie przejawiał

ciągot izolacjonistycznych ani chęci zawierania silnych sojuszy. Poza tym Ziemia po serii kryzysów ekologicznych nie mogła sobie pozwolić na budowę kosmicznych miast, w których posiadaniu Mars już się znajdował. Zatem wszelkie początkowe zastrzeżenia dość szybko wygasły i wszyscy pogodzili się z faktem, że właśnie Mars jest właścicielem Tunelu Czasoprzestrzennego #1.

Pierwsze lata usiane były sukcesami i katastrofami. Eksperymenty wykazały, że statek kosmiczny - bądź jakkolwiek inny przedmiot - umieszczony w tunelu czasoprzestrzennym po raz pierwszy, przenosił się tam, gdzie udał się jego bezpośredni poprzednik. Natomiast statek kosmiczny, który skorzystał z tunelu w jedną stronę i potem chciał wrócić, automatycznie przenosił się do punktu wyjścia bez względu na to, ile innych statków go poprzedzało. Jakimś sposobem - co było najczęściej używanym przez ludzi wyrażeniem, gdy przychodziło do opisywania technologii tuneli

czasoprzestrzennych - „zapamiętywał” miejsce, w którym dany statek rozpoczął podróż. Jako że większość systemów gwiazdnych miała trzy albo nawet cztery tunele czasoprzestrzenne, nieraz zgrupowane blisko siebie, tworzyły one skomplikowaną, aczkolwiek usystematyzowaną i dającą się opisać mapami sieć widocznych wrót i niewidocznych korytarzy: kosmiczną wersję planszy do gry w węże i drabiny.

Wszystkie tunele prowadziły do układów planetarnych, z których tylko nieznaczna część była zamieszkana. Rozwinęły się nowe dziedziny nauki, takie jak ksenobiologia, oraz sztuki, takie jak holokino. Kręcono filmy pod obcym niebem, różowym albo żółtym. Pojawili się kosmiczni awanturnicy i przestrzenni poszukiwacze skarbów. Myśliciele zwracali uwagę na fakt, że ludzkość nie jest gotowa na kolonizację wszechświata, skoro nie uporała się jeszcze z problemami na własnym podwórku. Nikt ich jednak nie słuchał. Przemysłowcy wzbogacali się dzięki nowym inwestycjom, biedacy pozostali ubodzy, Ziemią targała jedna po drugiej katastrofa ekologiczna. Gdy minęły pierwsze niebezpieczne lata, pozasłoneczne destynacje stały się modne wśród tych, którym nie brakowało środków. Pieniądze popłynęły szerokim strumieniem w kosmos. Bywanie we wszechświecie oznaczało prestiż i zysk.

Mars, dotychczas jedyna z ziemskich kolonii pozostająca w wiecznym cieniu Ziemi, stał się centrum podróży międzygwiazdnych. Każdy statek kosmiczny, który udawał się do gwiazd, musiał przejść kontrolę w marsjańskich posterunkach wojskowych i administracyjnych. Mars zdobył władzę w dotąd niepewnym Sojuszu Solarnym, teraz istniejącym z woli nowej potęgi. Można było albo ukorzyć się przed jego majestatem, albo pozostać na zawsze na starych śmieciach.

Ukorzyli się: Luna i Pas, Hegemonia Konfucjańska i Liga Arabska, Io i Tytan, a nawet Federacja Atlantycka, z której wywodziła się Syree, nacja o długiej i bogatej historii, stawiająca na wolność i niezależność. Ci, którzy doprowadzili do ukorzenia Runnymede, Bunker Hill i Place de la Concorde, nieraz tego żałowali. No i dobrze, podsumowała w duchu pułkownik Johnson. Żołnierskie wychowanie podpowiadało jej, że potrzebne jest prawo, zasady i hierarchia.

Syree Johnson urodziła się w tym samym roku, w którym pierwszy statek kosmiczny wszedł w Tunel Czasoprzestrzenny #1. Miała trzy lata, gdy odkryto pierwszą pozaziemską cywilizację, człekokształtne istoty żyjące w epoce kamienia łupanego na planecie, którą ktoś z dezynwolturą nazwał Gracjarnią. Syree nawet jako dziecko nie znajdowała pobłażania dla leni i cudaków. Dorastała na terenie Federacji Atlantyckiej, w rodzinie wojskowych od pięciu pokoleń.

James L. Johnson, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku, zginął w Bośni dwa tygodnie po narodzinach syna, którego nigdy nie ujrzał. Syn ów, Brian James Johnson, uczynił z nieznanego ojca idola i zdał do akademii West Point, którą ukończył w dwa tysiące dwudziestym pierwszym roku. Dwie z czterech jego córek poszły w ślady dziada i ojca. Catherine poległa na polu chwały. Emily James Johnson, nieugięta babka Syree, awansowała do stopnia generalskiego i z dumą nosiła swoje dwie gwiazdki. Jej syn, Tam Johnson, również studiował w West Point, lecz zanim Syree ukończyła osiemnasty rok życia, sytuacja uległa zmianie. Alma mater rodziny Johnsonów stała się filią Akademii Wojskowej Sojuszu Solarnego z siedzibą na Marsie i służyła za centrum szkoleniowe w warunkach podwyższonej grawitacji.

Marsjanie pierwsi doszli do wniosku, że skoro tunele czasoprzestrzenne działają w obie strony, nie

wszystkie obce cywilizacje, na jakie natknie się ludzkość, muszą żyć wciąż w erze przedatomowej.

Fallerów odkryto w tym samym roku, w którym Syree otrzymała doktorat z fizyki i pagony podporucznika. Oni także, podobnie jak ludzie, mieli w zasięgu ręki wrota do systemu tuneli czasoprzestrzennych. Z tym że nie znali przeznaczenia satelity najodleglejszej planety w ich układzie, matowego artefaktu o wysokim albedo, do czasu pojawienia się tam ludzi.

Podobnie jak ludzie przed ćwierćwieczem, Fallerowie sięgnęli gwiazd. Zachowywali się jednak tak, jakby nadal byli sami we wszechświecie. Nie wdawali się w handel, nie próbowali negocjować, nie komunikowali się nawet. Zasiedlili kilka planet i zabronili ludziom wstępu na nie.

Syree była już kapitanem, gdy Fallerowie napadli na Kraniec, ludzką kolonię oddaloną od macierzystego systemu gwiazdowego Obcych o cztery tunele czasoprzestrzenne.

Nikt nie wiedział, dlaczego to zrobili. Wszelkie próby nawiązania kontaktu z nimi zakończyły się niepowodzeniem. Mimo że byli opartymi na węglu istotami człękkształtnymi, wiele wskazywało na to, iż nie powstałi z tego samego nasienia co reszta myślących i czujących istot w Galaktyce. Jako efekt niezależnej ewolucji zdawali się ludziom dziwni i groźni. W

tamtej kampanii Mars przewodził jednostkom Rady Obrony Sojuszu Solarnego, korzystając z prerogatyw, które niejeden człowiek uważał za bardziej niebezpieczne niż wrody Obcy.

Syree nie zaprzętała sobie głowy niuansami politycznymi ani społecznymi zmianami wymuszonymi przez obecność Fallerów. Była żołnierzem. Interesowało ją wyłącznie to, że wróg nie nawiązał kontaktu z przedstawicielami ludzkości, wybierając otwartą wojnę.

Rada Obrony Sojuszu Solarnego odpowiedziała atakiem na rodzimy układ planetarny Fallerów, a konkretnie na drugi księżyc czwartej planety systemu.

Syree Johnson wyróżniła się w trakcie kolejnych potyczek, zbierając pochwały za błyskotliwe rozpracowanie przechwyconej broni Obcych, i wykazała się odwagą na polu walki, gdy po jednej z bitew pozostała jedynym ocalałym oficerem dowodzącym. Kiedy Fallerowie napadli na Boliwara, nową kolonię górniczą na Vista Linda, planecie o dużej grawitacji, Syree stoczyła swoją ostatnią bitwę. Straciła nogę, uciętą w kolanie przez promień lasera, i medroboty ledwie zdążyły ściągnąć ją z przestrzeni, zanim wykrwawiła się na śmierć.

Oczywiście wyhodowano dla niej zastępczą kończynę, wykorzystując jej własne komórki narastające na rozpuszczalnym polimerowym rusztowaniu. Noga była gotowa w ciągu paru tygodni dzięki nowatorskiej metodzie hodowania na pozbawionym skóry grzbiecie sparaliżowanego całkowicie wilczura, któremu drogą manipulacji genetycznej dezaktywowano układ immunologiczny. I tu był pies pogrzebany. Syree nie potrafiła wyrzucić tego obrazu sprzed oczu. Wkrótce stwierdziła, że nie umie stanąć całym ciężarem ciała na swojej nowej lewej nodze. Nie pomagała rehabilitacja - ani fizyczna, ani behawioralna, ani słowna, ani neurofarmaceutyczna. Syree nie była w stanie używać nogi jak własnej.

Niezwykle ją martwiła ta słabość, gdyż tak właśnie postrzegała swoją reakcję.

Kuśtykając, przy każdym kroku słyszała bezwzględna maksymę babki Emily: „Ktoś, kto nie potrafi wziąć się w garść, nie jest prawdziwym Johnsonem!”. Postanowiła przejść rehabilitację po raz drugi, ponownie poniosła porażkę i w końcu odeszła z armii po dwudziestu jeden latach czynnej służby.

Nie czuła się dobrze na emeryturze. Uważała nudę za klęskę moralną, za znak, że jej umysł nie jest zbyt dojrzały, by miał się czym zająć w okresie bezczynności. Dlatego z uporem czytała czasopisma naukowe z dziedziny fizyki, traktując jako hobby historię teorii tuneli czasoprzestrzennych.

A ta była krótka.

Mimo upływu ponad pięćdziesięciu lat nauka nadal nie wiedziała prawie nic o zasadzie działania tuneli czasoprzestrzennych. Będące ich wrotami obiekty orbitalne, w większości przypominające kształtem dobrze wyrośnięty pączek, nigdy nie zostały spenetrowane. Technologia zdawała się nazbyt obca, aby można ją badać dostępnymi narzędziami. Najsensowniejsza teoria mówiła, że obiekty będące wrotami powodują splątanie w świecie makro, analogiczne do stanu splątania na poziomie kwantowym, który umożliwia oddziaływanie jednej cząstki na drugą bez względu na dzielącą je odległość, tym samym likwidując wymiary wszechświata i sprowadzając czasoprzestrzeń do jednego punktu. Ale była to tylko teoria. Osiągnięcie; stanu splątania w wypadku przedmiotów wielkości statku kosmicznego - pozostawiając na boku kwestię kontroli tego procesu - pogwałcało tyle obowiązujących zasad fizyki, że utarczki na łamach czasopism naukowych przypominały raczej wojny gangów. Syree całymi dniami śledziła ognistą wymianę zdań, dokonywała własnych obliczeń i naciągała fakty, ocierając się o spekulacje.

Wykładała na akademii wojskowej.

Bezskutecznie próbowała dalszej rehabilitacji.

Usiłowała się zainteresować ogrodnictwem.

Każdego dłużącego się dnia przy każdym kolejnym niepewnym kroku była boleśnie świadoma, że połowę życia ma już za sobą.

Kiedy przyszło wezwanie na misję Zeusa, uświadomiła sobie, że dowództwo doceniło nie tylko jej wiedzę na temat tuneli czasoprzestrzennych, ale również status emerytowanego oficera. Krążyły plotki, że Fallerowie mają informatorów wśród ludzi, werbowanych na Ziemi i poza nią, w miejscach, gdzie panuje niezadowolenie z Sojuszu Solarnego pod przywództwem Marsa. Emerytowana pułkownik Syree Johnson, dołączona do ostatniej wyprawy badawczej, nie powinna wzbudzić niczyjej uwagi. Tymczasem ona jak nikt inny orientowała się, w jaki sposób rozpracowano Tunel Czasoprzestrzenny #1, jak go rozszyfrowano i użyto po raz pierwszy. Była gotowa uczynić to samo w wypadku obiektu orbitalnego numer 7.

Tego, który w dalszym ciągu powiększał się na ekranach wahadłowca kierowanego pewną ręką Austena. Milczący, zimny, kuszący.

- Wejdz na orbitę - poleciała.

- Wchodzę na orbitę.

Podczas gdy Austen wprowadzał prom na orbitę odległą o pięćdziesiąt metrów od powierzchni artefaktu, Syree przypięła hełm i po raz ostatni sprawdziła skafander szczególną uwagę poświęcając pierścieniom mocującym. Następnie podniosła torbę z narzędziami.

- Opuszczam statek, kapitanie.

- Powodzenia, pani pułkownik. - Dowódca wahadłowca obdarzył ją lekceważącym uśmiechem i zasalutował niedbale.

Na zewnątrz silniczki odrzutowe zaniósł Syree do obiektu orbitalnego numer 7.

Zaczęła unosić się wokół niego, dotykając od czasu do czasu powierzchni. Na równiku zauważyła faliste wgłębienie, którego krawędzie umożliwiały uchwycenie się rękami. Złapała się brzegu szczeliny i jąła obracać wraz ze sztucznym satelitą.

- Próba kontaktu.

- Potwierdzam kontakt.

Syree palcami prawej dłoni przejechała po metalicznej powierzchni. Chociaż od artefaktu oddzielał ją materiał rękawicy skafandra, wyczuła, że to, czego dotyka, przypomina rzadko rozsiane oznaczenia wszystkich tuneli czasoprzestrzennych. Analiza komputerowa miała tylko potwierdzić, że język jest ten sam. Sojusz Solarny był już w posiadaniu odpowiednika kamienia z Rosetty.

Otworzyła torbę z narzędziami. Przed oczy napłynął jej absurdalny obraz: staromodny wiejski lekarz na wizycie domowej u pacjenta. To nie była dobra pora na podobne absurdy; może powinna zwiększyć dawkę contextu wzmacniającego zdolność koncentracji. Na razie po prostu przegoniła niemądre skojarzenie samą siłą woli.

- Rozpaczynam bliższe badanie. Próba odbioru danych.

- Potwierdzam odbiór danych - zgłosił się Austen. - Pani pułkownik, na Świecie właśnie rozpoczyna się ceremonia powitania. Prosiła pani o tę informację.

- Dziękuję. Proszę nagrać ceremonię, zgodnie z wcześniejszymi rozkazami.

- Potwierdzam nagrywanie ceremonii.

Obejrzy nagranie później. Oficjalna wersja głosiła, iż kontakt z tubylcami jest jedynym celem wizyty Zeusa. Cały personel statku musiał śledzić wysłanników na bieżąco, na wypadek gdyby okazała się konieczna interwencja ratunkowa.

Oczywiście nie było takiej możliwości. Syree zapoznała się z raportami zespołu zwiadowczego. Mieszkańcy Świata wciąż pozostawali w fazie przedindustrialnej, nawet rowery wytwarzali ręcznie, na sztuki. Poza tym byli niezwykle przyjaźni, praktycznie nie znali pojęcia wojny. W przeciwnym

razie przedstawiciele nauk społecznych - nauki społeczne, toż to oksymoron! - nie sprowadziliby tam ludzkich dzieci. Na ceremonię powitalną składają się ukłony i przekazywanie sobie kwiatów, a efektem pracy ksenologów będzie jeszcze jedna publikacja upchnięta w jakiejś bibliotece uczelnianej. Nic z tego nie miało znaczenia w porównaniu z ciałem orbitującym pod palcami Syree Johnson Pani pułkownik nie zyskała jeszcze pewności, z czym ma do czynienia, rozumiała jednak, że jej odkrycie może zachwiać równowagą sił pomiędzy Ziemianami i Fallerami, W miarę jak przemieszczała się wokół kuli, pokonując dwanaście i pół kilometra, strumień danych przepływał od jej narzędzi do jednostki centralnej wahadłowca, a stamtąd do komputerów na pokładzie Zeusa. Analiza danych zajmie wiele dni, ale tłumaczenie napisu powinno być gotowe natychmiast. Urządzenia okrętu poradzą sobie z tym w parę minut.

Ledwie skończyła się przesuwając po równiku kuli, Austen już mówił:

- Prośba o połączenie.

- Przekieruj.

Usłyszała głos swego asystenta, majora Johna Ombatu.

- Oznaczenia na obiekcie orbitalnym numer siedem odszyfrowane, pani pułkownik.

Proszą o pozwolenie odczytania.

- Zezwalam.

- Przytaczam przekład według modelu Webbela-Greya. „Nieznane słowo, nieznane słowo, małe zwarte urządzenie przerywnik, nieznane słowo, stop, rosnać, jeden, dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście, trzynaście, siedemnaście, dziewiętnaście”. Koniec przekładu.

Syree skomentowała to następująco:

- I to wszystko, John? Trzy nieznane słowa na siedem, a potem rosący ciąg liczb pierwszych?

- Ci dawni Obcy lubili liczby pierwsze, zwłaszcza jedenastkę. O czym pani doskonale wie.

Oczywiście, że to wiedziała. Tunele czasoprzestrzenne były upstrzone liczbami pierwszymi. Jednakże poza oznaczeniami w linii równika Webbel i Grey nie mieli wiele materiału porównawczego, który mogliby wykorzystać przy tworzeniu swojego modelu.

Syree się domyślała, że słowo „zwarte” wzięło się z tych paru powtarzalnych oznaczeń, którymi dysponowali, będących ostrzeżeniem, że przedmiot o masie większej niż krytyczna nie precyzyjnie się przez tunel.

To akurat okazało się prawdą. Sojusz Solarny utracił Anakondę, krążownik klasy Thor, wraz z dziewięciuset ludźmi na pokładzie. Krążownik zmieścił się - ledwo, ledwo - w Tunelu Czasoprzestrzennym #1, lecz nie w nieznanym polu, które jak podejrzewano, było w nim zamknięte. Pechowy okręt zniknął w potężnej implozji, nie pozostawiając szczątków ani choćby promieniowania

szczętkowego. Liczne doświadczenia dowiodły, że taki sam los spotka każdą rzecz o masie przekraczającej sto tysięcy ton. Marsjańscy fizycy ocenili, że Anakonda miała promień Schwarzschilda, poniżej którego materia zamienia się w czarną dziurę - większy, niż tunel był zdolny pomieścić. Właśnie od tamtej katastrofy ksenologowie umieli tłumaczyć znaki „zwarte” i „przerywnik”.

Syree walczyła z ogarniającym ją rozczarowaniem. Miała nadzieję, że przekład ujawni, iż obiekt orbitalny numer 7 jest rodzajem broni. Nadal nie można było wykluczyć takiej możliwości, ale jej potwierdzenie będzie wymagało znacznie większej liczby danych i mozolnej analizy.

Trzy dni później Syree Johnson nie była ani trochę bliższa rozwiązania zagadki.

Zespół naukowy wykonał każde nieinwazyjne badanie, jakie jej przyszło do głowy: począwszy od oczywistej analizy spektralnej, sonicznej i magnetycznej, a skończywszy na mniej pewnych symulacjach statystycznych. Dane były czytelne. Kłopot polegał na tym, że miała ich za mało.

Artefakt nie emitował promieniowania żadnego typu, nie miał pola magnetycznego ani nie charakteryzował się gradientem temperatury. Jego powłoka, gruba na 0,9765

centymetra, składała się głównie z alotropowej odmiany węgla, przypominającej znane fulereny, aczkolwiek różniącej się od nich nieznacznie. Nie stwierdzono występowania metali ciężkich, w każdym razie niczego o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć. Całość ważyła nieco mniej niż milion ton. Wnętrze zdawało się puste, ale były w nim zawieszane niezidentyfikowane struktury - nie udało się ustalić, jak zawieszane ani na czym, z wyjątkiem tego, że nie miały styczności ze sobą, a ich rozmieszczenie było niezwykle skomplikowane.

W dodatku struktury te zdawały się pozbawione masy, co już zakrawało na fizyczną niemożliwość. Analizujące ten fenomen komputery podsuwały wizję subtelnej sieci, w której każdy łuk zaginał się wielokrotnie, tworząc coś w rodzaju wielowymiarowego fraktala.

Analiza komputerowa wykazała również istnienie dziwnego atraktora, to jest zbioru, do którego zbiegają trajektorie rozpoczynające się w różnych obszarach, lecz w którym pozornie bliskie sobie punkty z czasem stają się wykładniczo oddalone. Syree obliczyła przestrzeń Hausdorffa sugerowanego fraktala. Wyniosła ona jeden koma dwa, czyli tyle samo, ile w wypadku Galaktyki w stosunku do całego wszechświata, niestety informacje te nie sumowały się w spójną całość. Żadna nie wskazywała jasno, do czego może służyć obiekt orbitalny numer 7.

Aby się tego dowiedzieć, należałoby go aktywować.

- A co będzie, jeśli przy okazji wyleci w powietrze cały system gwiazdny? - zapytał

John Ombatu.

- Nie miałyby tylu różnych ustawień, gdyby był przewidziany do jednorazowego użytku mającego zakończyć się anihilacją.

- No dobrze, a jeśli w powietrze wyleci tylko Świat?
- Mało prawdopodobne, zważywszy na szeroki wachlarz oferowanych możliwości,
- A potrafi go pani w ogóle aktywować? - zapytał ze sceptycyzmem w głosie komandor Peres.
- Nie jestem pewna... - odparła Syree. - Wydaje mi się jednak, że system został

zabezpieczony. Aktywacja odbywa się przy równoczesnym wciśnięciu dwóch punktów, tak aby nie spowodowało jej przypadkowe uderzenie meteoroidu.

Członkowie zespołu milczeli. Syree słyszała własny ciężki oddech. Czekała.

- Moim zdaniem ryzyko jest zbyt duże - stwierdził w końcu Ombatu i pułkownik Johnson dowiedziała się o nim czegoś nowego.

- Zróbmy to - entuzjazmowała się porucznik Lucy Wu. - Wróg niedawno zniszczył

kolonię na Nowym Rzymie, pamiętacie? Sześć tysięcy ofiar. Nie zostało nam za wiele kolonii poza Układem Słonecznym. Jeśli nie podejmiemy ryzyka tutaj, gdzie nie mamy kolonii, narazimy na szwank inne, ważniejsze miejsca.

Syree była tego samego zdania. Czekała jednak na werdykt Daniela Austena i Cantona Lee. Musiała usłyszeć, co myślą członkowie jej zespołu, jacy są naprawdę. Aczkolwiek ostateczną decyzję miał podjąć Peres. Syree była szefem zespołu do zadań specjalnych, ale to on dowodził Zeusem i do niego należało ostatnie słowo w sytuacji, gdy statkowi groziło niebezpieczeństwo.

- Tak - powiedział krótko Lee.

- Tak - powtórzył Austen. - Było nie było, prowadzimy wojnę.

- Zgoda - oznajmił komandor Peres. - Ale korzystając z najniższego ustawienia.

Syree zaczęła wydawać rozkazy.

- Wychodzę o dziewiętnastej zero zero czasu pokładowego. Komandorze Peres, poleci pan Zeusem w stożek cienia planety, aby statek był maksymalnie bezpieczny. Kapitanie Austen, pan będzie pilotem wahadłowca.

Jej ton sugerował, że nie dopuszcza dyskusji. Mówiąc, ani razu nie spojrzała na Johna Ombatu.

Nawet najbardziej zdyscyplinowany umysł potrafił błędzić w warunkach stresu.

Zaprawiona w walce Syree wiedziała o tym. Dlatego nie była zdziwiona, gdy po opuszczeniu

pokładu wahadłowca zaczęła ponownie rozmyślać o swej babce Emily.

Emily James Johnson brała udział w walkach w Afryce, w Ameryce Południowej i wstyd przyznać - podczas Powstania Ruchu Oporu, gdy Stany Zjednoczone przyłączyły się do Federacji Atlantycznej. Za mąż wyszła w późnym wieku, tak więc Syree poznała ją już jako staruszkę. Kruchą, przygarbioną i o skórze pokrytej plamami wątrobowymi, ponieważ zaprzestała terapii kosmetyczno-genetycznej w wieku osiemdziesięciu pięciu lat. A jednak nadal ostrą. Kiedy Syree jako czterolatka dostała napadu dziecięcej hysterii, babka Emily przyrznęła jej dębową laską przez plecy i zagrzmiała: „Ktoś, kto nie potrafi wziąć się w garść, nie jest prawdziwym Johnsonem! Zapamiętaj to sobie!”.

Matka Syree płakała nad czerwonymi pręgami i dała jej ciasteczko. Syree popatrzyła na nią z pogardą. Mając zaledwie cztery latka, wiedziała, że babka słusznie ją skarciła i że jej matka jest za miękka.

Unosząc się w stronę obiektu orbitalnego numer 7, Syree żałowała tamtego pogardliwego spojrzenia sprzed czterdziestu paru lat. Jej matka nie zasługiwała na nie. Nie była żołnierzem; ojciec ożenił się z nią właśnie dla jej miękkości i słodyczy. Syree wciąż miała w pamięci obraz matki trzymającej w smukłych palcach wzgardzone ciasteczko, odrzuconej w pierwszym odruchu przez córkę, dla której tolerancja na zawsze pozostanie najtrudniejszym z wyzwań.

Syree oczyściła umysł ze wspomnień o rodzinie.

Obiekt orbitalny numer 7 znów był w zasięgu jej ręki. Umieściła zdalny przyciskacz na kolistym wzgórku pod falistym oznaczeniem jedyńki. Zaczęła się szybko przemieszczać, czepiając się uchwyty. Falujący napis po drugiej stronie artefaktu nosił identyczne oznaczenia. Ponad dwa tysiące kilometrów pod nią Świat wirował pod chmurami gromadzącymi się nad równikiem. Ciekawe, jak wyglądało to niebo w oczach tubylców, którzy widzieli w podczerwieni, czego nie potrafiła Syree, lecz nie dostrzegali całego spektrum błękitu, tak znajomego dla jej ludzkiego oka.

Jakkolwiek postrzegają otoczenie, niech robią to nadal, kiedy wykonam zadanie, pomyślała, umieszczając drugie zdalne urządzenie.

- Sprzęt zainstalowany - zameldowała.

- Sprzęt zainstalowany - powtórzył Austen z wahadłowca. - Lecę po panią.

- Nie - sprzeciwiła się Syree. - Zamierzam tu zostać.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Pani pułkownik, to niezgodne z planem.

- Mimo to zostanę.

Nie wdawała się w wyjaśnienia; nie powiedziała, że skoro naraża całą planetę cywilów na działanie artefaktu ustawionego na najniższy stopień mocy, sama też powinna ponieść ryzyko. Jeśli Austen tego nie rozumiał, nawet najdłuższe tłumaczenie by go nie przekonało.

- Proszę o pozwolenie na pozostanie w miejscu - odezwał się znów Austen.

- Zezwalam. - Teraz z kolei dowiedziała się czegoś nowego o Danielu Austenie, Czegoś wartościowego. - Proszę się odsunąć o kilkaset metrów, kapitanie. W ten sposób będziemy obserwować zdarzenie z dwóch całkiem różnych perspektyw.

- Potwierdzam zmianę pozycji o pięćset metrów.

Mieli oczywiście do dyspozycji sieć stacjonarnych satelitów mających obserwować aktywację obiektu orbitalnego numer 7. Ale im więcej obserwatorów, tym lepiej, Syree z zadowoleniem przyglądała się zmieniającemu położeniu wahadłowcowi.

- Włączyłem sprzęt nagrywający. Jestem gotowy, pani pułkownik.

- Proszę zachować czujność, kapitanie.

- Zaczynamy tę zabawę! - rzekł Austen głośno, ze śmiechem.

Syree odplynęła od obiektu orbitalnego numer 7. Znalazłszy się w odległości dwudziestu metrów, aktywowała oba zdalne przyciskacze.

Przez długą chwilę nic się nie działo. Artefakt nie zmienił się ani na jotę. Za to nagle zaczął lśnić wahadłowiec. Otaczała go nieziemska poświata, która jaśniała coraz bardziej.

- Austen, co pokazują ekrany? - zapytała Syree.

Odpowiedziała jej cisza.

- Austen. Proszę się zgłosić, kapitanie.

Znów cisza.

- Daniel! Zgłoś się!

Cisza.

Wahadłowiec nadal lśnił. Syree popłynęła w jego stronę. Po stu metrach usłyszała automatyczne ostrzeżenie generowane przez skafander.

- Uwaga! Promieniowanie! Nie zbliżać się! Trzy tysiące radów. Dwa tysiące osiemset radów. Dwa tysiące sześćset radów...

Trzy tysiące radów? I zmniejsza się?... To nie miało sensu.

Liczyło się tylko to, że Daniel Austen w tej chwili umierał. I ona także.

Z tym że nie umarła.

Na pokładzie Zeusa personel medyczny oczyścił ją starannie w środku i na zewnątrz, marszcząc przy tym brwi ze zdziwienia, ponieważ żaden z liczników pokładowych nie wskazywał, by pułkownik Johnson była wystawiona na działanie promieniowania jonizującego. W przeciwieństwie do wahadłowca i kapitana Austena, po którego wysłano roboty. Zabrały mężczyznę i próbki z jednostki, która tymczasem przestała świecić.

Personel medyczny zajął się z równą werwą Austenem, zdając sobie jednak sprawę, że wszelkie zabiegi są z góry skazane na niepowodzenie. Kapitanowi opróżniono żołądek, wetknięto mu rurki czyszczące do przełyku, oskrzeli, odbytu, nosa, uszu, cewki moczowej i nawet pod powieki. Wyszorowano skórę chemikaliami i ogolono włosy zrobiono tracheotomię, ponieważ już wkrótce miał utracić zdolność samodzielnego oddychania.

Podano leki napotne, założono wenflon, podłączono do urządzeń monitorujących, zarówno bezinwazyjnych, jak i inwazyjnych. W trakcie tych czynności Austen prawie się nie odzywał, zdał tylko krótki raport. Wiedział, co się stało.

Nazajutrz dostał nudności. Dawało mu się we znaki owrzodzenie przewodu pokarmowego. Syree Johnson nie cierpiała na żaden z tych objawów.

Cały zespół, nie wyłączając Rafaela Peresa, zgromadził się w jej kwaterze, aby przejrzeć dane. Obecni byli porucznik Wu, major Ombatu i pierwszy mechanik Lee. Stół

zaścielały wykresy i grafy. Syree poprosiła:

- Majorze, proszę podsumować, co wiemy o rezultacie eksperymentu.

Tak to nazywali: eksperymentem. Austen nazwał go udatniej. „Zaczynamy tę zabawę!”. Syree znów usłyszała jego donośny głos, czysty śmiech.

- Rezultatem eksperymentu była fala - zaczął Ombatu z marsem na czole. -

Emitowana bezwzględnie przez obiekt orbitalny numer siedem i poruszająca się z prędkością światła. Podlega ona prawu odwrotnej proporcjonalności, co wiemy z odczytów satelitów obserwacyjnych rozmieszczonych w różnej odległości od obiektu. Fala ta prawdopodobnie spowodowała promieniowanie pierwotne, po którym zostało promieniowanie wtórne. Co ciekawe, tylko niektóre przedmioty odzyskane z wahadłowca uległy napromieniowaniu...

- Jak to? - zdziwił się Peres.

- Mam pewną teorię na ten temat - odezwała się Syree.

Wszyscy na nią spojrzeli. Zdawała sobie sprawę z powagi chwili, ze znaczenia słów, które zaraz wypowie. Wzięła do ręki wyniki badań laboratoryjnych próbek zabranych z wahadłowca.

- Spójrzcie, jakie pierwiastki wchłonęły dawkę promieniowania. Powłoka tytanowa: nie. Platyna w

fiolkach z katalizatorami w systemie podtrzymywania życia: tak. Iryd w naczyniach ciśnieniowych do przetrzymywania próbek gazów: tak. Ołów w sprzączce od paska kapitana Austena: nie. Rtęć: tak. Złoto: tak. Aluminium: nie. Antymon: nie... -

wyliczała. - Nic o masie atomowej poniżej siedemdziesięciu pięciu nie uległo napromieniowaniu podczas przejścia fali.

Lucy Wu zareagowała odruchowo:

- Ołów ma liczbę atomową osiemdziesiąt dwa.

- Ma też wyjątkowo stabilne jądro atomowe. Co przemawia za tym, że fala spowodowała destabilizację atomów, osłabiając energię wiążącą nukleony w jądrze atomowym.

- Ta fala spierdoliła siłę energii wiązania w jądrze atomowym? - wypalił Canton Lee.

- Tak sądzę.

Ombatu zamyślił się na chwilę.

- To by wyjaśniało, dlaczego pułkownik Johnson wyszła z tego bez szwanku. Jej skafander jest wykonany z kompozytu węgla, a jak wiemy, lżejsze atomy nie poddawały się fali, ponieważ siła odpychania elektromagnetycznego pomiędzy protonami nie jest wystarczająca do pokonania zmniejszonej energii wiązania... - Podeszedł do komputera i zaczął wklepywać jakieś równania.

Peres zaś powiedział:

- Zatem kapitan Austen nie złapał dawki promieniowania od fali, tylko od części składowych wahadłowca i znajdujących się na nim przedmiotów, w których ta fala wzbudziła promieniowanie.

Lucy Wu dodała z entuzjazmem:

- A kiedy fala przeszła, jądra atomowe powróciły do stabilnego stanu. Z tym że jest okres przejściowy. To zjawisko nie zachodzi momentalnie ani momentalnie nie zanika.

Wszystko trwa kilka minut.

- Energia wiązania jądra atomowego - powtórzył urzeczony Lee. - To dopiero broń!

Syree wtrąciła:

- Byliśmy świadkami jej użycia przy jedyńce, czyli najmniejszej mocy. Liczby pierwsze wskazują, że ta moc kończy się dopiero na dziewiętnastym poziomie.

- Musimy zabezpieczyć ten obiekt, nim Fallerowie wyczują pismo nosem - oznajmił

nagle Peres.

- To prawda - zgodziła się z nim Syree. - Tylko że jego masa przekracza masę krytyczną tunelu czasoprzestrzennego.

Przyglądała się im, kiedy przetrawiali tę informację. Każdy przedmiot, którego nie udało się przenieść tunelem czasoprzestrzennym z powodu nadmiernej masy, zamieniał się w czarną dziurę. Tak przynajmniej brzmiała hipoteza, gdyż nikt nie zaobserwował tworzenia czarnej dziury w ten sposób i teoretycznie masa nawet największego statku kosmicznego była zbyt mała, aby zamienił się on w czarną dziurę w normalnych warunkach. Eksperymenty potwierdziły jednak, że obiekt o masie przekraczającej sto tysięcy ton nie zdołał się przenieść tunelem czasoprzestrzennym. A rzeczony artefakt ważył ponad dziewięć razy tyle.

Z drugiej strony, zrobiły go te same istoty, które wymyśliły tunele czasoprzestrzenne.

Może to miało jakieś znaczenie?

Może miało, a może nie miało.

Lucy Wu zaproponowała:

- Moglibyśmy go rozebrać i ponownie złożyć po wyjściu z wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #438.

- Pani porucznik, ma pani sugestie, jak to zrobić w bezpieczny sposób? Albo jak to w ogóle zrobić? - zapytał ją Ombatu.

Lucy Wu zarumieniła się i wbiła wzrok w podłogę.

Do rozmowy włączyła się Syree.

- Potrzebujemy więcej danych na temat budowy wewnętrznej tego obiektu. Być może te pozbawione masy zawieszona struktury są połączone modułowo, chociaż naszym zdaniem prawie na pewno powłoka obiektu jest jednolita?

Lee wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, jak można by to sprawdzić, pani pułkownik. Cała konstrukcja jest tak obca...

- Będzie mniej obca, jeśli ją lepiej poznamy.

- Oczywiście, pani pułkownik - bąknął Lee nadal pełen wątpliwości.

Syree Johnson również nie była przekonana do swego pomysłu. Ale nie widziała alternatywy. Przynajmniej na razie.

Trzeciego dnia po wypadku Daniel Austen stracił głos. Wnętrze jego ust, podobnie jak skóra na ogolonej głowie i całym ciele, a nawet gardło pokrywały jątrzące się wrzody.

Czwartego dnia był tak spuchnięty z powodu odmy, że nie mógł się ruszać, i tylko silne środki przeciwbólowe pozwalały mu leżeć na wznak na łóżku i nie wyć. Piątego dnia zmarł.

Wyprawili mu pogrzeb w przestrzeni kosmicznej, odprawivszy skromne nabożeństwo w kaplicy pokładowej dla oficerów i personelu medycznego. Na formularzu osobowym w rubryce „Religia” Austen postawił kreskę. Syree nie skorzystała ze standardowego protokołu ceremonii pogrzebowej dla ateistów. Wysłuchiwała go zbyt wiele razy i wiedziała, jak bardzo jest nijaki. Nie pasował do Austena, rozgadanego, niepokornego, pyszałkowego pana „a niech się zacznie zabawa!”.

Zamiast tego odczytała wiersz Kiplinga, ten, który często cytowała jej babka.

Johnsonowie nie byli wielbicielami poezji, ale babka Emily lubiła Kiplinga. „Żołnierski wierszokleta”, mawiała. Syree stanęła z przodu ciasnej kaplicy, starając się nie odciążać lewej nogi. Przytoczyła słowa poety, tak jak je zapamiętała, wiedząc, że są niekompletne; ale mimo to wystarczające.

Nie ma drugiego takiego jak on, w kawalerii i piechocie, Ani pośród artylerzystów, których znasz,

Dlatego właśnie musiał wyruszyć na wojnę i polec,

Bo taki jest właśnie los najlepszych z nas.

Usobieniem przyjaźni na zawsze dla mnie pozostanie,

Kogoś, kto wypełni po nim pustkę, wciąż będę szukał,

Gdyż oddałbym wszystko, aby móc znów ujrzeć drania,

Chociaż wiem, że nie uda mi się ta sztuka.

Zabierzcie go! Niech idzie tam, gdzie najlepsi spośród nas odchodzą...

Po uroczystości Syree przeszła do małej kabiny obserwacyjnej Zeusa. Na mostku znajdowały się ekrany o dużej rozdzielczości, ona jednak chciała popatrzeć prosto w przestrzeń kosmiczną, a nie na jej cyfrową symulację. W dole wolno obracał się Świat; jego jedyny rozciągający się przy równiku kontynent wyglądał jak szeroki, krzywo założony pas na otyłym brzuchu cywila. Lecz nie na Świat patrzyła. Stała bez ruchu, aż w polu widzenia pojawił się obiekt orbitalny numer 7, który przemknął poniżej Zeusa, świecąc odbitym blaskiem tutejszego słońca. Oczywiście satelity obserwacyjne śledziły jego ruch nieustannie, przekazując na pokład strumień danych, do których pułkownik Johnson miała stały dostęp.

Ona jednak chciała zobaczyć raz jeszcze na własne oczy, co zabiło Daniela Austena.

Obiekt orbitalny numer 7 wyglądał tak samo jak zawsze.

Pierwsze poważne nieporozumienie powstało z powodu kwiatów. Doktor Bazargan spodziewał się czegoś takiego, lecz nawet on był zaskoczony.

Stał z Anną w jej laboratorium - czy raczej w tym, co uchodziło za laboratorium na Świecie. Było to obszerne, przestronne pomieszczenie nieregularnego kształtu z zaokrąglonymi ścianami i licznymi łukowatymi oknami wychodzącymi na ogrody. Wedle ziemskich standardów Świat był przyjazną życiu planetą: żyzną, ciepłą, pozbawioną pór roku, urodzajną. Nie brakowało tu budulca, więc ściany mogły być wymyślnie zakrzywione. Nie brakowało pożywienia, więc stosunkowo mała populacja mogła poświęcać siły i środki na uprawę kwiatów. Nawet ogrody Isfahanu, starożytnego irańskiego miasta, w którym przyszedł na świat Bazargan, nie umywały się do tutejszych.

Aczkolwiek Isfahan i Świat łączyło więcej, niż Bazargan przypuszczał. „Perła Persji” nawet teraz, gdy stała się miastem muzeum, słynęła z łukowatych bram i takich samych okien wychodzących na wymyślne ogrody oraz jasnych ścian (na Świecie były one raczej bladozielone aniżeli białe). Obsypane różowym kwieciami drzewo sadzi rosnące za oknem Anny równie dobrze mogło być kwitnącym drzewem migdałowym na Majdanie Imama.

Zawiłe linie wymalowane na podłodze laboratorium nie odbiegały zbyt od wzorów perskich dywanów i kobierców. I chociaż miejsce pracy irańskiego uzdrowiacza nie byłoby wyposażone w wygięte w parabole ławy robocze ani nakryte kopułowym sklepieniem, Bazarganowi wydawało się nie całkiem obce. A już z całą pewnością nie tak obce jak Argos City na Europie, gdzie odbywał staż doktorancki, badając organizmy żyjące w gorących źródłach pod lodem. Tam ludzie tacy jak on mieszkali w egzotycznym dlań otoczeniu. Tutaj było dokładnie na odwrót.

Na zewnątrz Hadżil Pek Voratur przechadzał się po wspaniałych ogrodach. Do powierzchni Świata docierała podobna ilość energii słonecznej jak do Ziemi, z tym że w przesuniętym spektrum. Ludziom, których narząd wzroku miał pewne zdolności przystosowawcze, krajobraz wydawał się lekko przygaszony, aczkolwiek trudno było sprecyzować, na czym polega różnica. A jednak ogrody Voratura porażały pięknem.

Wszystko - kolory, zapachy, kształty - pozostawało w idealnej równowadze. Nawet owady, które zapylały krzewiące się rośliny, nie zakłócały wszechobecnego spokoju. Nie gryzły ani nie żądliły. Światanie nazywali je „życiodajami”, a Anna Sikorski była nimi zafascynowana.

- Przysiadają mi na ramionach, nogach, wszędzie, tylko nie na głowie, Achmedzie. Na głowie nigdy!

- To fakt?

- Jeszcze niepotwierdzony. Nie zdążyłam przeprowadzić eksperymentów. Ale nie widziałam, by kiedykolwiek przysiadły na głowie Światanina. Ty też to zauważyłeś?

- Nie, na razie nie, ale będę baczniej się przyglądał - obiecał Bazargan, już teraz obserwując miejscową asystentkę przydzieloną przez Hadżila Voratura do pomocy Annie.

Dziewczyna nazywała się Enla Pek Brimmidin. I oczywiście szpiegowała ich. Czego można się było spodziewać.

Kiedy Hadzil Pek Voratur podszedł do wejścia do laboratorium, jego korpulentna sylwetka przesłoniła niemal cały otwór.

- Pek Bazargan! - powiedział z uśmiechem. Wyciągnął rękę z kwiatem gościa o pomarańczowo-żółtych pasiastych płatkach. - Szanuję kwiaty twego serca.

- Pek Voratur! - odparł Bazargan, sięgając po kwiat gościnności z kosza przy wejściu.

- Witaj w kwiatach swego domostwa.

Voratur się zaśmiał. Światanie, o czym zdążył się przekonać Bazargan, przejawiali złożone poczucie humoru. Doceniali żartobliwość, przesadę, ironię. Jedynie satyra społeczna była im obca; satyra taka wymaga dystansu do rodzinnych konwencji, a to było trudne do osiągnięcia w biologicznie monokulturowym społeczeństwie.

- Oby twoje kwiaty rozkwitały wiecznie, Pek Sikorski - zwrócił się Voratur do Anny. -

Właśnie w tej sprawie przychodzę, niestety.

- Nasze kwiaty nie rozkwitają dla was? - zapytał Bazargan.

- Wiecie o tym? - zdziwił się Voratur szczerze lub nie. - Wiecie, że zasadziliśmy nasiona przywiezionych przez was kwiatów, a one nie wzeszły?

- Domyślałem się - odparł wymijająco Bazargan - że taki uzdolniony ogrodnik i zmyślny kupiec nie przepuściłby podobnej okazji.

Voratur poczuł się mile połączony; na Świecie nie było większego komplementu od słów „uzdolniony ogrodnik”. Jednakże z drugiej strony, mógł tylko udawać zadowolenie.

Bazargan był za pan brat z podobną grą emocji, zwyczajną w jego ojczystym Iranie.

Szefa ekspedycji interesowało szczególnie, jak gra Voratura - o ile była to gra - ma się do dzielonej rzeczywistości, która nie dopuszcza wybiegów i podstępów. Jego zdaniem istniały dwie możliwości. Albo wszyscy Światanie mieli świadomość znaczenia pozorów w handlu i nawet nieszczerze wypowiedzi były częścią dzielonej rzeczywistości, albo dopuszczali grę pozorów wyłącznie w obecności Ziemi. Bazargan nie miał wystarczających danych, by to rozstrzygnąć.

Widział jednak, że Anna gorzej od niego odebrała nieszczerłość Voratura. Wychowała się w Ameryce, w jednej z centralnych prowincji, a tam bezpośrednio uważano za największą zaletę.

Tymczasem Voratur dociekał:

- Czy mogę zapytać, dlaczego ziemskie kwiaty nie kwitną dla nas? Czy potrzebna jest im ziemka

gleba?

- Nie - odpowiedział Bazargan. - Nasiona nie kiełkują, gdyż taki był nasz zamiar.

Zostały przez nas potraktowane w specjalny sposób. - Każdy kwiat przywieziony na Świat został wcześniej wysterylizowany za pomocą promieniowania. - Widzisz, Peku Voraturze...

ziemskie kwiaty normalnie nie występują na Świecie. Czy zdarzyło się tutaj kiedyś, że jakaś wyjątkowa silna roślina, powiedzmy pochodząca z leżącej na uboczu wyspy, została przeniesiona w głąb lądu i opanowała kompletnie grządki jakiejś wsi?

- A, już rozumiem - stwierdził Voratur. - Chcecie nas uchronić przed waszymi pięknymi kwiatami.

- Raczej przed nieobliczalnymi skutkami ich rozrostu - poprawił go Bazargan z uśmiechem.

Kupiec nie miał bladego pojęcia, jakie środki ostrożności przedsięwzięto. Członkowie zespołu badawczego zostali odkażeni z zewnątrz i od wewnątrz. Każdy mikroorganizm, którego nie zdołano zastąpić wersją zmodyfikowaną genetycznie, tak aby tracił zdolność do przeżycia poza organizmem człowieka, usunięto. Nikt nie wierzył, że Świat wyjdzie nietknięty z kontaktu z przedstawicielami ludzkości, jednakże postawiono sobie za cel, aby ów dotyk był możliwie delikatny i nie pozostawił śladów.

Voratur zdawał się coś rozważać. W końcu powiedział:

- Pozwolę sobie zaproponować inne rozwiązanie. Dacie nam płodne nasiona swoich najwolniej rosnących i najtrudniejszych w uprawie kwiatów, a ja podejmę się ich hodowli pod szkłem razem z naszymi kwiatami, aby się przekonać, czy nie uczynią naszym roślinom krzywdy. W zamian zaś... - zawiesił znacząco głos.

Teraz Bazargan udał zamyślenie. Wszystko to zostało przewidziane zawczasu.

Genetycy hydroponiczni na pokładzie Zeusa już zmanipulowali genom czerwonej róży, czyniąc z niej odmianę o ograniczonej zdolności konkurencyjnej. A w dodatku taka, która mogła wydać najwyżej trzy pokolenia potomne. W czwartym wbudowany w genom wirus uaktywniał się, powodując, że w zawiązanych nasionach gromadziły się toksyny uniemożliwiające rozwój zalążka. Jednakże o tym Voratur przekona się dopiero za jakiś czas, a do kolejnej rundy negocjacji wiele się może zmienić. Bazargan odpowiedział więc:

- To da się zrobić. Co jednak dostaniemy w zamian?

- A co chciałbyś dostać, Peku Bazarganie?

Anna spojrzała ostro na przełożonego. Doktor Bazargan dobrze wiedział, na czym jej najbardziej zależy.

- Peku Voraturze - rzekł uroczyście - chciałbym w zamian dziesięć minut twojego czasu. W ciągu tych dziesięciu minut nałożymy ci na głowę metalowy kapelusz i nasze urządzenie zrobi zdjęcie twojego

mózgu. To wszystko.

- Zdjęcie mózgu? - zdumiał się Voratur i tym razem Bazargan miał pewność, że nie udaje. Szyjowłosa nastroszyły mu się ze strachu, a grzebienie na czaszce aż się pofałdowały. -

Jak to możliwe? Przecież mózgu nie widać, kryje się głęboko w głowie.

- To prawda - przyznał Bazargan. - Ale nasze urządzenie potrafi zajrzeć w głąb głowy.

Bezboleśnie, bez żadnych skutków ubocznych dla ciebie, a trwa to zaledwie dziesięć minut.

W zamian otrzymasz nasiona kwiatów, jakich Świat jeszcze nie widział

Voratur się wahał. Anna wstrzymała oddech: wykonany na Świecie kompleksowy skan mózgu metodą Lagerfelda mógłby dokonać przełomu w neurobiologii. Bazargan obserwował, jak chciwość kupca walczy z zaściankową nieufnością.

Zwyciężyło jednak zupełnie co innego.

- Dusza zamieszkuje mózg - oświadczył wreszcie Voratur. - Nie mogę ryzykować odsłonięcia swojej duszy przed czymś, czego nie rozumiem. Może gdybyście pozwolili mi najpierw obejrzeć ten metalowy kapelusz albo jeszcze lepiej, gdybyście mi go podarowali...

- Niestety, tego nie możemy zrobić - rzekł Bazargan z żalem w głosie. Nie musiał mówić nic więcej. Voratur był wymarzoną negocjatorem dla każdej wyprawy badawczej.

Jako odnoszący sukcesy kupiec zdawał sobie sprawę z granic szczodrości drugiej strony.

- W takim razie muszę odmówić twojej propozycji i poprosić, abyś wyznaczył inną cenę za swoje nasiona.

- Będę potrzebował na to czasu - stwierdził Bazargan, dając również szansę namysłu rozmówcy. Istniała szansa, że Voratur zmieni zdanie. Aczkolwiek zespół zwiadowczy także spotkał się z odmową w tej sprawie. - A ty być może zasięgniesz rady u sług Pierwszego Kwiatu.

- Być może - nie zaprzeczył Voratur. Nie musiał dodawać, że to by w niczym nie pomogło Ziemianom. Cokolwiek myślał jeden ze Światan, myśleli duchowni. Na tym polegała dzielona rzeczywistość. Po chwili dodał jeszcze: - Powinniśmy dobić targu, Peku Bazarganie. Przybyliście z nami handlować, czyż nie? Wasi poprzednicy zapowiedzieli:

„Wrócimy po gotowy wyrób”.

- Naprawdę? - spytał Bazargan szczerze zdziwiony. Natychmiast jednak nad sobą zapanował. - Tak, oczywiście. Ziemianie są słynnymi w całym wszechświecie kupcami.

- Tak właśnie myśleliśmy - podchwycił Voratur. Spojrzenie jego oczu w mięsistej twarzy nagle się

wystrzyło. - Powiedz mi, Peku Bazarganie, czy koniecznie musicie zrobić zdjęcie mojego mózgu? Czy też zadowolili was, jeśli będzie to ktoś inny?

- Możemy zrobić zdjęcie mózgu któregokolwiek Światanina - potwierdził doktor Bazargan.

Voratur skinął głową, pożegnał się i wyszedł z laboratorium. Czyżby miał na myśli jakiegoś sługę? Oczywiście do zrobienia zdjęcia dojdzie wyłącznie w wypadku, gdy wszyscy: sługa, duchowni i pozostali Światanie, wyrażą na to zgodę. Tak funkcjonował Świat. Ale sługa mógł dostać wystarczającą zapłatę, aby z ochotą podjąć to ryzyko. To także praktykowano na Świecie.

- Sądysz, że się uda? - odezwała się Anna po angielsku. - Skan Lagerfelda to byłoby coś!

- Nie mam pojęcia, czy się zgodzi czy odmówi - odparł Bazargan po światańsku. Nie chciał peszyć miejscowej asystentki Anny, skoro była w pobliżu. Ani też dawać jej powodu do raportowania, że Ziemianie spiskują w nieznanym języku, co równie dobrze mogło być uznane za czary. Duchowni byli znani z pochopnego wyciągania wniosków.

Anna pokiwała głową; zazwyczaj pilnowała się, aby mówić po światańsku, mimo że nie posługiwała się tym językiem tak sprawnie jak Bazargan. Tym razem jednak podniecenie wzięło nad nią górę.

- Zdjęcie mózgu - wymawiała wolno obce słowa - pomoże nam odpowiedzieć na kluczowe pytanie.

- Tak - zgodził się z nią doktor Bazargan.

Rozumiał podniecenie Amerykanki. Dla Anny, która była ksenobiologiem, kluczowe pytanie brzmiało: jakie jest biologiczne podłoże dzielonej rzeczywistości. W przeciwieństwie do szefa ekspedycji czuła pewność, że zasadniczą rolę w tym fenomenie odgrywa biologia, i nawet wysunęła kilka hipotez. Jej zdaniem mógł to być wirus, który podobnie jak w wypadku kiły układu nerwowego atakował jeden konkretny obszar mózgu. Albo coś w rodzaju zespołu Tourette'a, nadmiernego wydzielania neuroprzekaźników w określonym obszarze kory mózgowej. Bądź nawet obecność zmienionych peptydów występujących tylko w warunkach patologicznych, jak na przykład neuropeptyd charakterystyczny dla anoreksji.

Po chwili milczenia dodał:

- Dzielona rzeczywistość to fenomen moralny.

Uczył to tyleż przez wzgląd na Enlę, co na siebie.

Anna ponownie przeszła na angielski.

- Związek pomiędzy wrażliwością czuciową i moralną zawsze jest bardzo skomplikowany.

Doktor Bazargan uśmiechnął się.

- Wiem.

- Miałam na myśli budowę mózgu, korę czołową...

- A ja nie.

Kiedy Anna się roześmiała, jej pociągła zwykle twarz pojaśniała. Kobieta wróciła do pracy i doktor Bazargan miał po raz pierwszy okazję przyjrzeć się uważniej Enli.

Dziewczyna nachylała się nad ławą roboczą, tnąc liście na cieniutkie warstwy, tak jak pokazała jej Anna, która chciała poddać rośliny analizie metodą spektrometrii atomowej.

Bazargan już wcześniej zauważył, że szyjowłosa Światan nigdy nie są na tyle długie, by ukryć wyraz twarzy. Sztywne szyjowłosa Enli sterczały, wargi odsłaniały lekko zęby, a grzebienie czaszkowe falowały. Asystentka była przerażona.

Ale czego się przestraszyła? Wyglądała całkiem inaczej, gdy Bazargan wchodził do laboratorium. Gdyby powodem jej strachu była uwaga Voratura na temat potencjalnego kandydata do skanowania mózgu, byłoby to interesujące. Zakładając, że strach ten nie wynika z zaściankowej obawy przed nieznanym, tylko z czegoś innego... Czyżby Enla coś przed nimi ukrywała?

Lilia wyciąga język jak miecz, gotowa do zwady. Hafiz, czternasty wiek.

Kolejna sprawa do przemyślenia. Ta planeta, z jej skomplikowaną ekologią i jeszcze bardziej skomplikowanym społeczeństwem, była doprawdy fascynującym miejscem. Równie fascynujący zdawali się jej mieszkańcy przejawiający wysublimowane poczucie humoru i niebywałe umiejętności kupieckie. Wyciągali języki jak miecze... Dlatego nie należało im zbyt ufać.

David Allen miał wrażenie, że wrócił do domu. Całe życie szukał miejsca takiego jak Świat.

Zgoda, konieczność przebywania w żłazie izolowała go nieco; widział znacznie więcej dzieci niż dorosłych, zajmował się raczej ząbkowaniem niż rytuałami inicjacji (jeśli takowe w tej kulturze istniały). Ale co z tego? Nawet tutaj znalazł materiał na co najmniej tuzin poważnych artykułów naukowych, a każdy temat był bardziej interesujący od poprzedniego.

Opłacała się też jego smykałka do języków obcych. Mówił po światańsku lepiej niż doktor Bazargan - a w każdym razie z lepszym akcentem - i co wieczór, gdy mieszkańcy żłazu zasypiali, David z trudem nadążał z zapisywaniem wszystkich obserwacji poczynionych za dnia. Kiedy wróci do Princeton, z miejsca zostanie gwiazdą zapalczego światka ksenoantropologii.

Jednakże w Świecie upatrywał czegoś więcej niż odskoczni do kariery akademickiej.

Przecież nie jest, co lubił powtarzać sobie z dumą, aż tak płytki. Świat oferował znacznie więcej niż materiały do artykułów naukowych. Oferował ni mniej, ni więcej, tylko szansę na odnowę ludzkości.

Już samo myślenie o tym zapierało mu dech w piersi. Nocami, leżąc bezsennie w swoim „pokoju” stanowiącym skrzyżowanie sypialni i jadalni, przewracał się z boku na bok na niewygodnym

posłaniu, niezdolny zmrużyć oko. Przez głowę przetaczały mu się setki myśli, rytm serca przyśpieszał. Nie bądź pretensjonalny... Zaczynj lepiej dobierać codzienną Dyscyplinę... Uspokój się... Jednakże te napomnienia nic nie dawały. Nadal czuł, jak w umyśle mu wiruje.

Kluczem do wszystkiego była dzielona rzeczywistość. Na Świecie nie znano wojen.

Co najwyżej miały miejsce sprzeczki o miedzę. Światanie, z którymi rozmawiał, piastunki i drugi guwerner, Kolert Pek Gamolin, mówili o tym, jakby taki stan rzeczy rozumiał się sam przez się. Oczywiście Allen znał raporty zespołu zwiadowczego, ale czym innym było czytać o takim fenomenie, a czym innym widzieć go na własne oczy. Gdy dwie osoby nie były w harmonii, gdy nie miały tych samych wierzeń, opinii i systemu wartości - jednym słowem: światopoglądu - dostawały bólu głowy. I na tym to polegało. Nie sposób bowiem wszcząć wojny, jeśli to wywołuje u agresora potworny ból, a wywołałoby, gdyż napadnięci z pewnością nie podzielaliby zdania, że zabijanie ich jest dobre, agresor zaś musiałby o tym wiedzieć. Czy raczej czuć. W głębi swojego jestestwa. Aż do bólu. Dlatego na Świecie nie dało się planować wojen. I nie planowało się.

Zabójstwa wciąż się zdarzały, oczywiście. Rozwalenie komuś głowy przedmiotem, który akurat znajdował się pod ręką, zajmowało mgnienie oka, czas niewystarczający, by rozwinął się dotkliwy ból. Bolało dopiero potem - być może... chyba tak? Będzie musiał

zapytać o to Kolerta Peka Gamolina. Tak czy inaczej, główne zagadnienie pozostawało otwarte.

Ludzkość może zakończyć erę wojen.

Trzeba tylko odkryć fizjologiczne podłoże dzielonej rzeczywistości, po czym implantować ów gen jako dominujący do ludzkich zarodków. Modyfikowane genetycznie osoby, które by z nich powstały, współpracowałyby w pełni ze sobą w ramach dzielonej rzeczywistości. Na dłuższą metę współpraca sprawdza się lepiej niż agresja; jest wygrywającą strategią ewolucyjną, zwłaszcza jeśli gatunek osiągnął wysoki poziom rozwoju i stworzył

cywilizację techniczną. Osobniki dzielące rzeczywistość przekazywałyby tę cechę swojemu potomstwu, aż wreszcie cała Galaktyka stałaby się takim rajem, jakim Świat jest dzisiaj.

Niestety, Anna twierdziła, że dzielona rzeczywistość nie ma podłoża genetycznego.

Najpierw członkowie zespołu zwiadowczego, a teraz ona bez trudu weszli w posiadanie materiału badawczego do analizy DNA, pochodzącego z włosów, krwi i skóry. Analiza wykazała tylko nieznaczne różnice między genomem ludzkim i światzańskim, obejmujące mniej niż pięć tysięcznych procent. Zdaniem Anny w sam raz, by spowodować różnice w owłosieniu, kształcie czaszki i innych mało znaczących szczegółach. Oczywiście nie dałaby sobie uciąć głowy, że dzielona rzeczywistość kryje się gdzieś w tej różnicy albo w DNA niekodującym, stanowiącym niebagatelną część genomu obu ras. Taka pewność wymagałaby lat eksperymentów przy wykorzystaniu sprzętu, o jakim mogła tylko marzyć. Mimo to była przekonana, że dzielona rzeczywistość nie wynika z genów. Przecież Światanie byli tak podobni do ludzi, że - przynajmniej w teorii - mogli się z nimi krzyżować, wydając płodne potomstwo. Różnice między obu rasami były naprawdę powierzchowne, do tego stopnia, że Światan i Ziemiian uznano za jak dotąd najbliższych we wszechświecie kuzynów, których

w zamierzonej przeszłości coś rozdzieliło o lata świetlne, David z kolei upierał się, że bez dalszych badań nie można mieć całkowitej pewności. Powtarzał to tak często, że nawet zazwyczaj cierpliwa Anna wybuchnęła w końcu: „Nie! Nie możemy mieć całkowitej pewności, że to nie kwestia genetyki. A jeśli to jednak jest kwestia genetyki, istnieje teoretyczna szansa na zmodyfikowanie ludzkiego genomu! Ale teraz daj mi już spokój!”.

Koniec wojen... I pokojowe spożytkowanie środków dotychczas łożonych na działania wojenne. Wydanie ich na dobre cele: naukę, miłość i wychowywanie dzieci... Nie można przecież zapominać, że nadal siedemnaście procent ziemskich dzieci umiera od chorób, głodu albo z powodu brutalności dorosłych.

To już się działo, do pewnego stopnia, w wypadku Bonnie i Bena! Bliźnięta zapaliły się do życia na Świecie z takim samym entuzjazmem jak David. Ot, choćby dzisiaj -

raczkując, zbliżyły się do kąta, gdzie czytał bajki sześciolatkom Światanom, by nauczyć je angielskiego. Tutejsze sześciolatki odpowiadały ziemskim trzyipółlatkom, ponieważ rok trwał

tu dwieście trzysta miejscowych dób, z których każda liczyła nieco ponad dwadzieścia sześć standardowych godzin. Ale były tak samo urocze jak ziemskie dzieci, gdy siedziały na płaskich nerkowatych poduszkach, zadzierając łyse główki ku ekranowi z obrazkami i robiąc przy tym z podekscytowania zamaszyste koliste gesty. David opowiadał własną wersję

„Piotrusia królika”. Zresztą nadałaby się każda opowieść, byleby była w niej mowa o kwiatkach.

- ...zatem Piotruś Pek Freb poszedł jeszcze raz do ogrodu Peka McGregora i najadł się kwiatków!

Trzy pary ciemnych oczu rozszerzyły się na taką podłość.

Spokój literackiego kącika zburzyli Bonnie z Benem, próbując niepewnie stanąć na nogach, dwakroć więksi od Nafreta, Uvi i Grenola. Ben zagulgotał i sięgnął rączką do wyrzeźbionego z drewna freba spoczywającego na kolanach Davida. Maluch potknął się i przewrócił na Uvi, łokciem uderzając ją w głowę. Rozległ się suchy trzask, a zaraz po nim szloch dziewczynki.

Ben pomyślał, że to zabawa, i roześmiał się.

Nafret i Grenol natychmiast zaczęli głaskać płaczącą Uvi, pocieszać ją i koić. Słyszac śmiech Bena, Nafret uniósł głowę i zmarszczył grzebień czaszkowy. Przeniósł spojrzenie na Uvi, potem znów popatrzył na Bena i przyłożył rękę do skroni. Dziecięce usteczka wygięły się w podkówkę.

Światański guwerner, Kolert Pek Gamolin, w okamgnieniu przypadł do Nafreta.

Pochylił się nad dzieckiem i zaczął je uważnie oglądać. Nafret wodził wzrokiem od Bena do Uvi; w jego oczach błyszczały łzy. Gamolin zapytał cicho:

- Czy gleba jest dziś dobra, Nafrecie?

- Boli mnie głowa.

Uśmiech rozjaśnił twarz Gamolina - szeroki, pełen ulgi i zadowolenia. Wziął Nafreta na ręce i wyniósł go na zewnątrz, po drodze szczerząc się do Davida. Tymczasem jedna z piastunek posadziła sobie Uvi na kolanach. Dziewczynka przestała już płakać. David przypatrywał się Benowi.

Chłopczyk wydawał się skonfundowany. Gapił się na Uvi, która wciąż dochodziła do siebie na kolanach piastunki. Potem sięgnął po zabawkę, małą miękką chmurkę, którą lubiły się bawić wszystkie dzieci, i niezgrabnie podszedł do małej Światanki. Bez słowa z powagą wyciągnął do niej rękę z chmurką.

David wiedział, że to nie to samo. Ludzkie niemowlęta, ledwie półroczne, często dawały dowody empatii. Słodki gest Bena nie miał jednak tej biologicznej siły, która spowodowała reakcję Nafreta. Tak się również składało, że Bena znacznie łatwiej byłoby odzwyczaić od okazywania współczucia, niż wyrobić je u dziecka całkowicie pozbawionego tego odruchu. Niemniej jest to dowód, pomyślał David Allen. Dowód na to, że ten sam wykształcony w wyniku ewolucji mechanizm obecny w Światanach istnieje także u Ziemiaków, choć w szczątkowej formie. Skoro podstawy były te same, można mieć nadzieję, że inżynieria genetyczna zbliży te dwie spokrewnione rasy.

- Nie, Davidzie - zapewniała go Anna Sikorski, gdy odzyskała już równowagę po awanturze o genetykę. - Dzielona rzeczywistość nie jest strategią logiczną z punktu widzenia ewolucji. To fakt. Przeprowadziłam symulację dwukrotnie, posiłkując się równaniami Dawkinsa, i rezultat pokazał, że taki bezkompromisowy altruizm zawsze Przegra z genetycznie zaprogramowanym egoizmem, który jest po prostu silniejszy.

- A jednak na Świecie nie przegrał - zauważył przytomnie David.

- Wiem - przyznała Anna. Odsunęła z twarzy kosmyk cudownie długich włosów odsłaniając zafrasowaną minę. - Z nieznanymi mi jeszcze powodów nie miała tutaj miejsca rywalizacja między altruizmem a zaprogramowanym genetycznie egoizmem. Przynajmniej jak dotąd. Na każdej innej odkrytej planecie myślące i czujące istoty rywalizują ze sobą. Tutaj dzieje się coś jeszcze, ale nie wiem co. To znaczy na razie nie wiem.

Biolodzy. Przykuci do swoich symulacji komputerowych, do matematyki ewolucyjnej. Ale David już wiedział, co tu się dzieje. Działo się to samo, co pośród najbardziej oświeconych jednostek ludzkich, tych, które podchodziły do Dyscypliny poważnie, uważając za swój moralny obowiązek taki dobór składników, aby mogły osiągnąć pełną równowagę chemiczną mózgu na dany dzień. Neurotechnologia zobowiązywała; stosowanie jej było odpowiedzialnością zarówno wobec siebie, jak i wobec innych, należało więc z całą powagą wzmacniać swój potencjał, tak aby stać się lepszą i efektywniejszą jednostką. Czyż neurotechnologia, inżynieria genetyczna i dzielona rzeczywistość nie są po prostu różnymi odsłonami jednego i tego samego procesu, mianowicie biologicznym narzędziem do stworzenia możliwie najlepszego społeczeństwa?

Owszem. Są.

David również wyszedł na zewnątrz. Nafret i Gamolin spacerowali pośród rabat, wymieniając nazwy różnych kwiatów. Padzaliba, rafiriba, allabeniriba. Na twarzy Gamolina nadal widniał ten sam rozanielony uśmiech. Wreszcie guwerner puścił rękę ucznia, kończąc lekcję, odesłał chłopca do

środka i zwrócił się do Davida.

- To pierwszy znak, jaki dostrzegłem w Nafrecie, Peku Allenie. Muszę szybko powiedzieć o tym Pekowi Voraturowi. Jego syn staje się rzeczywisty.

- Wszystkie kwiaty pachną słodyczą i szczęściem - udzielił zwyczajowej odpowiedzi David. Nie umiał powstrzymać uśmiechu. Radość Gamolina była zaraźliwa. Ale przy tym miał szansę zyskać nowe informacje. - Czy Nafret jest w wieku, w jakim dzieci Światan zazwyczaj stają się rzeczywiste?

- Jest nieco młodszy... - Oczy Gamolina nagle się rozszerzyły. - A co? W jakim wieku zaczynają wasze dzieci?...

- W późniejszym - odparł Allen. Jego obowiązkiem było chronić Bena i Bonnie. -

Około dziewiątych urodzin. - To odpowiadało mniej więcej piątemu rokowi życia na Ziemi.

- Tak późno?

- Owszem. Peku Gamolinie, chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie... Gdyby jakieś tutejsze dziecko okazało się nierzeczywiste, jaka obowiązuje wtedy procedura?

Radosny uśmiech spełził z twarzy Gamolina. Po chwili milczenia odrzekł:

- Staramy się oszczędzić im bólu. Chociaż w przeszłości... ale nasi dalecy przodkowie nie mogli wachać kwiatów, które jeszcze nie urosły, sam rozumiesz. Obecnie podrzyna się gardło. Szybki ruch, bardzo ostry nóż, podczas snu niedziecka. Nie cierpi więc. A co robicie na Ziemi?

David zdołał zachować spokój.

- U nas odbywa się to inaczej. Wykorzystujemy... wykorzystujemy napary. - Nie kłamał. Ziemskim dzieciom cierpiącym na nieuleczalne choroby mózgu podawano opiaty Aczkolwiek nie w celu zadania śmierci. - Pozwolisz, że zapytam, jaki odsetek waszego potomstwa okazuje się niedziećmi?

- Och, niewielki - powiedział Gamolin, odzyskując pogodę ducha. - Właściwie to dziwne, że rodzice tak się niepokoją, skoro szanse są aż tak małe. Zwłaszcza tak bogaci jak Pek Voratur. Oddzielny żłąz dla ich dzieci, które jeszcze nie zostały ogłoszone rzeczywistymi przez duchownych, to naprawdę niemądra praktyka. Przypuszczam, że niebawem rzeczywistość się zmieni i takie żłązy stracą rację bytu. Czy bogaci Ziemianie też je mają?

- Nie.

- Sam więc widzisz. Wasza rzeczywistość wyprzedza naszą. Oczywiście wiedziałem to już wcześniej, zobaczywszy rowery, które Pek Bazargan podarował domostwu. Co to za wspaniałe maszyny! Mój nie ma krzywizny bleriodiby, ale jeździ szybciej niż jakikolwiek rower, który posiadałem.

- Cieszę się, że ci się spodobał - stwierdził David. Nie miał pojęcia, jak wygląda blieriodiba, niemniej tego dnia jego zwyczajowa chęć do poznawania nowych słów nie była tak silna jak zawsze.

- Pójdę już poinformować Peka Voratura o bólu głowy jego syna - rzekł Gamolin. -

Duchowni z pewnością zechcą ustalić datę ceremonii. Oby nasze kwiaty rozkwitły razem ponownie - pożegnał się.

- Oby nasze kwiaty rozkwitły ponownie - odpowiedział grzecznie David.

O ironio, teraz on dostał bólu głowy. Mimo że nie powinien. Był w końcu antropologiem. Wiedział, że każde społeczeństwo ma swoje ciemne strony i że wiele kultur, nawet tak zaawansowanych jak światańska, usuwa kalekie niemowlęta. Nie dało się jednak ukryć, że sześciolatek to nie niemowlę. Ciekawe, czy ludzie także zabijaliby małe dzieci, gdyby ich zmodyfikować drogą inżynierii genetycznej, by dzielili rzeczywistość i odczuwali fizyczny dyskomfort w obecności kogoś nierzeczywistego? Czy taka byłaby cena powszechnego pokoju?

Nie. Z pewnością by do tego nie doszło. Ziemsy genetycy, w przeciwieństwie do światańskiej ewolucji, nie musieli polegać na surowych okrutnych prawach naturalnej selekcji ani ciągnąć losów na loterii genetycznej. Mieli wystarczającą wiedzę, by pogmerać w łańcuchu DNA, obejść boczną furtką problem uszkodzeń mózgu. Istniało spore prawdopodobieństwo, że choroby i mechanizm dzielonej rzeczywistości kodują całkiem inne geny i że to drugie łatwiej będzie modyfikować.

A może w ogóle nie chodzi o genetykę? Może ten fenomen ma podłoże czysto kulturowe? Może to duchowni - ci sami, którzy mają ogłosić małego Nafreta rzeczywistym -

dzierżą władzę nad życiem i śmiercią? Czyż nie to podpowiadała ona ludzkiej cywilizacji?

Zachłanne zakony religijne, pragnące pozostać przy władzy za wszelką cenę, posługiwały się tradycją i mitem, a także posuwały się do gróźb, a nawet zbrodni, byle kontrolować ludzi; wmawiały maluczkiemu, że wszystko, co czynią, jest robione dla dobra ogółu, gdyż to gwarantowało, że nikt nie podważy wyższości stanu duchownego. Jeden z myślicieli sprzed wieków podsumował to krótko i dosadnie: „Religia jest opium ludu”.

Zatem jeśli zabijanie dzieci jest uwarunkowane kulturowo, a nie biologicznie nie ma mowy o zaadoptowaniu tej praktyki w razie manipulacji genetycznej mającej na celu sprokurowanie dzielonej rzeczywistości na Ziemi. Czemu więc on, David Allen, tak się tym przejmuje?

Problem musiał leżeć w nim. Przygasiła go perspektywa pomniejszej trudności, choć powinien raczej tryskać radością z powodu zbliżającego się wielkiego odkrycia. Jutro zmieni skład Dyscypliny. Konsekwencje tego wszystkiego są nazbyt istotne, by mógł sobie pozwolić na podobne mentalne potknięcia.

Niewykluczone, że uratuje ludzkość od niej samej.

Pogwizdując, przemierzał piękne ogrody Peka Voratura i czuł, jak nadzieja rozkwita w nim niczym kwiat.

Rafkit Seloe

Enla stała z nieszczęśliwą miną przed Pekiem Nagredilem w jego małym zagraconym gabinecie w centrum rządowym. Za oknem padał zimny deszcz, obmywając wysokie łuki i zaoblone dziedzińce Rafkit Seloe.

- Pek Brimmidin, Nadzór Rzeczywistości i Pokuty spodziewał się po tobie więcej.

Znacznie więcej - powiedział Pek Nagredil.

- Wiem - przyznała Enla.

- Pełnisz zaszczytną funkcję w domostwie Peka Voratura, jesteś pomocnicą jednej z Ziemianek! Powinnaś mieć naręcza użytecznych informacji. A tymczasem co? Opowiadasz mi, że Ziemianie wydzielają ohydne płyny z nosów. Opróżniają pęcherze średnio sześć koma cztery razy na dobę. Nie uprawiają seksu... co nawiasem mówiąc, nie jest prawdą, o czym wiemy z obserwacji poprzedniej grupy. I jeszcze...

- Powiedziałam tylko, że nie uprawiają seksu jawnie - sprostowała załamana Enla.

Krople deszczu kapały jej z ubrania, szyjowłosek, nawet z dłoni, zbierając się w kałuże na rządowej posadzce.

- Nie przerywaj mi! Opowiadasz mi jeszcze, że Ziemianie zajmują się roślinami i zwierzętami jak jacyś uzdrowiacze. I że być może... być może!... obserwują Światan, kiedy tylko mogą. Że ziemskie dzieci bawią się z dziećmi Peka Voratura przebywającymi w złązie.

Że podarowali Pekowi Voraturowi nasiona rosiby, o czym wie cały Świat!

- Ja...

- Dowiedziałem się od ciebie jedynie, że Pek Bazargan chciał zrobić zdjęcie mózgu w głowie Peka Voratura i że Pek Voratur mu oczywiście odmówił.

- Rozmawiają w swoim dziwnym języku, kiedy są sami - broniła się Enla. - Nawet jeśli podsłuchuję, nic nie rozumiem.

- Lepiej więc naucz się tego języka albo zacznij zwracać baczniejszą uwagę na ich zachowanie. To najżałośniejszy raport z pięciu dekadni, jaki kiedykolwiek widziałem!

- Przykro mi. Ja...

- Powinnaś już dawno mówić w ich języku. Informator przydzielony do poprzedniej grupy Ziemian, który... słuchaj pilnie, Pek Brimmidin, on jest teraz rzeczywisty!... nauczył się go bardzo szybko.

Przynajmniej w stopniu wystarczającym, by podслушать, zrozumieć i przekazać ich słowa: „Wrócimy po gotowy wyrób”. Nie uważasz, że stać cię choć na tyle? W

końcu nie jesteś głupia.

- Ale ja...

- Możesz odejść, Pek Brimmidin.

- Ale...

- Możesz odejść.

Nie życzył jej nawet kolejnych sukcesów. Enla obróciła się na pięcie i ociekając wodą, ruszyła w stronę wyjścia. Usiadła na przemoczonym siodełku swojego roweru i popedałowała z powrotem do Gofkit Jemloe, starając się ignorować lodowaty deszcz.

- Mam prośbę, Pek Sikorski... - zaczęła nieśmiało Enla.

- Tak, Enlo? O co chodzi?

- Nauczysz mnie mówić w swoim języku?

Pek Sikorski zrobiła zdziwioną minę. Enla, dotarłszy do Gofkit Jemloe, wysuszyła się, wypoczęła i z każdą chwilą nabierała pewności siebie. Czyż nie odnosiła sukcesów jako informator w przeszłości? Teraz także zrobi wszystko co tylko możliwe, aby jej się powiodło.

Pek Sikorski zapytała ją:

- Dlaczego chcesz się nauczyć naszego języka?

Ziemianka nie mówiła po światańsku tak dobrze jak Pek Bazargan, a w dodatku miała bardzo silny akcent. Poza tym Enla odniosła wrażenie, że u Pek Sikorski rozwinęła się kwiatozę. Z nosa jej ciekło, oczy miała zaczerwienione i napuchnięte. Właśnie rozpoczynał

się okres kwitnienia trifalitiby - właśnie ona musiała wywołać u Ziemianki kwiatozę. Tabor cierpiał na tę samą przypadłość, palił się ze wstydu, ilekroć koronkowe kwiaty zaczynały kwitnąć... Nie, tylko nie myśl o Taborze,

Co dziwne, Pek Sikorski nie wstydziła się, że ma kwiatozę. Nie chowała się w swojej kwaterze, jak zrobiłaby bogata Światanka, ani nie chodziła ze spuszczoną głową, w pokutniczej pozie, jak robili zwykli Światanie, nie składała nawet rytualnych przeprosin przy grzędce trifalitiby, tłumacząc się z tego, że nie potrafi docenić tak wspaniałego daru. Nie do pomyślenia było, że nie zaplotła też szyjowłósów to znaczy włosów na głowie - w pokutne warkocze. Jej włosy wyglądały tak samo zawsze, z tym że dzisiaj były spięte na czubku głowy w lśniący węzeł.

Enla odpowiedziała:

- Chcę się nauczyć waszego języka, ponieważ lubię poznawać nowe rzeczy.

Zaledwie wczoraj Pek Sikorski pochwaliła ją za staranne pocięcie martwego robaka na próbki do dziwnej ziemskiej maszyny, którą nazywała „sekwencjonerem genów”- W

laboratorium stało ich kilka, wszystkie były metalowymi zaspawanymi skrzynkami, które połykały kawałki martwych organizmów i nigdy nie oddawały ich z powrotem.

Pek Sikorski uśmiechnęła się, kichnęła i wytarła nos. Nawet nie uczyniła gestu pokuty.

- Dobrze, Enlo. Z przyjemnością będę cię uczyć naszego języka. Możemy zacząć już teraz?

- O, tak - powiedziała prędko Enla, nie mogąc uwierzyć, że ta kobieta naprawdę nie przejmuje się tym, iż obraża kwiat. Co jest nie tak z Ziemianami?

- Zaczniemy od nazw rzeczy znajdujących się w tym pomieszczeniu. To jest stół.

- Stół - powtórzyła Enla, smakując dziwne słowo.

Między oczami poczuła nacisk, jakby ktoś przyłożył jej tam świder, ale że brała tak wiele rządowych pigułek, ból był niewielki i jakby odległy. Nie dało się inaczej z tymi okropnymi Ziemianami. Chociaż Enla nie miała prawie niczego konkretnego do zaraportowania Pekowi Nagredilowi, przepełniały ją wrażenia.

- Podłoga - mówiła dalej Pek Sikorski, schylając się, by dotknąć podłoga. Ponownie kichnęła i nawet nie skłoniła głowy.

- Podłoga, podłoga, podłoga - powtarzała Enla, nie patrząc na Ziemiankę.

- Ściana.

- Ściana, ściana, ściana. Podłoga, podłoga, podłoga. Stół, stół, stół.

- Doskonale. A teraz słowo bardzo dla was ważne: kwiat. - I Pek Sikorski na oczach Enli dotknęła kwiatu trifalitiby, mimo że cierpiała na kwiatozę!

Enli zrobiło się niedobrze. Zatem Ziemianie jednak nie są rzeczywisci. Nikt rzeczywisty nie popełniłby takiego świętokradztwa. Pek Sikorski powinna krzyknąć z bólu, zwijać się na podłodze... tymczasem nic takiego się nie działo. Jakby nigdy nic przywitała Peka Bazargana, który właśnie wszedł.

- Dzień dobry, Anno, Enlo... Oby wasze ogrody zawsze rozkwitały. Anno, nie wyglądasz za dobrze. Co to, alergia? - Ostatnie słowo wypowiedział w ich języku.

- Tak, chyba tak - odparła Pek Sikorski żałośnie, posługując się światańskim.

Jeszcze nie zdążyłam zażyć antyhistaminy. Enla poprosiła, żebym ją uczyła naszego języka, więc zaczęliśmy od razu lekcję.

- Ach tak... - Pek Bazargan uśmiechnął się miło do Enli. - Niech kwiaty tego dzieła rozkwitną. Anno - zwrócił się do Ziemiarki - natychmiast zażyj antyhistaminy. - Ostatnie zdanie było wyraźnie poleceniem.

Pek Sikorski zapytała:

- Chodzi o tabu? - Jeszcze jedno dziwne słowo.

- Właśnie.

- Przepraszam was na chwilę - rzuciła Pek Sikorski i wyszła z laboratorium.

Pek Bazargan podszedł do stołu, przy którym pracowała Enla, i przyjrzał się rezultatowi jej wysiłków.

- Świetnie sobie radzisz, Enlo. Jestem pewien, że Anna docenia twoją pomoc.

- Dziękuję - odparła Enla.

- Widziałem cię wczoraj jadącą na rowerze w deszczu. Musiałaś strasznie zmoknąć.

- To prawda - potwierdziła Enla ostrożnie. Zastanawiała się przy tym, czy jakimś sposobem mógł wiedzieć, gdzie wczoraj była. Czy i on jest informatorem?

- Jeśli pozwolisz, chciałbym ci zadać pewne pytanie. Twój rower, podobnie jak rowery innych osób, jest zabezpieczony kłódką. Jak wiadomo, dzielona rzeczywistość zmienia się z czasem, a to zagadnienie bardzo mnie interesuje. Moje pytanie może ci się wydać dziwaczne, ale pamiętaj, proszę, że dzielona rzeczywistość zdążyła zmienić się na Ziemi i jest nieco inna niż na Świecie. Dlaczego zabezpieczacie rowery kłódkami, skoro kradzież to niewątpliwe pogwałcenie dzielonej rzeczywistości?!

Enla nie przerwała krojenia kolejnego martwego robaka. Nareszcie. Nawet Pek Nagredil będzie musiał przyznać, że to ważna informacja. Dzielona rzeczywistość zmieniała się z czasem, lecz nie aż tak bardzo, by utracono wiedzę o sprawach tak podstawowych. Pek Bazargan, zadając to pytanie, udowodnił, że sam jest nierzeczywisty. Gdyby zapytał o to samo kogoś, kto nie zażywał rządowych pigułek uwolniona w ten sposób nierzeczywistość spowodowałaby potworny ból głowy... On jednak zwrócił się z tym pytaniem do Enli. Czy powinna udawać cierpienie?! Nie, nawet nie zauważy różnicy.

Odpowiedziała tak cicho, jak tylko pozwalało jej walące serce:

- Kradzież nie pogwałca dzielonej rzeczywistości. Zawsze będziemy brali sobie rzeczy, które zobaczymy i zechcemy mieć, bo jeszcze ich nie mamy. Taka jest natura Światan i wszyscy o tym wiedzą. To należy do dzielonej rzeczywistości.

- Aha - stwierdził krótko Pek Bazargan i w jego obcych jasnych oczach pojawiło się coś, co nie spodobało się Enli.

Czy to możliwe, że znał odpowiedź na swoje pytanie, zanim je zadał? Że zapytał o to, o co zapytał, nie po to, by poznać odpowiedź, lecz po to, by sprawdzić, czy Enla zdoła jej udzielić bez grymasu bólu? Czyżby już podejrzewał, kim ona jest?

Enłę zalała fala paniki. Jeśli tak było, jeśli wiedziano, że jest informatorem jeśli zawiodła... Starła się opanować, nie dawać niczego po sobie poznać, gdy Pek Bazargan przyglądał się jej obcymi oczami. Poczwała ulgę, dopiero jak wróciła Sikorski.

Tylko że Pek Sikorski już nie kichała, nie miała zaczerwienionych ani napuchniętych oczu!

To niemożliwe. Koronkowe kwiaty trifalitiby nadal stały na ławie. Wokół roztaczał

się ich zapach; w ogrodzie nieopodal stawu rosła ich cała grządka. Trifalitiba miała kwitnąć przez kolejne dwa dekadnie, co najmniej tyle cierpiał każdego roku Tabor, co dzień pogrążając się coraz głębiej w katuszach i pokucie. Tymczasem Pek Sikorski w cudowny sposób nagle wyleczyła się z kwiatyzy.

„Jeszcze nie zdążyłam zażyć antyhistaminy”...

Znali napar, który leczył z kwiatyzy, podobnie jak rządowe pigułki leczyły ból głowy.

Enla pochwyciła pewnie skalpel. A jednak jest dobrym informatorem. Zdobyła wyjątkowo istotną informację dla Peka Nagredila, z którym spotka się w przyszłym dekadniu.

Nie wspominając o tym, że ma też coś do przekazania Pekowi Voraturowi.

- Zatem - zagaiła Pek Sikorski - możemy kontynuować lekcję, Enlo?

Enla Pek Brimmidin skinęła głową.

- Jesteś pewna? - zapytał Pek Voratur. - Całkowicie pewna?

- Tak - potwierdziła Enla. - Widziałam to na własne oczy. Cierpiała na kwiatozę z powodu trifalitiby, potem wzięła antyhistaminę i objawy ustąpiły jak ręką odjął.

Pek Voratur wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Enla czekała.

Prywatne kwatery Peka Voratura były wspanialsze niż jakiekolwiek pomieszczenie, w którym dotąd była. Woskowane kwiaty pokrywały gęsto ściany, ich różnorodne kolory, przyćmione ręką artysty, zbladły do harmonijnego piękna. Zakończone łukami okna wychodziły na prywatny ogród, w którym rosły padzalıby, sadzıby oraz niezwykle rzadkie anitalıby. Na posadzce leżał gruby dywan z wyspy Seuril, złocisty jak trawa, z jedną nieprzerwaną falistą linią utkaną z czarnej nici. Posłania

oczywiście nie było - zostało usunięte - ale na niskim obłym stoliku pozostawiono zastawę śniadaniową w postaci misek z ciemnego olejowanego drewna i ciężkiego dzbana zdobionego złotem, obok którego spoczywały pisma urzędowe, rzucające się z daleka w oczy dzięki okrągłemu kształtowi.

Pod południową ścianą stał kwietny ołtarz, najcudowniejszy, jaki było dane ujrzeć Enli. Żyjącemu drzewu pozwolono narastać zamaszystymi miękkimi liniami przez bardzo długi czas, a potem ścięto je, wypolerowano i udekorowano dwoma srebrnymi wazonami.

Umieszczono w nich bukiety dla uczczenia Pierwszego Kwiatu, tego idealnego, który rozwinął się z Obriego, tworząc Świat. Pomiędzy wazonami leżał też kwiat ku pamięci przodków Peka Voratura i on także był najwspanialszy ze swojego rodzaju. Cienkie szkło, dmuchane i uformowane w zawile rurki przez które przepływał rtęciowoczerwony płyn, przyzywało duszę kwiatów.

Enla odwróciła wzrok. Dopóki nie stanie się znów rzeczywista, kwietne ołtarze nie są dla niej. Zwłaszcza nie dla niej. Co do Tabora...

Pek Voratur odwrócił się do niej.

- Pójdziemy teraz spotkać się z Pekiem Bazarganem.

- My? - zdumiała się Enla.

Jednakże po chwili zrozumiała. To nie miało nic wspólnego z informowaniem, tak wyglądał czysty, uczciwy handel. A rzeczywistość musiała być dzielona. Skinęła głową, mając nadzieję, że Pek Voratur nie zauważył jej wahania, że nie zorientował się, iż na moment straciła głowę. Przecież z nich dwojga przynajmniej on był rzeczywisty.

- Pójdziemy od razu - dodał i wyjął z kosza przy wejściu kwiat padzaliby, podczas gdy Enla starała się nie patrzeć.

Znaleźli Peka Bazargana w jego prywatnej kwaterze, ustępującej przepychem izbie gospodarza, lecz znacznie przewyższającej urodą pokój, który Enla dzieliła z innymi służącymi. Pek Bazargan miał towarzystwo. Byli z nim: Pek Allen, rzadko opuszczający osobny budynek żłazu, i ten ogromny Ziemianin, Pek Gruber, którego Enla nie widziała ani razu od ceremonii powitania. Wyglądał na brudnego, wymęczonego, ale bardzo szczęśliwego.

Najwyraźniej dopiero dołączył do tamtych dwóch. Plecak niepokojąco kanciastego kształtu przygniatał mu ramiona, wystając nad głowę. Wszyscy trzej stali i zawzięcie o czymś rozprawiali. Enla dosłyszała tylko słowa „góry Neury”.

Pek Bazargan pierwszy dostrzegł zbliżających się Voratura i Enlę i sięgnął po kwiat z kosza przy wejściu.

- Oby twoje ogrody wiecznie kwitły, Peku Voraturze.

- Oby twoje kwiaty cieszyły twoich przodków, Peku Bazarganie. Peku Allenie. Witaj ponownie, Peku

Gruberze.

- Tak, nasz Pek Gruber wrócił z wyprawy.

- Z kamieniami - dodał Pek Voratur i Enla się domyśliła, że w środku aż pęka ze śmiechu. Wszyscy byli zdania, że zainteresowanie Peka Grubera kamieniami jest komiczne.

Pomyśleć tylko: kamienie!

- Ze wspaniałymi kamieniami - przytaknął Pek Gruber. Mówił po światańsku z silnym akcentem, charakterystycznie zniekształcając słowa na podobieństwo mieszkańców gór.

- Kwiaty mego serca radują się z twego powodu - zapewnił go Pek Voratur, nadal roześmiany wewnątrz.

Pek Bazargan uśmiechnął się jako jedyny. Enłę znowu opadły wątpliwość'- Pek Bazargan zdawał się dzielić rzeczywistość w znacznie większym stopniu niż reszta Ziemi.

Czy to możliwe, że pomimo wszystko tylko on jest rzeczywisty. Ale przecież dzieli też rzeczywistość z Pek Sikorski i Pekiem Allenem, a teraz również z Pekiem Gruberem, co znaczy, że jednak nie może być rzeczywisty.

Pek Voratur przemówił:

- Rozmyślałem o tym zdjęciu mojego mózgu. Może znalazłem sposób, aby nasza umowa rozkwitła.

- Jaki to sposób? - zapytał Pek Bazargan, równocześnie wykonując dłonią ledwie zauważalny gest. Enla nawet by go nie dostrzegła, gdyby nie widziała tego samego ruchu już wcześniej, w obecności Pek Sikorski. Znaczył on tyle co: „Milcz. Ja będę mówił”. Jej zdaniem było to bardzo podejrzane.

Pek Voratur zerknął znacząco na poduszki, którymi usiana była podłoga. Pek Bazargan przeprosił i po chwili wszyscy już siedzieli. Nawet Pek Gruber pozbył się niewygodnego plecaka, który stuknął ciężko o posadzkę. No tak, kamienie...

- Moja służąca zostanie z nami - oznajmił Pek Voratur, na co Enla posłusznie usiadła na zaoblonej poduszce nieco z boku. Bazargan poczęstował gości ciasteczkami. Po tej krótkiej przerwie Pek Voratur podjął: - Enla Pek Brimmidin, będąc asystentką Pek Sikorski w jej laboratorium uzdrawiacza, z oczywistych względów spędza wiele czasu z Pek Sikorski.

Obie dzielą codzienną rzeczywistość. Naturalnie Enla dzieli też rzeczywistość z członkami mego domostwa. Dzięki temu usłyszałem o czymś dziwnym... Czy nie jest dzieloną rzeczywistością, że Pek Sikorski cierpi na kwiatozę z powodu pyłków trifalitib, które właśnie się rozwinęły? Jak również to, że zażyła ziemski lek, po którym kwiatozę ustąpiła, mimo że trifalitiba nadal kwitnie?

- Taka jest dzielona rzeczywistość - poświadczył Pek Bazargan.

- I wspomniany lek nazywa się antyhistamina?

- To również należy do dzielonej rzeczywistości.

- Ach - sapnął Pek Voratur. - W takim razie musi to być cenny napar.

Pek Bazargan nic na to nie powiedział.

Pek Voratur natomiast, dotąd pokorny petent, zamienił się w wytrawnego kupca.

- Proponuję, aby rozkwitła między nami umowa i abym to ja został jedynym kupcem handlującym tym naparem. Zdjęcie mojego mózgu za waszą antyhistaminę.

Pek Bazargan zaczął gryźć ciasteczko. Enla uznała, że Ziemianin gra na zwłokę. Ta grupa umiała się targować. Po długiej chwili ciszy Pek Bazargan rzekł:

- Kiedy rozmawialiśmy o tym poprzednio, Peku Voraturze, powiedziałaś, że nie możesz ryzykować odsłonięcia mózgu, siedliska swojej duszy, przed czymś, czego nie rozumiesz. Dlaczego dzielona rzeczywistość nagle się zmieniła?

Błyskawicznie pojął, że popełnił błąd; Enla widziała, że spostrzegł osłupienie Peka Voratura. Odpowiedź należała do dzielonej rzeczywistości, Pek Bazargan powinien ją zatem znać. Osłupienie zniknęło z twarzy Peka Voratura, zastąpiło je cierpienie. Zaczynał się ból głowy.

Pek Bazargan dodał szybko - zbyt szybko dla wyczulonego ucha Enli:

- Wolę to usłyszeć od ciebie, Peku Voraturze. Należy wypowiadać na głos dzieloną rzeczywistość. Taki przynajmniej mamy zwyczaj na Ziemi.

Rysy twarzy Peka Voratura wygładziły się. Enla niemal słyszała jego myśli.

Wypowiadanie na głos dzielonej rzeczywistości i przemilczanie jej to tylko dwie strony tego samego medalu. Mieszczące się w zakresie tego, co rzeczywiste, zwłaszcza dla obytego w świecie kupca, który przywykł naginać rzeczywistość dla swoich potrzeb i którego nie przerażała jakaś tam mała zmiana w dzielonej rzeczywistości. Pek Voratur z pewnością nie czuł już bólu głowy. W przeciwieństwie do niej. Miała wrażenie, że za falochronem wzniesionym z rządowych pigułek zaczyna szaleć sztorm.

- W pierwszych miesiącach życia - odezwał się Pek Voratur takim tonem, jakby recytował opowieść na wioskowym placu - wszyscy jesteśmy dziećmi. Pączkami, nie kwiatami. Pączki są delikatne i wymagają ochrony. Dlatego nie dopuszczamy całej dzielonej rzeczywistości do uszu dzieci, podobnie jak natura nie dopuszcza słońca i deszczu bezpośrednio do rozkwitającego pąka, osłaniając go zieloną pokrywą. W miarę dorostania... -

urwał, żeby się upewnić: - Peku Bazarganie, czy na Ziemi naprawdę dzieli się rzeczywistość, wypowiadając ją na głos, jakby dorośli byli dziećmi w złązie?

- Naprawdę - potwierdził z powagą Pek Bazargan.

- Zatem dobrze. W miarę dorastania dociera do nas coraz więcej dzielonej rzeczywistości. Lecz nawet jako dorośli potrzebujemy ochrony. Albowiem czyż rodzina wieśniaków wymaga, by babinka nosiła ciężary? Nie wymaga. Młodzi silni mężczyźni się mozolą, aby starsze pokolenie miało ciepłą strawę i dach nad głową. Rybak naraża życie, aby jego bliscy mieli co jeść. Góral ryzykuje życie, aby ocalić syna zapuszczającego się w jaskinie Neury. Ryzyko dla wspólnego dobra jest dobre; jest częścią dzielonej rzeczywistości.

Ponownie przerwał i powiódł wzrokiem po słuchaczach.

- Gdyby tysiące, może nawet miliony zostały uwolnione od wstydu kwiatozy, czyż nie byłoby to warte zdjęcia mózgu jednej jedynej osoby? Nawet gdyby nie rozumiała, co to dokładnie oznacza? Dusza zawsze zatriumfuje, gdy w grę wchodzi wspólne dobro, lecz nie zawsze gdy chodzi o zysk. Nic nie cieszy bardziej Pierwszego Kwiatu ani nic nie jest bardziej rzeczywiste niż ryzyko podjęte przez kogoś dla dobra innych. Z wyjątkiem oczywiście sytuacji, kiedy ktoś oddaje życie za kogoś drugiego. To stanowi największą i najświętszą radość Pierwszego Kwiatu, który sam rozkwitł i zmarniał, aby stworzyć Świat. Tak jak chciałeś, Peku Bazarganie wyrzekłem na głos dzieloną rzeczywistość.

Pek Voratur uśmiechnął się, mimo że zdaniem Enli nadal czuł się nieswojo.

Pek Bazargan kiwnął głową.

- Dziękuję, Peku Voraturze. Teraz pozwól, że ofiaruję ci kwiaty wiedzy.

Pek Voratur skinął łaskawie głową, na powrót przyjmując rolę słuchacza i ucznia.

Znowu poczuł pewny grunt pod stopami; nic nie szło mu tak dobrze jak negocjacje kupieckie.

- Świat i Ziemia dzielą rzeczywistość, lecz ich mieszkańcy nie dzielą ciał. Wy macie szyjowłosa, my mamy włosy na głowie. Wy wszyscy macie ciemne oczy, część z nas ma oczy jasne. Wy możecie jeść hanfruty, my nie możemy ich tknąć, gdyż jeśli to zrobimy, zapadamy na zdrowiu.

- Sprawdziłeś to osobiście? - zaniepokoił się Pek Voratur.

- W pewnym sensie - odrzekł Pek Bazargan, a Enla zapytała się w duszy, co to może znaczyć. Zanim zdążyła sobie odpowiedzieć, Pek Bazargan już mówił dalej. - Być może w głębi naszych ciał tkwi więcej takich różnic, a my nie możemy ich zobaczyć. Gdybyśmy zgodzili się udostępnić wam antyhistaminę, wasze ciała mogłyby się ciężko pochorować.

Oczywiście Ziemianie nie chcą przykładać ręki do waszego cierpienia.

- Oby wasze kwiaty rozkwiatały wiecznie - rzekł odruchowo Pek Voratur. Grzebienie na jego czaszce zmarszczyły się lekko.

- Oby twój ogród cieszył twoją duszę - zrewanżował się Pek Bazargan. - Zatem niestety nie możemy ci ofiarować antyhistaminy w zamian za zdjęcie twojego mózgu. Ale gdybyś był zainteresowany rurami na wodę, które nigdy nie rdzewieją, albo...

- Rozważę to - powiedział Pek Voratur raptownie, niegrzecznie, po czym wstał.

- Najpierw jednak będę dzielił rzeczywistość ze sługami Pierwszego Kwiatu.

Chodźmy, Pek Brimmidin.

Podniosła się niezgrabnie na nogi zadziwiona jego brakiem ogłady. Pek Voratur zapomniał nawet o kwiatach pożegnania!

Drobiąc za nim po wielkim dziedzińcu wspaniałego domostwa, Enla zrozumiała powód. Pek Voratur był wściekły. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie, aczkolwiek zorientowała się, że to dla niego nie pierwszozna. Służący, ogrodnicy, nawet goście ze stolicy rzucali jedno spojrzenie na twarz gospodarza i czym prędzej gdzieś znikali, chowali się za trejami bądź ukrywali pod łukiem kamiennego mostka spinającego brzegi dekoracyjnego strumienia.

Znalazłszy się na powrót w prywatnych kwaterach, Pek Voratur obrócił się do Enli.

Jego głos, mimo że opanowany jak zawsze, sprawił, iż zjeżyły się jej szyjowłosa.

- Ukradniesz antyhistaminę z kwatery Pek Sikorski i przyniesiesz ją prosto do mnie.

Jeszcze dziś. Czy dzielimy rzeczywistość, Pek Brimmidin?

- Dzielimy rzeczywistość, Peku Voraturze - wydukała Enla. Następnie dodała z trudem: - Ale jeśli to prawda, że napar może zaszkodzić naszym ciałom...

- Wspólne dobro usprawiedliwia ryzyko! - przypomniał jej Pek Voratur. - Ale żeby ci Ziemianie uzurpowali sobie prawo do decydowania za mnie... za mnie! Enlo... - nagle ton jego głosu zupełnie się zmienił. - Powoli zaczynam się zastanawiać, czy oni są w ogóle rzeczywisci.

Enla zmilczała.

- Oczywiście o tym rozstrzygną słudzy Pierwszego Kwiatu, nie ja - ciągnął Pek Voratur. - Choć nie zazdroszczę im tego zadania!... Tymczasem jednak Ziemianie są gośćmi w moim domu, a ta antyhistamina najwyraźniej jest wystarczająco rzeczywista. Ukradnij ją, jak ci kazałem.

- Ukradnę. Ale... Peku Voraturze... jeśli wolno mi spytać... kto ją wypróbuje?

Nie dodała: ryzykując życie. Ale też nie musiała tego robić.

- Ja sam, oczywiście - odparł Pek Voratur. - Któż by inny?

7

Gofkit Jemloe

- Bardzo się rozłościł - powiedział Dieter Gruber.

Ahmed Bazargan skinął głową. Voratur faktycznie wyglądał na zagniewanego.

Bazargan po raz pierwszy widział Światanina, który się nie uśmiechał - dotąd wszyscy zawsze byli przyjaźni, śliscy jak węgorze, ale ulegli. Tymczasem teraz Pek Voratur zdawał

się dotknięty do żywego. To nie wróżyło niczego dobrego.

- Problemem jest raczej ta dziewczyna, Enla... - poinformował pozostałych dwóch mężczyzn. - Moim zdaniem ona...

David Allen nie pozwolił mu dokończyć.

- Problemem są duchowni! - wybuchnął. - Nie słyszałeś, jak mówił, że najpierw musi się z nimi skonsultować? Duchowni trzymają ten wspaniały lud pod butem, najpewniej po to, by nie stracić władzy!

Bazargan popatrzył na niego chłodno. Młodzieniec gorączkował się o coś rozgrzany do czerwoności, zapalczywy. Najwyraźniej nie był w stanie wdać się w rzeczową dyskusję z pozostałymi członkami zespołu. Ach, ta młodzież. Wiecznie przekonana, że jej teorie wywrócą do góry nogami wszystkie wcześniejsze, i to z pominięciem akademickiej dyscypliny. Wiecznie przekonana, że starsi naukowcy, ci z wyrobionymi nazwiskami, nic tylko szukają okazji, aby przypisać sobie jej zasługi. Młodym brak doświadczenia, by wiedzieć, że wielkie odkrycia zaczynają się nie od wizji, lecz od drobnych anomalii. Od pozornie nieistotnego szczegółu, który nie pasuje do reszty obrazka. Takiego jak w tym wypadku Enla.

- Gdyby nie duchowni - kontynuował Allen z zaczerwienioną gładką twarzą - nikogo nie nazywano by „nierzeczywistym” i w efekcie by nie zabijano. Fizjologiczny fenomen, będący podstawą dzielonej rzeczywistości, nadal by istniał, bóle głowy nadal pełniłyby rolę ograniczników społecznych zachowań, ale byłaby możliwa większa różnorodność myśli, gdyż kontrola by osłabła. To chyba dobrze? Nikt nie musiałby się bać, że...

- Światanie się nie boją - wpadł mu w słowo Bazargan tonem ostrzejszym, niż zamierzał. W Davidzie Allenie było coś, co zaczynało go niepokoić. Coś więcej niż tylko przerośnięte ego i potworna pewność siebie. - Ale chętnie wysłucham twojej teorii w późniejszym czasie. Teraz chciałbym się zapoznać z raportem Dietera. Przebywał w terenie przez dobre kilka miesięcy.

Była to oczywiście przesada, lecz odniosła zamierzony skutek.

- Głównie potwierdziłem fakty zauważone przez zespół zwiadowczy - odezwał się Gruber, ciężko akcentując słowa. Jego niebieskie oczy aż lśniły. Bazargan wiedział z doświadczenia, że gdy podniecenie bierze nad Dieterem górę, zaczyna wtrącać niemieckie słowa. - Ale udało mi się też zapuścić głębiej w góry Neury, na co nasi poprzednicy nie mieli czasu. *Lieber Gott!* To zdumiewające! Skład geologiczny zmienia się raptownie. Góry nie są zbudowane z tego samego materiału co reszta planety. To totalny miszmasz: trochę lekkich skał wulkanicznych, bazaltu, dacytu, pumeksu i obsydianu upstrzonych pierwiastkami promieniotwórczymi o wyjątkowo długim okresie połowicznego rozpadu. I znacznie więcej toru i uranu, niż można by się spodziewać. A to wszystko

wymieszane z twardymi skałami, typowymi dla formacji podmorskich. Przypuszczam, że te góry są pozostałością po ogromnej asteroidzie, która zderzyła się z powierzchnią planety w najwcześniejszej epoce geologicznej.

- Interesujące - stwierdził Bazargan. Widział, że Gruber jeszcze nie skończył i zamierza opowiedzieć wszystko po swoim.

Allen nie wykazał się podobną cierpliwością.

- No i? Co w tym takiego dziwnego?

Gruber całkowicie go zignorował.

- Asteroida prawdopodobnie wpadła do wody nad miejscem, które nazywa się punktem gorąca, to znaczy aktywnym wulkanicznie, z magmą wydostającą się z płaszcza planety. Podwodne uderzenie spowodowało, że pełna gazu wyrzucona skała zamieniła się w pumeks. Który mógł pokryć całe wgłębienie, nie wyłączając asteroidy. Później w wyniku ruchów tektonicznych powstała niecka zamieniła się w góry Neury, nie odrywając się od pierwotnego punktu gorąca. Skała wulkaniczna eroduje szybciej, a że ta sama z siebie była porowata, w efekcie powstały niezliczone jaskinie. Niekończący się ciąg jaskiń z podziemnymi źródłami, kominami, tunelami, którymi płynie lava, i dziwnym promieniowaniem, tak że powstał odrębny podziemny ekosystem z najbardziej zdumiewającymi zmutowanymi kwiatami!

Twarz Anny pojaśniała.

- Ponoć właśnie w tych górach rozwinął się Pierwszy Kwiat - powiedziała. - Na tym zasadza się mit o powstaniu Świata. I dlatego region gór jest zakazanym terenem

- Nie wykluczałbym, że zakaz wprowadzono ze względu na promieniowanie - wtrącił

oschle Bazargan. - Dieterze...

- Dostałem w sumie tylko trzydzieści dwa rady - uspokoił go Gruber. - Przez cały czas miałem na sobie kombinezon. I nikt mnie w nim nie widział, jestem o tym przekonany.

Zresztą to promieniowanie to cud natury, Ahmedzie. W życiu nie spotkałem się z podobnym.

Miejscami woda lub rudy cięższych metali stanowią naturalną tarczę ochronną, tak że w jednej jaskini można czuć się całkowicie bezpiecznym, podczas gdy zaledwie kawałek dalej, obok albo pod spodem, ryzykuje się życie! A tamtejsze nisze ekologiczne! Anna wpadnie na ich widok w ekstazę.

- Jeśli je zobaczy - wtrącił Bazargan. - Na razie ma pełne ręce roboty tutaj.

- No tak. Ale słuchajcie dalej, to jeszcze nie wszystko... W niektórych odsłoniętych skałach znalazłem warstwę gliny, której owszem, można się spodziewać przy uderzeniu sporych rozmiarów asteroidy. Pył wzbija się w powietrze, dociera wszędzie, po czym stopniowo osiada. Mamy coś takiego także na Ziemi po uderzeniu asteroidy sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, w granicy K/T, która...

- Dieterze, oszczędź nam technicznych szczegółów - poprosił Bazargan. - Miej litość.

Gruber wydał z siebie tubalny śmiech zrodzony w głębi trzewi.

- Poniosło mnie trochę, *ja*? Ale spójrzcie tylko...

Wydobył z kieszeni garść pyłu. Pokazywał im go, jakby to były diamenty, na rozłożonych dłoniach, w które wżarł się brud. Spoglądając uważniej, Bazargan wypatrzył

drobinki przypominające szkło pomiędzy wyschniętymi grudkami mułu.

- Kwarc! - ryknął Dieter. - Pod mikroskopem te drobinki wyglądają na popękane i stopione, jakby weszły w kontakt z ogromnym gorącym i ciśnieniem. Takim jak przy zderzeniu z asteroidą!

- Aha - bąknął Bazargan i zaraz chciał zapytać: - A czy... - lecz nie zdołał przerwać Gruberowi, który już wsiadł na swojego konika.

- To swego rodzaju cezura. Skamieniałości znajdujące się pod warstwą gliny i kwarcu różnią się od tych, które występują wyżej.

Anna wciągnęła powietrze.

- Przerwana ewolucja...

- *Ja!* - potwierdził Gruber. - Zderzenie z asteroidą było katastrofą dla Świata: pył

wyrzucony do atmosfery przesłonił słońce, rozszalały się pływy morskie, były ruchy sejsmiczne. Życie musiało się dostosować do nowych warunków. Może to wtedy, Anno, ewolucja wytworzyła biologiczne mechanizmy dzielonej rzeczywistości.

Anna powiedziała szybko:

- Będę potrzebowała tych danych, Dieterze. Muszę przeprowadzić parę symulacji komputerowych.

- *Jawohl*, Profesor Kwiatuszku. Ale pozwolisz mi się wcześniej umyć? Wydaje mi się, że roztaczam niezbyt przyjemną woń...

- Woń szamba - uściślił Bazargan, na co Dieter się roześmiał. Szef ekspedycji uśmiechnął się mimo licznych trosk. Dobrze było widzieć naukowca, którego przepełnia radość odkrycia. Po to przecież tutaj w ogóle przylecieli. Nie wolno mu o tym zapominać pośród dąsów Voratura, pretensjonalnego hiperentuzjazmu Allena i szpiegowania Enli. Bo że Enla szpiegowała, nie miał najmniejszych wątpliwości. Pozostawało tylko pytanie, dla kogo to robi, poza Voraturem oczywiście. Zwrócił się ponownie do geologa. - Dieterze, jakie wrażenie zrobili na tobie Światanie spoza Gofkit Jemloe? Jak reagowali na twoją obecność?

- Całkiem dobrze moim zdaniem - odparł Gruber. - Wiedzieli o naszym przy. byciu za sprawą dzielonej rzeczywistości. Na wszelki wypadek mało się odzywałem i udawałem, że rozumiem

jeszcze mniej, niż rozumiałem. Tak najłatwiej uniknąć gaf. Nie jestem antropologiem, jak wiesz. *Gott seit Dank* - wyszczerzył się do Anny. Allen, młody sztywniak, zjeżył się natychmiast. - Poza tym milczenie jednej osoby jest zachętą do mówienia dla drugiej. W większości domostw i pijalni pelu Światanie zdawali się mnie traktować jak kolejnego kupca z rejonów odleglejszych niż normalnie. Nie czuli się zagrożeni ani zaalarmowani. Nie okazywali wrogości. Byli tolerancyjni i zwyczajnie ciekawi. Oczywiście wszystko mam na nagraniach, które możecie obejrzeć, zanim prześlę je na Zeusa.

- Świetnie - skwitował Bazargan. - Idź się wreszcie wykąpać. Pamiętasz jeszcze, gdzie jest twoja kwatera?

- W tym króliczym labiryncie? Jasne, że nie! - zaśmiał się Gruber. Bazargan uważał, że żywiołowość geologa jest dobrą przeciwwagą dla powagi reszty zespołu. - Ani razu nie zgubiłem się w głębokich świętych jaskiniach gór Neury, ale w tym pokręconym domu nie potrafię trafić do własnego pokoju!

- Zaprowadź go, Davidzie - wydał dyspozycję Bazargan, tym samym uwalniając się od towarzystwa Allena z jego teoriami na temat samolubności duchowieństwa. Przynajmniej do czasu. Potrzebował teraz spokoju. Potrzebował się namyślić. Nadąsany Allen poprowadził Grubera w głąb domostwa. Bazargan przeszedł do prywatnej kwatery, zaciągnął kotarę w wejściu i półprzezroczyste zasłony. W półmroku nasyconym zapachem kwiatów usiadł na obłej poduszce i zaczął się zastanawiać, jak może przekonać Hadzila Peka Voratura, że wbrew dowodom, które Voratur ewidentnie zbierał, Ziemianie są rzeczywiści.

Dalsza wiara Voratura w to, że Ziemianie są rzeczywiści, miała bowiem wielkie znaczenie. Od początku pobytu na Świecie, mimo że upłynęło dopiero kilka tygodni, a zadawanie pytań z oczywistych względów było niewskazane (po co pytać, skoro wszyscy wszystko wiedzą dzięki dzielonej rzeczywistości?), Bazarganowi udało się dowiedzieć całkiem sporo przy okazji wypraw do lokalnych „manufaktur przemysłowych”, do Rafkit Seloe, do sąsiadów i partnerów kupieckich gospodarza. Poznał na przykład strukturę rządu, który składał się z następujących ministerstw zwanych tutaj „nadzorami”: Procesji i Ceremonii, Podatków i Darowizn, Kronik i Wieści, Dróg i Mostów, Ogrodów i Nieużytków oraz najpotężniejszego z nich wszystkich, także noszącego dwuczłonową nazwę, Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty.

Właśnie Nadzór Rzeczywistości i Pokuty decydował, co jest przestępstwem przeciwko dzielonej rzeczywistości, i wyznaczał karę. W wypadku wykroczeń, które skutkowały nierzeczywistością, jedyną karą była śmierć. Istniały wyjątki od tej reguły -

wyjątki, których istoty Bazargan jak dotąd nie rozumiał, aczkolwiek podejrzewał, że służąca Enla jest jednym z nich.

Zrozumiał za to coś innego - coś, co umknęło pośpiesznie odwołanemu zespołowi zwiadowczemu i co jeszcze nie stało się jasne dla jego małej grupy badawczej. Nadzór Rzeczywistości i Pokuty z pewnością zwracał swoje dzielone chłodne oko na Ziemian. I jeśli uzna, że Ziemianie są nierzeczywiści, wszyscy zginą.

Do pewnego stopnia młody Allen miał więc rację. Duchowni - „słudzy Pierwszego Kwiatu”, jak o

sobie mówili - z którymi Voratur niewątpliwie dzielił całą przeżywaną rzeczywistość, byli groźni. Z tym że nie dla Światan, a dla ludzi.

Oczywiście Bazargan mógł wycofać swój zespół. Mógł wezwać przez radio Zeusa, poprosić o wahadłowiec. Nie zamierzał jednak tego zrobić. Na tej planecie zbyt wiele ważnych odkryć naukowych można było poczynić na niemal każdym polu. O ironio, sprawdzały się słowa Voratura: „Ryzyko dla wspólnego dobra jest dobre”.

I właśnie dlatego Bazargan musiał teraz opracować skuteczną metodę, która pomoże mu przekonać Hadżila Peka Voratura, że ludzie nie są jakąś perwersyjną iluzją na tym pięknym, pachnącym kwiatami Świecie.

To go przytłaczało. Brakowało im zrównowżenia: Bazarganowi, Gruberowi, nawet Annie, którą David Allen podziwiał. Byli niezrównowżeni, wszyscy co do jednego; tak zaślepieni dziedziną nauki, którą uprawiali, że niezdolni dostrzec szerszego obrazu. Który, na miłość boską, rozpościerał się tuż przed ich oczami podczas tej żalosalnej ceremonii!

David poprawił się na ławce. Padał deszcz, lekki ciepły deszcz, który nie był

przeszkodą dla żadnej z ceremonii odbywających się na głównym dziedzińcu domostwa Voratura. Służący przez cały ranek nad ławkami otaczającymi podwórko wznosili baldachimy wbite w ziemię poza granicami rabat i opierające się o mury.

Inna większa osłona chroniła podwyższenie na samym środku placu, tuż obok sadzawki. W stronę tego podium zmierzał mały Nafret ubrany w króciutką tunikę i długą powłóczyką pelerynę uplecioną ze świeżo zerwanych kwiatów. Za nim - i to właśnie najbardziej gniewało Davida - szli nie jego rodzice, tylko kapłani niosący przesadnie wielkie bukiety uświęconych kwiatów.

David ponownie zaczął się wiercić na swoim miejscu. Bazargan zerknął na niego; wystarczyło jedno krótkie kose spojrzenie tych jego ciemnych oczu, by chłopak natychmiast znieruchomiał.

Chociaż jeśli spojrzeć na to z właściwej perspektywy, szacunek, jakim Bazargan otaczał miejscowe zwyczaje, był częścią problemu! Zgoda, antropolog musi pozostać obiektywny, musi wtopić się w grupę osób, którą poddaje badaniom, w przeciwnym razie zostanie wyrzucony poza jej margines i nigdy niczego się nie dowie. To były powszechnie znane fakty. Niemniej Bazargan posunął się o krok dalej. Uważał - wszyscy oni uważali, stare wygi tej dziedziny nauki - że ich obiektywność powinna się rozciągać aż na ich prywatne przekonania. Nie będziesz oceniał... Żadna kultura nie jest lepsza od innej, żadnej kultury nie powinno się postrzegać jako gorszej i wymagającej naprawy. Bzdura! Zdaniem Allena, który z trudem walczył z chęcią poprawienia się na niewygodnej ławce, był to najgorszy rodzaj moralnego lenistwa ubrany w piórka relatywizmu kulturowego.

David uważał, że antropologia już dawno powinna z tego wyrosnąć. Nauka ta jest bowiem coś winna osobom, którym służy - zarówno ludziom, jak i przedstawicielom obcych cywilizacji. Ma czynić życie jednostek lepszym, podobnie jak obowiązkiem każdej jednostki jest dążyć do osiągnięcia perfekcji dzięki odpowiedniemu doborowi Dyscypliny. Zażywa się neurofarmaceutyki, aby uzupełniać braki i niwelować nadmiar związków chemicznych w mózgu i w efekcie lepiej funkcjonować, będąc wolnym od niedostatków i ograniczeń. Tak samo społeczeństwo powinno otrzymywać to, co jest niezbędne do jego prawidłowego funkcjonowania i prawdziwej wolności.

Czego z pewnością nie gwarantowało szesnastu napszonych kapłanów, uroczyście decydujących, czy mały chłopiec może pozostać przy życiu.

Nafret wyglądał na przestraszonego, ciągnąc za sobą ciężką delikatną pelerynę z kwiatów. Wspiął się na dwa schodki wiodące na podwyższenie, tak jak robiły wszystkie dzieci: prawa stopa na schodku numer jeden, lewa stopa na schodku numer jeden, prawa stopa na schodku numer dwa, lewa stopa na schodku numer dwa. Za nim jak cienie podążali kapłani. Jeden z nich - bez wątpienia gruba ryba w Rzeczywistości i Pokucie - uniósł Nafreta i usadził na krześle ustawionym pośrodku podium. Chłopiec rozejrzał się rozpaczliwie dokoła, przeszukując wzrokiem ławki za matką czy guwernerem. Znalazł tylko Davida, który uśmiechnął się, chcąc dodać malcowi otuchy. Chłopczyk nadal wydawał się przerażony.

Kapłani zajęli miejsca wokół wysokiego ukwieconego tronu, z którego patrzyło wystraszone dziecko, i zwróceniu twarzami na zewnątrz kręgu podjęli inkantację.

Światański Davida, aczkolwiek niezły, nie pozwalał na zrozumienie archaicznej wersji języka z całkowicie inną, ciężką intonacją. Mimo to Ziemianin wiedział, że inkantacja dotyczy legendy o Pierwszym Kwiecie i potrwa co najmniej godzinę. Na koniec rozlegnie się błogosławieństwo czyniące Nafreta rzeczywistym, następnie chłopiec po raz pierwszy - i ostatni, o ile nie zostanie w przyszłości duchownym - spożyje kwiat. Później dla rodziny, gości i służby rozpocznie się uczta z tańcami, która potrwa długo w noc.

Można by tę ceremonię uznać za odpowiednik inicjacji w jakimkolwiek innym społeczeństwie z tym wyjątkiem, że była ona łagodna, całkowicie pozbawiona brutalności i nie miała nic wspólnego z osiągnięciem określonego wieku, aczkolwiek również wynikała z przesłanek biologicznych. Chodziło mianowicie o dzielenie rzeczywistości, o odczuwanie dyskomfortu fizycznego lub wyraźnego bólu głowy w sytuacji, kiedy dwie osoby nie dzieliły wspólnych przekonań, o odbieranie empatii ciałem, a nie duszą czy rozumem, jakby było to pojęcie czysto abstrakcyjne.

Chodziło o stawanie się rzeczywistym.

Davida nagle ogarnęła tęsknota, tyleż niespodziewana, co przejmująca. Wiedzieć, że się przynależy, że jest się akceptowanym, że jest się w zgodzie z współbraćmi... Kiedy on ostatnio czuł coś takiego? Nigdy. Z całą pewnością nie przy ojcu, który nie krył

rozczarowania synem, ani przy matce nazbyt zajętej własną karierą medyczną, by zauważać jedynaka. Nie czuł czegoś choćby podobnego nawet w Princeton...

Bazargan znów ostro na niego popatrzył. David porzucił rozmyślenia i wrócił na Świat. Wiedział, że szef ekspedycji też go nie szanuje. Bazargan miał Davida Campbella Allena III za rozpieszczonego młodzika, gorącą głowę i ignoranta. Ale tak naprawdę to Bazargan nie był godzien szacunku: drętwy, ograniczony, zacofany.

David mu jeszcze pokaże. Pokaże im wszystkim.

Po zakończonej ceremonii Bazargan podszedł do Davida, gdy ten rozmawiał z Kolertem Pekiem Gamolinem.

- Pek Voratur zaprasza nas do swych prywatnych kwater, Davidzie. Nie wiesz, gdzie jest Dieter?

- Nie wiem. Czego chce Voratur?

- Nie powiedział mi. Idź z Anną przodem, ja poszukam Dietera.

Kiedy przedzierali się przez roześmiany tłum, David odezwał się do Anny.

- Wiesz, o co tutaj chodzi?

Zagryzła wargę.

- Obawiam się, że tak. Dziś rano robiłam inwentaryzację i odkryłam, że antyhistamina zniknęła z mojego pokoju.

Antyhistamina? Po co komu...

- Oby wasze kwiaty rozkwitały wiecznie - zagrzmiął Pek Voratur.

Gospodarz wyszedł im na spotkanie. Był odziany w haftowany zwiewny strój z pajęczego jedwabiu, szyjowłosa miał splecione w setki warkoczyków ozdobionych kwiatem.

Jego szeroka płaska twarz błyszczała. David od razu się zorientował, że gospodarz nie żałował sobie pelu.

Uśmiechnął się do Światanina.

- Raduję się twymi kwiatami w ten szczęśliwy dzień, Peku Voraturze.

- Och, urządzimy podobną ceremonię dla Bonnie i Bena któregoś dnia. Wspaniałą kwietną ceremonię!

Takie zapewnienie w ustach Światanina zakrawało na wiążącą obietnicę. I nie tania; David szacował, że przyjęcie Nafreta do grona rzeczywistych Światan kosztowało jego ojca połowę rocznego dochodu. Kapłani na Świecie nie robili niczego za darmo, a ich stawki bywały niebotyczne. Mimo to David zdołał się uśmiechnąć,

- Dziękujemy ci w imieniu Bonnie i Bena - odpowiedział.

- Tak, Peku Voraturze, dziękujemy ci - dodała Anna cieplejszym głosem. - Twoje kwiaty cieszą moje serce!

W tej samej chwili zbliżyli się do nich Bazargan i Dieter Gruber. Niemiec z początku narzekał, że straci cały dzień badań swoich drogocennych kamieni, nudząc się na jakiejś tam uroczystości, lecz teraz, gdy już brał w niej udział, zdawał się bardziej zadowolony od reszty Ziemi. Musiał wypić tyle samo co Voratur, skonstatował z dezaprobatą Allen. Aczkolwiek nie pelu, który Anna ogłosiła tabu dla zespołu. „Wprawdzie nie spowoduje fizycznych szkód”, powiedziała, „ale że każdy

gorzelnik dodaje do receptury inne składniki, nie mogą być pewna wpływu na nasz system nerwowy”.

Gruber uraczył się więc winem musującym, które zabrał z Zeusa. Najwyraźniej niejednym. David nie rozumiał, jak ludzie mogą w ten sposób celowo naruszać równowagę chemiczną mózgu. Gdyby był wierzący, nazwałby zachowanie Grubera świętokradztwem.

- Peku Bazarganie! Peku Gruberze! - zawołał Voratur na ich widok. - Oby wasze kwiaty nigdy nie przestały kwitnąć!

- I twoje także, Peku Voraturze, zwłaszcza w ten szczęśliwy dzień - odrzekł Bazargan.

- Wchodźcie, wchodźcie... - powiódł ich przez prywatne kwatery, gdzie zgromadzili się wybrani goście, którzy obścapiłi jego żonę.

Mały Nafret z nieszczęśliwą miną siedział bez ruchu w swojej kwietnej pelerynie, podczas gdy inne dzieci odbijały się od nóg dorosłych, zaśmiewając się i wrzeszcząc. Voratur zaprowadził ich do mniejszego pomieszczenia, którego przeznaczenia David się nie domyślał.

Ściany były w nim pomalowane, podłoga pusta, bez stołów i poduszek, brakowało także okien. Na samym środku znajdował się kopulasty przedmiot zrobiony z tkanego materiału rozciągniętego na stelażu z cienkich - meblowych bądź drewnianych - szczebelków.

Przedmiot ten wydawał ciche dźwięki.

- Chciałbym, aby umowa między nami rozkwitła - oznajmił Voratur, wciąż lśniący i uśmiechnięty. Chociaż zdaniem Davida bardziej skupiony niż jeszcze przed chwilą.

Gospodarz wcale nie był taki pijany, na jakiego wyglądał. Za to Gruber wypił chyba więcej niż parę butelek musującego wina.

- Dałbym wszystko za twoją pierworodną córkę - powiedział po angielsku.

Voratur zignorował nietakt, jakim było posługiwanie się w jego obecności językiem, którego nie znał. Bazargan posłał Dieterowi miazdzące spojrzenie i Niemiec - nawet w obecnym stanie - momentalnie spotulniał i ścichł.

Szef ekspedycji zapytał:

- O jakiej umowie mówisz, Peku Voraturze?

- O tej samej co poprzednio. Zdjęcie mojego mózgu za możliwość handlowania antyhistaminą.

Bazargan odpowiedział spokojnie:

- Antyhistamina, a przynajmniej jej część, dzisiaj rano zniknęła z laboratorium Pek Sikorski...

- Nie, nie zniknęła dzisiaj rano - poprawił go Voratur. - Chociaż może dzisiaj rano zauważyliście jej brak. Zniknęła dekadzień temu. Kazałem ją ukraść.

W wyrazie twarzy Światanina nie było choćby cienia poczucia winy. Z powodu wypitego pelu? Czy może dlatego, że kradzież dla osiągnięcia zysku była częścią dzielonej rzeczywistości? Pewnie jedno i drugie odgrywa jakąś rolę, uznał David.

Bazargan nie zmienił tonu głosu.

- Rozumiem. Mimo to informacja, której udzieliłem ci wcześniej, nadal jest dzieloną rzeczywistością, Peku Voraturze. Antyhistamina może zagrażać ciałom Światan. Nie wolno nam doprowadzić do zakwitnięcia tej umowy.

- Mylisz się, przyjacielu - rzekł wesoło Voratur. - Rzeczywistość się zmieniła i teraz dzielę ją z tobą. Antyhistamina nie jest niebezpieczna dla Światan. Wiem o tym, ponieważ zażyłem ją i jestem zdrow!

Anna zapytała szybko:

- Jak dawno temu ją zażyłeś?

- Dziesięć dni temu, dziewięć dni temu, a resztę, wszystko naraz, siedem dni temu. I wiesz, Pek Sikorski, że cierpię na kwiatozę. Jestem uczulony na kwiaty fakimiby. Jak może zauważyłaś, nie rośnie ona w moich ogrodach. Mam dużo szczęścia, że fakimiba nie jest kwiatem rytualnym. Tak czy inaczej, przed czterema dniami Pojechałem odwiedzić znajomego i spędziłem całe popołudnie w ogrodzie zarośniętym fakimibą. Nic mi nie było. Z

pewnością widzieliście, że ani razu nie musiałem splatać szyjowłosów w pokutne warkoczyki.

Stąd wiem na pewno, że wasza antyhistamina jest bezpieczna również dla Światan.

Bezpieczna i zysków, na dla nas wszystkich.

Anna spojrzała na Bazargana. Najwyraźniej ci dwoje już przedyskutowali, jak się zachować w podobnej sytuacji. Ale dlaczego on, David, był wykluczany z większości ich rozmów? Tłumaczyli to tym, że jest odizolowany w łązie. A przecież z łatwością mogli go tam odwiedzić, gdyby tylko chcieli. Z czego należało wnioskować, że jednak nie chcieli.

Kolejny mały żal dołączył do listy, którą tworzył David Allen.

Bazargan odezwał się pierwszy:

- Peku Voraturze. Posłuchaj mnie uważnie, przyjacielu. W dalszym ciągu nie możemy pozwolić, by umowa z antyhistaminą rozkwitła. Przykro mi, ale po prostu nie możemy tego zrobić. Oto powód: nawet na Świecie organizmy się różnią. Tak mówi dzielona rzeczywistość. Ty cierpisz na kwiatozę od fakimiby. Ktoś inny od rafiriby. Ktoś jeszcze inny od padżaliby albo trifalitiby. Analogicznie jeden Światanin może się wyleczyć z kwiatozy, zażywając antyhistaminę, drugi zaś może się po niej ciężko rozchorować. Trzeci zaś umrzeć.

To zbyt niebezpieczne.

Uśmiech Voratura zniknął. Kupiec podszedł do kopulastego przedmiotu na środku zamkniętego pomieszczenia i zatrzymał się.

- Zatem dzielmy rzeczywistość dalej, Peku Bazarganie. Skoro organizmy Światan różnią się między sobą, organizmy Ziemiaków także muszą się różnić. Czy taka jest dzielona rzeczywistość?

- Tak - przyznał Bazargan.

- A jednak Ziemiak Pek Sikorski zażywa antyhistaminę. Dlaczego, skoro to niebezpieczne z powodu różnic między organizmami Ziemiaków? Skoro jej wolno, to także my możemy.

- Nie - zaprzeczył Bazargan. - Pozwól, że podzielę z tobą rzeczywistość, Peku Voraturze. Na Ziemi mamy... uzdrowiaczy, którzy wytwarzają antyhistaminy. Potem nasz rząd wypróbowuje je na wielu, bardzo wielu chorych Ziemiakach. Dzięki temu dowiadujemy się, ilu Ziemiakom się pogarsza i czy ktoś traci życie. Tylko gdy nikt nie umiera, a bardzo, ale to bardzo niewielu się pogarsza po tym... naparze umowa rozkwita i antyhistamina dociera na rynek.

- Jaki rządowy nadzór wykonuje te badania?

David widział, że Bazargan zastanawia się nad odpowiedzią.

- Rzeczywistość i Pokuta. Napar musi być uznany za rzeczywisty.

Voratur skinął głową. To, co usłyszał, miało dla niego sens.

- W takim razie nasza Rzeczywistość i Pokuta również przeprowadzi takie badania. Z

wieloma Światanami.

Do rozmowy włączyła się Anna.

- Ale Peku Voraturze...

- Dość - przerwał jej ostro Voratur. - Przeprowadzimy konieczne badania.

Anna rzuciła Bazarganowi bezradne spojrzenie.

- Nie możecie nas traktować jak dzieci w żłazie - perorował Voratur. - Nie na tym polega dzielenie rzeczywistości. Nie jesteśmy już dziećmi. Albo dzielcie nami rzeczywistość w sprawie antyhistaminy, albo nie dzielcie.

David poczuł, że w gardle rośnie mu kula. Voratur właśnie postawił im ultimatum.

Gdyby Ziemiak nie dzielili rzeczywistości, byłiby nierzeczywiści. A gdyby byli nierzeczywiści... Nagle przypomniał sobie upośledzoną dziewczynkę, która podbiegła do niego w pierwszym dniu

pobytu na Świecie, nierzeczywiste dziecko, do którego nieopatrznie przemówił. Ciekawe, co się z nią stało.

Niechętnie przyznał sam przed sobą, że zna odpowiedź na to pytanie.

Tymczasem Bazargan zebrał się w sobie.

- Masz rację, Peku Voraturze. Wybacz mi; zaplotę swoje włosy w warkoczyki pokutne. Oczywiście, że dzielimy rzeczywistość. Jutro wyślę Pek Sikorski do uzdrowiaczy, których wskażesz, aby pokazała im, jak się robi antyhistaminę. Niech przeprowadzą badania.

Voratur natychmiast zaczął się rozplęwać w uśmiechach, jakby nawet na chwilę nie przestał być pełnym ciepła gospodarzem, jowialnym partnerem handlowym.

- Cudownie! Oby nasze kwiaty kwitły razem przez bardzo długi czas, a ich zapach docierał do samego nieba!

- Oby nasze kwiaty wiecznie kwitły razem - powtórzył Bazargan.

W oczach Davida szef ekspedycji nie wyglądał na smutnego, nawet mimo przegranej.

No ale Bazargan był między innymi wytrawnym politykiem. Ktoś taki zawsze jest gotów zaprzedać ideały za śmierdzący kompromis.

Chociaż ten konkretny kompromis raczej ucieszył Allena. Nareszcie będą mogli zrobić skan mózgu tubylca! To plus próbki DNA i pozostałe dane zgromadzone przez Annę z pewnością wystarczy do zrozumienia, co leży u podstaw fenomenu dzielonej rzeczywistości.

Może nawet do odtworzenia go w warunkach ziemskiej fizjologii. Musi zapytać o to Annę.

Przy dzisiejszych możliwościach inżynierii genetycznej...

- Kiedy Pek Sikorski będzie mogła zrobić zdjęcie twojego mózgu? - zainteresował się na głos.

- Kiedy tylko zechce - odrzekł wspaniałomyślnie Voratur. - To znaczy jutro. Dzisiaj muszę jeszcze wrócić do gości.

- Płatki twoich kwiatów zachwycają mnie - powiedział Bazargan.

- Radują mnie kwiaty twego serca - zrewanżował się Voratur.

Po czym zaśmiał się donośnie i równocześnie poruszył materiałem kopuły. Odgłos dobiegający ze środka przybrał na sile. Życiodaje, rozpoznał David. Małe owadopodobne stworzonka zapylające światłańskie rośliny. Kiedy teraz się nad tym zastanawiał, faktycznie nie umiał sobie przypomnieć ani jednego życiodaja, który by zakłócił ceremonię urzeczywistniania Nafreta. Żaden bzycczący intruz nie przeleciał przed twarzą któregoś z gości ani nie połaskotał nikogo w rękę. Jakim cudem Voraturowi udało się zgromadzić je wszystkie w jednym miejscu?

- Ci mali mieszkańcy Świata także powodują chorobę u nielicznych Światan -

poinformował ich Voratur. - A teraz będziemy mogli ich leczyć waszymi naparami. I przewyższymy bogactwem nawet wyspiarzy! - Śmiejąc się, potrącił kopułę raz jeszcze, po czym opuścił pomieszczenie, od progu wołając, by przyniesiono więcej pelu.

Czworo Ziemiaków popatrywało na siebie nawzajem. Troje, poprawił się w myślach David. Gruber przysypiał na stojąco, podpierając pomalowaną ścianę. Przysypiał albo tracił

przytomność.

- Nie miałeś wyboru, Ahmedzie - powiedziała Anna.

- To prawda, nie miałem - zgodził się z nią Bazargan. - Alternatywą było przerwanie ekspedycji.

- Przerwanie ekspedycji? - powtórzył z niedowierzaniem David. - Mówisz o powrocie na Zeusa? Z powodu leku na alergię?

- Z powodu zagrożenia skażeniem biologicznym planety, którego można uniknąć -

odparował Bazargan.

- Dopuszczałeś możliwość, że zostawimy Świat, zanim zrozumiemy mechanizm dzielonej rzeczywistości? Ten najwspanialszy dar dla ludzkości w całej jej historii?

- Nie teraz, Davidzie - rzuciła ostrzegawczo Anna. Nie spuszczała oka z Bazargana.

Allen ustąpił, mimo że w środku wszystko w nim wrzało. Brak wyobraźni, brak odwagi... co jest z tymi ludźmi nie tak? Czyżby aż tak ich zepsuła świadomość, że opublikowali swoje przed innymi?

Anna dodała:

- Nadal nie rozumiem jednej rzeczy, Ahmedzie. Voratur przystał na procedurę badań klinicznych, badań kierowanych przez Rzeczywistość i Pokutę, nie wspominając słowem o konieczności konsultacji z kapłanami. Czy to możliwe, że dzielą rzeczywistość do tego stopnia, by od razu wiedział, jak zareaguje duchowieństwo?

- Nie wykluczam tego - odparł Bazargan. - Ale jest też inny powód. Dzielona rzeczywistość wyższych klas, duchowieństwa i głów największych domostw, bazuje na skomplikowanym systemie „podarków”, które my nazwalibyśmy łapówkami. Nie rozpracowałem tego jeszcze do końca, ciężko prowadzi się badania terenowe, gdy nie można zadawać pytań. Na twoim miejscu jednak nie lekceważyłbym zbyt kapłanów, Anno.

Dzierżą wielką władzę na Świecie, mimo że muszą działać w ramach dzielonej rzeczywistości.

- Ja nie popełniłem tego błędu - przypomniał David. - Od samego początku mówiłem, że to przekłete pasożyty!

- Nie o to mi chodziło - rzekł Bazargan głosem spokojnym jak zawsze, lecz mimo to David natychmiast spokorniał.

Po chwili Anna z Bazarganem wyszli, wspierając z dwóch stron Grubera, aby odprowadzić go do prywatnych kwater Ziemiań. David zwlekał z odejściem, chociaż wiedział, że powinien jak najszybciej wrócić do Nafreta. W końcu był jednym z guwernerów chłopca. Życiodaję nadal wściekle buczały pod prowizoryczną kopułą. Tymczasowo w niewoli, tymczasowo pozbawione możliwości wykonywania swego zadania.

Ale tylko tymczasowo.

8

Na pokładzie Zeusa

Syree Johnson i Rafael Peres czekali w śluzie, podczas gdy wbudowany łącznik o lekkiej konstrukcji wysuwał się z kadłuba Zeusa i zmierzał w stronę mniejszego statku wiszącego siedem metrów od jego kadłuba. Przy potężnym Zeusie statek kurierski zdawał się kociakiem napastującym hipopotama.

Według Syree „napastowanie” było dobrym słowem. Gdyby kurier przynosił dobre wieści, nadałby je przez radio bezpośrednio po wyjściu z Tunelu Czasoprzestrzennego #438.

Tymczasem pilot poinformował mostek o swojej obecności, która i tak była wszystkim wiadoma. W chwili gdy jakaś jednostka wylatywała z tunelu, specjalny przekaźnik wysyłał

jej opis bezpośrednio do dowódcy Zeusa. Prośba o pozwolenie na podejście i dokowanie biegła pięćdziesiąt sześć minut, natomiast kurierowi pokonanie tej samej drogi zabrało aż pięć standardowych dni. Jednostki tego typu podróżowały, przyspieszając i hamując przy przeciążeniach osiągających niemal dwa i pół g, aby obyło się bez skutków ubocznych dla pilotów. Ci jednak, młodzi i świetnie przygotowani, nie przejmowali się tym zbytnio. W ich wypadku przekroczenie norm było raczej powodem do dumy. Myśląc o tym, Syree poczuła się stara.

- Połączenie rozpoczęte... - meldował oficer dyżurny. - Połączenie w toku...

Połączenie potwierdzone.

- Wyrównać ciśnienie - polecił Peres.

- Tak jest. Wyrównuję ciśnienie.

Syree i Peres włożyli mundury galowe. Skoro mieli pójść na dno, równie dobrze mogli to zrobić przy rozwiniętych sztandarach. O ile faktycznie szli na dno; o ile faktycznie przywiezione rozkazy kończyły ich misję. Syree nie miałaby nic przeciwko temu. Nie przeszkadzałoby jej, gdyby nie wykonała zadania, z którym ją tu przysłano.

- Otwieranie śluzy na statku kurierskim - meldował dalej oficer dyżurny.

W interkomie odezwał się inny, obcy głos.

- Kapitan Llewellyn Jones, dowódca statku kurierskiego pięć-osiem-trzy. Proszę o pozwolenie wejścia na pokład - mówił przybysz z łącznika.

- Zezwalam. Poruczniku, otwórzcie służę.

- Tak jest. Otwieram służę.

Jones wszedł na pokład Zeusa w skafandrze, ale z odpiętym hełmem, poruszając się charakterystycznym krokiem kogoś, kto musi się dopiero przyzwyczaić do nagłej zmiany ciężenia. Niemniej poruszał się, co było powodem do dumy. Jeżeli ktoś woli latać po całej Galaktyce, zamiast się poddać rozkazom stacjonarnego dowództwa i odpowiada mu niepewność, co będzie robił w następnej godzinie, opanowanie jest kluczem do sukcesu.

Szybkie, małe, trudne do wyśledzenia statki kurierskie były dla marynarki wojennej tym, czym agenci polowi dla wywiadu.

Peres odezwał się pierwszy:

- Witamy na pokładzie, kapitanie Jones.

- Dziękuję, sir.

- Przedstawiam panu pułkownik Johnson.

- Pani pułkownik... - Peres najwyraźniej nie musiał podawać pełnego tytułu Syree: dowódca zespołu do zadań specjalnych; Jones zdawał się wiedzieć, kim jest ta kobieta i jaką pełni funkcję. Czy raczej stara się pełnić. - Poczta dla załogi Zeusa znajduje się na moim statku - mówił kapitan Jones głosem służbisty. - Można zacząć ściąganie na pani rozkaz.

Mam też wiadomość przeznaczoną tylko dla żywego odbiorcy, zaadresowaną do pułkownik Johnson. Od dowództwa naczelnego.

- Tędy proszę.

Peres zaprowadził oboje do swojej kajuty i uruchomił pole ochronne. Pomieszczenie było teraz zabezpieczone przed wszelkimi próbami przechwycenia informacji. Elektronika nie działała. Gdyby na mostku wybuchł pożar, ktoś musiałby zapukać do drzwi Peresa, aby zwrócić jego uwagę.

- Zdejmie pan skafander, kapitanie Jones? - zaproponował Peres.

- Nie, dziękuję. Nie zabawię tu długo. Moja wiadomość to właściwie oficjalne zapytanie skierowane do pułkownik Johnson. Pyta generał Stefanak. Generał pragnie się dowiedzieć, co pani odkryła, pani pułkownik.

Syree spodziewała się tego. Nie istniała możliwość przesłania wiadomości przez tunel przestrzenny,

jeśli nie niósł jej fizyczny obiekt: kapsuła, sonda, statek bezzałogowy.

Wszystkie trzy mogły przenosić pytania i odpowiedzi, jednakże tylko żywy człowiek był w stanie zadawać kolejne pytania, które zrodziły udzielone odpowiedzi. Jones był więc swego rodzaju ludzką kapsułą do przenoszenia wiadomości. To, że Stefanak zdecydował się go tu przysłać, zdaniem Syree znaczyło, iż na wojnie nie dzieje się dobrze.

Ten konkretny tunel przestrzenny, wedle obecnego stanu wiedzy ludzkości, jeszcze nie został odkryty przez Fallerów. Wysłanie nim statku kurierskiego zwiększało ryzyko, iż do tego dojdzie. A jednak Stefanak podjął je, co wiele mówiło o sytuacji po drugiej stronie.

- Przygotowałam pełen raport dla generała Stefanaka - poinformowała Syree, wręczając kapitanowi Jonesowi kostkę komunikacyjną. - Odpowiem więc pokrótce. Obiekt faktycznie wydaje się bronią, i to takiego rodzaju, z jakim nie mieliśmy jeszcze do czynienia.

Aktywowaliśmy go jeden raz, przy najniższej mocy, bez szkody dla Zeusa i planety, lecz straciliśmy podczas tej próby wahadłowiec i jego pilota, kapitana Daniela Austena. Obiekt zdaje się emitować rozchodzącą się sferycznie falę, która czasowo destabilizuje jądra atomowe wszystkich pierwiastków o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć.

Jones zrobił wielkie oczy, tym samym niwecząc wrażenie totalnego opanowania.

Zaraz jednak odzyskał nad sobą kontrolę.

- Jakie są pani plany względem obiektu, pani pułkownik?

- Przeprowadziliśmy rozległe badania z użyciem wszystkich środków, jakie mieliśmy w zasięgu ręki, mogliśmy opracować i potrafilismy wymyślić - odparła Syree. - Dane, które otrzymaliśmy, albo mają marginalne znaczenie, albo są całkowicie bezużyteczne. Wydaje się, że nie ma sposobu na dotarcie do wnętrza obiektu bez przecięcia powłoki bronią dostępną na pokładzie Zeusa, co może doprowadzić do zniszczenia obiektu. Nie ma też sposobu na przetransportowanie obiektu tunelem czasoprzestrzennym, ponieważ jego promień Schwarzschilda jest większy niż dopuszczalny.

Jones słuchał.

- Tak więc mamy związane ręce. Teoretycznie istnieje możliwość zaholowania obiektu do wrót tunelu, spozycjonowania go tam i wyposażenia w sondy, dzięki którym będzie destabilizował wszystko, co przejdzie przez tunel i nie włączy ustalonego odgórnie sygnału. To zapewniłoby bezpieczeństwo temu systemowi gwiazdnemu, dzięki czemu mógłby on zostać wykorzystany jako bezpieczna baza operacyjna i magazynowa.

Jones pokiwał głową.

- Rozumiem. To rzeczywiście byłoby przydatne.

- Owszem. Jedyna planeta układu mieszcząca się w parametrach Ziemi jest zamieszkała przez gatunek myślących i czujących istot. Raporty wysłanego na powierzchnię zespołu badawczego

donoszą, że tubylcy są otwarci na handel. Zatem wchodzi w grę pozyskiwanie surowców. Poza tym system ten można by wykorzystać jako stocznię.

Kapitan Jones ponownie skinął głową.

- Szczegóły raportów zespołu badawczego?

- Są na kostce informacyjnej. Nie zauważyłam w nich niczego wyjątkowego -

powiedziała Syree, która tak naprawdę nie zapoznała się ze wszystkimi raportami spływającymi ze Świata. - Dotyczą głównie socjologii społeczeństwa preindustrialnego, odkryć geologicznych i tym podobnych spraw. Brak dowodów na kontakt z obcą cywilizacją, w tym z Fallerami, jeśli oczywiście nie liczyć obiektu orbitalnego numer siedem, który tubylcy uważają za naturalnego satelitę.

- Rozumiem, pani pułkownik. Czy mam przekazać generałowi Stefanakowi coś jeszcze?

Na przykład co? Że Syree Johnson zawiodła i niezwykłego odkrycia nie zdołała przekuć w broń zdolną przeważać szalę wojny na korzyść Sojuszu Solarnego? Nawet jeśli porażka była nieunikniona, pozostawała porażką.

- To wszystko, kapitanie Jones.

Pałeczkę przejął Peres.

- Jakie wieści z frontu, kapitanie?

- Znajdzie pan wszystko w poczcie i rozkazach, komandorze. Nieoficjalnie jednak mogę powiedzieć, że jest kiepsko. - Jones nagle wydał się starszy mimo młodzieńczej postawy i swobodnego języka. - Fallerowie zniszczyli naszą bazę wojskową na Camdenie, zanim się zorientowaliśmy, że o niej wiedzą. Rozwalili nam trzy krążowniki. Gnojki ani myślą powiedzieć, czego od nas chcą ani dlaczego tego chcą, nie zamierzają też negocjować.

Coraz bardziej wygląda na to, że po prostu marzy im się doprowadzenie do kompletnego upadku ludzkości. Na razie podskubują nas w koloniach, osłabiają flotę, ale z czasem dobiorą się do samego Układu Słonecznego.

Pilot mówił rażnym i spokojnym głosem, lecz po jego słowach zaległa cisza.

Pierwszy przerwał ją Peres.

- Możemy coś dla pana zrobić, kapitanie?

- Nie, dziękuję. Wracam, jak tylko ściągnięcie pocztę. Komandorze Peres, pani pułkownik Johnson...

- Pilot zasalutował, po czym dowódca Zeusa odprowadził go do służby.

Syree nie ruszyła się z kajuty Peresa. Dostrzegła na półce biomonitor. Zatem dowódca Zeusa także był zwolennikiem Dyscypliny. Jaką mieszanką neurofarmaceutyków szprycował

się komandor co rano? Jaki zestaw był idealny, aby stawić czoło kolejnemu dniowi skazanej z góry na niepowodzenie misji? Kolejnym raportom nie przynoszącym żadnych dobrych wiadomości? Kolejnej przegranej bitwie w wojnie, w której ludzkość nie miała szans na wygraną, gdyż przeciwnikiem był morderczy obcy gatunek, jakiego nie sposób zrozumieć?

Wierzyła, że obiekt orbitalny numer 7 odsłoni przed nimi tajemnice. Że da się go rozebrać na części, nie niszcząc przy tym. Przetransportować przez tunel przestrzenny na drugą stronę, do systemu Kaliguli. A potem przez następne aż do domu, gdzie zostanie złożony do kupy i zacznie chronić kolebkę ludzkości, a nie tę zapomnianą przez bogów, położoną głęboko w dupie wszechświata planetę, na której mieszka gatunek interesujący się wyłącznie hodowlą kwiatów.

Obiekt orbitalny numer 7 odsłoni przed nimi tajemnice. Pytanie tylko kiedy?]

9

Gofkit Jemloe

- Przedstawiam ci Peka Rendżamora - rzekł donośnie Voratur. Był ranek nazajutrz po przyjęciu; bardzo wczesny zdaniem Bazargana. Mimo to Voratur wyglądał świeżo i energicznie. - Pek Rendżamor jest uzdrowiaczem. A także właścicielem manufaktury leków, w której będzie wytwarzana antyhistamina.

Pek Rendżamor wyciągnął rękę z kwiatem gościnności. Bazargan, tłumiąc ziewnięcie, przyjął kwiat i uśmiechnął się. Właściciel manufaktury stanowił jawny - i komiczny - kontrast w porównaniu z Voraturem: był mały, pomarszczony i milczący.

Voratur kontynuował grzmiącym głosem:

- Słońce już świeci, Peku Bazarganie, Pek Rendżamor i ja jesteśmy gotowi pokazać ci, jak będziemy znajdować liczne osoby cierpiące na kwiatozę. Pek Rendżamor zebrał już w swojej manufakturze podległych mu uzdrowiaczy, którzy będą robić to, czego nauczy ich Pek Sikorski. Zamierzamy rozpocząć badania na ciałach Światan wieczorem.

Wieczorem? Bazargan stłumił kolejne ziewnięcie. Naprawdę musiało być bardzo wcześnie.

- Chodźmy, chodźmy - ponaglał Voratur. - Twój rower już czeka przy bramie, udamy się do Rafkit Seloe. Nie chcemy marnować porannego słońca. Ani czasu!

- Roześmiał się, po czym natychmiast spowaźniał. Jego okrągła twarz jakimś cudem się wydłużyła. - Mamy go akurat tyle, by zdążyć powrócić na wyznaczoną porę robienia zdjęcia mojego mózgu.

Bazargan uspokoił gospodarza:

- To zdjęcie mózgu jest całkowicie bezpieczne, wiesz...

- Wiem - potwierdził Voratur tak przerażonym tonem, że szef ekspedycji postanowił

czym prędzej się ubrać i wyruszyć do Rafkit Seloe, zanim kupiec wycofa się z obietnicy.

Bazargan wbrew sobie pozostawał pod wielkim wrażeniem mieszczącej się w stolicy lustrzanej stacji do przekazywania wiadomości. Była niesamowicie prosta. I zadziwiająco skuteczna.

Trzej mężczyźni, sapiąc, wdrapali się na strome wzgórze tuż za Rafkit Seloe, a potem wspięli się po jeszcze bardziej stromych schodach oplatających spiralą zewnętrzną stronę smukłej wieży. Na samym szczycie siedziała kobieta w cechowej tunice i wielkim kapeluszu.

Rondo miało szerokość dwóch stóp i całkowicie chroniło jej twarz przed rażącym pomarańczowym słońcem.

- Peku Bazarganie, przedstawiam ci Pek Careber, jedną z najlepszych w swoim fachu.

Ja zawsze się staram wysyłać wiadomości na jej dyżurze.

Kobieta zarumieniła się z zadowolenia, lecz zaraz przybrała oficjalny ton.

- A jaką dziś wyślesz wiadomość, Peku Voraturze?

- Potrzebujemy osób z kwiatozą na padzalibę, mittibę i dzelitibę, którzy chcą za odpłatnością pracować dla naszych uzdrowiaczy. Proszę, tutaj spisałem dokładną treść. Peku Bazarganie, patrz uważnie. Pek Careber jest bardzo, ale to bardzo szybka. I niezwykle dokładna.

Bazargan z trudem oderwał wzrok od widoków. W dole u swoich stóp miał Świat: bujny i wspaniały. Z tej wysokości krajobraz zdawał się kolorową mozaiką rozciągającą się we wszystkich kierunkach od schludnego białego punktu centralnego, jakim było Rafkit Seloe. Gdziekolwiek spojrzeć, widział małe wioski, białe drogi, zielone, żółte albo pomarańczowe pola i ciemne lasy. Wszędzie dało się dostrzec pasy ukwieconych grządek - w ogrodach, w parkach, na poboczach, nawet pośród pól, gdzie żaden ziemski rolnik nie posadziłby kwiatów. Karmazynowe, kobaltowe, cytrynowe, morelowe, szkarłatne, turkusowe, purpurowe, szmaragdowe, blad różowe... Po raz pierwszy w życiu Bazargan uświadomił

sobie wielość barw i znaczenie kwiatów na Świecie.

- Patrz uważnie, Peku Bazarganie - poprosił Voratur.

Szef ziemskiej ekspedycji zaczął się przyglądać kobiecie w wielkim kapeluszu.

Najpierw przechyliła ogromne lustro ku wschodowi. Odpowiedź w postaci błysku nadeszła z wieży, której Bazargan nie potrafił dojrzeć gołym okiem. Kobieta skinęła głową, po czym zaczęła gwałtownie pochylać lustro pod różnymi kątami, od czasu do czasu zerkając na kartkę, którą wręczył jej Voratur, sporadycznie robiąc przerwy, gdy pojawiały się potwierdzające błyski.

Bazargan zapytał:

- Jak daleko od siebie są te wieże?

Odpowiedzi udzielił Voratur.

- Siedem cellibów.

Co równało się trzydziestu kilometrom. Obwód Świata wynosił trzydzieści sześć tysięcy kilometrów, przy czym największy kontynent dogodnie opasywał równik. W

słoneczne dni w wieżach czuwał obsługujący je personel. Załóżmy, że pilną wiadomość wysyłano przez pół minuty, a następnie od razu podawano dalej, do kolejnej wieży. Przy dobrej pogodzie taka wiadomość mogła przebyć pół drogi od świtu do zmierzchu, czyli w mniej więcej dziesięć standardowych godzin. Drugie tyle zabierało jej pokonanie drugiej hemisfery. Z pewnością istniały też wieże rozgałęziające, oddalone od linii równika. A stamtąd do najdalszych wiosek wiadomości dowozili wszechobecni posłańcy na rowerach.

Wiadomość Voratura nie musiała okrążyć globu. Teoretycznie jednak każda wiadomość mogła zostać wysłana na drugi koniec tego „zacofanego” świata i dotrzeć do adresata w ciągu jednego standardowego dnia.

Bazargan był pod wielkim wrażeniem. Zwłaszcza że przesyłanym wiadomościom natychmiast dawano wiarę, nie trzeba było nikogo przekonywać. Dzielona rzeczywistość umożliwiała błyskawiczną mobilizację. Aczkolwiek powodowała też spowolnienie wynalazczości. W kulturze tej brakowało prawdziwych odkrywców. Mimo iż była starsza od powstania rozumu i uczuć na Ziemi, wciąż jeszcze nie wpadła na budowę silnika parowego.

- No i proszę - rzucił ucieszony Voratur, gdy kobieta przetłumaczyła kilka błysków nadchodzących z odległej wieży. - Peku Rendżamorze, o zmierzchu powinienes mieć do dyspozycji czterdzieści osób z kwiatozą.

- Ach - odezwał się po raz pierwszy Rendżamor. Ta jedna jedyna sylaba przesycona była satysfakcją.

- A teraz - Voratur zwrócił się do Bazargana - jestem gotowy na zrobienie zdjęcia mojego mózgu.

Zanim Bazargan zdążył wziąć kąpiel po długiej jeździe powrotnej, przejść przez rozległe ogrody i zapukać w futrynę łukowatego wejścia do laboratorium, Anna przygotowała wszystko do skanu Lagerfelda.

Jak wszystkie zaawansowane urządzenia Ziemiaków, także ten skaner był zazwyczaj trzymany w nieoznakowanym, zamkniętym na cztery spusty metalowym pudle. Świtanie pogodzili się z tym, że zespół badawczy dysponuje licznymi produktami manufaktur, którymi nie zamierza się dzielić. To nie stanowiło problemu. Zbyt pragmatyczna by uważać sprzęt naukowy za „magię”, Światanie mieli także zbyt komercyjne nastawienie, aby interesować się czymś, co nie obiecywało zysków. To podejście wyjaśniło całkowity brak naukowców na Świecie z wyjątkiem uzdrawiaczy. Mimo to ziemskie sejfy można było otworzyć wyłącznie metodą identyfikacji DNA, nie dało się ruszyć bez aktywowania

potężnego systemu alarmowego, a gdyby ktoś je gdzieś przeniósł, zgubę namierzano za pomocą sond orbitalnych przechwytyjących wysyłane sygnały i przesyłających je do łączy komunikacyjnych zespołu badawczego.

Voratur, grubszy od Bazargana, musiał odpocząć po wyprawie do wieży luster.

Zapowiedział szefowi ekspedycji, że zjawi się u Pek Sikorski „wkrótce”. Co dobrze się składało, ponieważ Bazargan chciał przedyskutować parę spraw z biologiem wyprawy.

- Dzień dobry, Anno.

- Dzień dobry, Ahmedzie. Oby twoje kwiaty bujnie kwitły - odpowiedziała Anna po światańsku.

Dopiero wtedy Bazargan dostrzegł Enłę siedzącą na poduszce w rogu pomieszczenia.

Poczuł ukłucie irytacji. Opanował się jednak i postarał, by w jego głosie nie było słycać zniecierpliwienia.

- Oby kwitły wasze kwiaty, Anno, Enlo - odparł krótko, po czym zwrócił się bezpośrednio do Światanki. - Enlo, muszę porozmawiać z Pek Sikorski na osobności.

Brzydula - Bazargan zaczynał się orientować w kanonie piękna na obcej planecie -

wstała posłusznie.

- Zatem wróć, Pek Sikorski, kiedy nadejdzie Pek Voratur.

- Dobrze - uśmiechnęła się Anna.

Bazargan odprowadzał dziewczynę wzrokiem, kiedy wychodziła, przecinała dziedziniec i znikła za zakrzywiającą się łukiem ścianą. Wiedział, że ścieżka, którą wybrała, zaprowadzi ją tyłami kilku budynków do grubego wklęsłego muru otaczającego kwatery Voratura. Czy to możliwe, że...

- Anno - zapytał, porzucając światański - jak Enli idzie nauka angielskiego?

- Średnio - odpowiedziała kobieta. - Uczymy się kilka razy dziennie, ale ona po prostu nie ma do tego smykałki.

- A może tylko udaje i w rzeczywistości rozumie więcej, niż pokazuje?

- Nie sądzę, Ahmedzie. To by przyprawiło ją o okropny ból głowy.

- No tak - zgodził się z nią Bazargan. - Mniejsza o to. Widzę, że nie możesz się doczekać swojego eksperymentu.

- To mało powiedziane - zaśmiała się. - A jednak moje podniecenie nie umywa się do entuzjazmu Davida. Przyjdzie tu ze złązu specjalnie na skan. W przeciwieństwie do Dietera...

- Nic dziwnego, że Dietera nie będzie. Z pewnością odsypia wczorajsze przyjęcie przytulony do worka z cennymi kamieniami.

Anna zaśmiała się ponownie. Nie była urodziwą kobietą, ale mogła się podobać.

Bazarganowi odpowiadała jej krucha sylwetka, lśniące jasne włosy spięte w węzeł, wyraziste oczy. Jednakże podchodził poważnie do ślubów małżeńskich, podobnie jak jego żona, która czekała na niego w Iranie. Na wszelki wypadek pomagał sobie standardową dawką supresantów popędu seksualnego, jedynym neurofarmaceutyką, jakiego używał. Stosowali je wszyscy członkowie zespołu - to dusiło w środku potencjalne komplikacje.

Anna ustawiła skaner Lagerfelda na ławie o kształcie idealnej elipsy, aczkolwiek tubylcy tak by jej nie określili. Już wcześniej przeprowadziła niezbędne testy. Kanciaste pudełkowate linie skanera i dołączonego doń ekranu świecącego bladą zielenią wydały się Bazarganowi dziwne po tylu tygodniach styczności wyłącznie z zaoblonymi sprzętami Światan. Zdumiało go, jak szybko własna kultura staje się obca na tej planecie. Zaczął nawet rozumieć, dlaczego tak poniosło młodego Allena.

- Chciałbym porozmawiać o Davidzie - rzekł na głos. - Martwię się o niego,

- Muszę przyznać, że ja również. Czy przedstawił ci już swoją teorię, wedle której fenomen dzielonej rzeczywistości, kiedy już go rozpracujemy, powinien być za wszelką cenę włączony w ludzki genom?

- Owszem. Powiedziałem mu, cytując ciebie, że fenomen ten prawdopodobnie nie ma podłoża genetycznego. A nawet gdyby tak było i gdyby się dało włączyć go w ludzkie DNA, wcale nie odmieniłby oblicza ludzkości. W razie dobrowolnej modyfikacji genetycznej w najlepszym wypadku uzyskałoby się niewielką grupę pokojowo nastawionych fanatyków, którzy nie byłiby w stanie znieść kontaktów z resztą ludzi. W razie modyfikacji przymusowej efektem byłaby albo najgorsza tyrania, jaką kiedykolwiek znał Sojusz Solarny, albo wszechświatowa wojna domowa. Zresztą obecny system polityczny nie dopuszcza żadnej z tych dwóch modyfikacji. David niestety zdaje się nie pojmować implikacji wynikających z tego pomysłu.

Anna zmarszczyła czoło.

- Jego zdaniem mała, początkowo izolowana kolonia, której młodemu pokoleniu wszczepiłoby się mechanizm dzielonej rzeczywistości, zyskałaby ewolucyjną przewagę nad resztą populacji. W efekcie pozostała część ludzkości musiałaby albo także ulec, albo przegrać w wyniku doboru naturalnego. Jednakże równania Dawkinsa mówią coś wręcz przeciwnego, Ahmedzie. Pokazałam nawet Davidowi symulacje. Bez względu na to jak się zdefiniuje tę „małą, początkowo izolowaną kolonię”, na poziomie genów zdolność jednostki do oszukiwania zawsze wygrywa z niezdolnością do oszukiwania.

- Znasz poezje Sadiego z Szirazu? - spytał Bazargan w zamyśleniu. - Pozwól, że dokonam wolnego tłumaczenia...

Ludzkie istoty są jak części ciała z jednego źródła wyrosłe, Kiedy którąś boli, inne nie zaznają spokoju.

Skoro widząc cierpienie innych, pozostajesz obojętny i nie smucisz się, Nie możesz się nazywać istotą ludzką.

Anna zagapiła się na niego. Bazargan nagle poczuł się głupio. Nie zamierzał

występować w obronie Davida Allena, który myślał jak czystej wody naiwniak. Nie zamierzał

też recytować poezji młodej ładnej kobiecie, która nie była jego żoną. To na pewno wina Świata z jego ciągle pachnącym powietrzem, bujnymi dojrzałymi ogrodami...

- Oby wasze kwiaty rozkwiatały i krzewiły się - rzekł od progu właściciel tego domostwa. Pojawił się wcześniej, niż zapowiedział.

Bazargan poczuł ulgę.

- Oby twoje ogrody cieszyły twoich przodków, Peku Voraturze.

Wymieniono kwiaty gościnności. Pekowi Voraturowi towarzyszyła jego żona wyglądająca na zaniepokojoną, była z nim również kobieta w kwiecistej tunice duchowieństwa i milczący Pek Rendżamor. Cała czwórka wtłoczyła się do laboratorium Anny z depczącą im po piętach Enlą. Oczywiście. Ta dziewczyna była niczym rzep. Bazargan nadal nie miał pewności, dla kogo ona pracuje ani jak może zachować to w sekrecie przed kimkolwiek połączonym dzieloną rzeczywistością. Czy takie zadanie nie przyprawiałoby jej o potworny ból głowy?

Miał nadzieję, że skan Lagerfelda przyniesie odpowiedzi na choć niektóre pytania.

Pek Voratur dokonał prezentacji. Następnie omiół spojrzeniem laboratorium, zatrzymując wzrok dłużej na skanerze, który spoczywał na zakrzywionej ławie. Było oczywiste, że brzydota sprzętu kłuje go w oczy, lecz grzeczność nie pozwalała mu wyrazić tej opinii na głos.

- Pek Sikorski - odezwał się Voratur. - Miałem nadzieję zobaczyć najpierw antyhistaminę. Jak już mówiłem Pekowi Bazarganowi, Pek Rendżamor ściągnął do swojej manufaktury uzdrawiaczy, którzy są gotowi naśladować wszystko, czego ich nauczysz.

Zamierzamy rozpocząć testy na ciałach Światan przed wieczorem.

- Bardzo mi przykro, Peku Voraturze - odparła Anna. - Zaabsorbowały mnie przygotowania do zrobienia zdjęcia twojego mózgu. Jak tylko się z tym uporamy, przyrządę antyhistaminę na oczach Peka Rendżamora.

Usatysfakcjonowany Voratur skinął głową. Alu Pek Voratur skubała szyjowłosa.

- Zdjęcie mózgu nie jest niebezpieczne?

- Nie, skądże - uspokoiła ją Anna. - No dobrze, możemy zaczynać. Peku Voraturze, gdybyś zechciał usiąść tutaj...

Korpulentny kupiec zasiadł na obszernej poduszce plecami do ławy ze skanerem.

Anna umocowała mu na głowie hełm, który samoistnie dopasował się do sklepania czaszki, czoła i karku, pozostawiając twarz odkrytą. Mimo iż nie była to dziedzina, w której specjalizował się szef ekspedycji, Bazargan wiedział, że setki miniaturowych elektrod równocześnie wślizgują się na swoje miejsce, otaczając łysą głowę Voratura, i przylegają do jego skóry pod szyjowłosami. Małe igły z kropelką środka znieczulającego pobiorą przy okazji próbki krwi, płynu mózgowo-rdzeniowego, nawet potu. Jednakże najbardziej użyteczne dane będą pochodzić z głównej części skanera Lagerfelda, który umożliwił

zobrazowanie niemal neuron po neuronie budowy żywego mózgu. Co więcej, ostateczny rezultat pokaże, które komórki były aktywne, jakie neuroprzekaźniki zostały uwolnione, gdzie pojawiły się nowe wzorce neuronalne. Regulacja dokowania receptorów, wychwyt zwrotny transmiterów, kaskada enzymów, metabolizm i produkty uboczne... wszystko to rejestrowały czujniki skanera, urządzenie poddawało dane wielopłaszczyznowej analizie, po czym wyprowadzało tłumaczące je równania i wzory. Praktycznie robiło wszystko z wyjątkiem syntetyzowania leków i przyklejania etykiet. Bez skanera Lagerfelda medycyna nadal tkwiłaby w wiekach średnich.

Bazargan przeszedł pierwszy skan Lagerfelda w wieku osiemnastu lat, kiedy zgodnie z prawem mógł rozpocząć stosowanie Dyscypliny. Wyniki tego badania stanowiły bazę wyjściową dla receptury jego osobistej mieszanki, swoistą identyfikację, specyficzną podobnie jak linie papilarne czy wzór siatkówki oka, ukazującą, w jakim zakresie jego mózg pracuje optymalnie, a gdzie wymaga biochemicznego wsparcia. Każdy osiemnastolatek, który mógł sobie na to pozwolić, wykorzystywał rezultaty skanu Lagerfelda i w ciągu kolejnych paru lat rozpracowywał skład mieszanki neurofarmaceutyków pozwalający na funkcjonowanie na najwyższych obrotach.

Bazargan miał w nosie cały ten proces. Oczywiście korzystał z niego na studiach i robiąc doktorat, gdyż inaczej nie sprostałby konkurencji kolegów. Od tamtej pory jednak zaniechał stosowania porannej dawki przygotowującej organizm na sprostanie wyzwaniom dnia. Wiedział, że postępuje nierozsądnie. Ale jak miał się rozsądnie sprzeciwić narzucanej sztuczności, skoro jego własna dziedzina nauki, antropologia, na każdym kroku podkreślała, jak bardzo sztuczne są wszystkie wytwory ludzkiej cywilizacji i kultury? Bazargan czuł

niesmak do wspomagania neurofarmaceutycznego. A może chodziło nie tyle o niesmak, ile o dumę. Wyniki jego jedyne go skanu Lagerfelda wykazały dziewięćdziesięcioośmioprocentową stabilność osobowości.

Alu Pek Voratur roześmiała się na widok męża w hełmie.

- Kwiecie mego serca, wyglądasz w tym czymś jak żuczek... Jak żuczek z gładką twardą zieloną głową!

Voratur lekceważąco machnął pulchną ręką.

- Tak, tak... Najważniejsze, że nie stanie mi się żadna krzywda, kiedy zaczniemy.

- Już zaczęliśmy, Peku Voraturze - oznajmiła Anna. Bacznie obserwowała ekran urządzenia, gdzie przemykały wykresy i linie, które Bazarganowi nic nie mówiły.

W tej samej chwili kapłanka, uzdrowiacz, oboje Voraturowie i Enla rozpoczęli inkantację. Bazargan nie spostrzegł żadnego sygnału; pięcioro Światan po prostu zaczęło naraz nucić. Cóż, dzielona rzeczywistość.

- Ciszej, proszę! - powiedziała Anna, po czym zreflektowała się i powtórzyła to samo po światańsku.
- Będę chciała zadać ci parę pytań, Peku Voraturze. O, proszę. Już mamy początkowy odczyt.

Inkantacja opadła do cichego monotonnego zaśpiewu. Najczęściej przewijało się oczywiście słowo „kwiat”. Po paru chwilach Bazargan rozpoznał jej przeznaczenie - było to rytualne błogosławieństwo udzielane osobie, która podjęła się ryzykownej aktywności, takiej jak schodzenie po ścianie klifu w poszukiwaniu ptasich gniazd. Szef ekspedycji uśmiechnął

się do siebie.

- Peku Voraturze - przemówiła znów Anna, starannie artykułując światańskie słowa -

pokażę ci teraz kilka przedmiotów i zadam różne pytania, aby zobaczyć, jak zmieni się obraz twojego mózgu. Czy mógłbyś, proszę, powąchać ten kwiat?

- Z przyjemnością - odrzekł Pek Voratur. Głos miał radosny jak zwykle, ale sztywność pod hełmem sterczała mu na sztorc. Takie badanie musiało być dziwnym przeżyciem dla kogoś, kto niezmiernie rzadko spotykał się z czymś nieznanym wcześniej w dzielonej rzeczywistości. Bazargan pomyślał, że Światanie są na swój sposób odważni.

- Dziękuję - powiedziała Anna. - A teraz... czy mógłbyś pomyśleć o swoich dzieciach?... Doskonale. Pomyśl jeszcze o strasznym wypadku, spadasz z roweru i łamiesz kark... Dobrze. Teraz jeszcze wyobraź sobie, że odnosisz wielki sukces na rynku dzięki antyhistaminie...

Sesja trwała. Hadził Pek Voratur pocił się, mimo że w pomieszczeniu nie było gorąco.

Alu Pek Voratur martwiła się o niego coraz bardziej. Śpiew znów przybrał na sile. Gdy Bazargan zaczął się już obawiać, że napięcie sięga zenitu, Anna przerwała ciszę:

- To wszystko. Dziękuję, Peku Voraturze.

Zdjęła badanemu hełm z głowy, a on poderwał się na nogi jak zwolniona sprężynka.

- Świetnie, świetnie, nic trudnego! - wyrzucał z siebie szybko słowa. Krople potu lśniły na jego zaczerwienionej twarzy, musiał też kilkakrotnie zamrużyć.

Bazargan domyślał się, że Voratura trapi koszmarny ból głowy. Dyskretnie ustawił się pomiędzy kupcem a skanerem, zasłaniając urządzenie.

- Bardzo ci dziękujemy, Peku Voraturze. Teraz Pek Sikorski pokaże ci, jak przygotować

antyhistaminę.

- Tak, tak, ale niech pokaże Pekowi Rendżamorowi, to on jest uzdrowiaczem.

- Chodź, kwiecie mego serca, musisz się położyć - powiedziała Alu Pek Voratur do męża.

- Nie trzeba, nie trzeba, najdroższy pączku - zapewnił ją prędko, ale pozwolił, by go wyprowadziła za łukowato sklepione wejście. W progu odwrócił się jeszcze i rzekł: - Enlo, podarunek!

Dziewczyna podniosła się z poduszki i opuściła pomieszczenie. Ona także - co Bazargan zauważył dopiero teraz - była mocno zaczerwieniona. Czyżby ją też bolała głowa?

Za moment wróciła, niosąc naręcze róż. Różowych.

Bazargan zamarł. Te róże nie miały prawa istnieć. Dotrzymał umowy z Voraturem, zastępując napromieniowane sterylne róże żywotnymi nasionkami - ale wyłącznie czerwonych róż. Rośliny krzewiły się przez dwa pokolenia. Następnie uaktywnił się zabójczy gen, uniemożliwiając dalszą hodowlę. To powinno zakończyć historię ziemskich róż -

jakiegokolwiek koloru - na Świecie. Tymczasem miał przed sobą świeżo zerwane róże, najprawdopodobniej efekt mozolnego ręcznego zapylenia krzyżowego pomiędzy ziemskimi czerwonymi różami a jakimś białym kwiatem, którego geny odpowiadające za wygląd zewnętrzny były recesywne. Jakim cudem tutejsi ogrodnicy odnieśli sukces? I czy te różowe hybrydy są płodne?

Anna zrobiła równie zaskoczoną minę. Zaraz jednak wystąpiła do przodu i złożyła rytualne podziękowanie. Wielką niedelikatnością byłoby pytać o metodę hodowli kwiatów, które Światanin składał w darze. Przypominałoby to zapytanie o życie intymne gospodarza.

Bazargan musiał uzbroić się w cierpliwość, jeśli chciał poznać szczegóły powstania tych róż.

- Wasze kwiaty rozkwitły w mym sercu - rzekł Voratur z naciskiem. Po tych słowach Alu Pek Voratur powiodła go w stronę ich kwater.

Anna wstawiła kwiaty do wazonu i natychmiast zwróciła się do uzdrowiacza i kapłanki oczekujących na jej instrukcje. Oraz oczywiście do Enli.

Bazargan zbliżył się do wazonu i potarł jeden z różowych płatków. Pod palcami poczuł śliskość, żywy aksamit, w nozdrzach zaś intensywny zapach. Ponownie znalazł się w matczynym ogrodzie w Isfahanie. Znów był małym chłopcem, którego brał na ręce laleń, łagodny służący będący na wpół piastunką, na wpół ochroniarzem, znów wahał matczyne perfekcyjne genetycznie modyfikowane róże rozkwitające między granatowcami i migdałowcami.

Teraz róże występowały na Świecie. Nie było sposobu, żeby je usunąć. Podobnie jak nie dało się już wymazać z powierzchni Świata antyhistamin. Teoria mówiąca, że można wprowadzić na obcą planetę zmiany kulturowe, nie wprowadzając zmian biologicznych, nie sprawdziła się. Przynajmniej na Świecie, gdzie myślący i czujący tubylcy byli równie przebiegli jak Medyceusze.

Bazargan poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Ignorując to, usiadł, by przyglądać się pracującej Annie, którą już bacznie obserwowała niestrudzona miejscowi dziewczyna imieniem Enla.

Nazajutrz Anna miała gotową analizę wyników skanu Lagerfelda. Bazargan podejrzewał, że musiała spędzić noc na nogach po całym dniu poświęconym zapoznawaniu uzdrowiacza Rendzamora z podstawowymi technikami laboratoryjnym. Gdy ujrzał ją rano, spostrzegł na jej twarzy ów charakterystyczny wyraz będący mieszaniną znużenia i podniecenia, które towarzyszą największym i najbardziej znaczącym odkryciom. Pomimo dręczących go obaw co do ich miejsca na Świecie poddał się urokowi chwili.

- Mamy to! - powtarzał David Allen. Był równie podekscytowany jak Anna, aczkolwiek wcześniej trochę się dąsał z powodu przegapienia samej sesji. - Mamy tego skurczybyka przyszpilonego, rozsekcjonowanego i opisanego!

- Niech Anna wszystko opowie - wtrącił się Dieter Gruber, który zdążył już dojść do siebie po zakrapianym celebrowaniu własnych odkryć w górach Neury. - Tylko Anno... miej litość dla niebiologów, dobrze?

- Dobrze - przystała zgodnie Anna. - Wy z kolei musicie pamiętać, że to tylko bardzo wstępna analiza. Daleka od opisanego, rozsekcjonowania i przyszpilenia tego skurczybyka, Davidzie...

Allen wyszczerzył zęby. Bazargan poprawił się na poduszce. Zebrali się w jego prywatnej kwaterze przesyconej zapachem czegoś, co właśnie rozkwitło w ogrodzie za oknem. Poduszka była pięknie zaoblona, ale jej krągłości nie pasowały do zaokrągleń szefa ziemskiej ekspedycji. Raz jeszcze zmienił pozycję, szukając wygodniejszej.

- Skan, jak przewidywaliśmy, wykazał budowę mózgu całkowicie zbieżną z naszą -

zaczęła Anna. - Ktokolwiek „zasiał” Galaktykę człękkształtnymi formami życia, uczynił to stosunkowo późno. Pośród Światan, Kandian, Atwarian i Blikian występują tylko nieznaczne różnice w anatomii centralnego układu nerwowego i wszystkie wpasowują się w możliwy scenariusz naturalnego rozwoju z prawdopodobieństwem sięgającym dziewięćdziesięciu pięciu procent. Aczkolwiek Fallerowie to zupełnie inna bajka.

- O ile nam wiadomo - wtrącił Gruber. Ksenobiolodzy przeprowadzili sekcję martwych Fallerów, jednakże nikt nie badał ich przed śmiercią. Wróg nie pozwalał wziąć się żywcem.

- Zgoda - potwierdziła Anna. - W każdym razie mózg Voratura wykazuje tylko dwie różnice w porównaniu z ludzkim. Jedna wiąże się z pewnym hormonem biorącym udział w procesie trawienia... bo wszyscy chyba wiecie, że natura jest oszczędna, często wykorzystuje te same substancje do funkcji wegetatywnych i przenoszenia sygnałów w układzie nerwowym?

- Nie - burknął Dieter.

- Tak - przyznał Bazargan.

- Nieważne! - irytował się David Allen. - Mów dalej !

- Różnica w hormonach trawiennych wiąże się najprawdopodobniej z różną dietą na Ziemi i na Świecie. Dzięki temu, że dieta częściowo się pokrywa, jesteśmy w stanie trawić niektóre tutejsze składniki pokarmowe. Można się domyślać, że Światanie poradziliby sobie z podobną częścią ziemskiego pożywienia. Druga różnica dotyczy oczywiście fenomenu dzielonej rzeczywistości.

Anna przerwała, zwilżyła językiem wargi, zamyśliła się i przejechała dłonią po włosach. Bazargan rozpoznał symptomy charakterystyczne dla każdego naukowca, który rozpaczliwie się zastanawia, jak uprościć kwestie techniczne, aby laicy mogli je zrozumieć

- Pozwólcie, że zacznę od przypomnienia podstaw - podjęła po chwili. - Działanie mózgu opiera się zarówno na przewodnictwie elektrycznym, jak i chemicznym. Przy czym przewodnictwo elektryczne jest ważniejsze. Bodziec powoduje, że miliony neuronów w rozmaitych częściach mózgu ożywiają się równocześnie. Bodziec może być albo zewnętrzny, czyli przewodzony za pomocą zmysłów: wzroku, słuchu, powonienia lub dotyku, albo wewnętrzny, czyli na przykład wspomnienie lub zamiar. Może być również kombinacją obu tych rodzajów, jak w wypadku Voratura myślącego o czymś, czego nigdy nie doświadczył: o spadnięciu z roweru i złamaniu karku. W tym bodźcu wypadek był wyobrażony, ale mój głos, którym wyrażałam symbole lingwistyczne, jak najbardziej rzeczywisty... - Powiodła wzrokiem po słuchaczach, by sprawdzić, czy nadążają za tokiem jej wywodu. - Bodziec bez względu na rodzaj powoduje, że neurony uaktywniają się w pewnym rytmie, nie wyłączając szczególnego zsynchronizowania zwanego oscylacją gamma. Trwa ono nie dłużej niż jedną czwartą sekundy, lecz zsynchronizowanie oscylacji w oddalonych od siebie partiach mózgu pozwala nam, ludziom, postrzegać myśli jako spójną całość. Tymczasem tak naprawdę myśl jest milionem odrębnych impulsów elektrycznych w różnych częściach mózgu: w polach czuciowych, polach ruchowych, ośrodku pamięci, ośrodku świadomości i tak dalej. Dzięki oscylacji gamma człowiek odbiera myśl jako pojedynczy obraz, na przykład przerażający bolesny obraz spadania z roweru i łamania karku. W skali makro liczy się wzorzec tego uaktywniania. Czy wyrażam się jasno?

- Tak - potwierdził Bazargan. - Kontynuuj.

- Dobrze. - Oczy znów jej się zaszkliły, kiedy ubierała trudne pojęcia w zrozumiałe słowa. - A oto co się dzieje na poziomie biochemicznym. Na każdym nerwie uaktywniony impuls elektryczny wywołuje toroidalne pole elektryczne, którego osią jest tenże nerw.

Przemieszczające się pole dosięga końca nerwu, poza którym jest bardzo mała przestrzeń oddzielająca końcówkę jednego nerwu od początku drugiego.

- Synapsa - wyrzucił z siebie Gruber i spęczniał z dumy.

Anna uśmiechnęła się do niego.

- Zbyt to upraszczam, prawda?

- Nawet jak dla takiego prymitywnego geologa jak ja. Profesor Kwiatuszku -

odpowiedział Gruber przekornym tonem, który zwrócił uwagę Davida i sprawił, że chłopak spojrział ostro na Niemca, marszcząc przy tym brwi.

Anna wyjaśniała dalej.

- No więc na końcu każdego nerwu znajduje się struktura zwana kolbką presynaptyczną. Wygląda ona jak maciupeńka sztywna koronka w miniaturowej piramidzie.

W oczkach tej koronki tkwi trzydzieści do czterdziestu baloników zwanych pęcherzykami synaptycznymi i dopiero one są wypełnione neuroprzekaźnikiem. Niektóre kolbki zawierają dopaminę, inne serotoninę, jeszcze inne peptydy hamujące ból i tak dalej, i tak dalej...

dosłownie wszystko, co twoje biomonitory mieszają każdego dnia rano, przygotowując ci Dyscyplinę, Davidzie. - Bazargan dostrzegł, że chłopak kiwnął głową zadowolony z uwagi Anny. - Kiedy impuls elektryczny dociera do kolbki presynaptycznej z czekającymi pęcherzykami neuroprzekaźnika, powoduje otwarcie kanałów wapniowych znajdujących się w błonie kolbki synaptycznej. W efekcie następuje uwolnienie do synapsy jednego i tylko jednego pęcherzyka. To sprawia, że uaktywnia się impuls nerwu po drugiej stronie synapsy i w rezultacie dochodzi do chemicznej kaskady. A jak wiadomo, żywym organizmem sterują związki chemiczne. To one uwalniają energię, gdy jest potrzebna, to one pobudzają komórki mięśniowe i sterują przepływem krwi, to one podnoszą poziom adrenaliny i decydują o naszym humorze. Wszystko to dosyć dobrze poznaliśmy. Tylko że poznanie części składowych nie oznacza zrozumienia całości. Szczególnie jeśli całość zdaje się znacznie przekraczać sumę części.

Bazargan zauważył sucho:

- Całkiem jak w wypadku kultury.

- To dla mnie nazbyt subtelne - mruknął Gruber.

Nie spuszczaający go z oka David Allen skomentował pod nosem:

- Właśnie dlatego powinieneś się trzymać swoich kamieni...

Bazargan się zniecierpliwiał. Ani Gruber nie był taki głupi, za jakiego chciał uchodzić, ani Allen taki wojowniczy. Obaj się popisywali. Czyżby przed Anną?

Nagle się zastanowił, czy członkowie jego zespołu aby na pewno zażywają supresanty popędu seksualnego.

Anna nie dała się zbić z tropu.

- Oto przykładowy aspekt pracy mózgu, którego nie rozumiemy. Gdy impuls elektryczny dociera do kolbki presynaptycznej, ma określone stałe napięcie, takie samo we wszystkich neuronach. Tymczasem raz powoduje uwolnienie neuroprzekaźników, a drugi raz nie. Prawdopodobieństwo ich uwolnienia waha się od zero koma siedemnaście do zero koma sześćdziesiąt dwa, zależnie od rodzaju neuronu. Nikt nie wie, z czego to wynika.

- Jaka mała jest ta koronka, o której mówiłaś? - zapytał Gruber. - Zeszliśmy już do skali atomowej?

- Tak, i z tego wynika problem. Kiedy mówimy o jonach wapnia, skala jest już właściwie kwantowa. Badanie zostaje utrudnione, gdyż próba pomiaru wpływa na wynik. Jest nawet teoria, według której wynik zaburzają wydarzenia mentalne.

- Teraz i ja się zgubiłem - oświadczył Bazargan.

- Nic dziwnego. Mówiąc w skrócie... i naprawdę przez cały czas o skanie Voratura!...

chodzi o coś takiego. Osoba myśli o czymś zupełnie niepowiązanym z bodźcem zewnętrznym. Powiedzmy, siedzicie w ciemnym pokoju i rozmyślcie o kimś, kogo pozostawiliście na Ziemi. O ukochanej. I ukochana ni z tego, ni z owego pojawia się przed waszymi oczami. Nawet czujecie jej zapach. Reagujecie na ten obraz całym ciałem, fizycznie.

Ale gdzie to się zaczęło? Od wspomnienia w mózgu, które powstało w niezidentyfikowanej lokalizacji i praktycznie było pozbawione energii. Coś takiego naukowcy nazywają wydarzeniem mentalnym. I właśnie to нефizyczne wydarzenie wywołuje cały szereg reakcji, najpierw elektrycznych, a potem także, choć nie zawsze, chemicznych. - Anna przerwała dla zaczerpnięcia tchu. - Na czym ono polega? Dlaczego kolbki presynaptyczne czasami uwalniają pęcherzyki, a czasami nie, mimo że napięcie jest zawsze takie samo? Co się dzieje w skali atomowej? Jeszcze tego nie wiemy.

Przypominanie „podstaw” trwało wystarczająco długo jak na gust Bazargana. Dlatego spytał:

- Ale Anno... jak się to wszystko ma do skanu mózgu Voratura? I jaka jest ta druga istotna różnica między jego mózgiem a ludzkim?

Ksenobiolożka uśmiechnęła się do niego.

- Poniosło mnie, prawda?

- Nie! - zaprzeczył żywiołowo Allen. - To wielka ulga widzieć naukowca, który nie traktuje twardych danych jak komedii! - Posłał Gruberowi nieprzychylnie spojrzenie, lecz Niemiec nawet tego nie zauważył.

- Mózg Voratura - przypomniał cierpliwie Bazargan.

- Tak. No dobrze. Budowa anatomiczna jest taka sama jak u nas. Ścieżki neuronalne w wypadku przywołanych emocji również niczym się nie różnią od naszych. Oscylacja gamma jest identyczna z naszą. Podobnie jest z napięciem, składem chemicznym neuroprzekazników i resztą. Jedyne prawdziwa różnica, którą wykazał skan Lagerfelda, polega na podwyższonej aktywności w tylnobrzusznoprzyśrodkowym kresomózgowiu oraz w jądrze półleżącym.

Allen ożywił się natychmiast.

- A dokładniej?

- Wspomniana część kresomózgowia to niewielka struktura znajdująca się za mostkiem nosa, która...

- Przecież to tam odczuwają ból głowy! - zapiał Allen.

- Owszem, ale nie ta struktura go powoduje. To znaczy tak, powoduje o tyle, że uwalnia wywołujące ból transmitery, lecz robi to, kiedy dostanie informacje z wielu innych części mózgu. Jako jedna z nielicznych łączy się bezpośrednio z podwzgórzem, które inicjuje reakcję na stres. Jednakże chcę powiedzieć z całą stanowczością, że tylnobrzusznoprzyśrodkowe kresomózgowie nie jest siedliskiem dzielonej rzeczywistości. Tam tylko bierze początek kaskada transmiterów stresu, kiedy rzeczywistość nie jest dzielona, lub przyjemności, kiedy jest.

- Gdzie zatem jest siedlisko dzielonej rzeczywistości? - zainteresował się Gruber.

- W tym rzecz, że go nie ma! W kolbkach presynaptycznych Światan są uwalniane inne ilości neuroprzekaźników niż u ludzi. Ale bodziec wywołujący ich uwolnienie, czyli napięcie impulsu elektrycznego, jest dokładnie takie samo! Identyczny bodziec, identyczny proces, a jednak odmienny rezultat! To się nie trzyma kupy!

Bazargan wtrącił nieśmiało:

- Oczywiście wykluczyłam patogeny, szkodliwe działanie środowiska, różnice w die...

- Tak, oczywiście, że je wykluczyłam! - wpadła mu w słowo Anna z niezwykłą dla niej gwałtownością. - Każdy z tych czynników byłby widoczny na skanie!

Gruber się wyszczerzył.

- Zatem tajemnica? Czynniki X. Duchowa fala radiowa, niewidoczna wymiana danych między osobnikami...

Allen spiorunował go wzrokiem.

- Nie bądź śmieszny.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Anno - odezwał się znowu Bazargan. -

Zgromadziłaś ogromną ilość informacji. Może z czasem uda ci się je połączyć w sensowną całość.

Uśmiechnęła się do niego ze znużeniem.

- Chciałam to zrobić teraz. Tymczasem nic się nie sumuje... Popatrzcie na to!...

- Na co? - zdziwił się Bazargan.

- Na tego życiodaja - odparła Anna i szef ekspedycji dopiero teraz wypatrzył podobne do owada stworzenie siedzące na jej nagim ramieniu, tuż obok paska podtrzymującego tunikę.

Okna na Świecie były wiecznie otwarte. Życiodaj złożył przezroczyste skrzydła i uczeplił się skóry Anny za pomocą malutkich przysawek. Żółte ciało było lekko luminescencyjne. -

Zawsze siadają daleko od głowy. Ziemiańska, Światnia, wszystko jedno. Miałam nadzieję, że skan wykaże jakieś logiczne wyjaśnienie tego, może pole elektryczne generowane przez mózg, które się kłóci z polem elektrycznym emitowanym przez życiodaja. Tymczasem nic takiego nie znalazłam.

- Jeszcze jedna tajemnica - stwierdził Bazargan. - Przynajmniej na razie. Skupmy się na tym, czego się dowiedzieliśmy. Ból głowy Światan zaczyna się wtedy, gdy zostaje pogwałcona dzielona rzeczywistość?... I jest to faktyczna udokumentowana reakcja fizjologiczna?

- O, tak - odparła Anna. - Ale nie zapominaj, że nawet u ludzi związek między fizjologią emocjonalną a oceną moralną jest bardzo skomplikowany. Weźmy psychopatę.

Ktoś taki dopuszcza się niemoralnych czynków, takich jak morderstwo, ponieważ nie ma współczucia dla ofiary. Światanie są przeciwieństwem psychopatów. Występuje u nich coś, co można by określić nadmiernym związkiem między fizjologią emocjonalną a poczuciem moralności. W pewnym sensie jest to zachowanie wyuczone: dzieci indoktrynuje się społecznie, aby w określony sposób okazywały wstręt i ból, kiedy inni gwałcą przyjęte zwyczaje. Niemniej wstręt i ból są prawdziwe. Dzielona rzeczywistość ma solidne biologiczne podłoże.

- Zdobycz ewolucyjna - ocenił David. - Następny krok na drodze rozwoju gatunku ludzkiego!

- Ja tego nie powiedziałam - zastrzegła szybko Anna.

- Twoje odkrycia to sugerują.

- Nie, Davidzie, wcale nie. Ja tu mówię o biologii, a nie szafuję opiniami.

Allen zmarszczył czoło, Bazargan zaś pojął, że chłopak nie widzi między tymi dwiema rzeczami większej różnicy.

- Pytanie sprowadza się do tego - odburknął David - czy jesteśmy w stanie sprokurować ten fenomen w ludziach. Procesy fizjologiczne opierają się na białkach, a białka są kodowane genetycznie. Powinno się więc dać bez trudu włączyć odpowiednią sekwencję łańcucha DNA...

- Co takiego? - zdębiał Gruber. Bazargan zdał sobie sprawę, że geolog po raz pierwszy zetknął się z wariacką teorią młodszego kolegi.

Anna zaprotestowała ze znużeniem:

- Davidzie, już ci mówiłam... Nie ma żadnych znaczących różnic w genomie.

Cokolwiek dzieje się w mózgu Światan, dzieje się przy tym samym wsadzie i przy wykorzystaniu tego samego osprzętu co w naszym wypadku. Właśnie dlatego tak mnie dziwi odmienny rezultat.

David milczał. Zamiast odpowiedzieć, wyjrzał z zamyśloną miną przez łukowate okno. Szeł

ekspedycji wiedział - z taką jasnością, jakby chłopak odezwał się głośno - że David Allen odrzucił argumenty Anny. Nie wierzył, że dzielona rzeczywistość nie jest przypisana ściśle określonej, tyle że jeszcze nie odkrytej sekwencji genów. Pragnął, aby istniał fragment kodu genetycznego, który można by wyciąć z komórki Światanina i wlepić do komórki Ziemianina. Pragnął tego tak mocno, że przekonał sam siebie o jego istnieniu.

Bardzo niebezpieczny sposób myślenia - i to nie tylko dla Davida.

Allen przemówił dopiero po dłuższej chwili:

- Jak możemy się dowiedzieć więcej? Zakładając, że DNA jest jednak kluczem, jaki powinien być następny krok?

Anna straciła w końcu cierpliwość.

- Poddać sekcji mózg Światanina, wyciąć dzieloną rzeczywistość i przetransplantować ją do mózgu człowieka!

Bazargan wkroczył do akcji. Odezwał się uspokajającym tonem:

- Anno, co jeszcze chcesz nam dzisiaj powiedzieć? Czy skan Lagerfelda odsłonił przed nami coś jeszcze?

- Czy ja wiem... A, tak... chociaż nie, to nieistotne... Ale... chwileczkę... nie, chyba nie...

- Jesteś wykończona, moja droga - powiedział do niej łagodnie.

- Wystarczy, Anno. - Gruber przejął od niego pałeczkę. Podniósł się z poduszki, objął koleżankę ramieniem. - Kiedy ostatnio jadłaś, *Liebchen*?

- Nie pamiętam. Wczoraj rano? Nic mi nie jest, po prostu trochę mi słabo...

- Świetny powód, żeby coś zjeść i przespać się trochę - oświadczył Gruber. - Na razie, chłopaki.

Wyprowadził Annę przez łukowate wejście, wciąż obejmując ją w pasie, i powiódł w stronę jej kwatery. David patrzył za tą parą ze skrzywioną miną.

- Jakim prawem podejmuje za nią decyzje? - zapytał. - Kto go upoważnił?

- Może Anna - podpowiedział Bazargan i zaraz tego pożałował. Chłopak musiał mu działać na nerwy, podobnie jak komary musiały gryźć. Jako szef ekspedycji powinien być ponad kąsanie komara. - Wybacz, Davidzie - dodał szybko. - Chyba też jestem przemęczony.

To było udane spotkanie, prawda? Czy to, co mówiła Anna, wpasowuje się w twoje obserwacje rozwoju dziecka w łądze?

- Idealnie.

- To dobrze. Co dzień wszyscy się czegoś uczymy. A teraz, jeśli pozwolisz...

David natychmiast wstał i wyszedł, a o jego niezadowoleniu świadczyły wyłącznie zaciśnięte wargi. Bazargan zaciągnął lekkie zasłonki na łukowatych oknach. Poczłł, że boli go głowa.

Nie był w nastroju, aby przyznać, że i jego ból głowy - przynajmniej w pewnym sensie - wynika z różnic w odbieraniu rzeczywistości.

Filoktet, uznany bohater z czasów wojny trojańskiej, miał cudowny łuk, który nigdy nie chybiał celu, i równocześnie jątrzącą się ranę od ukąszenia węża, która Przysparzała mu wiecznego cierpienia. Jedno było ceną drugiego. Gdyby wyleczył ranę, utraciłby niezawodną broń.

Tylko czy dzielona rzeczywistość, uniemożliwiająca jednostce pełną niezależność, była tak naprawdę raną czy łukiem?

David Allen nie miał wątpliwości. Ahmed Bazargan był nimi przepelniony. Połknął tabletkę od bólu głowy i rozłożył posłanie. W późniejszej wersji mitu o herosie, jak sobie mgliście przypominał, Filoktet został uleczony z rany. Na tym polegał

problem ze starymi opowieściami. Zmieniały się z czasem. I człowiek sam nie wiedział, w co wierzyć.

Bazargan leżał w zaciemnionym pokoju i czekał, aż ból głowy minie.

10

Rafkit Seloe

- Na pewno to właśnie usłyszałaś? - zapytał Pek Nagredil.

- Tak - potwierdziła Enla.

- Zaczekaj tutaj.

Pek Nagredil wyszedł, zostawiając ją samą w zagraconym gabinecie. Dziewczyna usiłowała dojść do ładu z tym, czego jest pewna, a czego nie.

Taki wpływ mieli na nią Ziemianie.

Tym razem deszcz nie padał. Odnosiła wrażenie, że lało przy okazji wszystkich jej poprzednich wizyt w Rafkit Seloe. Dziś jednak oślepiające światło słoneczne wlewało się przez otwarte okna, kąpiąc wszystko w miękkim pomarańcu. Właśnie zaczęła kwitnąć ralibiba i w powietrzu wisiał intensywny zapach drobnych białych kwiatów wiszących setkami z każdej gałęzi. Pod ralibibą wiodła allabeniriba. Wkrótce ogrodnicy zetną jej łodygi tuż przy ziemi, szykując krzewy do kolejnego kwitnienia.

W ogrodzie Voratura wykopano allabeniribę, aby uczynić miejsce dla ziemskiej rosiby.

Enla sięgnęła do kieszeni tuniki i zażyła kolejną pigułkę na ból głowy. Obecnie brała ich dziesięć do dwunastu dziennie. Pek Nagredil uprzedzał ją, aby brała najwyżej osiem, lecz osiem nie powstrzymywało bólu. Gdybyż tylko to zadanie dobiegło końca. Już niedługo, oby to było już niedługo...

Gdy zadanie dobiegnie końca, Ziemianie umrą. Z powodu tego, co usłyszała, Enla będzie narzędziem ich śmierci, podobnie jak była nim w wypadku Tabora. Pek Sikorski, która okazała jej tyle dobroci. Pek Gruber, którego ledwie знаła... Czy wolno oceniać tych, których prawie się nie zna? Żaden kapłan z Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty by tego nie uczynił, ale w zwykłych sprawach sądzili członkowie lokalnego rządu zaznajomieni z osobami i okolicznościami... Pek Bazargan o spokojnym, stonowanym wyrazie twarzy. Pek Allen, niewątpliwie szalony, ale jakże czuły w stosunku do dzieci - i ziemskich, i światkańskich. No i dzieci Ziemian, te piękne małe pączki...

Enla zacisnęła mocno powieki. Jeszcze jedna pigułka? Nie, nie wolno przesadzać; w ciągu ostatnich paru minut zażyła aż trzy, jedną po drugiej. Kolejna by ją uspiła. A Enla nie mogła zasnąć, musiała złożyć raport. Głowa jej ciążyła na szyi, wewnątrz czaszki wydawało się jak kamień...

- Pek Brimmidin.

Enla otworzyła oczy. Pek Nagredil wrócił z dwoma osobami: uzdrowiaczem i duchownym. Enla chciała się uklonąć, zachwiała się przez to i nieomal upadła. Sługa Pierwszego Kwiatu pochwycił ją za ramię i podprowadził do poduszki.

- Usiądź, Pek Brimmidin. Napij się wody?

- Ja...

- Przynieś jej pelu. - Kapłan wydał rozkaz Pekowi Nagredilowi, a ten usłuchał bez szemrania. - Proszę, wypij to.

Pel rozgrzał ją trochę, przytłumił nieco ból głowy. Sprawił, że była w stanie dalej to znosić. Pel i silna ciepła dłoń kapłana na jej ramieniu.

- A teraz, kwiatuszku - ciągnął duchowny przyjaznym tonem - opowiedz nam, czego się dowiedziałaś o tych Ziemianach.

Enla upiła następny łyk pelu.

- Oni... oni zrobili zdjęcie mózgu Peka Voratura.

- Tak, wiemy - rzekł duchowny. - Wiemy też o rosibie, o manufakturze Peka Rendzamora i o badaniach antyhistaminy, tak że nie musisz się powtarzać. Pek Rendzamor przebadał swoich czterdziestu ochotników i teraz pierwsi Światanie zażywają antyhistaminę, słyszałaś o tym? Wszyscy zdają się całkowicie uleczeni z kwiatozy. Reagowali różnie, ale większość na ralibibę, jako że tym właśnie kwieciem Pierwszy Kwiat błogosławi nas o tej porze roku... - Kapłan przemawiał łagodnym

tonem, skacząc po tematach, dając Enli czas na zebranie się w sobie. Kiedy wzięła się już w garść, powiedział: - Ale jest coś jeszcze, Pek Brimmidin. Coś, o czym nasz drugi informator nas nie zawiadomił. Coś, o czym ty możesz wiedzieć, ponieważ twoja znajomość ziemskiego jest o wiele lepsza...

- Tak - odezwała się Enla. Czowała, jak powraca do niej odwaga i krąży w żyłach razem z pelem. - Tak.

- Czy to coś złego?

- Tak!

Kapłan złożył ramiona, przybierając pozycję Nowego Pączka.

- Jestem gotów to usłyszeć.

- Ziemianie... Oni...

- Mów, kwiatuszku. - Łagodność nadal była w jego tonie, ale teraz pobrzmiwał w nim też rozkaz.

Enla dokończyła:

- Oni chcą otworzyć głowy Światan i wyjąć z nich dzieloną rzeczywistość, aby móc ją przesadzić do własnych głów!

Pek Nagredil otworzył szerzej oczy. Enla domyśliła się, że dopadł go nagły ból głowy: z naciągniętej skóry pod powiekami, z zaciśniętych ust. Uzdrowiacz natychmiast przyłożył

ręce do jego czoła. Sługa Pierwszego Kwiatu samodzielnie zapanował nad bólem, szyjowłosa wyprężyły się i zaraz miękko opadły, chociaż grzebienie czaszkowe nadal pulsowały.

Powiedział:

- To niemożliwe.

- Oczywiście, że nie! - zakrzyknął uzdrowiacz. - Ale żeby pomyśleć coś takiego...

żeby móc pomyśleć coś takiego! Oni muszą być nierzeczywiści!

- Chwileczkę - odezwał się znowu kapłan. - Pek Brimmidin, jesteś pewna, że właśnie to słyszałaś? Które z Ziemian tak powiedziało?

- Najpierw Pek Allen - odrzekła Enla. Teraz, gdy straszliwa rzeczywistość była dzielona, jej ból głowy jakby zaczął ustępować. Ale tylko jakby. - A później, pięć dni temu, wszyscy o tym rozmawiali. Byłam w sekretnym miejscu w ogrodowym murze, tym, które pokazał mi Pek Voratur. Są tam cieńsze ściany, dzięki temu można usłyszeć, o czym rozmawiają goście. Oczywiście wszyscy wiedzą, że to stara kupiecka sztuczka, ale... - Enla ponownie przerwała. Ale czy Ziemianie o tym wiedzą? Jeśli nie, byłby to kolejny dowód na to, że jednak nie są rzeczywiści. Jeśli natomiast

wiedzą, dlaczego pozwolili jej podsłuchać swoje straszne plany?

- Napij się jeszcze parę łyków pelu, kwiatuszku.

Enla zrobiła, jak kazał duchowny, osuszając kubek do ostatniej kropli.

- A teraz mów dalej.

- Ziemianie rozmawiali o zdjęciu mózgu Peka Voratura. Pek Allen zapytał Pek Sikorski, czy dowiedziała się wystarczająco dużo, aby przesadzić dzieloną rzeczywistość do głów Ziemian. Odpowiedziała, że nie. Powiedziała, że najpierw...

- Zaczekaj - przerwał jej Pek Nagredil. - Muszę o coś zapytać. Rozumiesz ich język znacznie lepiej niż ktokolwiek z nas, Enlo. Ale czy wtedy rozumiałaś wszystkie słowa, jakich użyli? Co do jednego?

Enla zamachała rękami.

- Też się nad tym zastanawiałam, Peku Nagredilu. Bez końca. I to prawda, niektóre ze słów wydawały mi się dziwne. Ale nie na tyle, bym nie zrozumiała sensu. Za to jedno słowo rozumiałam bardzo dobrze. „Sekcja”. „Przeprowadzić sekcję”. To wyrażenie oznacza pocięcie rośliny albo zwierzęcia, aby można je zbadać. Pek Sikorski powiedziała...

powiedziała...

Trzej mężczyźni czekali: uzdrowiacz i urzędnik rządowy wyraźnie zaniepokojeni, z twarzami wykrzywionymi strachem; kapłan siedząc prosto, z oczami napełnionymi smutkiem.

Enla dokończyła:

Pek Sikorski powiedziała pozostałym, że musi przeprowadzić sekcję mózgu Światanina, aby przesadzić dzieloną rzeczywistość do ziemskiej czaszki.

Uzdrowiacz wydał zduszony okrzyk. Pek Nagredil na moment przymknął oczy, a potem sięgnął do mieszka przy pasie po pigułkę. Enla rozpoznała, że to ten sam rodzaj pigułek, jakie zażywała ostatnimi czasy. Och, gdybyż tylko to zadanie już dobiegło końca...

Uzdrowiacz przemówił gwałtownie:

- Zatem mamy dowód! Z całą pewnością nie są rzeczywiści!

- Chwileczkę - powiedział znowu kapłan i wszyscy zamilkli.

Upływały minuty. Enla czuła, jak ogarnia ją senność. A więc jednak wzięła za dużo pigułek. A może to efekt działania pelu. Albo tylko ulga, że dzieli rzeczywistość z tymi dobrymi ludźmi... Tabor powiedział raz...

Potrząsnęła nią czyjaś ręka.

- Jeszcze nie zasypiaj, Pek Brimmidin - mówił do niej łagodnie sługa Pierwszego Kwiatu. - Najpierw musisz odpowiedzieć na parę pytań. Nie, żadna pokuta nie jest potrzebna, po prostu mi odpowiedz. Jak Ziemianie mówią na podłogę?

Enla udzieliła odpowiedzi.

- A na mózg?

Ponownie odpowiedziała.

- A na sprawiedliwość?... Na rzeczywistość?... Na wyłączną uprawę osobistego ogrodu medytacji?

- Na to Ziemianie nie mają osobnego słowa.

- Nie mają czy raczej jeszcze go nie poznałaś?

- Nie wiem - przyznała Enla.

- Jak mówią na dziecko, które jeszcze nie zaczęło dzielić rzeczywistości?

- Niemowlę, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Na pewno? Jesteś absolutnie pewna?

- Nie - odrzekła Enla.

- A jak mówią na pączek, który już odsłonił kolor kwiatu, ale jeszcze nie kształt płatków?

Kapłan zarzucił ją kolejnymi dwudziestoma czy nawet dwudziestoma pięcioma słowami, domagając się w zamian ziemskiego określenia. Enla niektóre znała, o większości jednak nie miała pojęcia. Nie chcąc zasnąć, siedziała wyprostowana, jakby połknęła kołek. W

końcu musiała wbić paznokcie w miękkie ciało na wewnętrznej stronie ramienia. Kapłan to zobaczył.

- Wystarczy, kwiatuszku. - Zwrócił się do Peka Nagredila i uzdrowiacza. - Zna język Ziemian dobrze, ale w jej wiedzy są nierozwinięte pąki. Dlatego możliwe, iż zrozumiała to, co usłyszała. Oczywiście przekażę Wysokiej Radzie ten raport, niemniej nie potwierdzę, iż jest to w pełni rozkwitła wiedza. Pytanie w sprawie Ziemian nadal pozostaje bez odpowiedzi.

Pek Nagredil i uzdrowiacz wolno skinęli głowami. Ich twarze nieco się wygładziły.

Znowu myśleli to samo. Dzielona rzeczywistość powróciła.

Nawet do mnie, pomyślała Enla i poczuła, jak zalewa ją fala ciepła. Och, jak dobrze było znów być częścią rzeczywistości, wiedzieć to, co wiedzą inni, dzielić z nimi prawdę o Świecie, zamiast mieć przed nimi tajemnice. Całe jej ciało zareagowało na to uczucie, odprężyło się i straciło czujność. Och, jak było dobrze... Gdyby tylko Tabor mógł tutaj też być...

- Spij, kwiatuszku - usłyszała jeszcze łagodny głos i poczuła, jak czyjeś ciepłe ręce układają ją na dużej poduszce. Ktoś okrył ją kocem, z daleka dochodził szmer rozmowy niczym jednostajny szum muzyki podczas tańców... kiedy ogniska strzelają wysoko w górę, a dzieci bawią się i śmieją w rozgrzanym pachnącym wieczornym powietrzu...

Enla zasnęła. Nie słyszała, jak posłaniec rządowy wpadł do gabinetu Peka Nagredila podniecony tak bardzo, że zapomniał o kwiecie gościnności. Nie słyszała, jak mówił, że jeden z ochotników Peka Rendzamora przewrócił się i umarł w parę minut po tym, jak zażył

antyhistaminę. Nie słyszała, jak sługa Pierwszego Kwiatu zaczął inkantację ku czci duszy zmarłego zmierzającego po ukwieconej ścieżce ku swoim przodkom.

Mimo to monotony zaśpiew wypełnił jej sny.

11

Gofkit Jemloe

Znowu go wykluczyli. David dowiedział się o śmiertelnej reakcji alergicznej Światanina na antyhistaminę dopiero po tym, jak Anna, Bazargan i coraz bardziej działający mu na nerwy Dieter Gruber przedyskutowali to wydarzenie między sobą i ustalili, jakie działania podjąć. Sami, bez Davida. To w końcu jest czy nie jest członkiem zespołu badawczego?

Co gorsza, o decyzji poinformował go Gruber. Tenże Gruber, który nawet nie był

obecny podczas skanu mózgu Voratura, gdyż tak niefrasobliwie podchodził do własnego umysłu, że zalał się w pestkę na wcześniejszej ceremonii kwietnej Nafreta. A teraz jakby nigdy nic wparował do zjazdu, rozglądając się wokół z głupawym uśmiechem na twarzy.

Tak, głupawym. Zarozumiałym. Pełnym wyższości. Dlatego, że David zajmował się żywymi dziećmi, a on martwymi skałami? Geolog miał go chyba za mięczaka, nie za dorosłego mężczyznę. I kogoś takiego, zdaje się, wybrała Anna na swego partnera seksualnego...

Zaraz. Chwila. Wpadał w gniew, a przecież nie było powodów do gniewu. Musiał

ponownie zmienić skład mieszanki neurofarmaceutyków. Więcej serotoniny, więcej aktywatorów kory przedczołowej lewej półkuli, więcej blokerów kortyzolu...

- Davidzie? - zapytał Dieter Gruber. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Oczywiście - odwarknął David. - Właśnie mnie poinformowałeś, że jeden z poddawanych próbom klinicznym Światan Rendzamora zmarł z powodu reakcji alergicznej na antyhistaminę Anny.

- Tak. Pogrzeb odbędzie się w południe. Ahmed życzy sobie, abyśmy wraz z resztą domowników udali się na miejsce godzinę wcześniej. W mundurach galowych.

- Tutaj mówi się „pożegnalne całopalenie”, nie „pogrzeb”.

- Mój światkański znacznie ustępuje twojemu - wzruszył ramionami niezrażony Gruber.

Rozejrzał się po złązie. Nafret, jako w pełni rzeczywisty, został już oczywiście przeniesiony do głównego domostwa. Pozostałe dzieci, nie wyłączając Bonnie i Bena, bawiły się w jakąś szaloną grę w kąciku, który urządził im David. Na Świecie dziecięce zabawki były zawsze miniaturowymi wersjami przedmiotów służących dorosłym i obejmowały głównie strugane z drewna rowerki z maciupkami postaciami na siodełkach i sprzęty kuchenne, choć zdarzały się także lalki i figurki zwierząt hodowlanych. Nie brakowało też wszechobecnych kwiatów. Do tego David dodał nowe rzeczy, bardziej abstrakcyjne: pomalowane drewniane klocki wchodzące jedna w drugą plastikowe kule, dowolnych kształtów dmuchane baloniki, wytrzymałe jak stal i nieraz tak duże jak dzieci. Nowe zabawki zadziwiły dorosłych Światan.

Zaciekawieni pytali Davida, do czego służą. Czym są?

Kiedy już podzielono się rzeczywistością na temat tych odmiennych niefunkcjonalnych zabawek, wszyscy w wiosce przyjęli do wiadomości ich istnienie, jakby znali je od zawsze. Powszechnie uznano, że ziemskie zabawki są nieszkodliwe, nawet jeśli wyglądają dziwnie. Poproszono tylko Davida, aby kanciaste drewniane klocki, które matka Bonnie i Bena przywiozła ze sobą na Zeusie, zostały zmienione. Były zbyt brzydkie jak dla światkańskich dzieci, a brzydkie przedmioty miały zły wpływ na młode umysły. David poprosił zatem domowego stolarza o ścięcie kantów i wygładzenie rogów klocków, które zamieniły się w kule, torusy, przestrzenne parabole, nerki i przeróżne inne formy, które nie chciały już piętrzyć się jedno na drugim, za to dawały możliwość tworzenia znacznie bardziej interesujących i rozpadających się z większą łatwością stert.

Światkańskie dzieci z mety je pokochały. Nieposkromiona wyobraźnia maluchów, każąca zamieniać klocki w dzikie zwierzęta, a baloniki w góry, zdumiała dorosłych. David robił skrętnie notatki na temat dziecięcej wyobraźni sprzed okresu socjalizacji. Zamierzał

napisać poważny artykuł naukowy po powrocie na Marsa.

W tej chwili troje dzieci - Uvi, Grenol i nieopanowany Ben - skakało na balonach, piszcząc i śmiejąc się głośno. Celem zabawy, o ile jakiś w ogóle był, zdawało się wylądowanie na innym dziecku. Kolert Pek Gamolin, drugi guwerner, przyglądał się rozbrykanym maluchom, pilnując, aby żadnemu nie stała się krzywda. Bonnie, leżąca na pleckach pośrodku pomieszczenia, z zamyśleniem obracała w rączkach jaskrawożółty klocek niezidentyfikowanego falistego kształtu i nie zwracała najmniejszej uwagi na starą piastunkę, która zmieniała jej pieluchę z taką wprawą, jakby wychowywała niezliczone pokolenia Światan.

Kobieta ta, okrągłutka i emanująca spokojem, była ulubioną opiekunką dziewczynki.

Gruber przyglądał się tej scenie z wyrozumiałością. David jednak nie był

wyrozumiały.

- Pożegnalne całopalenie w ogóle nie powinno mieć miejsca! - powiedział zaczepnie. -

Czy Bazargan nie postarał się o zgodę na autopsję tego tubylca? Przecież to doskonała okazja, żeby zbadać zgubny wpływ ziemskiego farmaceutyku na światański mózg, a przy tym dowiedzieć się czegoś więcej o fenomenie dzielonej rzeczywistości!

Dieter Gruber przeniósł na niego uwagę.

- Chyba kpisz, Davidzie.

- Nie kpię! Nie traktuj mnie z góry!

Gruber przyjrzał mu się bacznie.

- Wcale nie traktuję cię z góry. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że w tej sytuacji pogwałcenie miejscowych zwyczajów pogrzebowych nie byłoby wskazane. Nawet ja to rozumiem, a Anna lubi mi powtarzać, że jestem nieczuły jak próżnia.

Mówił żartobliwie, lecz David i tak nie dał się udobruchać. Bo czy to nie był

doskonały przykład traktowania go z góry? A poza tym - niezbyt subtelnego przechwalania się zażyłą znajomością z Anną? Mimo to David zachował spokój.

- Posłuchaj, Dieter... Wiem, że miejscowy ceremoniał pogrzebowy wyklucza autopsję.

Jak może pamiętasz, jestem antropologiem. Nic jednak nie zmienia faktu, że druga taka okazja może się nie zdarzyć! Bazargan mógłby powiedzieć Voraturowi, że sekcja zwłok jest niezbędna, aby się dowiedzieć... och, czy ja wiem... aby się dowiedzieć czegoś nowego o antyhistaminie, dzięki czemu na dłuższą metę specyfik przyniósłby większe korzyści Światanom. Razem z Anną na pewno by coś wymyślili. Zastanów się, ile by nam to mogło powiedzieć o fizjologicznym podłożu dzielonej rzeczywistości!

Spojrzenie Dietera wwierciło się w twarz młodszego mężczyzny.

- Chciałbyś, żeby Anna i Ahmed okłamali Voratura? Wydawało mi się, że jesteś pełen podziwu dla dzielonej rzeczywistości, która eliminuje możliwość kłamstwa?

David poczuł, że się rumieni.

- To co innego! Potencjalna korzyść jest tak ogromna, tak... niespotykana...

Zmieszał się, i to w obecności Grubera! David prawie się ucieszył, kiedy Bonnie - już w świeżej pielusze - raczkując przypełzła do niego i ucałała się nogi.

- Witaj, maleńka - powiedział do niej po angielsku.

Odpowiedziała mu po światańsku, wyciągając don jeden z czerwonych obłych klocków.

- Moja kwiat.

David ukucnął, aby się z nią zrównać wzrostem.

- Nie, Bonnie. To nie jest kwiat.

Takie było kolejne obostrzenie narzucone przez tubylców. Żadna z abstrakcyjnych zabawek nie mogła udawać kwiatu. Tylko kwiat zabawka mógł być nazywany przez dzieci kwiatem.

- Moja kwiat! - powtórzyła dziewczynka z uporem, wydymając różane usteczka.

David delikatnie oswobodził klocek z jej kurczowo zaciśniętych paluszków. Podniósł z podłogi zabawkę kwiat, wypchaną i starannie zszytą allabeniribę, i podał dziewczynce.

- To jest kwiat, maleńka - rzekł po światańsku.

Bonnie popatrzyła na klocek w jego dłoni. Nie zmieniając wyrazu twarzy, David schował rękę za plecy. Wysunął przed siebie drugą, tę z allabeniribą. Po chwili wahania Bonnie wzięła zabawkę. Zacięta mina zniknęła z jej buzi.

- Moja kwiat.

- Tak, to kwiatuszek Bonnie - potwierdził David. - Jaki ładny kwiatuszek!

Bonnie pokiwała główką i odpełzła na czworakach, żeby podarować kwiat swojej opiekunce. David wstał.

- One praktycznie nie widzą różnicy między Światanami i Ziemianami - zauważył

Gruber.

- Naturalnie - zgodził się z nim David. - O to właśnie chodziło, Dieterze. Co do autopsji zaś...

- Nie ma mowy. Lepiej o tym zapomnij.

- A niech to! Czemu nikt nie widzi potencjalnej korzyści dla ludzkości, jaką oferuje Świat?

- Nikt z wyjątkiem ciebie - przypomniał z uśmiechem Gruber. - Do zobaczenia na ceremonii pogrzebowej.

Dieter Gruber wyszedł ze złązu, zanim David zdążył ofiarować mu kwiat pożegnania.

A Bonnie im się przyglądała. Do licha, czy ten człowiek nie wie, że dzieci uczą się głównie przez naśladownictwo i że obowiązkiem dorosłych jest zachowywać konsekwencję w tym, czego mają nauczyć młode pokolenie?

- Peku Allenie - odezwała się stara piastunka, podchodząc do niego - czy twoje kwiaty rosną na dobrej glebie?

Chodziło jej o to, czy David czuje się dobrze. David popatrzył na przyjazną starą twarz, wyliniałe siwe szyjowłosa i poczuł, jak opuszcza go gniew na Grubera. Miejsce złości zajął smutek. Nie potrafił sprawić, by ktokolwiek z jego zespołu przejrzał na oczy. Albo oni są ślepi, albo on się myli.

- Dziś gleba jest nie najlepsza - przyznał przed Pek Fasinil i spróbował się uśmiechnąć. David zawsze starał się być uprzejmy wobec Światan.

- Powinieneś się położyć, Peku Allenie. - Dla wzmocnienia słów pokiwała kilkakrotnie głową, energiczna staruszka, nazbyt pewna swej wartości i pozycji, by mieć obiekcje przed wydawaniem Ziemianninowi rozkazów. - I to już.

- Tak zrobię. Oby twoje kwiaty kwitły i krzewiły się bez przeszkód.

- Oby twoje kwiaty kwitły - odpowiedziała i kaczym krokiem podeszła do dziecka, które właśnie stoczyło się z największego balonu i zaczęło płakać.

David udał się do swojej prywatnej kwatery i zaciągnął zasłonę na wejściu. Otworzył

sejf, w którym trzymał swój biomonitor, i postawił urządzenie na niskim stoliku o miękkich liniach. Zasiadłszy na wygodnej poduszce, włożył w otwór. Rozwarł szeroko powieki, widząc odczyt na ekranie.

Nic dziwnego, że był taki poirytowany! Mieszanka hormonów i transponderów zahaczała o czerwone pole na wskaźniku spokoju, bezpieczeństwa i nieimpulsywności. W

dotadku supresant popędu seksualnego ledwie utrzymywał jego libido na wodzy.

Najprawdopodobniej dlatego czuł zazdrość na myśl o Annie i Gruberze. Ale nie tylko dlatego. No bo czemu inteligentna miła kobieta taka jak Anna wybrała neandertalczyka takiego jak ograniczony Gruber?...

No i proszę. Te myśli były kolejnym dowodem na nieadekwatność Dyscypliny. David zmienił ustawienia na biomonitorze, ordynując sobie zastrzyk suplementarnej dawki teraz, a od jutra począwszy mieszanki o zmienionym składzie. Ponownie włożył palec w otwór, aby neurofarmaceutyki mogły trafić do jego krwiobiegu. Odkładając urządzenie do sejfu, czuł, jak ogarnia go spokój. Oczywiście przystosowanie się organizmu do tak znaczącej zmiany Dyscypliny zabierze co najmniej tydzień, lecz komputer wiedząc o tym, dodał tymczasem środek uspokajający o szybkim działaniu.

David Allen czuł się o wiele lepiej. Mógł wziąć udział w pożegnalnym całopaleniu w odpowiednim nastroju, skoro już ceremonia musiała się odbyć. Zresztą istniała szansa, że w trakcie prób z antyhistaminą umrze jeszcze jeden Światanin. Aczkolwiek David nikomu nie życzył śmierci! Tyle że w razie gdyby do niej doszło, powinna zostać przeprowadzona autopsja. Jego zadaniem było popracować nad Anną.

Każdy problem ma swoje rozwiązanie. Po prostu trzeba do nich podchodzić we właściwym duchu, wykorzystując pomoc nowoczesnej technologii. W gruncie rzeczy po to właśnie jest technologia, czyż

nie?

Pożegnalne całopalenie było najbardziej przejmującą ceremonią, w jakiej Bazargan kiedykolwiek brał udział.

Trochę go to dziwiło. Uczestniczył w niezliczonych pogrzebach, poczynając od pochówku własnego ojca, który zmarł, gdy Ahmed miał dwanaście lat. Z początku ceremoniał

napawał go strachem: matka zawodząca i rwąca sobie włosy z głowy; ojciec niesiony przez swoich żołnierzy na zwykłej drewnianej desce ku wspaniałemu grobowcowi; niekończące się mowy w meczecie wypchanym zbyt licznymi cuchnącymi potem mężczyznami. Ale później dwunastoletni Ahmed nabrał dystansu, poczuł się wyizolowany z żałoby jak jedna z nici helisy DNA przygotowująca się replikacji i przeżycia. To poczucie dystansu powracało doń w trakcie wszystkich następnych uroczystości pogrzebowych w kolejnych latach, czyniąc z Bazargana raczej obserwatora niż ich uczestnika. Tak minęły pogrzeby jego matki, przyjaciół

i kolegów. Przypuszczał, że ów dystans pojawi się również na pogrzebie żony, Batul cierpliwie wyczekującej powrotu męża na Ziemię.

Ahmed Bazargan, który nawet nie znał zmarłej kobiety, był pełen współczucia dla niej i dla jej bliskich. Przez cały czas usiłował zrozumieć dlaczego.

Nie chodziło o samą ceremonię pogrzebową, która z punktu widzenia zblazowanego antropologa wydawała się dosyć zwyczajna, jeśli nie liczyć nadmiaru kwiatów. Na przedzie orszaku żałobnego szli najbliżsi zmarłej, poruszając się wystudiowanym wojskowym krokiem w stronę komunalnego stosu w Gofkit Jemloe. Kolorem żałoby na Świecie była czerń, aczkolwiek nie z powodu ziemskich skojarzeń z nocą, podziemnym światem et cetera. Czarny był jedynym kolorem, w jakim nie występowały kwiaty, gdyż czerń pochłaniała nazbyt dużą ilość ciepła, aby pączek zdołał przeżyć. Czarne pąki obumierały, zanim się rozwinęły.

Dlatego żaden ogrodnik na świecie nie hodował kwiatów o tej barwie, a żałobnicy mijający Bazargana mieli na sobie szaty w tym właśnie kolorze.

Za nimi podążali duchowni, na których czele stąpał miejscowy przedstawiciel zakonu Pierwszego Kwiatu. Tak przynajmniej nazywał go Bazargan, wiedząc, że Światańskie określiliby tego kapłana inaczej. Słudzy Pierwszego Kwiatu nie dzielili się na zakony, struktura tutejszego duchowieństwa była znacznie bardziej mglista. Ziemscy antropologowie nie zdołali jej jeszcze przeniknąć i na razie wiedzieli tylko, że kult ten jest powiązany z górami Neury. Kapłani nosili szaty ozdobione wazonikami, z których wystawały żywe kwiaty zanurzone w specjalnym płynie.

Dalej w orszaku szli mieszkańcy wioski, także odziani na czarno. Gdy powłócząc nogami, minęli czworo Ziemian, ci dołączyli do tłumu. Światańskie pogrzeby należały do dzielonej rzeczywistości, tak więc brał w nich udział każdy, kto tylko mógł. Bazargan wypatrzył staruszkę ze złamaną nogą niesionego w naprędce skleconej lekyce, którą dźwigała czwórka postawnych młodych mężczyzn.

Widział też dzieci niewiele starsze od Nafreta kroczące z powagą u boku matek.

Wreszcie na szarym końcu, niemal zapomniana, pojawiła się zmarła. Nieumyte zwłoki spoczywały na najzwyklejszym dwukołowym wózku ciągniętym przez dwoje krewnych.

Ciała właściwie nie było widać, pokrywały je zwały kwiatów każdego możliwego gatunku, który akurat kwitł w promieniu wielu mil.

Kiedy orszak dotarł do płonącego stosu pogrzebowego, uformowano wielki krąg, pozostawiając tylko wąskie przejście dla wózka ze zwłokami. Podciągnięto go pod sam stos.

Przez zgromadzonych Światan przebiegła fala drżenia.

Następną część uroczystości Bazargan miał już okazję widzieć podczas innego pogrzebu, w którym uczestniczył wraz z Voraturem, jednakże dla Anny, Dietera i Davida była ona nowością. Wózek przechylnono w przód. Deski musiały być dobrze nawoskowane, gdyż zwłoki zsunęły się w płomienie bez trudu razem z przykrywającymi je kwiatami. W tym samym momencie wszyscy żałobnicy odrzucili czarne szaty i zakrzyknęli wystarczająco głośno, by poderwać z grobu nieboszczyka.

Był to okrzyk czystej radości. Zmarła wracała do swoich przodków.

Światanie śpiewali i nucili. Pod czarnymi pelerynami nosili krótkie tuniki, olśniewająco kolorowe i przyozdobione tego ranka świeżymi kwiatami, które posłużyły za lamówki, hafty i sploty. Każdy kwiat symbolizował jedną płaszczyznę, na której ten, kto go nosił, był powiązany z duszą dopiero co radośnie uwolnioną do świata duchów, gdzie wszystkie kwiaty wiecznie kwitną.

- *Mein Gott* - sapnął Dieter i uśmiechnął się.

Bazargan ledwie go usłyszał w ogólnym harmiderze. Anna wydawała się zdumiona, ale także się uśmiechała. Z całej czwórki tylko David wyglądał tak, jakby miał zamiar wyskoczyć na środek zgromadzenia i uświadomić szalonym wieśniakom, że wielbią śmierć oraz kapłanów, którzy ich kontrolują. Z największym trudem się powstrzymywał.

Szef ekspedycji odwrócił się od chłopaka. Ceremonia w dalszym ciągu robiła na nim wielkie wrażenie. Nie z powodu żałości ani radości Światan, tylko jakiejś innej emocji, której nie potrafił nazwać. Co to mogło być?

Zwłoki już się prawie spaliły; ogień musiał być zasilany paliwem dającym niesłychanie wysoką temperaturę. Dieter z pewnością wiedział czym. Nie czuło się zapachu palonego ciała. Być może kapłani znali jakiś olejek, jakiś roślinny składnik, który tłumił lub eliminował przykrą woń. Czy Anna już się tym zajęła? Bazargan odnotował w myślach, by ją o to zapytać.

Jakkolwiek procesami myślowymi starał się stłumić emocje, nadal je czuł - łagodne, nienachalne, ale niezwykle rzeczywiste. Zdołał je nazwać, dopiero gdy wieśniacy zaczęli tańczyć do wtóru wysokich przeciągłych jęków strun i fujarek. Przepęłniał go podziw.

Był to pierwszy pogrzeb w jego życiu, podczas którego dostrzegał najbardziej przezeń podziwianą

cechę: równowagę. Równowagę pomiędzy żalem rozstania i radością wieczności.

Pomiędzy tym, co świeckie, i tym, co religijne. Pomiędzy - i to dosłownie - życiem i śmiercią.

Nie miało znaczenia, że wiara Światan we Współistnienie duszy z zadowolonymi przodkami nie jest religią, którą podzielałby Ahmed Bazargan. I tak podziwiał jej dostojęstwo.

Podziwiał dostojęstwo ceremonii pogrzebowej, w trakcie której żadna kobieta nie rwała sobie włosów z głowy, krewni nie kłócili się o spadek, a politycy nie próbowali sięgnąć po stanowisko zmarłego z przyczyn naturalnych lub zamordowanego poprzednika. Śmierć na tej obcej planecie była - w pewnym i ciekawym sensie - czysta. Zredukowana do powstających w równowadze podstaw: ognia, popiołu i kwiatów.

Bazargan spojrział na Annę, poważną, ubraną w pełen galowy mundur. Nie, nie w pełen. Żadne z nich nie przypasało miecza. Przypomniał sobie utarczkę z Syree Johnson na pokładzie Zeusa i zapragnął podzielić się z Anną tym wspomnieniem. Ona jednak patrzyła na Dietera. Przyglądając się im obojgu, Bazargan przegapił przerwę w tańcu.

Ktoś na zewnątrz kręgu krzyczał, przepychając się ku centrum. Najpierw była to jedna osoba, potem dwie, następnie pięć - aż zebrała się ich mała grupka. Z początku Bazargan nie rozróżniał słów. Kiedy zaczął wychwytywać poszczególne wyrazy, były tak niespodziewane, że z początku wydawały mu się bezsensowne. Zupełnie jakby usłyszał okrzyki kibiców sportowych na weselu.

- Śmierć nierzeczywistym Ziemianom!

- Ziemianom, którzy zabili Pek Aslor!

- Nierzeczywiści! Nierzeczywiści!

W krótkiej i szokującej w tych okolicznościach chwili przyływu poczucia humoru Bazargan usłyszał „Neczyści! Neczyści!”. Filozoficzni trędowaci? Potem jednak włączył się jego antropologiczny szósty zmysł.

Jeden z krzykaczy przepchnął się wewnątrz wielkiego gęstego kręgu i zatrzymał po prawej stronie Bazargana. Był to młody mężczyzna z lśniącymi szyjowłosami, dzierzący drewnianą pałkę. Zdawał się zadziwiony faktem, że przedzierając się przez ciżbę na ślepo, trafił tak blisko swojej ofiary. Zrobił krok do tyłu, złapał się na tym odruchu i pochwycił

mocniej broń.

- Śmierć nierzeczywistym Ziemianom!

Osoby wokół niego zaczęły przykładać ręce do głów, wykrzywiać twarze w nie dającym się pomylić z niczym innym grymasie cierpienia. Młodzieniec także poczuł ból głowy, jego grzebienie czaszkowe zmarszczyły się, a Bazargan dojrzał w głębi błyszczących oczu sygnał świadczący o tym, że rzeczywistość nie jest dzielona. Jak by to ujęła Anna: wywołujące ból transmitery zostały uwolnione w tylnobrzusznoprzyśrodkowym kresomózgowiu. Mózg dokonał samoskarcenia.

Dwóch innych młodzieńców precisięło się, by stanąć obok pierwszego. Ta trójka obrzuciła się spojrzeniami, jakby czerpali siłę z dzielonego celu.

- Zabić Ziemian winnych śmierci Pek Aslor!

- Ziemianie są nierzeczywiści!

Zgromadzeni zamarli w bezruchu jak przyszpilone okazy Anny - nie licząc ich falujących grzebieni czaszkowych. Nikt nie miał pojęcia, jak zareagować. Bazargan przypuszczał, że ta sytuacja jest bezprecedensowa również dla Światan. Jak to możliwe, że siedmiu czy ośmiu z nich - krzykaczy na pewno nie było więcej - nie dzieli rzeczywistości w kwestii tego, że status Ziemian ma być dopiero rozstrzygnięty? Coś takiego nie mieściło się w głowie. A jednak tak się stało. Mimo że nie mogło.

Tak było.

Pierwszy młodzieniec, najagresywniejszy, uniósł pałkę nad Bazarganem.

David Allen zasłonił szefa ekspedycji własnym ciałem. On sam pobladł wyraźnie lecz nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. Przez głowę przemknęła mu skomplikowana emocja: po części niezadowolenie, że Allen pomyślał, iż on, szef ekspedycji, potrzebuje ochrony; po części rozbawienie z tego samego powodu; po części niechętnie przyznanie, że chłopak jest odważny; po części wreszcie irytacja z powodu jego chojractwa. Zanim zdążył

wystąpić zza pleców Allena, obok młodzieńca z pałką stanęła kapłanka Pierwszego Kwiatu.

- Młody konarze - rzekła opanowanym głosem - Nadzór Rzeczywistości i Pokuty jeszcze nie zdecydował o nierzeczywistości Ziemian. Taka jest dzielona rzeczywistość.

Młodzieniec obrócił się, by stanąć twarzą w twarz z przedstawicielką duchowieństwa.

Coś zmieniło się w wyrazie oczu krzykacza, coś, co Bazargan był w stanie dostrzec dopiero z profilu. Następnie młodzieniec z pałką skinął głową.

- Taka jest dzielona rzeczywistość - przyznał.

Bazargan przypatrywał się zafascynowany. To nie była kapitulacja ani zwierzęce poddanie się słabszego osobnika samcowi alfa. Ani też pozorne ustąpienie pola w wykonaniu buntownika, który nie przestał być pewien swoich racji. Dotychczasowi krzykacze jeden po drugim oznajmiali: „Taka jest dzielona rzeczywistość” z przekonaniem, z jakim normalny człowiek mógłby powiedzieć: „Na dworze pada deszcz”. Natomiast tłum dokoła kiwał

zgodnie głowami - nie było w tym ulgi ani poczucia triumfu z powodu zażegnania problemu, tylko takie samo niezaprzeczone przekonanie. Chwilę później znowu rozbrzmiała muzyka i wszyscy, nie wyłączając krzykaczy, zaczęli ponownie tańczyć.

- *Mein Gott* - sapnął Dieter. - Chodź, Anno, zatańczmy.

- Dobry pomysł - zgodził się Bazargan.

Był bardziej wstrząśnięty, niż chciałby przyznać. Mimo to odwrócił się do najbliższej grupki tańczących i dołączył do nich.

Tylko David Allen trwał w bezruchu. Gapił się na służkę Pierwszego Kwiatu, która także podjęła przerwany taniec, jakby nic jej nigdy nie przeszkodziło. Allen patrzył na nią bardzo długo, a Bazargan modlił się w duchu: oby żaden ze Światan nie był na tyle dobrym obserwatorem, by do tej pory rozpracować znaczenie takiego wyrazu ludzkiej twarzy.

- Nie mam pojęcia, jakich jeszcze dowodów potrzebuje! - pieklił się Allen. - Mój Boże, czego trzeba do przekonania Bazargana? Hologramów nieba? Wizji na drodze do Damaszku?

Stał z Anną w ogrodzie przy jej kwaterze. Dieter był prawdopodobnie w środku ale David nie dbał o to. Nie, wróć. Nawet wolałby, żeby gruby Niemiec go usłyszał. Może potrafiłby przemówić Annie do rozsądku skuteczniej niż on. Chociaż czemu w ogóle taka inteligentna kobieta jak Anna potrzebuje argumentów, czemu sama nie widzi tego, co wszyscy mają przed oczami?...

Boże, ależ wspaniale wyglądała tego wieczora. Nie była piękna, nie w ten sposób jak genetycznie modyfikowane ślicznotki z Marsa, ale z pewnością tryskała energią i życiem.

Pozegnalne całopalenie zakończyło się o zmierzchu, jak kazał zwyczaj, i dopiero wtedy wszyscy wrócili do wioski. Niektórzy Światanie nie żalowali sobie pelu. Bazargan zabronił

członkom swojego zespołu choćby zamoczyć usta w miejscowym alkoholu. Mimo to Anna w świetle trzech księżyców zdawała się zarumieniona, jej długie jasne włosy spływały po ramionach, źrenice w przejrzystych błękitnych tęczęwkach były rozszerzone.

- Davidzie - zaczęła delikatnie - Ahmed wie, co robi. Stąpa po bardzo kruchym lodzie.

Wcześniej czy później Nadzór Rzeczywistości i Pokuty rozstrzygnie, czy jesteśmy rzeczywisci. Jeśli decyzja będzie pozytywna... a Ahmed robi wszystko, by przechylić szalę na naszą korzyść... przydadzą nam się dobre układy z duchowieństwem, abyśmy mogli kontynuować pracę. Jeśli zaś decyzja będzie na nie, nie pozostanie nam nic innego, jak wycofać się ze Świata w bardzo krótkim czasie. Czy...

- Tak, tak, mogę stąd wyjechać w każdej chwili. Notatki mam zabezpieczone. Anno, traktujesz mnie jak dziecko. Zdaję sobie sprawę z tego, co przed chwilą powiedziałaś. Ale tutaj chodzi o coś znacznie poważniejszego. Światanie są niewolnikami duchowieństwa!

Sama widziałaś, co się stało. Bunt został spacyfikowany jednym zdaniem, które padło z ust samozwańczego bożka. Zgoda, że to jedno zdanie uratowało nam tyłki. Przynajmniej tym razem. Bo ta kapłanka równie łatwo mogła zachęcić tłum do działania. Przerażający jest ogrom władzy, nie dzisiejsza decyzja. Światanie to dobre, łagodne istoty. Nie są zabójcami...

Musisz się ze mną zgodzić po tym, jak ten młodzik położył uszy po sobie i zaczął tańczyć jakby nigdy nic. Tak naprawdę nie chciał nikogo skrzywdzić. To duchowieństwo wymyśliło, żeby zabijać tych, których uzna za nierzeczywistych. Tym sposobem nic nie zagraża ich władzy. To takie typowe dla homogenicznych rolniczych społeczeństw. Dlaczego Bazargan nie chce tego zrozumieć?

- Jestem pewna, że rozumie - rzekła ze znużeniem Anna. - Jest prawie północ Davidzie. Nie mam siły dyskutować z tobą o antropologii.

- Ale chyba widzisz, że...

- Dobranoc, Davidzie.

Nachylił się ku niej i pocałował ją.

Anna ani go nie odepchnęła, ani nie odwzajemniła pocałunku. Po prostu stała bez ruchu. Fakt, że pocałunkowi brakowało namiętności - mógł za to podziękować supresantom libido, które chyba jednak działały. Kiedy oderwał usta od jej warg, powiedziała:

- Nie rób tego więcej, Davidzie.

- Anno, kocham cię.

- Nie, wcale nie. Ty...

- Znowu traktujesz mnie jak dziecko! - wybuchnął.

- Ponieważ zachowujesz się jak dziecko, Davidzie. Zastanów się... Przecież wiesz, o co tu chodzi. Uczyłeś się o tym na szkoleniu. Rozwinęło się u ciebie zauroczenie charakterystyczne dla pracy w terenie, wyrosło z poczucia zagrożenia i osamotnienia. Jestem od ciebie starsza o piętnaście lat i...

- To połączyło ciebie i Grubera? Zauroczenie charakterystyczne dla pracy w terenie, wyrosło z poczucia zagrożenia i osamotnienia?

- Dobranoc, Davidzie - powtórzyła i weszła do środka.

Chciał wpaść tam za nią i wszystko jej wygarnąć - na Świecie nie było drzwi z prawdziwego zdarzenia, jeśli nie liczyć bram w zewnętrznym murze. Jednakże myśl, że Gruber tam jest i śmieje się z niego... O Boże, dlaczego w ogóle pocałował Annę? Wydał się na pastwę docinków Grubera, a ona zacznie go unikać, może nawet powie o wszystkim Bazarganowi... Zalała go fala wstydu.

Jego Dyscyplina wymagała dopracowania. Znowu.

Zajmie się tym od razu. Potykając się, ruszył w stronę własnej kwatery. W myślach opracowywał już skład mieszanki neurofarmaceutyków, który uczyni go odpornym na ich żarty. Stłumi wszystkie miękkie emocje, wydobędzie na wierzch agresywność...

Ktoś mignął za drzewem po drugiej stronie ogrodu. Jakaś ciemna sylwetka. David stanął jak wryty,

próbując przejrzeć mrok. Może to jeden z krzykaczy, który odzyskał

buntowniczy zapał dzięki dystansowi dzielącemu go wreszcie od tyranii kapłanów?

Postać ponownie się poruszyła. To ta służąca, Enla.

David się zawstydził. A więc teraz boi się cieni! Zdecydowanie potrzebował nowego składu Dyscypliny. Zmieni go już nazajutrz.

- Oby twoje kwiaty rozwijały się w spokoju, Enlo! - zawołał za nią.

Dziewczyna drgnęła i David poczuł się nieco lepiej, podejmując wędrówkę przez przesycony zapachami, oświetlony blaskiem księżyców ogród.

12

Na pokładzie Zeusa

Dzwonek alarmu rozległ się, gdy Syree stała pod prysznicem sonicznym. Wezwanie na stanowiska bojowe.

W trzy sekundy podpłynęła naga do interkomu.

- Tutaj pułkownik Johnson. Co się dzieje?

Z mostka zgłosiła się pierwszy oficer Debra Puchalla.

- Z tunelu wyłoniła się obca jednostka, pani pułkownik. To ślizg Fallerów. Zmierza w naszą stronę, rozwijając maksymalną prędkość.

- Już idę.

Aczkolwiek nie spieszyła się tym razem. Ślizgi, odpowiedniki solarnych statków kurierskich, mogły się poruszać o połowę szybciej niż załogowe jednostki Sojuszu Solarnego, co potwierdzało chyba hipotezę mówiącą, że Fallerowie mają wytrzymalszą anatomię i fizjologię niż ludzie. Syree bardziej jednak interesowała pozwalająca na to technologia niż możliwości biologiczne Obcych - niestety dotąd nikomu nie udało się przechwycić ślizgu, aby poddać go inżynierii wstecznej, albowiem Fallerowie w obliczu klęski wysadzali swoje statki.

Temu konkretnemu, nawet przy maksymalnej prędkości, dotarcie z Tunelu Czasoprzestrzennego #438 do Świata zajmie co najmniej parę standardowych dni. Poza tym z danych wywiadu wynikało, że pole rażenia wrogich ślizgów jest znacznie mniejsze niż zasięg broni Zeusa. Pojawił się problem, lecz na pewno nie zaliczał się on do palących.

Komandor Peres znalazł się na mostku przed nią. Przystanąła milcząco, opierając ciężar ciała na zdrowej prawej nodze, i przysłuchiwała się wydawanym przez niego rozkazom. Jako oficer dowodzący misją Syree miała prawo decydować o działaniach Zeusa w warunkach pokoju. Teraz

jednak dowodzenie przejął komandor Peres.

Kiedy skończył wydawać rozkazy, zapytała:

- Czy zniszczyli nasze sondy?
- Zaraz po przylocie - odparł Peres, co wcale jej nie zdziwiło.

Najprawdopodobniej Fallerowie wlecieli na ślepo w nowo odkryty tunel przestrzenny.

Następnie wykryli obecność sond, które zdążyły ich już namierzyć przekazać dane na pokład Zeusa. Wróg bezzwłocznie zniszczył sondy rozpoznane jako dzieło ludzkich rąk. Syree na jego miejscu uczyniłaby to samo.

Po czym natychmiast wysłałaby z powrotem jednostkę informacyjną, by uprzedzić dowództwo o obecności Obcych w nowo odkrytym systemie gwiazdowym. Albo sama przedostałaby się tunelem tam, skąd przyszła, odebrała osobiście rozkazy i ponownie wróciła na pole walki. Gdyby tak rozwinęła się sytuacja, w obecnej chwili ku Zeusowi zmierzałby nie jeden ślizg wroga, tylko cała ich formacja. Wszystko zależało od tego, jak daleko od przeciwnej strony tunelu czasoprzestrzennego znajdują się posiłki Fallerów. Istniała możliwość, że pierwotna jednostka faktycznie wróciła, a ten ślizg jest innym, lepiej wyposażonym statkiem. Odkąd sondy uległy zniszczeniu, komandor Peres pozostawał głuchy i ślepy.

Zwrócił się do Syree.

- Ruszamy na spotkanie wroga, doktor Johnson - powiedział. - Wolę rozpocząć starcie jak najdalej od planety. Wahadłowiec może odbić teraz i zabrać pani ludzi ze Świata, po czym dołączy do nas, zanim wdamy się w walkę. Może pani także pozostawić swój zespół na powierzchni planety. Decyzja należy do pani.

Syree przewidziała i to.

- Muszę porozmawiać z doktorem Bazarganem.
- To zrozumiałe. Niemniej oczekuję podjęcia decyzji natychmiast.
- Wiem. Czy są jakiegokolwiek powody do podejrzeń, że wróg orientuje się w sprawie prawdziwej natury obiektu orbitalnego numer siedem?
- Nie. Ale nie mamy również dowodów na poparcie przeciwnej teorii.
- Ochrona artefaktu to nadrzędny cel militarny, komandorze.

Peres zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

- Zdaję sobie z tego sprawę, pułkownik Johnson. Jednakże absolutnym priorytetem jest walka z wrogiem.

- Oczywiście.

- Komandorze... - przerwała im Debra Puchalla, która miała do dowódcy jakieś pytanie natury technicznej.

Syree się wycofała. Peres dawał jej jasno do zrozumienia, że nawet przy doświadczeniu, jakim mogła się pochwalić, ostatnie słowo na Zeusie należy do niego. Weszła na drugi koniec mostka i aktywowała łącze komunikacyjne.

Każdy członek zespołu badawczego miał na wypadek sytuacji awaryjnych zaszyte pod skórą osobiste łącze komunikacyjne, którego usunięcie byłoby bardzo nieprzyjemne. Centrala łączności znajdowała się na wyposażeniu Bazargana i z nim właśnie skontaktowała się teraz Syree.

- Ahmed Bazargan, słucham - odpowiedział niemal natychmiast.

- Tutaj pułkownik Johnson, doktorze. Czy jest pan sam?

- Jest ze mną tylko doktor Sikorski... - mówił z ostrożnością, jakiej spodziewała się po nim Syree. Już na początku ich znajomości uderzyła ją w nim powaga ogromna jak na cywila.

Poinformowała go sucho:

- Zeus podejmie działania zbrojne. Statek Fallerów wyłonił się z tunelu czasoprzestrzennego i rozwijając maksymalną prędkość, zmierza ku planecie. Wdamy się w walkę możliwie daleko, już schodzimy z orbity. Możemy jeszcze wysłać po was wahadłowiec, jeśli chcecie. Możecie wrócić na pokład Zeusa przed rozpoczęciem starcia.

Jeżeli zostaniecie na powierzchni Świata, a nasz okręt ulegnie zniszczeniu, znajdziecie się na obcej planecie w części przestrzeni kontrolowanej przez wroga. Przynajmniej chwilowo.

Decyzja należy do pana, ale proszę podjąć ją niezwłocznie.

Po krótkiej chwili ciszy Bazargan odparł spokojnie:

- Zrozumiałem. - Następnie Syree usłyszała, jak antropolog zwraca się do doktor Sikorski: - Anno? - Odpowiedzi ksenobiolożki już nie wychwyciła. Bazargan poinformował

ją moment później: - Pani pułkownik, nie jestem w stanie skonsultować się z doktorem Gruberem i panem Allenem. Oboje z doktor Sikorski wyrażamy jednak zgodę. Nasz zespół

pozostanie na Świecie. Proszę dać nam znać, jaki będzie... wynik starcia.

- Naturalnie - potwierdziła Syree, nie musząc dodawać, że brak takiej wiadomości będzie oznaczał, iż Zeus został unicestwiony. Bazargan był dość inteligentny, by samodzielnie to wywnioskować.

- Czy coś jeszcze, pani pułkownik? - zapytał, kiedy milczenie się przeciągało.

Syree Johnson zaczęła się zastanawiać, czy Bazargan zna prawdę na temat artefaktu.

Ton jego głosu wydawał się znaczący. Ale nie... Doktor Ahmed Bazargan był zwykłym antropologiem. Nikt się przy nim nie wygadał, protokół bezpieczeństwa przy tym projekcie nie został naruszony.

Pułkownik Johnson mogła mu teraz zdradzić tajemnicę. Istniało prawdopodobieństwo, że zespołowi badawczemu zagrozi coś więcej niż tylko Fallerowie. Błyskawicznie przeanalizowała dostępne możliwości, po czym podjęła decyzję.

- Nie, to wszystko, doktorze Bazargan. Powodzenia.

- Wzajemnie - odrzekł cicho Bazargan.

Syree ulżyło, że ma to już z głowy. Pora skupić się na właściwym problemie: na artefakcie. Fallerowie mogli, ale nie musieli wiedzieć o jego istnieniu. Jeśli jednak wiedzieli, bez wątpienia zamierzali go przejąć. Zadaniem pułkownik Johnson było nie dopuścić do tego.

Detonatory zostały już przymocowane do artefaktu, do jego jednolitej powierzchni, której nic nie było w stanie przeniknąć. Materiał wybuchowy oczywiście by sobie z nią poradził. W wyniku eksplozji obiekt wyparuje, a na niebie Świata pojawi się czerwona łuna rozbitych atomów. Zdalnym zapalnikiem rozporządzał komandor Peres, aczkolwiek w razie unicestwienia Zeusa do wybuchu miało dojść automatycznie.

Wtedy nie zostanie ślad po artefakcie, nie będzie nim dysponowała żadna ze stron.

Jaki to wywrze wpływ na spokojnie obracającą się planetę poniżej? Nikt tego nie wiedział. Jak dotąd artefakt został „użyty” tylko raz, i to niechcący. W efekcie powstała destabilizująca fala będąca przyczyną śmierci kapitana Austena. Wszystko odbyło się wówczas przy minimalnych ustawieniach. Przy eksplozji obiekt mógł - aczkolwiek nie musiał

- wyzwolić zabójczą falę o maksymalnym natężeniu. Jakikolwiek ono było. Dlatego pozostawało tylko zgadywać, co stanie się z krążącym poniżej Światem. Oraz z zespołem Bazargana, który w chwili wyzwolenia fali może się znajdować na linii strzału, w polu rozproszenia bądź po drugiej stronie planety. Ostrzeżenie Bazargana nie miało sensu, skoro szanse na uratowanie zespołu były i tak znikome. Przede wszystkim należało uniknąć ujawnienia obiektu przed Fallerami.

Syree Johnson przekazała komandorowi, że cywile pozostaną na powierzchni planety.

- Ślizg w polu rażenia - zameldował działonowy, zwalisty szeregowiec nazwiskiem Sloane.

Peres zwrócił się do Debry.

- Czy próbowano nawiązać z nami łączność?

Syree zirytowała się w duchu. Od kiedy to Fallerowie komunikują się ze swoimi ofiarami? Przyglądała się ekranom na mostku Zeusa, choć teoretycznie nie powinno jej być tutaj podczas starcia z wrogiem. Jednakże jej status był tak nietypowy, że oboje z Peresem woleli nie wnikać w szczegóły. Przypuszczała, że ma większe doświadczenie bojowe niż komandor, lecz to on był dowódcą Zeusa, a ona przewodniczyła projektowi specjalnemu.

Najłatwiej było się obu stronom pogodzić z tym, że Pułkownik Johnson może wszystko obserwować, ale nie powinna się do niczego wtrącać.

Ślizg informował o swej obecności wszystkimi parametrami, nie wyłączając wizualnych, takich jak przesunięcie widma, masa i promieniowanie. Nawet nie próbował się ukrywać.

- Brak prób łączności, sir - odpowiedziała Puchalla.

- Otworzyć ogień.

- Otwieram ogień - potwierdził Sloane.

Wiązka protonów rozpędzonych do prędkości bliskiej prędkości światła wystrzeliła z Zeusa niczym zabójcza strzała z cząstek. Syree widziała ją na ekranach.

Widziała, jak promień mknie przez pustkę kosmiczną, skupia się na ślizgu, po czym...

przenika przez niego.

Ślizg w dalszym ciągu był widoczny na ekranach i nadal mknął w stronę Zeusa Syree wciągnęła powietrze do płuc. To, co przed chwilą zobaczyła, nie było możliwe.

Gdzie się podziała wiązka protonów? Dlaczego ślizg nie wyparował?

- Jezu Chryste - sapnął potężny działonowy. Ręka opadła mu wzdłuż boku.

Oficerowie wymieniali niedowierzające spojrzenia.

- Otworzyć ogień jeszcze raz - rozkazał Peres napiętym głosem.

Promień ponownie wystrzelił z Zeusa, napotkał na swej drodze ślizg i przeszedł przez niego na wylot.

Sklonowana noga Syree ustąpiła pod ciężarem ciała. Kobieta musiała oprzeć się o gródź, aby utrzymać równowagę. Znajomy dotyk twardego zimnego metalu otrzeźwił ją.

- Muszą mieć jakieś osłony! - wymamrotał działonowy.

- Nie, to nie tarcze - odezwał się Peres. Głos wciąż miał zmieniony. - Wiązka przeniknęła przez ślizg. Doktor Johnson?

Wszyscy na mostku obrócili się, żeby na nią spojrzeć - nawet sternik, który nie powinien był odrywać oczu od ekranów. Myśli w głowie Syree krążyły, wirowały... aż w końcu zatrzymały się na jedynym prawdopodobnym wytłumaczeniu. Od którego znów zakręciło się jej w głowie.

- Poproszę dane o wiązce tuż przed tym, zanim uderzyła w ślizg - powiedziała, lecz nikt się nie odezwał, aby ją poprawić, że wiązka nigdy nie zderzyła się z jednostką Obcych.

Działonowy wywołał dane. Na sekundę pojawił się w jej rzeczywistości: młody, o ciastowatej twarzy, najpewniej kompletny żółtodziób; jego nordycko niebieskie tęczówki okalały białka poprzecinane cieniutkimi czerwonymi naczynkami włosowatymi. Moment później już o nim nie pamiętała, śledząc ciągi liczb przemykające na ekranach.

Tak. To było niemożliwe. Ale miało miejsce.

- To nie tarcza - zwróciła się gwałtownie do Peresa - tylko... nie mamy jeszcze określenia na tę rzecz. Zmienili funkcję falową wiązki protonów, komplikując jej fazę tuż przed uderzeniem. - Ale jak? Na Boga, jak?!

- Czy może to pani wyjaśnić w bardziej przystępny sposób? - poprosił komandor.

Popatrzyła na oficerów i członków załogi. Przypuszczalnie żadna z tych osób nie miała wystarczającej znajomości fizyki, aby ją zrozumieć. Na Boga, nawet ona nie pojmowała tego w całości. A jednak widziała na własne oczy, co się stało. Ślizg nadal pędził

w ich stronę. Zasięg jego broni był równy mniej więcej połowie odległości, z której strzelały działa Zeusa, tak więc nie groził im ostrzał - przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Chyba że jednostka Obcych jest wyposażona nie tylko w najnowocześniejszą technologię, ale też w broń nowszej generacji.

- Doktor Johnson?

- Przepraszam, komandorze. Spróbuję to wyjaśnić. Nasza wiązka protonowa to oczywiście strumień cząstek poruszających się z prędkością zbliżoną do prędkości światła.

Jak wiadomo, strumień cząstek jest równocześnie falą z wszelkimi cechami fali, nie wyłączając amplitudy i fazy. Wiązka ogniowa pozostaje zarówno falą, jak i strumieniem cząstek do momentu, gdy... gdy zostanie zaobserwowana. Cel każdej broni to swego rodzaju obserwator. Wiązka ogniowa oddziałuje z wrogą jednostką i zamienia się w strumień niszczycielskich cząstek. Z tym że nie tym razem... - W jej umyśle zabłyśły równania, które szybko od siebie odepchnęła. Peres nie miał ścisłego wykształcenia.

- Dlaczego tak się stało? - dopytywał się komandor.

- Obserwator... czyli w naszym wypadku ślizg... sprawił, że wiązka ogniowa stała się falą. W dodatku zmieniając jej fazę tak, że nie mogła wejść w interakcję ze zwykłą materią.

Fala przeniknęła przez ślizg. Powołując się na teorię obserwatora, można powiedzieć, że ślizg

odmówił zauważenia wiązki, niwecząc dualizm korpuskulamo-falowy cząstek elementarnych.

- Odmówił? - powtórzyła Debra Puchalla. - Niby jak, do cholery?

Syree popatrzyła na nią. Gdyby ona tu decydowała, ten ton nie uszedłby na sucho pierwszemu oficerowi.

- Tak jak powiedziałam: obserwator odmówił zauważenia wiązki. Dodatkowo komplikując fazę fali, sprawił, że wiązka ogniowa stała się nierzeczywista dla zwykłej materii.

- Nierzeczywista? - upewnił się Sloane, mimo że nie powinien zabierać głosu nie pytany przez oficera.

- Tak, panie Sloane. Nierzeczywista. Przynajmniej w naszej rzeczywistości.

Szeregowy się zaśmiał. Zgrzytliwy, lekko histeryczny śmiech odbił się echem w ciszy mostka. Peres zareagował natychmiast:

- Panie Sloane, schodzi pan z wachty. Pierwszy oficer wezwie pańskiego zmiennika. -

Zwracając się do Syree, zapytał: - Doktor Johnson, czy pani zdaniem zdolność do zmieniania fazy fali wiązki ogniowej może posłużyć wrogowi również do atakowania?

- Nie mam pojęcia - przyznała szczerze Syree. - Ale sądząc po tym, czego byliśmy świadkami, można założyć, że jego możliwości są niemal nieograniczone.

Peres zapatrzył się na ekrany.

- Rozumiem.

Ślizg Fallerów pokonywał przestrzeń pustki kosmicznej, zbliżając się nieuchronnie do Zeusa.

Strzelali do ślizgu jeszcze pięciokrotnie w następnych dwóch dniach, próbując ocenić wpływ odległości na skuteczność alternatora fazy falowej. Nazwę ukuł Peres, który jak się zdaje, tylko tyle zrozumiał z fizyki stojącej za systemem obronnym wroga. Żadna z pięciu salw nie uczyniła ślizgowi najmniejszej krzywdy. Ani nie sprowokowała mniejszej jednostki do odpowiedzenia ogniem.

To martwiło Syree bardziej niż sam alternator.

Najwyraźniej Fallerowie nie byli zainteresowani wciągnięciem Zeusa w walkę. Szansę na wygraną mieli w tym wypadku znikomą, ale wrogie jednostki - ślizgów nie wyłączając -

na ogół otwierały ogień, nie przejmując się potencjalnym rezultatem starcia. Nie tym razem jednak. Zatem w jakim celu tutaj przybyli?

W tym odległym prymitywnym układzie gwiazdnym interesować mogło ich tylko jedno: obiekt orbitalny numer 7.

W miarę upływu czasu - i drażnienia nerwów całej załogi Zeusa - Syree nabierała coraz większej pewności. W końcu ślizg minął ich okręt i pomknął dalej. Zeus zawrócił i ruszył w pościg - daremny, gdyż nie był w stanie dogonić ślizgu Fallerów i mógł tylko patrzeć, co będzie robił. Ludzie zamienili się w obserwatorów.

- Doktor Johnson?

- Wyliczenia orbity mówią same za siebie - stwierdziła. - Zamierzają przelecieć obok niezamieszkanego satelity. Rekonesans w celu zebrania danych. Nie robiliby tego, gdyby nie zakładali, że jest o czym zbierać dane.

Członkowie zespołu specjalnego zgromadzili się w kwaterze Peresa. Obecni byli: komandor Peres, major Lee, major Ombatu i porucznik Wu. Peres wezwał także swoich dwóch najwyższych rangą oficerów: Puchallę i Kertesza. W trakcie misji obowiązywała zasada mówiąca, że zastrzeżone informacje ujawnia się jedynie w zakresie niezbędnym dla powodzenia przedsięwzięcia. Najwyraźniej komandor Peres doszedł do wniosku, że pierwszy i trzeci oficer muszą zostać wtajemniczeni. Kiedy Syree przedstawiła im swoją teorię, oboje zrobili ponure miny, obrażając się, że nie wiedzieli o tym od początku.

Wszyscy wyglądali kiepsko. Mężczyźni byli nieogoleni i sądząc po zapachu unoszącym się w kabinie, od dawna nie zażywali kąpieli. Doba na statku wynosiła dwadzieścia dwie godziny, ale oni zaprzestali pilnowania rytmu dzień-noc. Światła nie przygasały, stanowiska ogniowe trwały w gotowości bojowej. Oficerowie łapali trochę snu, kiedy mogli, po czym budząc się, od razu sięgali po ubranie, aby sprawdzić, czy nie przegapili czegoś ważnego. Napięcie sięgało zenitu, mimo że tak naprawdę nic się nie działo.

Ślizg zmierzał w stronę Świata, a Zeus podążał za nim. Bezczynność na pokładzie tylko pogarszała sprawę.

Syree zmodyfikowała Dyscyplinę, zwiększając dawki serotoniny, baloliny i substancji J. Wołała jednak nie manipulować przy wartościach dopaminy i kompleksu „walcz albo uciekaj”, zanim nie będzie trzeba wkroczyć do akcji. Nazbyt wzbogacony skład mieszaniny wprowadzony za wcześnie tylko by wypalił ciało. Zakładała że pozostali członkowie zespołu postępują w ten sam sposób.

Peres zwrócił się do niej z pytaniem:

- Co pani zdaniem chcą zrobić z artefaktem?

Syree pomachała wydrukami swoich obliczeń, wiedząc, że nie są czytelne dla nikogo poza nią.

- Mogą do niego wystrzelić, to oczywiste. Wiązka protonowa najprawdopodobniej doprowadzi do wyparowania obiektu. Albo mogą tylko zbierać dane, jakie ich interesują.

Poza tym nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Nie dodała, że oni też ograniczyli się do zbierania danych i przymocowania detonatorów, gdyż nic innego nie było możliwe. Wszyscy obecni aż nadto dobrze zdawali sobie z tego sprawę.

Canton Lee poprawił się na krześle.

- Pani pułkownik, rozważaliśmy możliwość podczepienia obiektu do Zeusa i zaciągnięcia go do wrót tunelu przestrzennego. Czy ślizg jest w stanie to uczynić?

Syree zastanawiała się nad tym już wcześniej.

- Nie wydaje mi się, majorze. Wprawdzie nie mieliśmy okazji zbadać ślizgu Fallerów metodą inżynierii wstecznej, ale równania podpowiadają mi, że jednostka taka nie może się zatrzymać bez zniweczenia mocy alternatora fazy falowej. Aby system obrony był skuteczny, musi się poruszać nie tylko wiązka ogniowa, ale też sam ślizg. W jego wypadku konieczna jest co najmniej minimalna prędkość i właśnie z taką przemieszcza się w stronę artefaktu.

Peres zaproponował:

- Już znaleźli się poza zasięgiem naszej broni. Jeśli zatrzymają się przy artefakcie na czas wystarczająco długi, by go zabezpieczyć, będą musieli się martwić wyłącznie o broń rozmieszczoną przez nas na orbicie. A jak wiemy, potrafią wytropić i zniszczyć wszystko, co dla nich przewidzieliśmy.

- Owszem - zgodziła się z nim Syree. Znow kręciło się jej w głowie. Kiedy ostatnio jadła? Powinna jak najszybciej się wzmocnić. - Wyliczenia pokazują, że próba wyrwania artefaktu z orbity, a następnie nabrania odpowiedniego przyśpieszenia spowolni ich do tego stopnia, że znajdą się w polu rażenia Zeusa, zanim i opuszczą ten układ.

- Zatem nie zdołają odciągnąć artefaktu - skwitowała Puchalla.

- Pod warunkiem, że równania są poprawne - zastrzegł komandor, patrząc na Syree.

- Pod warunkiem, że równania są poprawne - powtórzyła za nim pułkownik Johnson.

- Nawet gdyby zdołali odciągnąć artefakt - przemówił jej asystent, John Ombatu - co by im z tego przyszło? Wiemy, że masa obiektu orbitalnego numer siedem jest zbyt duża, aby zmieścił się w tunelu czasoprzestrzennym. Przekonaliśmy się że rozłożenie go na czynniki pierwsze jest praktycznie niemożliwe. Skoro my tego nie mogliśmy zrobić, dlaczego miałoby się to udać Fallerom?

- A czemu udało im się stworzyć alternator fazy falowej? - odpowiedział pytaniem na pytanie Peres.
- Chryste, ale jestem zmęczony. Czy ktoś ma jakieś wnioski?

Nikt się nie odzywał. Wniosek był jeden: podążali za ślizgiem Fallerów niczym kosmiczne śmieci za kometą. Sunęli w próżni i czekali. W ciągu najbliższych dni nie uczynią niczego znaczącego, ale może przynajmniej znajdą odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Czy wróg zamierza tylko obejrzeć drugi znany artefakt będący pozostałością po rasie, która stworzyła tunele czasoprzestrzenne? Czy też

raczej go wysadzi, korzystając z jeszcze bardziej zdumiewającej technologii? I unicestwiając przy okazji Zeusa i Świat?

- Trzeba jasno powiedzieć coś jeszcze - rzekł Peres z miną świadcząca, iż wie, że każdy z nich zdążył już o tym pomyśleć. - W każdej chwili z tego tunelu może się wyłonić coś nowego. Na przykład okręt wojenny Fallerów. To, że jeszcze się nie pokazał, nie znaczy, że go tam nie ma.

Ludzie stłoczeni w ciasnym cuchnącym pomieszczeniu kiwali kolejno głowami.

- Ktoś ma jeszcze jakieś uwagi? - zapytał komandor. - Nie? W takim razie czekamy.

Deb, ty dowodzisz.

Puchalla potwierdziła przyjęcie rozkazu. Syree ruszyła do wyjścia, opierając ciężar ciała na prawej nodze. Zamierzała przespać choć parę godzin. Albo przynajmniej zdrzemnąć się chwilę.

Jak zawsze najtrudniejsze ze wszystkiego było bezczynne czekanie.

Sześć standardowych godzin później ślizg zmienił kurs. Nie zwalniając, zawrócił w pobliżu obiektu orbitalnego numer 7. Syree z resztą członków zespołu specjalnego, Peres ze swoimi oficerami, wszyscy tłoczyli się na mostku i przyglądali mknącej dostojnie jednostce.

Nie zmieniając prędkości, ślizg skierował się ku wrotom tunelu czasoprzestrzennego, uwożąc dane, które zebrał i które miały zadecydować o kolejnym ruchu naczelnego dowództwa Fallerów.

- No dobrze - podsumował Peres po bardzo długiej chwili ciszy. - Teraz przynajmniej wiemy, czego tutaj chcieli.

13

Gofkit Jemloe

Enla wracała do Gofkit Jemloe, czując się lepiej niż kiedykolwiek w ostatnich kilku dekadniach. Jakże słodko jej się spało w gabinecie Peka Nagredila! Otulona ciepłem rzeczywistości dzielonej z wysokim kapłanem Pierwszego Kwiatu przespała wiele godzin z rzędu. Gdy się przebudziła, było już ciemno, a mimo to Pek Nagredil znajdował się obok niej.

- Niech kwiaty twego serca będą spokojne, Pek Brimmidin - powiedział cicho. -

Wysłaliśmy wiadomość do Gofkit Jemloe. Nikt w domostwie Voratura nie spodziewa się ciebie wcześniej niż jutro.

- Ale...

- Niech twoje kwiaty odpoczywają beztróska. Proszę, zupa jest wciąż gorąca.

Nawet nie przypuszczała, że jest taka głodna. Łapczywie wychłęptała wszystką zupę.

Pek Nagredil bez słowa napełnił jej miskę ponownie i Enla zjadła także dokładkę. Nalał jej pelu, poruszając się po mrocznym gabinecie rozjaśnianym tylko przez blask księżyców wpadający przez łukowate okna. W Rafkit Seloe nie było wiele lamp. Nikt w stolicy nie pracował po zmroku.

- Najadłaś się?

- Tak. Dziękuję, Peku Nagredilu.

Przysunął do niej swoją poduszkę, odwracając się plecami do okna. Na tle słabego światła był ciemną sylwetką otoczoną przez aureolę jaśniejących szyjowłosów, urzędnikiem średniego szczebla i w średnim wieku, który nie znajdował czasu na staranne wyczesanie włosów.

- Enlo, chciałbym zadać ci parę pytań. - Jeszcze nigdy nie zwrócił się do niej, używając tylko jej dziecięcego imienia. - Sługa Pierwszego Kwiatu nie mógł zostać. Nadzór Rzeczywistości i Pokuty zbiera się dziś wieczorem, aby przedyskutować kwestię Ziemiań, jak z pewnością już się domyśliłaś. Jednakże wysoki kapłan martwi się o ciebie. Praca informatora ma pomóc nierzeczywistej osobie odzyskać duszę dzięki służeniu dzielonej rzeczywistości. Nie powinna jednak niszczyć duszy. Tymczasem spójrz na siebie. Wychudłaś.

Skaczesz na najłżejszy hałas. Oczy ci się pocą przy najmniejszych pytaniach. Zасыpiasz tu, jakbyś była u kresu sił. Dlatego muszę cię zapytać Enlo: czy praca informatora przy Ziemiańach to za dużo dla twojej duszy?

- Ja...

Pek Nagredil uniósł dłoń.

- Zaczekaj. Jeżeli odpowiedź brzmi tak, mogę cię zwolnić za zgodą sługi Pierwszego Kwiatu. Otrzymasz zajęcie informatora gdzie indziej, abyś mogła dokończyć swoją pokutę.

Oczywiście już wiesz, że mamy w domostwie Voratura innych informatorów, którzy obserwują Ziemiań. Obecnie dwóch. Żaden z nich wszelako nie znalazł się tak blisko Ziemiań jak ty. Żaden nie jest w stanie dostarczać tylu informacji co ty. Ale jeżeli ceną za nie ma być zniszczenie twojej duszy, nie możemy sobie na to pozwolić. Dlatego musisz wybrać, Enlo. Czy chcesz otrzymać zajęcie informatora gdzie indziej?

Enla dopiła pel z kubka. Ciepło zalało jej ciało. Wyzwolić się ze straszliwego bólu głowy w domostwie Voratura... Ale to była jej praca. Jej pokuta. Robiła to dla Tabora, aby został uwolniony i mógł się połączyć z przodkami. W takiej samej radosnej atmosferze jak kobieta, która umarła od antyhistaminy i została wysłana szybko do swoich przodków. Taką rzeczywistość dzieliła teraz z Taborem.

I z Pekiem Nagredilem.

I ze sługą Pierwszego Kwiatu, który okazał jej tyle dobroci.

I nawet z Ziemianami. Choć po tym, co zaraportowała o wyjmowaniu dzielonej rzeczywistości z głów Światan i przesadzaniu jej do głów Ziemian, nadal się wzdrygała na samo wspomnienie... Po czymś takim Ziemianie na pewno zostaną uznani za nierzeczywistych. Ale jak dotąd tak się nie stało. Taka była rzeczywistość i Enla dzieliła ją z dziwnymi przybyszami z Ziemi. Być może źle rozumiała ich słowa, jak twierdził sługa Pierwszego Kwiatu. Niewykluczone, że źle ich rozumiała. Przecież Pek Sikorski była dla niej zawsze taka miła...

Dlatego odpowiedziała Pekowi Nagredilowi:

- Pozostanę w domostwie Peka Voratura i będę informować o Ziemianach.

Pek Nagredil skinął głową. Oczywiście domyślał się takiej odpowiedzi. Oboje dzielili rzeczywistość tej sytuacji.

- Możesz tu dzisiaj spać, Pek Brimmidin.

- Oby twoje kwiaty rozkwitły przez noc.

- Oby twoje kwiaty rozkwitły przez noc.

Pek Nagredil wyszedł z gabinetu, wsiadł na rower i popedałował pustymi uliczkami Rafkit Seloe. Enla ku swemu zdziwieniu niemal natychmiast zapadła z powrotem w sen, jakby nie zażyła już odświeżającego odpoczynku. O świcie wyjechała ze stolicy, obmyła się w chłodnym stawie i posiliła w domu podróżnych.

Teraz mijala pola ze zbożami w różnych fazach wzrostu i na różnych etapach uprawy.

Każde z pól otaczały miedze obsadzone dzikimi kwiatami ich patronów. Słońce systematycznie podnosiło się znad horyzontu i Enla z przyjemnością obserwowała, jak co żywotniejsze kwiaty zwracają swoje lica ku emanującej ciepłem i czerwienią kuli na czystym niebie. Przy bramie domostwa Voratura zsiadła z roweru i skierowała się prosto do kwatery Pek Sikorski.

- Enlo, brakowało mi ciebie dzisiaj rano - przywitała ją Pek Sikorski po ziemsku. -

Świetnie wyglądasz.

- Moja gleba jest dziś żyzna, Pek Sikorski - odpowiedziała dziewczyna po światkańsku, sama nie wiedząc czemu. - Oby twoje kwiaty rozkwitały.

- Oby twoje kwiaty rozkwitały - zrewanżowała się Pek Sikorski w miejscowym języku.

Sama nie wyglądała, jakby jej gleba była bardzo żyzna. Dziwaczne włosy na głowie miała nieuczesane, tunikę nieświeżą. Ławy w laboratorium były zastawione ziemskimi urządzeniami, powyciąganymi z paskudnych kanciastych pudełek, i upstrzone kawałkami światkańskich roślin i zwierząt. Pek Sikorski nie próżnowała.

- Czy mogę pomóc zasiewać twoją glebę?

Pek Sikorski się uśmiechnęła.

- Dziękuję, Enlo. Obawiam się jednak, że żadna z nas nie zdoła zasiać tej gleby.

Wciąż brakuje okazałego kawałka informacji.

Enla nagle zrozumiała, że Pek Sikorski mówi o zdjęciu mózgu Peka Voratura. O

wyciąganiu kawałków dzielonej rzeczywistości z czaszki Peka Voratura i...

Zaczęła ją boleć głowa. Dziś rano nie zażyła rządowych pigułek; nie potrzebowała ich po raz pierwszy od przybycia do domostwa Voratura. Jakże dobrze było ich nie potrzebować.

Teraz jednak koszmar na powrót zakradał się do jej czaszki, niesłychane pogwałcenie wspólnej rzeczywistości planowane przez Ziemian... o ile faktycznie je planowali...

Musiała się dowiedzieć. Natychmiast. Póki czuła się silna, póki była dawną sobą, a nie stłamszoną Enlą pozostającą w zgodzie z dzieloną rzeczywistością za sprawą Ziemian, którzy wypaczali rzeczywistość, gdziekolwiek się zjawili.

- Pek Sikorski - zaczęła, przechodząc na ziemski, albowiem tym razem nie mogło być mowy o nieporozumieniu. - Pek Sikorski, czy ty chcesz wyjąć kawałki dzielonej rzeczywistości z głowy Peka Voratura i włożyć je do głowy Ziemianina?

Pek Sikorski odwróciła się, na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Co takiego?

Enla powtórzyła swoje pytanie powoli i wyraźnie. Nie obchodziło jej, że ujawnia świetną znajomość ziemskiego, którą dotychczas trzymała w tajemnicy.

- Czy ty chcesz wyjąć kawałki dzielonej rzeczywistości z głowy Peka Voratura i włożyć je do głowy Ziemianina? Przesadzić je tam?

- Przesadzić... O mój Boże!...

Sikorski ułożyła wargi w okrągłe czerwone O. Jej oczy, jej dziwne blade, bezbarwne oczy zrobiły się niemal tak samo okrągłe. Dwie kobiety wpatrywały się w siebie nad ławą roboczą zastawioną ziemskimi urządzeniami i okazami światłańskiego życia.

- Enlo... Co ty słyszałaś? Co ja twoim zdaniem powiedziałam?

Dziewczyna nie wiedziała, jak jej odpowiedzieć. Mogła tylko po raz trzeci powtórzyć pytanie:

- Czy ty chcesz wyjąć kawałki dzielonej rzeczywistości z głowy Peka Voratura i włożyć je do głowy Ziemianina?

- Nie! O Boże, nie! Posłuchaj, Enlo, nikt z nas nie zamierza skrzywdzić żadnego Światanina. Nie chcemy wyjmować niczego z waszych czaszek. To, co słyszałaś, było szalonym pomysłem Peka Allena, który chce sprawić, aby ludzie też mieli... - urwała.

Mieli co? zastanowiła się w duchu Enla. Dzieloną rzeczywistość? Ależ to by znaczyło, że teraz jej nie mają!

- Aby ludzie mieli znacznie więcej podobieństw ze Światanami - zakończyła Pek Sikorski z pewnością w głosie. - To znaczy „przesadzić” w tym wypadku. Wy na przykład macie szyjowłosa, których my nie mamy...

Szyjowłosa. Ziemianie chcieli mieć tylko szyjowłosa. I nic dziwnego. Musieli zdać sobie sprawę, jak brzydki bez nich wyglądają.

- Szyjowłosa! - powtórzyła Enla, w której wezbrało tyle radości, tyle nektaru w kwiatach jej serca, że nie zauważyła, iż Pek Sikorski uciekła wzrokiem. Szyjowłosa!

- I inne cechy - dodała Pek Sikorski stłumionym głosem. - Ale... Enlo, kiedy nauczyłaś się tak dobrze mówić w moim języku? - Znowu przez chwilę mierzyły się spojrzeniami. W końcu Pek Sikorski uśmiechnęła się smutno. - Wygląda na to, że jeszcze sporo o sobie nie wiemy.

- Ale dzielimy rzeczywistość! - wypaliła Enla. Nie mogła się powstrzymać.

Ziemianie byli jednak rzeczywisci!

- O, tak... - potwierdziła Pek Sikorski, a w jej głosie pojawił się ton, którego Enla nie potrafiła rozszyfrować. - Z całą pewnością zamieszkujemy tę samą rzeczywistość.

Było to dziwne wyrażenie, nawet jak na Ziemianina. W dodatku Pek Sikorski spoglądała na Enłę dziwnie, nazbyt intensywnie, jakby wiedziała, że jej rozmówczyni nie dzieli całej rzeczywistości.

Co oczywiście było prawdą.

Ból głowy dopadł Enłę tak gwałtownie i z taką siłą, aż zakrzyknęła głośno.

Pomieszczenie przed jej oczami spowiała mgła. Takie były skutki zapomnienia o pigułkach...

Przyłożyła dłonie do oczu. Światło, to światło tak ją raziło...

- Co się stało? Enlo?

Poczuła na sobie ręce Pek Sikorski, chłodne, zatroskane, próbujące pomóc jej usiąść.

Enla je odepchnęła. Gmerając po omacku w kieszeni, zdołała znaleźć pigułki i po chwili włożyła do ust całą ich garść. Odrobina po odrobinie pomieszczenie odzyskiwało ostre kontury, w miarę jak ból głowy niechętnie ustępował niczym bestia cofająca się chwilowo do cienia.

W końcu z mgły wyłoniła się też Pek Sikorski, zaniedbana kobieta siedząca obok niej na wypolerowanej podłodze.

- Już dobrze, Enlo - odezwała się. - Powiedz mi, co spowodowało atak.

Światanka tylko potrząsnęła głową. Nawet to ją zabolalo.

- Ból zaczął się, kiedy powiedziałam: „Z całą pewnością zamieszkujemy tę samą rzeczywistość”. Dopadł cię, ponieważ ty wiesz, że to nieprawda. To był atak niedzielonej rzeczywistości, najpotężniejszy, jakiego byłam świadkiem. Kim ty jesteś, Enlo?

Bestia znów wychyłała z cienia. Palce Enli zacisnęły się na większej liczbie pigułek.

- Na co są te pigułki? Enlo? Mój Boże, one zmniejszają ból głowy. Dzięki nim jakoś znosisz niedzieloną rzeczywistość. Ale Światanie wierzą... Enlo, kim ty jesteś?!

Dziewczyna połknęła jeszcze dwie pigułki. Ile to było razem? Nie wolno jej wziąć ani jednej więcej. To zbyt niebezpieczne.

- Pogarszam tylko sytuację, tak? Przepraszam, Enlo. Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz.

Pek Sikorski objęła ją ramionami. Zaskoczona Enla szarpnęła się, odskoczyła, jednakże ten ruch sprawił, że bestia znowu rzuciła się do przodu, obnażyła kły. Dziewczyna oparła się o Pek Sikorski powoli, ostrożnie, jakby jej głowa była z dmuchanego szkła.

Ziemiańska emanowała ciepłem, siłą. Nikt nie dotykał Enli od śmierci Tabora.

Tabor...

Pek Sikorski mówiła cicho:

- Nawet jeśli staramy się być ostrożni, nadal przysparzamy bólu, prawda? Nie dlatego, że jesteśmy Ziemiańkami. Po prostu dlatego, że jesteśmy wszyscy ludźmi...

Enla przerwała jej.

- Mój brat nie żyje przeze mnie - powiedziała. I natychmiast tego pożałowała. Słowa te wymknęły się jej za sprawą uścisku ramion Pek Sikorski, jego siły i łagodności zarazem.

Za sprawą bólu głowy. Za sprawą tego, że taka była rzeczywistość, której nie dzieliła zbyt długo. Zbyt długo...

- Przykro mi, Enlo. Ale jestem przekonana, że cokolwiek się stało, nie życzyłaś mu śmierci.

Enla wyplątała się z ramion Pek Sikorski. Z trudem wstała na nogi. Patrzyła z góry na Ziemiańkę, która najwyraźniej nie zrozumiała tego, co przed chwilą usłyszała. Pek Sikorski zwróciła zmęczoną, zmartwioną miłą twarz ku niej.

Pek Sikorski nie zdawała sobie sprawy - nie wiedziała! - że rzeczywistość to nie kwestia życzeń, tylko kwestia faktów.

Pek Sikorski nie miała pojęcia o najbardziej podstawowej sprawie.

- Nie, Anno. Nie życzyłam Taborowi śmierci.

- Odpocznij tutaj trochę...

- Muszę wrócić do siebie i położyć się spać.

Było to oczywiście kłamstwo, ale na tle wszystkich innych większych łgarstw nie miało żadnego znaczenia.

Odnalazła Peka Voratura w jego biurze mieszczącym się niedaleko głównej bramy domostwa. Nie był sam. Obok niego stał ogrodnik w tunice utyłanej ziemią, trzymając kosz z korzonkami. Był to starszy drobny mężczyzna o pożółkłych szyjowłosach i łagodnej twarzy, jeden z dziesiątek pomocników opiekujących się rabatami w licznych ogrodach - człowiek, któremu nikt nie poświęcał większej uwagi. W chwili gdy Enla go ujrzała, domyśliła się, że to drugi z informatorów w domostwie Voratura.

- Muszę złożyć raport, Peku Voraturze - oznajmiła.

- Tak właśnie myślałem - stwierdził w odpowiedzi, marszcząc gładką wyrazistą twarz i błyszczące grzebienie czaszkowe. - Musisz złożyć raport, ale nie tylko mnie. Jesteś rządowym informatorem, Pek Brimmidin.

- Owszem.

- Jesteś nierzeczywista.

Enla milczała. Nie musiała przytakiwać.

- A ja nic o tym nie wiedziałem - ciągnął Pek Voratur.

- Nie ma zwyczaju powiadamiać osób z otoczenia informatora, że ktoś nierzeczywisty jest nierzeczywisty. Stres byłby zbyt duży.

- Nie w wypadku zażycia tych pigułek, które wzięłaś przed chwilą. Co to było? Coś, co dostałaś od Ziemiań?

Staruszek doprecyzował głosem równie nijakim jak cała reszta jego powierzchowności:

- Miała je w kieszeni tuniki.

- Zatem dostałaś je od Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty? Pigułki sprawiające, że niedzielona rzeczywistość staje się znośna? Coś takiego w ogóle jest możliwe?

- Zaraz opuszczę twoje domostwo, Peku Voraturze - rzekła Enla.

To właśnie przyszła mu powiedzieć. Pek Sikorski z pewnością poinformuje Peka Bazargana o ataku Enli i o jej pigułkach, a Pek Bazargan był tym z ziemian, który rozumiał

Świat najlepiej ze wszystkich obcych przybyszów. Jak tylko się dowie, że Enla jest nierzeczywista, przekaże tę wiadomość Pekowi Voraturowi. Przynajmniej tyle rzeczywistości dzielili. Enla słyszała, jak to robią, wystając nocami we wnękach muru.

- Nie, Enlo. Nie wydaje mi się, abys miała odejść.

Nawet ogrodnik wyglądał na zaskoczonego tymi słowami. Pek Voratur odprawił go gestem i staruszek w pośpiechu wyturlał się z biura.

- Pokaż mi pigułki.

- Nie - odparła Enla. Przez mgnienie oka wyobrażała sobie, że kupiec spróbuje je odebrać siłą. Ale oczywiście tego nie zrobił. Przecież był rzeczywisty.

- Mam jednak rację, prawda? Dostałaś je od Rzeczywistości i Pokuty po to, byś mogła wykonać zadanie?

- Tak.

- Aha!

Chociaż to Enla mogła powiedzieć „aha!”. Dostrzegła już u Voratura niewątpliwe oznaki bólu głowy. Była nazbyt nierzeczywista, nawet kiedy tylko tam stała.

- Pek Brimmidin - odezwał się oficjalnie. - Rozważę to. Teraz możesz się oddalić. Nie opuszczaj jednak mojego domostwa. Zamierzam zasięgnąć rady duchownego.

- Dobrze.

- Idź już.

Żadnego kwiatu pożegnania. Oczywiście, że nie. Wiedział już, kim Enla jest.

Potykając się ze wstydu, przemierzała kwitnące i pachnące dziedzińce, nie odpowiadała na niczyje pozdrowienia. Dotarłszy do kwatery, którą dzieliła z trzema innymi służącymi, padła na posłanie. Bestia zakradła się bliżej, lecz sen nadszedł szybciej. Sen?

Znowu? Tak, zażyła zbyt wiele pigułek. Sen...

Gdy zasypiała, żałowała, że nie umiera.

14

Gofkit Jemloe

Tej nocy komunikator Bazargana nadał sygnał alarmowy. Drugi od początku wizyty na Świecie.

Dowódca zerwał się z posłania i pośpiesznie zapalił lampę oliwną. Ktoś chciał z nim rozmawiać. Natychmiast. Co oznaczało, że Zeus nadal istniał.

- Zgłasza się Ahmed Bazargan!

Usłyszał chłodny opanowany głos Syree.

- Doktorze, mówi pułkownik Johnson. Z przykrością informuję pana, że mamy na pokładzie problem, który może dotyczyć także pana. Jednostka Fallerów wróciła do tunelu czasoprzestrzennego, ale spodziewamy się, że wróg nadciągnie w większej sile.

- Rozumiem. Chcecie, abyśmy wrócili na pokład. Ale jak już wcześniej powiedziałem...

- Dość. Sytuacja jest teraz o wiele bardziej złożona. - Głos pułkownik Johnson brzmiał

nadal tak samo, niemniej Bazargan poczuł, jak w ciemności jeżą mu się włosy na karku. -

Doktorze Bazargan, Zeus nie tylko dostarczył do tego systemu pańską nic nieznaczącą ekspedycję, ale wykonuje także misję o znaczeniu militarnym. Jeden z tutejszych księżyców, zwany Tas, nie jest naturalnym obiektem kosmicznym, tylko tworem obcej cywilizacji. Tej samej, której zawdzięczamy tunele czasoprzestrzenne. Naszym zdaniem to bardzo potężna broń. Fallerowie chcą ją zdobyć, podobnie jak my. Zanim tutaj powrócą, podholujemy artefakt do tunelu i spróbujemy go przerzucić.

- Księżyc? Zamierzacie poruszyć księżyc?

- Zamierzamy spróbować. Jediną alternatywą jest wysadzenie go... Co będziemy zmuszeni zrobić, jeśli flota Fallerów pojawi się tutaj, zanim wykonamy skok. Powodem...

- Dlaczego nie poinformowano mnie o tym na samym początku ekspedycji?

- Ponieważ to misja wojskowa - oświadczyła lodowatym tonem Johnson. - nie musiał

pan o niej wiedzieć.

- Ale...

- Nie mam czasu na takie gadki, doktorze. Proszę mnie wysłuchać. Przeniesienie tego satelity przez tunel albo wysadzenie go w normalnej przestrzeni może przynieść nieobliczalne konsekwencje dla Świata. Dlatego informuję pana teraz o wszystkim. Artefakt emituje sferyczną falę uderzeniową, która

czasowo destabilizuje wszystkie pierwiastki o liczbie atomowej większej niż siedemdziesiąt pięć. Mogą one emitować promieniowanie przez nieznaną nam czas. Podczas próby przy minimalnym natężeniu straciliśmy jednego z członków załogi. A przy eksplozji może zostać wyzwolona znacznie większa ilość energii.

Informuję pana o tym, aby mógł pan przenieść swój personel w miejsce w miarę bezpieczne.

To, czy informować tubylców o zagrożeniach i jak to zrobić, pozostawiam do pańskiej decyzji.

- Ale co... kiedy... - Bazargan rozpaczliwie próbował zestawić fakty, podpierając się skąpą wiedzą z zakresu fizyki. - Destabilizuje wszystkie pierwiastki o liczbie atomowej większej niż siedemdziesiąt pięć... Czyli które?

- Tego jeszcze nie wiemy - przerwała mu Johnson. - I dlatego właśnie informuję pana o wszystkim. Jestem pewna, że w pańskim zespole jest ktoś, kto będzie w stanie pojąć wszystkie implikacje, na przykład doktor Gruber. Reszta jest w pańskich rękach. Powodzenia.

Komunikator zamilkł.

Bazargan spróbował ponownie nawiązać połączenie, lecz Zeus nie odpowiedział.

Dowódca ekspedycji przeszedł w ciemnościach pod okno. Tylko raz w życiu działał

pod wpływem złości i potrzebował potem wielu lat, by wynagrodzić wynikłe z tego powodu straty. Teraz nie będzie miał tyle czasu. Dlatego zaczerpnął głęboko tchu, aby odzyskać kontrolę nad nerwami.

Nawet słowem się nie zająknęli. Narażali na niebezpieczeństwo jego zespół, co tam zespół, wystawiali na szwank całą planetę, ale dranie nie uznali za stosowne wspomnieć mu o tym choć słowem. Mimo jego kartoteki, reputacji, stopnia naukowego...

W głębinach serca dwie siły zmagają się ze sobą, ogień i woda... Ferdousi, dziesiąty wiek.

Wykorzystali go do ukrycia operacji o charakterze militarnym, użyli Świata jako przykrywki, narażając na zagładę...

Poczuł zapach kwiatów. Lilia zdaje się mi grozić, już obnaża zakrzywione drżące ostrze... Hafiz. Czternasty wiek.

Johnson poświęciła sześćdziesiąt sekund swojego cennego czasu, przekazując informację w sposób zwięzły, bez słowa przeprosin, pozostawiając mu uprzątnięcie bałaganu, jaki zapanuje w relacjach pomiędzy ludźmi i Światanami, nie wspominając już o konieczności definitywnego zakończenia antropologicznego eksperymentu, gdy eksploduje tak zwany

„artefakt”...

Nie zdeptaj mrówki niosącej złota okruchy: Ona żyje radośnie, ale w bóleści zginie...

Sadi. Niestety nie potrafił przypomnieć sobie w tej chwili z którego wieku był ten poemat.

Napięcie ustępowało z wolna. W pewnej chwili puścił powiewające zasłony i noc zalała jego zmysły. Zdał sobie sprawę z tego, że mogłaby go uspokoić mieszanka neurofarmaceutyków. Nie, ten sposób jest lepszy. Perscy poeci są pewniejsi.

Kwitną kwiaty każdej nocy, ku niebu pną się niestrudzenie, niosąc błogość nieskończoną, kojąc moje sumienie... Głęboki wdech. Trzynasty wiek. Głęboki wydech. Musi zbudzić pozostałych.

- Czy możesz to powtórzyć, Dieter? - poprosiła Anna.

W mdłym świetle oliwnych lampek skóra na jej twarzy wydawała się bardzo blada, niemal przezroczysta. Bazargan ściągnął ze złązu Davida Allena, domyślając się, że Gruber i Sikorski będą razem. Dzięki temu mogli wykonać jeden ruch mniej, przemierzając mroczne ogrody, co zmniejszało szansę zwrócenia na siebie uwagi, zanim będą na to gotowi. Jedyne księżyc znajdujący się o tej porze na niebie wisiał tak nisko, że skrywały go kontury zabudowań i drzew.

Dieter ubrany w tunikę, która była tak wymięta, jakby przez ostatnie trzy tygodnie trzymał ją w plecaku, poruszył się niespokojnie na swojej poduszce. Stres pogłębiał jego niemiecki akcent.

- Opieram się wyłącznie na tym, co usłyszał Ahmed z ust Johnson. Jeśli opisana przez nią fala destabilizująca uderzy z odpowiednią mocą i jeśli rzeczywiście będzie miała wpływ wyłącznie na pierwiastki o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć, wszystko wokół

stanie się radioaktywne. Aczkolwiek tylko czasowo. Czy ona na pewno powiedziała

„czasowo”, Ahmedzie? *Ja?*

- Tak. Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

- Z naszej wiedzy wynika, że nie. Ale nie mamy też pojęcia, jak działają tunele czasoprzestrzenne. Zatem nie można wykluczyć, że wszystko wokół zacznie emitować promieniowanie alfa. Iryd, platyna, złoto... Jaka to była liczba atomowa? Siedemdziesiąt pięć?

Czy ona wspominała o ołowiu, Ahmedzie? Ołów jest bardzo stabilny!

- Nie. Chyba nie. Nie jestem pewien.

- No to skontaktuj się z tą suką i zapytaj ją o to - burknął David.

Już raz musieli go uspokajać.

- Próbowałem się z nią skontaktować, ale Zeus nie odpowiada, więc zamknij się, proszę - odparł Bazargan.

- Nie będę milczał! Przecież oni nas kompletnie olewają. Nie zauważyliście tego jeszcze? Wszyscy na Świecie mogą zginąć!

- Nie, nie - łagodziała Anna. - Nie dojdzie do niczego podobnego. Po pierwsze, tylko połowa globu będzie wystawiona na działanie fali uderzeniowej, gdy ta nadejdzie, zresztą być może zdołają ją powstrzymać tutejsze skały. Można mieć taką nadzieję. Po drugie, organizmy żywe niezbyt ją odczują. Tak myślę. Zakładając oczywiście, że fala w ogóle nadejdzie, co jeszcze nie jest przesądzone.

- Czyli mamy tu siedzieć z założonymi rękami i czekać, licząc, że nic się nie stanie?

Jakby nigdy nic pozwolić, by połowa Świata się usmażyła, ponieważ to nic wielkiego?

Bazargan się podniósł. Kolorowe obłe poduchy były bardzo płaskie; stojąc, górował nad siedzącym Davidem o jakiś metr.

- Kazałem ci się zamknąć, a ty oczywiście nie posłuchałeś. Jeśli natychmiast się nie uciszysz, zostaniesz usunięty z tego zebrania. Siłą, jeśli będzie trzeba.

David również wstał.

- Nie odważysz się.

- Właśnie że się odważę - odparł spokojnie Bazargan.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Na ścianach tańczyły cienie. Gruber podniósł się z miejsca i stanął u boku Bazargana.

David się zaśmiał.

- A więc to tak? Cóż, wygląda na to, że Syree Johnson nie jest jedyną formalistką w tym zespole. - To powiedziawszy, usiadł.

Bazargan wrócił na swoje miejsce, w żaden sposób nie okazując triumfu ze zwycięstwa. Po chwili Gruber poszedł w jego ślady.

Milczenie pierwszy przerwał Bazargan.

- Musimy przestrzec Światan. Tylko takie zachowanie obroni się z punktu widzenia moralności. Musimy im powiedzieć, co się wydarzy, kiedy i dlaczego.

- Nie wiemy tego - zauważyła przytomnie Anna. - Poza tym doktor Johnson może nas nie uprzedzić, zanim wysadzi w powietrze ten księżyc... Który to właściwie był?

- Tas - odparł Bazargan. - I postaram się, by nas jednak uprzedził. Uprzedziła -

poprawił się po chwili namysłu. Od dawna nie miał problemów z językiem angielskim; chyba powinien być zażyty tę mieszankę neurofarmaceutyków. Teraz mógł tylko wziąć głęboki oddech, by zapanować nad myślami. - Będę wywoływał Zeusa dopóty, dopóki nie otrzymam zapewnienia, że zostaniemy poinformowani o dosadnych planach dotyczących bądź

wysadzenia księżyca, bądź jego przemieszczenia przez tunel czasoprzestrzenny, co...

- To szaleństwo - ocenił Dieter. - Masa obiektu jest zbyt duża.

- ...nastąpi nie wcześniej niż za sześć dni, o ile Dieter nie pomylił się w obliczeniach.

Oczywiście jeśli Zeus będzie uparcie milczał albo Fallerowie pokażą się i sami wysadzą Tasa, żadne ostrzeżenie nie nadejdzie na czas. Dlatego moim zdaniem należy przestrzec tubylców o tym, co może się stać, zanim nawet zyskamy całkowitą pewność, że się to stanie.

- Tak. Tylko takie zachowanie obroni się z punktu widzenia moralności - zakpił

David. Jego młodą przystojną twarz wykrzywił grymas goryczy. Jednakże Bazarganowi skończyła się cierpliwość i nie zamierzał znosić skutków młodzieńczej utraty złudzeń.

- Dieterze, sporządź listę wszystkiego, co trzeba usunąć z wioski i z Rafkit Seloe. A może byłoby lepiej, gdyby Światanie sami to zrobili?

Gruber zastanowił się nad jego pytaniem.

- Trudno powiedzieć, jak długo będą musieli przebywać z dala od swoich domostw, które zresztą w większości nie powinny ucierpieć od fali uderzeniowej ze względu na rodzaj materiałów użytych do budowy... Z drugiej strony jeśli fala zdoła wpłynąć na jądra o liczbie atomowej znacząco niższej niż siedemdziesiąt pięć...

- Wówczas skutki odczują również organizmy żywe i wszyscy umrzemy - dokończyła za niego Anna.

Bazargan podjął decyzję.

- Sporządź tę listę, Dieterze. Natychmiast. Rano udamy się do Peka Voratura i poprosimy, aby jako nasz gospodarz zabrał nas do Nadzoru Pomocy w Nagłych Wypadkach w Rafkit Seloe. Tak, myślę, że to najlepsze, co możemy zrobić.

Anna wtrąciła cicho:

- Będą na nas źli. Jakiego rodzaju reperkusji możemy się spodziewać?

Odpowiedź padła z ust Bazargana.

- Mogą nas oczywiście uznać za nierzeczywistych. Ufam jednak, że to nie nastąpi.

Chwilę potrwa, zanim zostanie zwołane zgromadzenie i zapadnie decyzja. Mam nadzieję, że do tego

czasu uda mi się przekonać wszystkie najważniejsze osoby, że dzielimy z nimi zmienioną rzeczywistość. Dlatego musimy zwrócić się do Voratura z samego rana. W

przeciwnym razie zarzut nierzeczywistości będzie miał solidne podstawy.

- Skoro tak - odezwała się Anna - powinniśmy zwrócić się do niego bezzwłocznie.

Lista Dietera może poczekać.

Pomimo słabego oświetlenia Bazargan dostrzegł, że Gruber wolno kiwa głową.

Moment później swoje poparcie wyraził David Allen.

- Zatem zgoda - rzekł Bazargan. - Pójdziemy do niego od razu. - Niemal nie robiąc przerwy, wypowiedział słowa, które zadziwiły nawet jego, a płynęły z głęboko pogrzebanej dziecięcej wiary:
- I niech Allah ma nas w swojej opiece.

Gruber pokazał zęby w uśmiechu.

Enla poruszyła się przez sen, a następnie oprzytomniała pośród ciemności.

Przydzielony jej pokój był pogrążony w całkowitym mroku i bezruchu. Jak to możliwe? Powinna słyszeć oddech Udli, Kenthu i Essli. Kenthu do tego chrapała. Gdzie podziało się jej chrapanie, niemelodyjne jak dźwięki wydawane przez zardzewiały flet? Gdzie podziało się okno i wpadające przez nie światło księżyca?

Coś drgnęło na tle przeciwległej ściany.

Nie wydając ani szmeru, Enla stoczyła się z pośłania na podłogę. Miała w tym wprawę już jako dziecko - Anu i Tabor nigdy nie wiedzieli, gdzie ją znajdują. Gdy teraz dotarła do połowy pomieszczenia - czy też miejsca, które uznała za połowę - przystanęła. Ktokolwiek się do niej zbliżał, liczył na to, że będzie uciekać w przeciwną stronę.

Powoli zaczynała rozróżniać niektóre kontury. Wprawdzie zasłona zakrywała łukowate okno, lecz z jednego boku wpadał cienki blady promień księżyca. Poruszający się naprzeciwko cień zatrzymał się przy czterech drewnianych skrzyniach, w których służące przechowywały swoje osobiste rzeczy. Wieko skrzypnęło cicho, gdy intruz je podnosił.

Niewielkie skrzynie stały jedna obok drugiej, toteż Enla nie mogła widzieć, którą otwarto.

Wszelako fakt, iż wieko dało się unieść, wskazywał na skrzynię nieporządnej Udli. Reszta służących trzymała bowiem swoje skarby pod kluczem.

Wreszcie Enla spostrzegła, że na podłodze leży tylko jej pośłanie. Essla, Udla i Kenthu nie wróciły na noc do pokoju. Zalała ją fala ulgi - to znaczyło, że nie stała im się żadna krzywda.

Kim był intruz? Złodziejaszkiem? Ale jak się dostał do domostwa Voratura?

Wieko skrzyni należącej do Udli skrzypnęło ponownie, tym razem przy zamykaniu.

Postać mocowała się przez chwilę z pozostałymi skrzyniami, ale ich wieka ani drgnęły.

Intruz - a może była to kobieta? - nie uczynił żadnego hałasu. Poruszał się bezszelestnie pomimo panującego w pomieszczeniu gęstego mroku i zmierzał prosto do miejsca, w którym Enla zazwyczaj rozkładała swoje posłanie. Jeszcze moment i przekona się, że jej tam nie ma...

Enla nie czekała dłużej. Odepchnęła się kolanami i łokciami, nie dbając już o zachowanie ciszy, i pomknęła w kierunku intruza. Sprzyjała jej przewaga zaskoczenia.

Złapała ciemną postać i obaliła ją na podłogę.

Gdyby miała do czynienia z silnym mężczyzną, nie poszłoby jej tak łatwo.

Ale nie był to silny mężczyzna. Enla usiadła na intruzie okrakiem, przyszpilając jego ramiona do podłogi. W trakcie szamotaniny dotknęła dłonią szorstkiej brody. Jednakże nawet teraz, z bliska, nie widziała, kto jest jej przeciwnikiem. Wyjaśniło się to dopiero, gdy przemówił.

- Proszę, Pek Brimmidin... nie rób mi krzywdy.

Starzec. Drugi informator Peka Voratura. No tak. Enla odmówiła wydania pigułek rządowych Pekowi Voraturowi, więc gospodarz nasłał informatora, aby je ukradł. Powinna była się tego spodziewać.

- Nie zrobię ci krzywdy, stary śmieciarzu! Ale pigułek u mnie nie znajdziesz. Są gdzie indziej.

- Aaach!... Nie sprawiaj mi bólu. Jestem stary.

Enla poluzowała chwyt. Wstając, odwróciła się do zasłony, by odciągnąć ją bardziej i wpuścić więcej światła. Chciała zobaczyć twarz starca. Kradzież nie była oczywiście pogwałceniem dzielonej rzeczywistości: prawie każdy się jej spodziewał. Pek Voratur nigdy by nie odebrał jej pigułek siłą. Był jednym z rzeczywistych, a ci nie mieli w zwyczaju pogwałcać rzeczywistości drugiej istoty. Ale to rozumiałe, że próbował je przejąć -

stanowiły cenny towar. A ten staruch musiał być nierzeczywisty, w przeciwnym razie nie zostałby informatorem. Enla chciała ujrzeć jego oblicze w lepszym świetle. Nie skłamała, mówiąc, że nocą pigułki trzyma gdzie indziej, jednakże chciała się upewnić, że dzielą rzeczywistość w tej sprawie, gdyż wołała, aby nigdy więcej nie myszkował po jej pokoju, przeszkadzając śpiącym współlokatorom.

Złapała róg zasłony i pociągnęła. Coś uderzyło ją mocno w krzyż.

...A ten staruch musiał być nierzeczywisty, w przeciwnym razie nie zostałby informatorem...

Informatorzy byli zdolni do zabijania. Ona, Enla, zabiła.

- Gdzie one są? - warknął za jej plecami.

Ból był zdumiewający. Tańcząc, przesuwał się w górę wzdłuż kręgosłupa i w dół po nogach. Miażdżył wszystko bezlitośnie. Enla straciła zdolność ruchu, mowy, niczego nie widziała. Nie było nic prócz bólu.

- Gdzie one są, Pek Brimmidin?

Zaskomlała i opadła w spazmach na podłogę, niezdolna do odpowiedzi. Rzuciła coś, co zabrzmiało jak „gówno”, „zrób to” czy nawet „pomocy”. A potem poczuła coś niewyobrażalnego, prawdziwie nierzeczywistego... nóż rozdzierający jej skórę, jej ciało, jej żywą istotę. Wszystko zniknęło.

Kiedy czterej Ziemianie maszerowali przez pogrążone w mroku ogrody do prywatnych kwater Peka Voratura, Bazargan już panował nad sobą. Choć może nie do końca.

Trudno mówić o opanowaniu w wypadku człowieka, który zmierza do swego gospodarza na innej planecie, aby poinformować go o możliwości masowej zagłady. Mimo to Ahmed Bazargan czuł powierzchowny spokój.

W prywatnych ogrodach gospodarza Anna doń szepnęła:

- Ahmedzie, zaczekaj na Dietera.

Bazargan się odwrócił.

- Na Dietera? A gdzie poszedł? Sądziłem, że jest z nami.

- Zaraz tu będzie. Skoczył tylko do swojej kwatery po próbki skał. Chce pokazać Voraturowi, co ulegnie destabilizacji przy uderzeniu fali.

Bazargan był zdania, że podobna prezentacja mogłaby poczekać do czasu po przelaniu informacji, ale Dietera już nie było. Pozostali nie mieli innego wyjścia, jak zatrzymać się w oczekiwaniu na niego i nie dać się nieprzyjemnemu chładowi. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Następny księżyc piął się po niebie - Bazargan nie miał pojęcia który. Jasny blask wzniósł się ponad mur otaczający domostwo Peka Voratura. Był to chyba jeden z większych, wolniejszych księżyców: Rai, a może Kat. Nie Tas, który ciągnięto do Tunelu Czasoprzestrzennego #438. W powietrzu rozjaśnionym zimnym bladym blaskiem unosił się zapach niewidocznych kwiatów.

Nie słowik to, lecz wie, że w tym pączku śpi róża. Hafiz. Po raz pierwszy od dzieciństwa Bazargan miał głowę pełną perskiej poezji. Żadne inne miejsce od bardzo dawna tak na niego nie działało. To pewnie przez te kwiaty, tę architekturę, te dziedzińce...

Była to iście bizantyńska sytuacja.

Nie dało się niczego osiągnąć bez komplikacji, intrygi, nocnego spiskowania. Z

których to powodów Bazargan nienawidził Iranu - i kochał go. Oraz zdecydował się studiować za granicą, i to antropologię, dzięki której mógł doświadczać intryg innych kultur zamiast własnej. Co doprowadziło go do tego ogrodu pachnącego jak Isfahan.

- Już jestem - rzekł Gruber, wyrastając u boku Ahmeda. Wykorzystał wizytę w swojej kwaterze, by ubrać się cieplej. W ręce trzymał duży worek z ukochanymi kamieniami.

- Pora zacząć przedstawienie - rzuciła Anna. Bazargan po raz kolejny miał możliwość ujrzeć drugą stronę jej natury, zazwyczaj ukrytą: brawurę równoważącą nadzwyczajną delikatność. - Wejźmy do środka.

Każde z nich zerwało kwiat powitania z rosnących przy wejściu krzaków, Bazargan trącił łańcuszki oznajmiające nadejście gości.

Osobisty sługa Peka Voratura poprowadził ich do prywatnych kwater gospodarza.

Przed momentem odciągnął zewnętrzną zasłonę oddzielającą wnętrza od ogrodów, mrugając zaspanymi oczami i gmerając przy knocie lampy. Następnie zniknął wewnątrz, skąd dobiegł

gniewny okrzyk, kobiecy szept i syk zapalanych lamp. W końcu wyłonił się gospodarz domu, sam, puszczać za sobą zasłonę oddzielającą go od Alu. Przysadzisty Światanin przyglądał się im podejrzliwie; szyjowłosy sterczały mu sztywnymi kępkami.

- Peku Voraturze, moje kwiaty więdną ze wstydu, że musiałem zakłócić ci sen Wezwał się Bazargan - jednakże przychodzę z ważną sprawą. Dowiedzieliśmy się właśnie, że rzeczywistość uległa zmianie, i przybyliśmy niezwłocznie dzielić z tobą zmienioną rzeczywistość.

Gniew zniknął z twarzy Voratura - zastąpiło go chłodne kupieckie wyrachowanie

- Niech twoje kwiaty rozkwitają, Peku Bazarganie. Na czym polega zmiana?

Przeszedł od razu do sedna; nie poprosił ich, aby usiedli, ani nie odesłał sługi stojącego w gotowości pod ścianą. Ziemianie nie mieli innego wyjścia, jak również przejść od razu do rzeczy.

Bazargan podjął:

- Nasza wielka latająca łódź skontaktowała się z nami z przestrzeni. Światu i jego mieszkańcom grozi niebezpieczeństwo. Dziwna broń... - mówiąc po światkańsku, użył słowa oznaczającego przedmiot „wywołujący eksplozję bądź pożar lasu” - została odkryta na orbicie waszej planety. Staramy się zapobiec jej... wybuchowi, to znaczy czemuś, co dzieje się, gdy kora freliby wpadnie do ognia. Wszelako jeśli jednak dojdzie do wybuchu... mówię, jeśli”, gdyż nie mamy co do tego pewności... Świat może to odczuć w bardzo dziwny sposób.

Przekazujemy ci tę wiadomość zaraz po tym, jak otrzymaliśmy ją z naszego statku, aby w pełni dzielić z tobą rzeczywistość. Prosimy, zabierz nas jak najszybciej do Nadzoru Pomocy w Nagłych

Wypadkach. Należy podjąć działania przygotowawcze na całym globie.

Voratur wydawał się zdezorientowany. Jedną pulchną dłonią przyglądał niesforne szyjowłosa, ale zaraz o nich zapomniał.

- Broń okrążająca Świat? Jaka broń? I czyja?

- Nie wiemy - odparł zgodnie z prawdą Bazargan. - Jest bardzo stara. Krąży na orbicie Świata od bardzo, bardzo dawna.

- A teraz wybuchnie? Skąd...?

- Być może wybuchnie.

- ...o tym wiecie?

- Nasi kapłani na pokładzie statku ją zbadali. I doszli do takiego wniosku. Musimy się udać do Nadzoru Pomocy w Nagłych Wypadkach, aby Świat miał czas na konieczne przygotowania.

- Przygotowania? Jakie przygotowania? - Voratur w dalszym ciągu nic nie rozumiał.

- Wszystko wyjaśnimy. To dość skomplikowane, Peku Voraturze. Ale że dzielimy rzeczywistość, być może nikt na Świecie nie ucierpi. - Owszem, było to możliwe, lecz na ile prawdopodobne?

- Jak... jak nazywa się ta broń, o której mówicie?

Bazargan zastanawiał się gorączkowo. Światanie bacznie obserwowali swoje niebo, wkrótce więc bez niczyjej pomocy odkryją, że Tas, najszybszy z dwóch księżyców o niskiej orbicie, nie przemierza jak zwykle nieboskłonu.

- Bronią tą jest księżyc Tas, który wcale nie jest księżycem, tylko pustą w środku metalową kulą.

- Pustą metalową kulą! - wykrzyknął Pek Voratur. - Księżyc to księżyc!

- Obawiam się, że w tym wypadku to nie takie proste.

Bazargan przyglądał się gospodarzowi, który mierzył się z nową dla niego ideą.

- Ale... No dobrze, to pusta w środku metalowa kula. Broń. Bardzo stara. Ani ziemską, ani światłańską. Która może w każdej chwili eksplodować.

- Tak, Peku Voraturze. Może eksplodować.

- Nic nie pojmuję!

Do rozmowy włączył się David Allen, mówiąc współczującym tonem:

- Trudno to pojąć, Peku Voraturze. My, Ziemianie, też nie w pełni rozumiemy istotę Tasa. Wiemy

jednak, że to czyjś wyrób.

Voratur zamarł.

Bazargan zauważył to i zaczął się zastanawiać, co dla tego Światanina oznacza określenie „wyrób”. Co teraz będzie?...

- Wyrób - powtórzył wolno Voratur. - Tas jest wyrobem... „Wrócimy po gotowy wyrób” powiedzieli wasi kupcy podczas pierwszej wizyty na Świecie. Sądziliśmy, że mają na myśli wytwory naszych rąk. Tymczasem chodziło im o Tasa. Wróciliście po Tasa.

- Peku...

- Wiedzieliście! Wiedzieliście, że to nie księżyc, tylko broń! Wiedzieliście prawie rok temu, ale nie dzieliliście z nami rzeczywistości!

- Ależ nie - zaprzeczył prędko Bazargan. - Nie, nie... Dowiedzieliśmy się przed chwilą. Ziemianie ze statku nam powiedzieli... - spostrzegł swój błąd. Za późno jednak.

- Oni wiedzieli! - przerwał mu Voratur. - Ziemianie w przestrzeni wiedzieli. I nie dzielili rzeczywistości z wami, z przedstawicielami własnego gatunku...

Wyraz jego twarzy zmienił się nagle. Bazargan wiedział, że ból głowy musi być porażający. Porażający, pulsujący, tętniący. Ale nie aż tak dotkliwy, by Voratur nie mógł

myśleć i wyciągać nasuwających się nieuchronnie wniosków. Ziemianie nie dzielili rzeczywistości z przedstawicielami własnego gatunku... Nie mogli więc być rzeczywici. Pek Voratur dostał na to widomy dowód, dowód, który nawet nie wyłgał mądrości zgromadzenia.

Każde światkańskie dziecko by go dostrzegło. Dlatego Bazargan musiał działać szybko, inaczej wszyscy zginą.

Jednakże Voratur i Gruber okazali się szybsi.

- Nierzeczywiści! - krzyknął gospodarz do swego służącego. - Zwołaj wszystkich!

Mężczyzna posłusznie wypadł za zasłonę. Gruber już się pochylał nad workiem z kamieniami, lecz zanim wy dobył modulowany pistolet laserowy, sługa zdążył fiknąć nie tylko z pomieszczenia, ale i z dziedzińca.

- *Verdammt!* Peku Voraturze, połóż się, proszę, na ziemi twarzą w dół!

Bazargan usłyszał swój zmęczony głos:

- To niepotrzebne, Dieterze. Tutaj nie robi się tego w ten sposób.

Faktycznie, Voratur już patrzył przez nich, przez pustą przestrzeń, której nie zajmowali. Byli przecież

nierzeczywiści.

- Co? - oburzył się Gruber. - Służący zawiadomi wszystkich, że jesteśmy nierzeczywiści!

- Z pewnością już to zrobił. A Pek Voratur, gdyby był dość silny, by napaść na cztery dorosłe osoby, już by nas zniszczył. Ale że jest zbyt słaby, ignoruje nasze istnienie.

- Tylko że wszyscy domownicy razem wzięci dadzą nam radę, *ja?* Musimy stąd uciekać. Anno, idziesz za mną, potem ty, Ahmedzie, i Dav... David? David!

Bazargan się obrócił. David Allen stał sztywno, jakby przy najlżejszym dotknięciu miał się rozsypać jak pęknięte szkło. Bazargan zrozumiał.

„A Pek Voratur, gdyby był dość silny, by napaść na cztery dorosłe osoby, już by nas zniszczył...”

Bonnie. Ben.

- Davidzie, zaczekaj! - Jednakże reakcja Bazargana była spóźniona. Allen już biegł

przez dziedziniec, potykając się z pośpiechu, trając grządkę allabeniriby, byle dotrzeć do złązu na czas.

- O mój słodki Boże - szepnęła Anna.

- Uplętnęło tylko parę minut - powiedział Bazargan, ale sam nie wierzył we własne słowa. W niektórych sytuacjach wystarczy tylko parę minut. A gdy ma się przekonanie o własnej moralnej wyższości, parę minut to aż nadto.

- Trzymajmy się razem - zarządził Gruber.

Poprowadził ich do złązu, idąc chaotycznymi śladami Davida Allena. Wraz z każdym mijanym przez nich dziedzińcem jaśniało nocne niebo, kwiaty się rozwijały, a z budynków domostwa Voratura wysypywali się mieszkańcy, zamierając natychmiast na widok trojga Ziemian.

Jakiś ogrodnik przechwycił spojrzenie Bazargana i pokazał mu plecy.

Jakaś kobieta wypadła z łaźni z przerażoną miną na wieść, że Ziemianie nie są rzeczywisti. Natknęła się na nich w swoim ogrodzie, wrzasnęła, po czym zobojętniała, przybierając ów dziwny mętny wyraz twarzy, który świadczył, iż odmawia przyjęcia do wiadomości ich istnienia. Jej ręce powędrowały do skroni.

Inna kobieta minęła ich biegiem z wzrokiem wbitym prosto przed siebie, niosąc brzemię rzeczywistości na zgarbionych barkach. Jak szybko dzielono rzeczywistość na Świecie? Z prędkością mowy, jako że wypowiedzenie słowa równało się nadaniu mu wiążącej mocy, uprawomocnieniu. Wszyscy byli jednością w dzielonej rzeczywistości.

Wszyscy z wyjątkiem Ziemian.

Bazargan, Anna i Gruber nie zdążyli jeszcze dotrzeć do złązu, gdy usłyszeli pełen cierpienia krzyk Davida.

- Nie, nie, nie... - szeptała Anna raz po raz bezsensownie.

Bonnie i Ben zostali zabrani na plac zabaw, z dala od rzeczywistych dzieci.

Ktokolwiek poderzwał ich gardelka, zniknął już, ale tak naprawdę nie miało znaczenia, kto to zrobił. Równie dobrze mógł to być każdy Światanin. Wszyscy przecież dzielili rzeczywistość, byli jednym umysłem.

Bonnie miała na sobie żółtą koszulkę nocną w podobnym kolorze jak jej włoski. Ben był już odziany w dzienny strój; dzieci budziły się bardzo wcześnie. Tego dnia włożył

światańską tunikę, czerwoną. Krew była na niej mniej widoczna niż na koszulce Bonnie.

David lamentował nad ich ciałkami, nie mogąc powstrzymać drżenia.

Anna położyła mu dłoń na ramieniu.

- Davidzie... Davidzie! Chodź, Davidzie. Nie pomożesz im, poza tym musimy stąd uciekać.

Allen podskoczył jak oparzony i okręcił się twarzą ku niej, z zaciśniętymi pięściami.

Gdyby miał przed sobą Grubera, uderzyłby bez wahania, ocenił w myślach Bazargan. Annie jednak nie uczynił krzywdy.

- Nie zdołasz im pomóc, najdroższy - mówiła. - Chodźmy stąd. Zanim zostaniemy zaatakowani.

Pozwolił, by wzięta go za rękę i odciągnęła od zwłok.

- Trzymajmy się razem - powtórzył Gruber. - Najbliższa brama znajduje się na dziedzińcu służby. Tędy. - Nie chowając broni, powiodł ich między śpieszącymi Światanami, którzy w ferworze informowania się nawzajem o tym, że Ziemianie są nierzeczywiści, zachowywali się tak, jakby czworo ludzi faktycznie nie istniało.

15

Góry Neury

Enla obudziła się o brzasku. Zmarznięta. W pierwszej chwili myślała, że to światło dnia jest takie zimne. Ale nie, stary nierzeczywisty informator dźgnął ją nożem. Nic dziwnego, że to zrobił; był nierzeczywisty. Nierzeczywiści mogli zabijać. Zabił ją więc. Ale ona jego nie zabiła. Zimno. Było jej bardzo zimno.

Leżała nieruchomo na podłodze swego pokoju. Klejąca ciemna maź przytwierdzała ją do podłoża. Nie, zaraz, jednak mogła pełznąć. Jej krew nie była aż tak klejąca.

Ależ jej było zimno.

Musi powiedzieć Pekowi Voraturowi. On jest rzeczywisty. Nie będzie korzystał z informatora zdolnego do morderstwa. Odprawi starca ze swego domostwa. Musi powiedzieć Pekowi Voraturowi.

Tabor też był lodowaty, gdy leżał we własnej krwi u stóp kwietnego ołtarza. Ołtarz był przepiękny, udekorowany rafiribą, adkinibą i czerwoną ziemską rosibą... nie, nie, nie, ziemską rosibą znalazła się na Świecie znacznie później... Tabor. Zimny jak ona.

Musi powiedzieć Pekowi Voraturowi. Tylko wtedy będzie mogła żyć i uwolnić Tabora.

Enla pełzła dalej po podłodze. Pokonała kolejną długość ramienia na drodze do wyjścia. Przed oczami miała ciemność. Mimo to parła naprzód. Już była przy zasłonie.

Przezołgała się pod nią, czując potworne zimno. Podłoże się zmieniło - lodowate płytki zastąpił równie zimny ogrodowy kamień.

Świt. Ledwie świt. Och, Taborze...

Ktoś krzyknął. Nie na tym dziedzińcu, na innym. Czemu ktoś krzyczał tak wcześnie rano w spokojnym uporządkowanym domostwie Voratura? Na pewno nie z jej powodu; jej jak dotąd nikt nie widział. I nie z powodu Tabora, który był daleko, martwy u stóp kwietnego ołtarza...

- Enlo! O mój Boże, Enlo!

Pek Sikorski. Jak to możliwe? Co Pek Sikorski robiła na dziedzińcu służących tak wcześnie rano, w dodatku w taki ziąb?

- Enlo... słyszysz mnie?

Poczuła, że ktoś ją obraca. Pek Sikorski pochyliła się nad nią.

- T-tak, P-P-Pek...

- Żyje. Została pchnięta nożem. Ma krew na potylicy... Dieterze, potrzebny mi mój medkit.

- Jest tutaj - odezwał się inny głos.

Enla zdała sobie sprawę, że rozmawiają po ziemsku, nie po światańsku.

- Wiedziałaś - powiedział Bazargan. Zatem on także był tu, na dziedzińcu służących o świecie. Jakie to dziwne. Jak zimno... - Wiedziałaś, jak zareaguje Voratur, Dieterze, i dlatego zabrałaś broń. I medkit. I co tam jeszcze zmieściło się do twojego worka.

- Nie, oczywiście, że nie wiedziałem. Któż jest w stanie przewidzieć zachowanie Światan, Ahmedzie? Ale pomyślałem sobie, że nie zaszkodzi być przygotowanym, *ja*? Anno, nie mamy na to

czasu.

- To Enla - rzekła Pek Sikorski, co było dziwne, bo przecież Enla doskonale wiedziała, kim jest. Czyżby inni tego nie wiedzieli?

- Ale Anno...

- Nie widzisz?! - Pek Sikorski podniosła głos. - Pchnięto ją nożem z naszego powodu.

Przez to, że się z nami zadawała. Jak... jak...

- Ciii, Anno.

- Pójdzie z nami. Nie jest ciężko ranna, to tylko tak groźnie wygląda.

- Anno, zastanów się...

- Poniosę ją - odezwał się ktoś inny. Pek Allen. A może nie on...

Pek Sikorski przyłożyła coś do skóry Enli, coś ciepłego, i ból minął. Ot tak - po prostu minął. Enla czuła, że ktoś ją podnosi, kątem oka dostrzegła twarz Peka Allena nad swoją. Parę osób przebiegło przez ogród, lecz nikt nawet nie spojrzał w ich stronę.

- Zaraz straci przytomność - rzucił ktoś.

Zdażyła tylko powiedzieć: - Sprowadźcie Tabora - po czym zalało ją ciepło, uśmiechnęła się i przestała przejmować, że nic nie ma sensu.

Tańczyła z Taborem i z innymi młodymi Światanami na łące wśród ognisk. Stary Pek Raumul grał na fujarce. Tańce nie różniły się niczym od tych odbywających się co wieczór w Gofkit Shamloe pośród ognisk, na których gotowano strawę, pośród dzieci biegających tam i sam i pośród dzielonej rzeczywistości, która zdawała się ciepła i pachnąca upojnie jak perfumy. Tylko że ten wieczór nie był taki sam jak wszystkie inne. Tego wieczoru opuścili z Taborem łąkę i zeszli nad rzekę, gdzie przy krzaku padźaliby Tabor powiedział:

- W mózгах pływających w rzece są transplanty, lepiej oddaj mi pigułki rządowe...

Potem starzec ukłuł go w bok ziemską różą.

- Jeszcze dwadzieścia kilometrów - powiedział Tabor, z tym że nie był to wcale Tabor, a jakiś Ziemianin mówiący w swoim języku. - Szkoda, że nie mamy rowerów.

Enla otworzyła oczy. Leżała na otwartym terenie, pod księżycami i gwiazdami. Te ostatnie zdawały

się czyste i wyraźne, choć bardzo, ale to bardzo odległe. Zimne nocne powietrze muskało jej policzki, poza tym jednak było jej przyjemnie pod niesamowicie lekkim kocem, który chyba wytwarzał własne ciepło. Nic jej nie bolało - ani tułów, ani tył

głowy. Przeciwnie, ciało zdawało się unosić na niewidocznej fali. Obok siedzieli czterej Ziemianie skuleni pod takimi samymi kocami, otaczając kręgiem mały, lecz dający dużo blasku stożek światła, jakiego Enla nigdy wcześniej nie widziała ani nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

- Sądzisz, że nas ścigają? - zapytała Pek Sikorski.

- Na razie nie - odparł głębokim głosem Pek Bazargan. - Przypuszczam, że Voratur najpierw zechce dzielić rzeczywistość z kapłanami.

- Kapłani! Przez nich to wszystko!

- Nie, Davidzie - powiedział Pek Bazargan. - Przez nas. Przez ludzi z Zeusa.

Powinniśmy byli znać wszystkie cele tej misji od samego początku. Tylko wtedy bylibyśmy w stanie zachować należytą ostrożność w rozmowach ze Światanami.

- Tak? Ciekawe, co byś im powiedział - wtrącił Pek Gruber wyzywającym tonem. -

Broń Obcych to tajemnica wojskowa. Nie mógłbyś puścić pary z ust.

- Pieprzyć tajemnice wojskowe! - wybuchnął Pek Allen.

- No tak, to do ciebie podobne - rzucił Pek Gruber.

- Przestańcie! - rzekła stanowczo Pek Sikorski. Enla nigdy jeszcze nie słyszała u niej takiego tonu. - Nie możemy sobie pozwolić na sprzeczki. Davidzie, Dieterze, wiecie o tym.

- Musimy opracować plan - powiedział Pek Bazargan - a potem się prześpimy.

Krótko, tylko parę godzin. Później podejmiemy marsz, aby dotrzeć do gór tak szybko, jak to możliwe, i nie musimy stawiać czoła wysłannikom Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty. Do tej pory wieści na nasz temat z pewnością obiegły już cały Świat. - Przed oczami stanęły mu wieże i lustra błyskawicznie przekazujące informacje. - Wolałbym nie pozbawiać nikogo życia.

- Nawet kapłanów, którzy zarznęli Bonnie i Bena? - zapytał z goryczą Pek Allen. -

Nawet tak zwanych głęboko wierzących opętanych pragnieniem władzy Światan, którzy są zdolni poderżnąć gardła niemowlętom śpiącym w... w... - Głos go zawiódł. Pek Allen wstał i odszedł w mrok.

- Dupek - mruknął Pek Gruber. - Naprawdę uważa, że kłócenie się z nami coś tu pomoże? Albo zgubienie się gdzieś tam...

- Nie odejdzie daleko - zapewniła Pek Sikorski. - Dieterze, jego to najbardziej dotknęło. Opiekował się tymi dziećmi na co dzień.

- Wiem - dodał Pek Gruber ciszej. - Popatrz, Enla się ocknęła.

Pek Sikorski natychmiast się nad nią pochyliła, zaczęła przykładać jakieś przedmioty do jej czoła, boku...

- Jak się czujesz, Enlo?

Enla odpowiedziała:

- Jesteście nierzeczywiści. Co do jednego.

Ponad ramieniem Pek Sikorski przemówił Pek Bazargan po światkańsku:

- Podobnie jak ty, Enlo, czyż nie?

- Tak - potwierdziła, czując ulgę zapewne z powodu tego dziwnego wrażenia, że całe jej ciało unosi się na jakiejś fali.

- Czy to przez nas? - zapytał ją Pek Bazargan.

- Nie - odparła Enla. - Przez Tabora. To znaczy mojego brata.

- Ahmedzie - przerwała tę wymianę zdań Pek Sikorski - ona jest pod wpływem leków.

Nie przesłuchuj jej teraz, to nie fair.

- Muszę jej zadać jedno pytanie. Enlo, zmierzamy do gór Neury. Z wielu powodów, ale głównie dlatego, że twoi pobratymcy nie pójda tam za nami. Wolisz, żebyśmy cię ze sobą zabrali czy zostawili tutaj, gdzie znajdują cię Światanie? Skoro nie stałaś się nierzeczywista przez nas, najlepiej będzie, jeśli zostaniesz wśród swoich, a twoje... porozumienie z Nadzorem Rzeczywistości i Pokuty nie ulegnie zerwaniu.

Wśród swoich. Porozumienie z Nadzorem Rzeczywistości i Pokuty. Czy to w ogóle możliwe? Nadzór Rzeczywistości i Pokuty uczynił ją swoim informatorem, lecz nie takim, co zabija jak ten starzec, który próbował ją zamordować. Czy zatem ona i stary informator dzielą tę samą rzeczywistość? Albo raczej niereczywistość? A może Enla dzieli ją z Ziemiańcami, którzy są do tego stopnia nierzeczywiści, że ich własni pobratymcy nie mówią im prawdy?

Czyżby więc była więcej niż jedna rzeczywistość? Ale jak to? Jak ludzie mieliby żyć w różnych rzeczywistościach, każdy oddzielnie i samotnie?

Wynikałoby z tego, że rzeczywista jest wyłącznie samotność.

Głowa jej nie bolała. Oto ona, Enla Pek Brimmidin, leżała pod zimnymi gwiazdami i rozmyślała o

niepojętych rzeczach, nie czując najmniejszego bólu głowy. Z pewnością sprawiły to leki, które dali jej Ziemianie. Czyli wszystko przez Ziemian, którzy wprowadzili nową rzeczywistość, bądź nierzeczywistość, do tej starej i w ten sposób zniszczyli Świat.

Gdyby się nie pojawili, Enla odsłużyłaby swój czas jako informatorka, zostałaby ponownie uznana za rzeczywistą i mogłaby uwolnić Tabora, który nareszcie połączyłby się z ich przodkami. Wszystkie te różne rzeczywistości i podziały odsuwające jednych od drugich i czyniące ich samotnymi i cierpiącymi z samotności, wszystko to stało się przez Ziemian.

Nienawidziła ich.

Nie mogła ich nienawidzić. Należeli do jej rzeczywistości.

- Nie naciskaj, Ahmedzie - rzekła Pek Sikorski głosem łagodnym, miłym i nierzeczywistym - bo przyprawisz ją o ból głowy. Enlo, prześpij się teraz. Potem nam powiesz, czy chcesz wyruszyć dalej z nami.

Jak gdyby sen, ów krótkotrwały przystanek u przodków, był w jej wypadku w ogóle możliwy.

Pek Sikorski poprawiła okrywający ją ciepły koc, podciągając go aż po brodę i utykając kraniec pod stopami. Zachowywała się jak matka nadskakująca swojemu dziecku: jak Anu z małym Fentilem. Ale to Pek Bazargan nachylił się do jej ucha i powiedział:

- Przykro mi, Enlo. To nie tak miało wyglądać.

Bazargan przejechał ręką po czole. Pocił się, mimo że nocne powietrze było chłodne.

Żadne z nich nie było przyzwyczajone do takiego tempa marszu. Czuł, jak mięśnie łydek płoną mu z bólu.

- Daleko jeszcze, Dieterze? - zapytał.

Gruber, który siedział obok Anny przy stożku mocy, odpowiedział:

- Dwanaście albo trzynaście kilometrów. Będziemy na miejscu w południe, o ile wyruszymy bladym świtem.

- Nawet niosąc Enłę?

- Tak myślę, Ahmedzie. Z tym że jeśli zaczną nas ścigać, będą się poruszać na rowerach, którym nigdy nie umkniemy.

- Nie wydaje mi się, by mieli podjąć pościg, zanim wstanie słońce. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy uzyskać dzięki temu znaczącą przewagę - stwierdził Bazargan. - Teraz musimy odpocząć, ale zanim pójdziemy spać, powiedz mi, co jeszcze włożyłeś do tego swojego worka.

Gruber pokazał zęby w uśmiechu. Miał najlepszą kondycję z całej czwórki i jak podejrzewał Bazargan, również największe zamiłowanie do ryzyka. Co czyniło zeń nie najgorszego towarzysza w sytuacji, w jakiej się właśnie znaleźli.

- Cztery skafandry... Nie wiedziałem, że będzie z nami Enla.

- Oczywiście, że nie mogłeś tego wiedzieć. - Bazargan zerknął na postać śpiącej Obcej. Skafander każdego z nich będzie na nią pasował, lecz to oznaczało, że ktoś z Ziemiaków zostanie pozbawiony osłony. W tej chwili Enla leżała opatulona w koc termiczny, również zabrany przez Dietera, grzejąc się w ciepło generowanym przez niego samoistnie. Jednakże w górach Neury występowało promieniowanie, przed którym chroniły wyłącznie skafandry używane w przestrzeni kosmicznej.

- Stożek mocy, parę latarek, kocy termiczne, broń... - wyliczał Dieter. - Proszek żywieniowy, który właśnie zjedliśmy...

- Ile?

- Zapas dla czterech osób na mniej więcej tydzień. Zakładając umiarkowane spożycie.

Medkit Anny, mój przenośny zestaw do badania skał, podstawowy sprzęt speleologiczny. To by było na tyle.

- Przestałem się dziwić, że tak stękałeś. To wszystko musi swoje ważyć...

- Przetrwanie ma swoją cenę. Ale dzięki ciężeni zero koma dziewięć ziemskiego jest mi nieco lżej.

- Gruber uśmiechnął się ponownie.

Coś poruszyło się poza kręgiem światła rzucanego przez stożek mocy. Jak się zaraz okazało - nie coś, tylko ktoś. David Allen wracający po samotnych dąsach. Bazargan przyglądał się młodszemu koledze, gdy ten bez słowa wyciągał się na ziemi, odwracając głowę od towarzyszy, i udawał, że zapada w sen.

- W górach - kontynuował Gruber, jakby nie zauważył powrotu Allena -

komunikatory mogą nie działać. Zależnie od grubości pokrywy skał w danym miejscu.

- Spróbujemy się połączyć przed wejściem głębiej - postanowił Bazargan.

- Po co? Co chcesz im powiedzieć? Jeśli Zeus nie wygra z Fallerami i tym swoim księżycem, nikt nie przyjdzie nam z pomocą.

- W takim razie - dodał Bazargan znacznie ciszej - lepiej trzymajmy kciuki, żeby Zeus jednak wygrał.

Góry Neury wyrosły przed nimi zniemacka, zajmując miejsce dotychczasowego płaskiego terenu. Przez ostatnie dwie godziny wędrowali z mozołem w dół długiego łagodnego zbocza, a następnie w

górze kolejnego, nieco bardziej stromej, na którego szczycie Bazargan po raz pierwszy miał okazję obrzucić spojrzeniem ich niepewną kryjówkę.

Czwórka zdyszanych i spoconych Ziemiaków wraz z Enlą przystanąła, by ogarnąć wzrokiem siedzibę Pierwszego Kwiatu, którego rozwijające się Płatki stworzyły Świat.

Zdaniem Bazargana góry wyglądały jak dzieło niezbyt uzdolnionego artystycznie dziecka: były nierówne, gdzieniegdzie zaoblone, gdzieniegdzie znów najeżone ostrymi zębami, wyszczerbione u podstawy, pełne szczelin, przełęcz i rumowisk, jakby malującego zawiodła ręka albo trzymane narzędzie. Porastała je wszechobecna światłańska „trawa” upstrzona równie wszędybolskimi polnymi kwiatami, tutaj nieco mniej imponującymi z powodu skalistego podłoża. Wśród roślinności tu i ówdzie przebijały się wielkie plamy kamiennej szarości.

- W sumie wyglądają jak zwykłe góry - oceniła Anna.

- Pod względem geologicznym to stosunkowo młoda formacja - zaczął referować Gruber. - W ostatniej epoce geologicznej ten teren znajdował się pod wodą. Subdukcja płyt tektonicznych wyniosła zanurzoną nieckę do góry przed milionami lat. Zaczekajcie, aż zobaczycie, co będzie dalej... - Jego głos tryskał entuzjazmem.

- Enlo - zapytał Bazargan - dasz radę iść sama?

- Tak - odpowiedziała dziewczyna.

Dzięki lekom, którymi naszpikowała ją Anna, nie czuła w ogóle bólu. Ale to znaczyło, że nie odczuwała również zmęczenia - przynajmniej do czasu, aż nie zaśnie na stojąco. Co zdarzyło się jej raz wcześniej: przewróciła się wtedy i potłukła. Po tym zdarzeniu David i Gruber nieśli ją na zmianę, lecz okazała się za ciężka nawet jak na ich młodzieńcze siły.

Bazargan, któremu podczas tej wyprawy wiek wyjątkowo doskwierał, nawet nie oferował swojej pomocy.

- Ale to... to jest...

- Co takiego, Enlo? - zachęciła ją do mówienia Anna.

- To jest zakazane. Góry. Nie wolno tam iść.

Anna ujęła ją pod ramię i pociągnęła lekko naprzód. Enla opierała się nadal.

Nieoczekiwanie odezwał się David Allen milczący od ostatniego wybuchu i samotnego spaceru.

- Światanie deptają nam po piętach. Właśnie przeszli to niewielkie wzniesienie za nami.

Bazargan gwałtownie się obrócił. Parunastu Światan parło do przodu nie dalej niż kilometr od nich. Najwyraźniej była to grupa wysłana za nimi w pościg.

- Ruchy! - rzucił Gruber, któremu energia wciąż dopisywała, i złapał Enłę za rękę.

Pociągnął Światankę za sobą szybkim truchtem, narzucając wszystkim tempo marszu.

Kiedy po paru minutach Bazargan znów się obejrzał, dystans między nimi a Światanami jeszcze się zmniejszył.

- Szybciej! - ponaglił ich Gruber, rzucając się biegiem i ciągnąc Enłę za sobą.

Ku zdumieniu Bazargana Światanka nie miała kłopotów z dotrzymaniem mu kroku.

Chyba nie docenili jej kondycji. Jemu powoli brakowało już sił. W piersi go kłuło, gdy biegł śladem młodszych towarzyszy. Najpierw ból, potem pieczenie. Wiele dłużej nie wytrzyma.

Jego serce...

- Wy... wy idźcie przodem - wysapał zgięty wpół. - Enlo, weźmiesz skafander...

- Daj spokój, Ahmedzie - przerwał mu bezlitośnie Gruber. - To już blisko.

Bazarganowi zdawało się, że bardzo daleko. Ból zakradał się w górę nóg i tułowia, czuł się jak u siebie w jego piersi. Przed oczami latały mu mroczki. A serce... jego serce...

Gruber puścił rękę Enli i złapał Ahmeda. Schwytany jak w imadło - co też u licha rodzice Grubera uczynili z jego genomem? - Bazargan zachwiał się i pobiegł do przodu, potykając się i co rusz podrywając, czując, że każdy kolejny oddech to nowa tortura.

Potknięcie, oddech, potknięcie, niemożność zaczerpnięcia oddechu, zatrzymaj się, proszę, zatrzymaj...

- Zatrzymali się - oznajmił David Allen i dopiero wtedy Gruber wypuścił rękę Bazargana. Dowódca ekspedycji opadł jak kupa szpat, koncentrując się wyłącznie na potwornym bólu pod żebrami, w każdym włókienku klatki piersiowej. Oddech, ból, oddech...

- Odpocznij, Ahmedzie - poradził mu niepotrzebnie Gruber, który nawet się nie zadyszał.

Bazargan wstał, gdy poczuł, że zdoła się utrzymać na nogach - w dalszym ciągu zgięty, opierając dłonie na kolanach - i powiódł wzrokiem dookoła. Minęli pierwszy z wielu głązów zaśmiecających okolicę, za nim teren zaczynał się ostro wznosić. Można było wnioskować, że ten konkretny głąz jest swego rodzaju znacznikiem - grupa pościgowa zatrzymała się ćwierć kilometra wcześniej i dreptała teraz w miejscu, okazując jawną konsternację. Na oczach Bazargana, któremu w płucach świszczowało, a każdy oddech wyciskał

łzy z oczu, Światanie ruszyli do przodu jak jeden mąż. No tak, dzielona rzeczywistość.

- *Scheisse!* - krzyknął Gruber. - Musimy wleźć głębiej!

- Nie - zaproponowała Enla, lecz chwilę później już milczała, gdy David Allen porwał ją na ręce i niósł w kierunku wskazanym przez Niemca.

Dotarli do podnóża górującej nad nimi szarej skały i odtąd poruszali się wzdłuż niej.

Gruber co jakiś czas mamrotał:

- Już, już prawie jesteśmy na miejscu...

Obejrząwszy się, Bazargan zobaczył, że Światanie znów za nimi ruszyli -

najwyraźniej mimo wszystko zamierzali dopaść Ziemiaków i zabić ich. Dystans zmniejszał się z każdą chwilą.

Ścigający byli uzbrojeni w dzidy.

Ahmed nigdy dotąd nie widział podobnej broni na Świecie. Nie znano tu sztuki polowania, na dietę składały się głównie warzywa urozmaicane mięsem pochodzącym z dawno udomowionych i spotulniałych zwierząt. Drapieżniki, o ile jakieś kiedykolwiek tu występowały, zostały wytępione przed tysiącami lat. Szkodników pozbywano się za pomocą trucizn sporządzanych przez uzdrowiaczy. Światanie niebawem rzadko posuwali się do morderstwa - do zbrodni dochodziło jedynie w afekcie lub wskutek nierealności ofiary -

ale nawet wtedy używano najwyżej noży. Skąd więc wzięły się te dzidy?

Kiedy zadyszany Bazargan został w tyle, nad głową śmignęło mu długie drzewce, które odbiło się od skały.

- Padnij! - krzyknęła Anna, chwytając go za rękę i ciągnąc w dół.

Bazargan opadł na kolana, ocierając boleśnie skórę. Zostawiał za sobą krwawy ślad, pełznąc dalej niezdarnie jak jakiś astmatyczny krab, w tyle za resztą. Posuwali się wzdłuż podstawy ogromnej prostej ściany, to schowani za pojedynczymi głazami, to znów widoczni jak na dłoni. Bazargan widział, jak druga rzucona dzida o włos chybia idącego na czele Grubera.

- *Ja!* - wrzasnął Niemiec. - To tutaj! - Po czym zniknął we wnętrzu góry.

Bazargan pośpieszył za nim. Anna właśnie także zniknęła, widać było tylko jej podrapane krwawiące nogi. Bazargan dostrzegł w końcu otwór. Nie wyższy niż na metr, obrośnięty był tutejszą trawą i krzewami. David Allen przepchnął Enlę przez roślinność i otwór w skale. Następnie przykucnął za niewystarczająco dużym głazem i ku niebotycznemu zdumieniu dowódcy ponaglił go machnięciem.

Bazargan uznał, że to nie czas na zgrywanie bohatera, i przecisnął się szybko za tamtą trójką. Moment później usłyszał, jak dołącza do nich Allen.

Bazargan nigdy nie lubił podziemnych korytarzy. Ten miał nieco ponad metr wysokości, tak że ledwie dało się przejść, i był niemal zupełnie ciemny. Cała piątka czuła się ściśnięta na niewielkiej przestrzeni niczym szprotki w puszcze. Włoski Bazarganowi zjeżyły się na karku. Coś bardzo lekkiego przemknęło mu po przedramieniu; potrząsnął ręką, by się tego pozbyć.

- Dalej będzie lepiej! - zawołał Gruber z przodu. - Chodźcie za mną!

Jakby mieli jakieś inne wyjście. Bazargan parł naprzód, starając się uspokoić przyśpieszony oddech i wmawiając sobie, że jego przyczyną jest wyłącznie zmęczenie biegiem. Korytarz robił się coraz ciemniejszy. Ahmeda ogarnął atawistyczny irracjonalny strach, nieomal miażdżąc mu pierś... Utknie tutaj, nie będzie mógł się poruszyć w żadnym kierunku, zostanie pogrzebany pod milionami ton skały, która rozkruszy jego ciało i kości...

Oddychaj głęboko. Skup się na jakiejś miłej myśli i oddychaj...

- Jesteśmy już prawie na miejscu! - dobiegł go rażny głos Grubera.

Bazargan nic nie widział. Posuwał się naprzód po omacku, kalecząc skórę o ostre kamienie, aż wreszcie korytarz się rozszerzył i pojaśniał na tyle, że dało się rozróżnić zarys tylnej części ciała Enli. Bazargan nie spuszczał jej z oczu, aż nagle zniknęła i jego oczy zalał

blask. Wtedy przyśpieszył. Oddychaj, nie zapomnij o oddychaniu... W końcu wy dostał się z korytarza.

Znalazł się w kawernie wielkości prywatnej kwatery w domostwie Voratura, rozjaśnionej dzięki wysokiemu kominowi, którego szczyt wychodził na powierzchnię. W

przyćmionym świetle Bazargan dostrzegł wylot drugiego korytarza, szczęśliwie szerszego, po przeciwnej stronie pieczary. Pięć osób przyglądało się rozszerzonymi oczami sobie nawzajem, nieregularnym ścianom i wejściu do następnego chodnika.

- Enlo - odezwała się po światańsku Anna - czy jest możliwe, że twoi... że tamci Światanie przyjdą za nami aż tutaj?

Enla w milczeniu pokręciła głową. Zdawała się niezdolna wypowiedzieć choćby słowo.

- Badając te góry - powiedział po angielsku Gruber - zagłębiłem się w wiele podobnych korytarzy, a dwa przeszedłem całe. Nie znałem tego, którym tu przyszliśmy, ale cały system zdaje się homogeniczny.

- Uprzedź nas, czego możemy się spodziewać - poprosiła Anna, po czym z uśmiechem dodała: - Tylko w skrócie, Dieterze.

- Tak. Cóż. Milion lat temu wszystko to znajdowało się pod wodą i tworzyło coś w rodzaju niezbyt głębokiej niecki. Uderzenie asteroidy było dość silne, by dotrzeć do pokładów magmy, a erupcji skał towarzyszyło wydobywanie się gazu. Dlatego wszędzie tutaj widzicie tyle pumeksu, to znaczy tej

lekkiej porowatej skały. - Podniósł kamień, by im pokazać.

Bazargan nawet w tym świetle był w stanie stwierdzić, że kamień upstrzony jest dziurkami. -

W końcu - ciągnął Niemiec - subdukcja, o której już wspominałem, wyniosła płytę tektoniczną i utworzyła góry, które w dalszym ciągu leżały bezpośrednio nad plamą gorącą, a może tylko z wolna tam dryfowały. Nasiloną aktywność wulkaniczną spowodowała powstanie korytarzy lawowych takich jak ten, w którym właśnie stoimy. Nawet teraz znajdujemy się nad taką plamą, czego dowodem są podziemne gorące źródła. W miarę upływu czasu miękki pumeks erodował pod wpływem działania wody oraz wiatru i tak powstawały nowe jaskinie, kominy i chodniki. Oczywiście cały ten labirynt jest radioaktywny.

- Jak bardzo? - zażądał konkretów David Allen.

- To zależy od miejsca.

Bazargan się wyprostował. Nadeszła pora, by przejął dowodzenie.

- Mamy cztery skafandry chroniące przed radioaktywnością, ale nas jest pięcioro.

Proponuję, żebyśmy nosili je na zmianę, bacznie monitorując, jaką dawkę promieniowania każde z nas wchłonie. Enlo, włóż to, proszę.

Podał jej swój skafander. Enla przyglądała się mu tępym wzrokiem. Leki, które podała jej Anna, chyba powoli przestawały działać.

- Zrób to, proszę - dodał dobitnie po światańsku, na co Enla zareagowała zgodnie z jego intencją.

Niezdarnie zaczęła wkładać cienki elastyczny skafander na nogi, tułów i na końcu ramiona. Anna pokazała jej, jak się go zapina, a następnie wyjęła z jego kieszeni porowaty nadmuchiwany hełm. Gruber powiedział jednak:

- Tutaj jeszcze nie potrzebujemy hełmów.

- Doskonale - ucieszył się Bazargan. - Czy jeżeli stanę bezpośrednio pod wylotem komina, zdołam wywołać Zeusa?

Gruber przez zmrużone powieki spojrzał na wątlą smużkę światła.

- Nie, ale dalej powinno ci się udać.

- Dalej? - powtórzył Allen. - Masz na myśli: głębiej?

- Tak. Chodźmy. Tym razem nie zapomnimy o świetle.

Gruber wyjął z worka latarkę, włączył i podjął wędrówkę. Wszyscy pozostali ruszyli za nim do drugiego korytarza, schylając się w wejściu z wyjątkiem najniższej Enli. Najpierw w otworze

zniknęła Anna, lekko kulejąca, ale idąca ze spokojną miną. Potem Enla, wciąż nieco oszołomiona i wyglądająca raczej śmiesznie z myszowatymi spletanymi szyjowłosami sterczącymi znad kołnierza kombinezonu. Za nią Allen przypatrujący się z uwagą ścianom. I wreszcie zamykający stawkę Bazargan, przygotowujący się duchowo na pokonanie kolejnego chodnika.

Ten nie był tak ciasny jak poprzedni, za to panowały w nim jeszcze większe ciemności. W dodatku latarka Grubera nie dawała dość światła, by pomóc idącemu na samym końcu Bazarganowi.

- Złapcie się za ręce! - zawołał w pewnym momencie Niemiec i Bazargan poczuł, jak David Allen chwyta jego dłoń. Palce drżały mu lekko, co paradoksalnie natchnęło dowódcę spokojem.

Chodnik ciągnął się, jak się zdawało, całymi kilometrami. Plecy zaczęły Bazargana boleć od ciągłego pochylania. Parę razy odniósł wrażenie, że gdzieś za czarną jak smoła skalną ścianą ciekła woda. Raz parę kamyków odpadło od sklepienia, na co serce podjechało mu do gardła. Erozja, mówił Gruber. Miękka skała.

Z czasem zdał sobie sprawę, że się wspinają. Tunel zaczął bieć pod górę. I stał się ciasniejszy. Właśnie gdy Bazargana zalewała nowa fala paniki, skręcili raptownie i dowódca po raz pierwszy od dłuższego czasu wypatrzył przed sobą pochylone sylwetki towarzyszy: trzymając się za ręce, przypominali wracające rzędem z wyrębu zmęczone słonie. Nagle Gruber zniknął z jego pola widzenia, a zaraz za nim Anna, która wyszedłszy z korytarza, głośno sapnęła.

Wydostali się do otwartej niecki o średnicy około dwudziestu metrów. Skała zwisała nad jej południowym krańcem, jednakże północna strona prażyła się w równikowym słońcu.

W samym środku niecki ze skały biło źródło. Światło, padające pionowo i ostre na otwartej przestrzeni, rozproszone natomiast pod nawisem skalnym, opromieniało dziesiątki gatunków różnorodnych wielobarwnych kwiatów.

Anna rzuciła się przed siebie. Bazargan rozluźnił mięśnie kończyn, poruszał bolącymi ramionami. Chciał pójść za Anną, lecz Gruber gwałtownie go powstrzymał.

- Stój, Ahmedzie. Licznik pokazuje tu wysoką wartość. Za wysoką!

Promieniowanie. Dopiero teraz, przyglądając się uważniej kolorowym kwiatom.

Bazargan spostrzegł, że większość to mutacje. Padzaliba z podłużnymi liśćmi zamiast zwykłych, okrągłych i skupionych wokół pędu. Błękitna wekifiriba płożąca się po glebie z powodu wiotkości łodygi. Jakiś monstrualnej wielkości czerwonobrazowy kwiat przypominający gigantyczną kroplę skoagulowanej krwi, z jednej strony napuchnięty, a z drugiej jakby równo ucięty nożem...

- Źródłem promieniowania jest bijąca ze skały woda - oznajmił Gruber, marszcząc brwi. - Chociaż... Zresztą nieważne. Ahmedzie, stąd powinieneś nawiązać kontakt z Zeusem.

Bazargan zrobił jeszcze jeden niepewny krok, cofając się od skały, po czym wydobył

z kieszeni komunikator. Bez skafandra czuł się, jakby był nagi. Zupełnie jak w tych snach, w których

jako jedyny występuje na konferencji naukowej bez ubrania, próbując wygłosić odczyt.

- Doktor Bazargan do Zeusa. Odbiór.

- Zgłasza się pułkownik Johnson. Słucham, doktorze.

- Prosimy o aktualizację sytuacji w przestrzeni - rzucił Bazargan oschle. Z jakiego innego powodu mógł się z nią kontaktować? Co też sobie ta Syree Johnson myśli?

Odpowiedź nasunęła mu się sama. Pułkownik Johnson w ogóle nie poświęcała myśli zespołowi naukowców znajdujących się na powierzchni planety.

- Holujemy artefakt do Tunelu Czasoprzestrzennego #438 - odparła Johnson zwięźle. -

Ani śladu wrogich statków. Sytuacja bez zmian.

- Ale u nas zaszła zmiana - oświadczył Bazargan jeszcze bardziej oschłym tonem. -

Tubylcy uznali ludzi za nierzeczywistych i próbowali nas zabić. Udało im się zamordować Bonnie i Bena Masonów. Dorośli członkowie wyprawy zbiegli w góry Neury. Tu obecnie się ukrywamy. Nie możemy opuścić kryjówek bez narażania się na dalszy pościg. Mamy ograniczone zapasy pożywienia. Usiłowaliśmy się z panią skontaktować minionej nocy, ale nie odbierała pani komunikatów. Czy może pani przysłać po nas wahadłowiec?

- Odmawiam, doktorze - odezwała się Johnson. - Odpalenie wahadłowca wymagałoby zmniejszenia prędkości Zeusa, co stanowiłoby zagrożenie dla naszej misji. Jeżeli jednak... -

W komunikatorze rozległy się trzaski staticu.

- Tak? Co takiego chciała pani powiedzieć? - podchwycił Bazargan.

Trzaski i cisza.

Bazargan, Gruber i Anna wymienili spojrzenia. David Allen rąbnął pięścią w otwartą dłoń i oddalił się gniewnym krokiem. Enla powiodła za nim wzrokiem, potem popatrzyła na Annę.

- Coś się tam dzieje - zawyrokował Gruber.

- Myślę - rzekł powoli Bazargan - że powinniśmy zakładać najgorsze. Dieterze, jeśli artefakt... Tas... wyemituje tę falę destabilizującą atomy, czy w tym miejscu będziemy dostatecznie chronieni?

- Nie. Teren jest tu zbyt otwarty. Aczkolwiek skała to dobry izolator. Jeśli wejdziemy znów głębiej, powinniśmy być bezpieczni. Pod warunkiem, że uda nam się unikać obszarów o podwyższonym promieniowaniu.

- Znasz drogę stąd do jakiegoś bezpiecznego schronienia?

Gruber pokręcił głową przecząco.

- Nie. Podczas pierwszej wyprawy dotarłem aż tutaj, ale potem wróciłem do bazy. A tego nie możemy teraz zrobić. Nawet jeśli ścigający nas Światanie odeszli, dzieli nas zbyt duża odległość do kolejnego miejsca, które badałem. Bylibyśmy zbyt narażeni. Zarówno na reakcję tubylców, jak i w razie czego na falę emitowaną przez Tasa.

- Zatem musimy przeć dalej przed siebie - stwierdził Bazargan. - Czy pod tym nawisem są jakieś wejścia do chodników?

- Zaraz się dowiemy - odparł Gruber. - Ahmedzie, obejdz to źródło i trzymaj się blisko ściany. Pamiętaj, żeby nie zbliżać się do wody. Anno, musisz zostawić te kwiaty.

- Zabieram okazy ze sobą - odparowała Anna.

Tym razem Bazargan szedł drugi, zaraz za Gruberem, dzięki czemu mógł korzystać ze światła, jakie dawała latarka Niemca. Jednakże otucha płynąca z tego faktu nie równoważyła obaw wynikających z eksploracji nieznanego korytarza. Bazargan w pewnym momencie stwierdził, że maszeruje cały spięty w oczekiwaniu na lawinę kamieni lub przepaść, i siłą woli nakazał sobie rozluźnienie. Wspomniał słowa Muhammada Ikbala z Lahauru, tego wizjonera: *Więzy pomiędzy ludźmi przypominają nić, której nie sposób rozplątać*. Uśmiechnął się do siebie smutno.

Chodnik biegł teraz stromo w dół.

- Nie widzę osypisk - zauważył Gruber na głos - ale i tak nie powinniśmy się zbyt głęboko zagłębiać. Musimy jednak zaryzykować jeszcze kawałek.

- Dobrze - zgodził się Bazargan, człowiek nierozdzielnie związany z pozostałymi.

Poruszali się w milczeniu przez - jak im się wydawało - bardzo długi czas.

Chodnik miejscami się zwężał, lecz nie przekraczało to wytrzymałości Ahmeda Bazargana. Bywało, że nagle się rozszerzał, zamieniając nieomal w jaskinię, długą i wąską.

Bazargan ciągle słyszał ciurkanie wody, choć nigdzie jej nie widział. Raz Gruber z chlupotem zbliżył się do ściany, aby oświetliwszy powierzchnię, przyjrzeć się jej dokładniej.

- Spójrzcie tu. Widzicie tę cienką warstwę gliny? Pochodzi z czasów, gdy w ten glob walnęła asteroida...

Wskazana warstwa ciągnęła się wzdłuż, to idąc w górę, to opadając we wzorce zgodnym z historią wypiętrzania - nieme falistyczne świadectwo katastrofy planetarnej.

Jeszcze dłuższy niż poprzednio marsz w ciszy, jeszcze bardziej strome podejście.

Bazargan zaczął się pocić. Jak daleko w litą skałę się zagłębiali? Może powinni wrócić, poszukać innego korytarza? Gruber twierdził, że warstwa skał ochroni ich przed działaniem fali uwolnionej przez Syree Johnson. Ale co im po ochronie, jeśli zostaną pogrzebani żywcem...

Idący na przedzie Niemiec nagle zniknął Bazarganowi z oczu.

- Dieterze? Nic ci nie jest?

Chwila ciszy, potem głos Grubera dobywający się gdzieś z dołu.

- *Nein*. Nic. To tylko nagły spadek. Wcale nie taki stromy. Można zjechać na tyłku. I wdrapać się z powrotem w razie potrzeby.

Poświecił latarką po biegnącym ostro w dół korytarzu i Bazargan faktycznie zobaczył

w miarę gładkie zbocze o nachyleniu jakichś trzydziestu stopni. Westchnął, usiadł na kocu, który ze sobą targał, i zjechał w miarę bezboleśnie, tylko raz podskoczywszy na wystającym kamieniu, który poczuł lekko kością ogonową. Na dole podniósł się na nogi i zszedł na bok, by zrobić miejsce następnej w kolejce Enli.

Stał obok Grubera w dużej kawernie, oświetlanej tylko przez blask latarki zwróconej w przeciwną stronę. W półmroku Bazargan dostrzegał stalaktyty i stalagmity przypominające zwierające się długie zębiska. Woda ściekała z czubków wiszących mu nad głową kłów.

Ahmed spływał potem niechroniony przez kombinezon termoregulacyjny.

- Coś mi tu nie pasuje - wymruczał Dieter, przyglądając się wyświetlaczowi umocowanemu na grubym nadgarstku.

- Co ci nie pasuje? - zainteresował się Bazargan, lecz zanim Gruber zdążył mu odpowiedzieć, pojawiła się Enla, odziana w kombinezon kosmiczny mieszkanka obcej planety z rozwianymi szyjowłosami i szeroko otwartymi przerażonymi oczami. Nie poskarżyła się jednak ani słowem, tylko podobnie jak Bazargan podniosła na nogi i zrobiła miejsce szykującej się do zjazdu Annie.

- Co ci nie pasuje? - powtórzył pytanie Bazargan. Mówił jakoś niewyraźnie. Coś złego działo się z jego głową; zdawała się wypełniona mokrą wełną. Uznał, że to najpewniej zmęczenie.

Ostatni zjechał po gładkiej skale Allen, gibki i jak prawie zawsze zafrasowany.

- Gradient geotermiczny - odparł nareszcie Gruber głosem równie niewyraźnym jak przed chwilą głos Bazargana. Dowódca wyprawy poczuł silny ból za oczami. Przemęczenie, strach, głód. Nie mieli niczego w ustach od minionej nocy.

- Tak? Co z nim? Z tym... gradientem?

Gruber patrzył na wyświetlacz, marszcząc brwi.

- Robi się goręcej, w miarę jak schodzimy głębiej. *Ja*, to normalne. Nawet pominiawszy wpływ magmy, naturalne promieniowanie podwyższa temperaturę skał.

Mówimy tu o niskiej radioaktywności, Ahmedzie, takiej jak na Ziemi, tak że jesteś bezpieczny. Skała jako świetny izolator magazynuje ciepło. Ale w miarę schodzenia coraz głębiej, tempo wzrostu temperatury powinno spadać, jako że większość promieniowania rejestruje się tuż pod powierzchnią. Tymczasem tutaj tempo wzrostu temperatury się podnosi.

Trudno było za nim nadążyć. Z trudem ignorując ból głowy, Bazargan zadał pytanie, jakiego można się było po nim spodziewać:

- Dlaczego?

Gruber wzruszył ramionami.

- Nie jesteśmy na Ziemi.

- To dopiero odkrycie - rzucił David Allen, na co w niebieskich oczach Grubera na moment zabłysnął gniew. Zaraz jednak zniknął zastąpiony takim samym otępieniem, jakie odczuwał Bazargan.

Bazargan zmusił się do otworzenia ust.

- Prowadź dalej, Dieterze.

Szurając nogami, Gruber ruszył przed siebie. Oświetlał przeciwną ścianę jaskini, w której widniały liczne wejścia do chodników. Gruber wybrał jedno i zniknął w nim.

- Peku Bazarganie - odezwała się Enla idąca tuż za nim. - Nie powinniśmy tam wchodzić.

Minutę trwało, zanim do Bazargana dotarły jej słowa, a nawet sam fakt, że coś powiedziała.

- Dlaczego nie?... Dieterze, zaczekaj!

Dieter hałaśliwie przystanął i obrócił się do stojących u wylotu korytarza towarzyszy, oświetlając ich.

Enla powiedziała coś po światańsku. Po chwili powtórzyła to samo po angielsku.

Mówiła za szybko, za głośno.

- Drugi chodnik prowadzi w górę. Mówicie, że tym goręcej, im głębiej. W takim razie musimy iść w górę!

W górę. Tak, to prawda. Enla miała rację. Muszą iść w górę; Dieter przecież tak twierdził.

Czworo Ziemi stało niezdecydowanych.

- W górę! - powtórzyła Enla.

W górę. Tak, to prawda. Enla miała rację. Muszą iść w górę; Dieter przecież tak twierdził...

Głowa mnie boli, pomyślał Bazargan.

Ale musimy iść w górę.

Ktoś złapał jego rękę i wcisnął w dłoń Anny. Enla. Światanka połączyła ręce wszystkich Ziemi, precyzyjnie się na koniec tego ludzkiego pociągu i szarpnęła go za sobą, kierując się w górę.

Tyle że znów znaleźli się w jaskini ze stalaktytami. Bazargan zamrugał. Czy to nie znaczy, że jednak schodzą niżej? A przecież mieli iść w górę?...

Nie był już niczego pewien.

Enla ciągnęła ich niezmordowanie w stronę innego chodnika. Niosła latarkę, jakimś cudem przejęła dowodzenie. Snuli się jak lunatycy w półmroku. Bazargan nie wiedział, jak długo; być może zasnął. Spał, śniąc długi sen o przemierzaniu kamiennych korytarzy, to prostych, to krętych, to suchych, to mokrych, ale zawsze w górę. W górę...

Czas mijał.

Czas upływał.

Nagle coś się wydarzyło.

Strzeliło mu w karku... Nie, nie w karku. W głowie. Coś w niej zniecka ustąpiło znów potrafił myśleć jasno. Czuł się tak, jakby ktoś stłukł pancierz opinający jego czaszkę.

- Co?... Co?

Cała czwórka Ziemi zdawała się tak samo zdumiona. Enla przyglądała się ludziom z niepokojem. W końcu oświadczyła:

- Gleba tam była zła. Dla was wszystkich.

- Pole jakiegoś rodzaju - rzekł Dieter, zerkając na swoje przyrządy. - Żadne urządzenie go nie zarejestrowało, nie licząc tego, że teraz gradient geotermalny spada!

Anna dodała z podnieceniem:

- Pole wpływające na myśli... Dieterze, to musiało być pole elektromagnetyczne!

- Nie. Żadne dane na to nie wskazują - odparł zdecydowanie Dieter. Zwrócił się z troską do Bazargana: - Ahmedzie, kiedy my... kiedy zachowywaliśmy się w ten sposób, ty przyjąłeś dawkę kolejnych siedemdziesięciu radów.

- Ile to razem? - zapytał Bazargan.

- Sto dziesięć.

Niedobrze. Za dzień czy dwa się rozchoruje, aczkolwiek nie umrze, nawet pozbawiony fachowej opieki medycznej. Mimo to objawy będą nieprzyjemne, a koniec końców przygoda ta i tak skróci mu życie.

David Allen już zdejmował skafander.

- Proszę, doktorze, niech pan włoży mój.

- Ja... Dziękuję.

Czemu miał się nie zgodzić? Wszyscy przystali na noszenie skafandrów na zmianę, a David Allen był najmłodszym członkiem ekspedycji.

- Tutaj jesteś bezpieczny, Davidzie - pocieszył go Gruber. - Prawie... Słyszycie?

Gdzieś tu jest woda.

- W dole chodnika - rzuciła Anna.

- Zaczekajcie tutaj - polecił Gruber i rozdał wszystkim małe latarki, a sam zniknął z dużą.

Czekali na jego powrót, stojąc w jaskini wielkości małej sypialni. Bazargan miał

trudności z oddychaniem, pamiętając, że nad jego głową znajdują się miliony ton skały. Ale przynajmniej podłóże było suche i w miarę równe, a w promieniu latarki widać było dość gładkie zaokrąglone sklepienie. Być może była to jedna z tych komór po lawie, o których wspominał Dieter. Bazargan słyszał oddechy trójki towarzyszy. Anna wciąż dyszała po wspinaczce, Enla sapała wolniej, a David Allen szybciej i bardziej urywanie.

Chłopak nie powinien być aż tak zmęczony. Bazargana bolały wszystkie mięśnie i w brzuchu mu burczało, lecz serce biło spokojnie, a przecież był o pokolenie starszy od Allena.

Co zatem jest nie tak z Davidem?

Ciszę przerwała Anna.

- Skoro to nie było pole elektromagnetyczne, w takim razie z czym mieliśmy do czynienia?

Nikt jej nie odpowiedział.

Bazargan naciągnął skafander Allena, czując, jak dopasowuje się do jego sylwetki. Wreszcie powrócił Gruber, niosąc expando pełne wody. Naczynia te były płaskie i niemal nic nie ważyły, ale gdy ujęło się je w określony sposób, formowały się w twarde nieprzemakalne torby, których nie sposób było rozdrzeć. Do każdego skafandra dołączono ich kilka.

- Woda nadaje się do picia - poinformował Gruber. - Proponuję, żebyśmy tutaj rozbili obóz: zjemy, ugasimy pragnienie i wypoczniemy. To miejsce dobre jak każde inne.

Jego propozycja została przyjęta jednogłośnie. Wykorzystali przyniesioną przez Grubera wodę do rozrobienia pozbawionego smaku, ale bardzo odżywczego jedzenia w proszku, popili większą ilością czystej wody - która była letnia i miała metaliczny posmak - a potem zaczęli się układać do snu.

Bazargan leżał, przysłuchując się cichej sprzeczce Grubera i Anny.

- Nasze myśli to odczuły - mówiła Anna - a myśli Enli nie. Tylko ona z nas wszystkich była w stanie funkcjonować normalnie. To sugeruje kilka możliwości. Bezwonny gaz, który nasze funkcje umysłowe upośledził, lecz jej nie. Nawet sobie nie potrafię wyobrazić jego składu chemicznego. Feromon, do którego ona jest zaadaptowana w przeciwieństwie do nas. Z tym że tamten chodnik był zbyt ciemny, aby mogło w nim cokolwiek rosnąć. Albo jedno, albo drugie, albo pole elektromagnetyczne.

- To nie było pole elektromagnetyczne - upierał się Gruber. - Moje przyrządy by je wykryły. Skłaniam się ku wersji z przystosowanym do życia w ciemnościach grzybem wydzielającym feromony, do jakich nie przywykliśmy.

- Do czego by mu służyły? Po co tak by wyewoluował? Przecież świadoma myśl nie stanowi zagrożenia dla grzyba rosnącego pół kilometra pod powierzchnią!

- Faktycznie - zgodził się z nią niechętnie Gruber. - No dobrze, w takim razie bezwonny gaz. Ale Anno, bardziej mnie zdumiewa wzrost gradientu geotermalnego przy schodzeniu i jego spadek przy wspinaniu się. To dokładnie na odwrót niż normalnie. Poza tym gdyby taki wzrost się utrzymał, oznaczałoby to płynną skałę jakieś trzydzieści kilometrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, a nic innego na to nie wskazywało.

- Co może wywierać taki wpływ na ten gradient?

- Nie mam pojęcia.

- Ja też nie. Chyba że pole elektromagnetyczne.

- Anno, mówiłem ci...

W końcu przestali rozmawiać i Bazargan usłyszał, jak ich oddechy się wyrównują i stają coraz

głębsze. Enla od dawna oddychała równo i głęboko, ale jednak nie była istotą taką jak oni, więc nie potrafił ocenić, czy naprawdę spała. Ostatnie, co Ahmed Bazargan usłyszał, zanim sam zasnął, czując w nozdrzach zapach wilgotnej skały, to szybki, urywany, pobudzony oddech Allena, jakby dla niego spokojny sen się skończył wraz z życiem nieszczęsnych maluchów, Bonnie i Bena Masonów.

16

W drodze

do Tunelu Czasoprzestrzennego #438

Decyzja to punkt, w którym człowiek ma po prostu dość zastanawiania się.

Syree w dalszym ciągu łamała sobie głowę, mimo że operacja holowania artefaktu przebiegała bezawaryjnie. Stojąc na zatłoczonym mostku, rozważała możliwości, ewentualności i nie dające się wykluczyć katastrofy.

- Przyspieszenie jeden giga, prędkość osiem koma osiem kilometra na sekundę - rzucił sternik.

- Kontynuować przyspieszanie - rozkazał Peres.

- Tak jest. Przyspieszam.

Ktoś stojący za Syree wydał przeciągły cichy gwizd przez zęby.

Obecnie już wszyscy członkowie załogi Zeusa wiedzieli, na czym polega sekretna misja. Trudno było tego nie wiedzieć. Statek opadł z orbity geostacjonarnej na wysokość dwóch tysięcy trzystu kilometrów. Następnie ostrożnie wszedł na orbitę najmniejszego i najszybszego „księżycy” - obiektu orbitalnego numer 7. W tej chwili wspomniany księżyc tkwił tuż przed dziobem Zeusa, przesłaniając ekrany niczym przerośnięty, obrany ze skórki szary owoc. Tak więc nie tyle holowali artefakt, ile go bezceremonialnie spychali z orbity w przestrzeń kosmiczną. Ten manewr wymagał użycia całego ciągu.

- Przyspieszenie jeden giga, prędkość dziesięć koma sześć kilometra na sekundę - meldował sternik, któremu polecono informować na bieżąco co trzy minuty.

- Kontynuować przyspieszanie.

- Tak jest. Kontynuuję.

Obiekt orbitalny numer 7 miał w przybliżeniu osiemnastokrotną masę Zeusa, który był

zdolny do osiągnięcia przyspieszenia nawet dwudziestu giga przy pełnej mocy. Nikt Jednak nie wykorzystywał takiego ciągu dłużej niż przez kilka sekund, i to wyłącznie przy unikach, gdyż nikomu

nie zależało na zmiążdżeniu załogi. Tymczasem nadanie przyśpieszenia obiektowi osiemnaście razy większemu przy zachowaniu przyśpieszenia jeden g wymagało osiemnastokrotnie większej mocy. Syree czuła, jak otaczający ją Zeus się napina. Czuła to we wszystkich kościach, nie wyłączając czaszki, która także jej wibrowała. Domyślała się, że komandor Peres odczuwa to znacznie wyraźniej.

Peres rzucił:

- Meldunek o stabilizacji.
- Utrzymujemy stabilizację.

Zeus musiał pchać artefakt centralnie. Pomagała w tym oczywiście stabilizacja elektromagnetyczna - Syree już wcześniej otoczyła powierzchnią Tasa polem ochronnym.

Dzięki Bogu, że sztuczny satelita był przewodnikiem. W przeciwnym razie trudno byłoby liczyć na sukces.

- Przyśpieszenie jeden g, prędkość dwanaście koma cztery kilometra na sekundę.
- Kontynuować przyśpieszanie.
- Tak jest. Kontynuuję.

Im mocniej Zeus wypychał artefakt z orbity, tym łatwiej mu szło. Prawo odwrotnej proporcjonalności im sprzyjało. Zeus miał przyśpieszać przez całą drogę do tunelu czasoprzestrzennego, zamiast jak zwykle rozpocząć hamowanie w połowie drogi. Dzięki temu cała operacja miała trwać pięć dni, siedemnaście godzin i trzy minuty. A obiekt, dostawszy się do tunelu, miał poruszać się z prędkością czterech tysięcy ośmiuset kilometrów na sekundę. Dotąd nic nie weszło w żaden tunel czasoprzestrzenny z taką prędkością, nikt więc nie wiedział, co się stanie tym razem. Nie była to jedyna niewiadoma w trakcie tej desperackiej operacji.

Syree usłyszała, jak ktoś za nią pokasłuje - raz, potem drugi.

- Opuścić mostek! - warknął Peres. Zatem i on odczuwał napięcie.

Oficerowie niechętnie zeszli z mostka. Syree pozostała na swoim miejscu. Przywołała wspomnienie dawnego szkolenia i obraz wyświetlanego podczas niego filmu: łódź podwodna zanurzona znacznie poniżej dopuszczalnej głębokości, nity wyskakujące z powłoki trzeszczącej pod wpływem niewyobrażalnego ciśnienia wody. Jeden z nich wystrzelił i zmiądżył czaszkę sternikowi, co przypadkowo zarejestrowała kamera, by potem straszyć kolejne pokolenia kadetów.

Rozległo się piknięcie jej komunikatora.

- Słucham?

- Doktor Bazargan do Zeusa. Odbiór.

- Zgłasza się pułkownik Johnson. Słucham, doktorze.

- Prosimy o aktualizację sytuacji w przestrzeni - odezwał się Bazargan. Zdaniem Syree ton głosu miał nietypowo ostry.

- Holujemy artefakt do tunelu czasoprzestrzennego - odparła Johnson zwięźle. - Ani śladu wrogich statków. Sytuacja bez zmian.

Sternik zameldował:

- Przyspieszenie jeden g, prędkość czternaście koma jeden kilometra na sekundę.

- Kontynuować przyspieszanie.

- Tak jest. Kontynuuję.

- Ale u nas zaszła zmiana - oświadczył Bazargan jeszcze bardziej oschłym tonem. -

Tubylcy uznali ludzi za nierzeczywistych i próbowali nas zabić. Udało im się zamordować Bonnie i Bena Masonów. Dorośli członkowie wyprawy zbiegli w góry Neury. Tu obecnie się ukrywamy. Nie możemy opuścić kryjówek bez narażania się na dalszy pościg. Mamy ograniczone zapasy pożywienia. Usiłowaliśmy się z panią skontaktować minionej nocy, ale nie odbierała pani komunikatów. Czy może pani przysłać po nas wahadłowiec?

Wahadłowiec? Czy ci tak zwani naukowcy nie mają pojęcia o zasadach fizyki rządzącej ich życiem?

- Odmawiam, doktorze - odparła Johnson. - Odpalenie wahadłowca wymagałoby zmniejszenia prędkości Zeusa, co stanowiłoby zagrożenie dla naszej misji. Jeżeli jednak... -

Statkiem rzuciło tak silnie, że komunikator wypadł jej z ręki.

- Co to do cholery było? - zapytał major Canton Lee, zbierając się z podłogi.

Roztrzęsiony sternik udzielił odpowiedzi:

- Nie wiem. A... artefakt nas potrącił!

Syree sprawdziła ekrany. Nie zauważyła niczego nadzwyczajnego. Zwróciła się z pytaniem do sternika, który potrafił powiedzieć tylko tyle, że monitory zamrugały, po czym pchany obiekt zadrżał. Do tej chwili wszystko zdążyło się uspokoić.

- Odczyt przyspieszenia! - warknął Peres.

- Przyspieszenie jeden g, prędkość piętnaście koma osiem kilometra na sekundę.

- Kontynuować przyspieszanie.

- Tak jest. Kontynuuję.

Prędkość faktycznie rosła jakby nigdy nic. Komandor zwrócił się do Syree:

- Proszę nie używać więcej komunikatora, pani pułkownik.

- Komandorze, to niemożliwe, aby sygnał biegnący z planety albo na planetę mógł mieć wpływ...

- Ma pani co do tego stuprocentową pewność? Naprawdę tak doskonale rozumie pani istotę tego obiektu, aby decydować, co może mieć wpływ na niego, a co nie?

Syree Johnson milczała.

- Przyspieszenie jeden g, prędkość szesnaście koma pięć kilometra na sekundę - informował sternik, wykonując pierwotne rozkazy.

- Kontynuować przyspieszanie.

- Tak jest. Kontynuuję.

Syree dezaktywowała komunikator i umieściła go w kieszeni. Widoczne na ekranie dziewięćset tysięcy ton nijakiej szarej masy w kształcie kuli poruszało się ociężale, schodząc z orbity i wędrując w kierunku Tunelu Czasoprzestrzennego #438, do którego było jeszcze ponad miliard kilometrów kosmicznej pustki.

Co sprawiło, że sztuczny satelita zadrżał? Syree nie wierzyła, by przyczyną był

komunikator. Nie, raczej coś włączyło się wewnątrz tajemniczej kuli, być może automatycznie po przekroczeniu określonej prędkości. Bądź po oddaleniu się od planety na określoną odległość. Albo z jakiegoś innego powodu, którego nawet nie umieli stwierdzić.

Ale co się włączyło? I jaki to przyniesie skutek?

17

Góry Neury

David przebudził się pierwszy. Przez jeden straszny moment nie wiedział, gdzie się znajduje. Kompletne ciemności, twardość pod plecami, zapach kamienia... Jaskinia. Włączył

latarkę na najśłabszy promień światła i skierował go w górę. Jego oczom ukazała się nietypowo gładka powierzchnia sklepienia upstrzona błyszczącymi kropkami. Mikią? Złotem?

Co za różnica...

Nikt na Świecie nie spojrzalby na prawdziwe złoto. Nikt prócz niego. I być może Enli.

Usiadł, rzucając spojrzenie na śpiącą dziewczynę. Wczoraj uratowała wszystkim życie, wyprowadzając ich z miejsca, gdzie zaczęły im się plątać myśli, gdzie David zaczął się czuć... Nie o tym chciał myśleć. Chciał myśleć o Enli. Była odważna i niegłupia. I - podobnie jak wszyscy Światanie - dobra. Dobra osoba. Taką uczyniła ją ewolucja. Mechanizm dzielonej rzeczywistości sprawił, że ta przysadzista, śpiąca teraz istota ze skołtunionymi myszowatymi szyjowłosami o tyle przewyższała każdego człowieka, że David zaczął się wstydzić swojej przynależności gatunkowej. Światanie nie potrafili celowo oszukiwać, nie potrafili zadawać tortur ani zabijać - a jednak zamordowali Bonnie i Bena.

Poczuł w głowie uporczywe łupanie i na moment ogarnęła go panika, że powraca to, co zaatakowało ich wczoraj głęboko w tunelu. Ale zaraz się uspokoił: nadal potrafił myśleć jasno. Światanie zabili dzieci. Światanie zabili...

- Peku Allenie - szepnęła Enla. - Zbudź się! Twoje sny sprawiają, że usychasz!

Siedziała obok niego, mrugając, z jedną dłonią na jego ramieniu. David złapał jej rękę skwapliwie, ścisnął, przejechał kciukiem po chropawej skórze opiętej na cienkich kościach.

Enla próbowała się oswobodzić, lecz pochwycił ją mocniej. Ta ręka zabija? Ręce takie jak te, ocalające życie, opiekujące się dziećmi? Ręce Kolerta Gamolina? Albo małego Nafreta - za parę lat? Jak to możliwe?

- Peku Allenie, proszę... puść mnie!

Odpowiedź przyszła do Davida w postaci eksplozji dźwięku i koloru, zastępując łupanie w głowie. Właśnie takie odniósł wrażenie: dźwięku i koloru, z cudowną nieuchronnością wschodu słońca i śpiewu ptaków. Nie tak to się odbyło...

- Peku Allenie...

- Wybacz, Enlo - rzekł David, puszczać jej rękę.

Starał się nadać swemu tonowi uspokajający ton. Biedactwo, zdawała się naprawdę przestraszona. To zrozumiałe - nie zobaczyła tego co on, nie zrozumiała tego co on. Była dobra i odważna i nade wszystko kierowała się moralnością, lecz jej lud jeszcze nie osiągnął

wiedzy, zrozumienia i wizji, które dla niego i jego pobratymców były czymś naturalnym.

Tymczasem odpowiedź leżała w kombinacji tych trzech elementów. Odpowiedź, zbawienie.

Suma większa niż poszczególne składniki.

Skoro nie tak to się odbyło w złazie, to jak? Co faktycznie zabiło Bonnie i Bena? Co...

- Peku Allenie, czy potrzebujesz swoich dawek? Swoich porannych dawek?

Moment zajęło mu zrozumienie, o czym ona mówi. Najpierw słyszał tylko zatroskany głos, cichy w półmroku, żywy pośród martwych skał. Enla miała na myśli jego poranną mieszankę neurofarmaceutyków. Skąd wiedziała, że stosuje Dyscyplinę? Musiała podejrzeć rytuał u Anny, z którą spędziła najwięcej czasu.

- Nie, Enlo, nic mi nie jest - odszepnął, zupełnie niepotrzebnie ścisząc głos, ponieważ ten tępy bydlak Gruber już wszystkich budził, jak zwykle przejawiając kompletny brak manier.

- Ahmedzie, nie śpisz już? Anno, tyle wody powinno wystarczyć na śniadanie, ale jeśli to za mało, przyniosę więcej. Potem powinniśmy ponowić próbę kontaktu z Zeusem, najlepiej gdzieś na otwartym terenie. Proszę, to racja proszków żywieniowych...

Gruber i Anna wymieszali proszki żywieniowe z wodą i rozdzielili je do expandokubków. Białka, tłuszcze i węglowodany w idealnych proporcjach, wymieszane z liofilizowanym włóknem i supresorami apetytu, aby zapobiec napadom głodu. Plus oczywiście witaminy i polepszacze smaku, te ostatnie zazwyczaj w niewystarczających ilościach. Jednakże David wypił swoją porcję bez kosztowania jej kubkami smakowymi. W

jego głowie myśl gonila myśl, a posłuszna podświadomości ręka nie oddalała się od Enli.

Światanie są dobrzy. A zatem co naprawdę wydarzyło się w żłazie?

Jedno było pewne. Nikt z Ziemi nie pomoże mu w znalezieniu odpowiedzi. Ani Gruber znajdujący się wyłącznie na swoich skałach i ograniczony przez więżące go konwenanse.

Ani Bazargan, wytrawny polityk zdolny uwierzyć - bądź udawać, że wierzy - w to, co akurat najwygodniejsze. Ani nawet Anna, która pomimo dobrotliwej natury, ma zbyt ograniczone pole widzenia z powodu niedoskonałej znajomości języka i nadmiernego skupienia na przedmiocie jej zainteresowań, czyli botanice.

Tylko on, David Campbell Allen, może odkryć, co naprawdę wydarzyło się w żłazie. I znacznie więcej. Dopiero teraz zaczynał widzieć pełen obraz tego, co Bazargan tak uporczywie starał się zaciemnić. Tylko on, David Campbell Allen, może odsunąć Bazargana i przywrócić właściwy cel misji na Świecie, tak by koniec końców dwie inteligentne rasy o wspólnym genetycznym dziedzictwie - ziemską i światąską - mogły scalić się w jedno. W

ludzkość... nie, to złe słowo, albowiem w procesie połączenia powstanie coś znaczniejszego nawet od ludzkości. Potężniejszego. Uleczonego z wad. Zdolnego dzielić rzeczywistość jak empatyczni Światanie i panować nad nią jak technologicznie rozwinięci Ziemianie. Coś nareszcie w pełni kompletnego. I błyskotliwego.

To - ni mniej, ni więcej - było jego zadaniem.

Davida zalał spokój. Ucisnął dłoń Enli jeszcze raz, po czym wstał i przeciągnął się.

Przy swoim wzroście czubkami palców musnął sklepienie jaskini, gładkie i lśniące jak szkło.

Opuszczając wzrok, dojrzał, że siedzący wciąż Bazargan obserwuje go z pustym expandokubkiem w dłoni. I w skafandrze użyczonym mu przez Allena. Pasującym jak ulał.

David uśmiechnął się doń. W tej chwili nie przejmował się nawet dowódcą wyprawy, który w jego oczach był co najwyżej formalistą w średnim wieku. On, David Campbell Allen, jest ponad to. Ponad Grubera działającego mu wiecznie na nerwy i ponad Annę, o którą bywał

zazdrosny. Jest wybrańcem, narzędziem mającym naprawić rozumny wszechświat.

On!

- Dobrze się czujesz, Davidzie? - zapytał go Bazargan zniżonym głosem.

- Oczywiście.

Po chwili ciszy Gruber rzucił:

- Skoro wszyscy jesteśmy gotowi, ruszajmy. Musimy znaleźć miejsce na powierzchni, skąd skontaktujemy się z Zeusem i dowiemy, co się właściwie dzieje.

- Enlo... - odezwał się Pek Bazargan cichym głosem - o czym rozmawiał z tobą dziś rano Pek Allen?

Nie maszerowali długo, a korytarz wyraźnie prowadził pod górę. Nie był jednak równie łatwy jak korytarze, którymi chodzili minionego dnia. Pek Allen, bez dziwnego ziemskiego skafandra, szedł bezpośrednio za Pkiem Gruberem. Dalej szła Pek Sikorski, Enla i Pek Bazargan. Nie mogło być mowy, aby Pek Allen dosłyszał, o co zapytał ją gospodarz tego domostwa.

- Jego sny sprawiały, że usychał - odparła Enla. - Obudziłam go.

Zastanawiała się, kto skarżył się w snach Peka Allena. Czy nierzeczywiści Ziemianie mają własnych nierzeczywistych zmarłych zasiedlających ich sny i skarżących się im? Ta myśl spowodowała u niej ból głowy.

Nie miała już ani jednej rządowej pigułki.

Pek Bazargan nadal drażył temat:

Czy powiedział ci, o czym był jego sen?

- Nie, on... - Nagłe ukłucie we wnętrzościach kazało jej zamilknąć.

- Enlo? Co się stało?

Kolejny spazm bólu zalewający wnętrzości, przewyższający natężeniem nawet ból głowy. Enla pośpiesznie pogmerala przy ciasno ją opinającym skafandrze,

- Co się stało? Powiedz mi!

- Biegunka - odpowiedziała po światańsku, jeszcze śpieszniej zdzierając z siebie skafander. Sądząc z wyrazu twarzy Peka Bazargana, nigdy nie słyszał tego słowa. Enla z kolei nie wiedziała, jak powiedzieć to po ziemsku. Rzekła więc opisowo: - Podrażnione jelita wydalają cuchnącą wodę. Och! - Znów ją zabolalo.

Ku jej zdziwieniu Pek Bazargan wyglądał na zażenowanego. Dlaczego? Biegunka była czymś normalnym, częścią dzielonej rzeczywistości. Jego zażenowanie musiało wynikać z tego, że był nierzeczywisty.

Teraz ból głowy stał się silniejszy niż ten targający jej wnętrznościami.

- Dieterze, zaczekaj! - zawołał Pek Bazargan. - Enla ma... problem natury osobistej.

Odszedł od niej szybko, doganiając w tunelu pozostałych. Enla wyłączyła latarkę i ukucnęła. Do tej pory w razie potrzeby korzystali z uzgodnionej wnęki lub bocznego korytarza, jednakże tutaj nie było wnęk ani bocznych korytarzy. Odór był porażający. Enla miała nadzieję, że nie będą musieli wracać po własnych śladach. Chwilę później utraciła wszelką nadzieję, niezdolna myśleć ani nawet czuć nic poza mdłościami. Wydawało jej się, że ktoś wyrywa jej wnętrzności z ciała. Ciężko chwyciła powietrze.

- Enlo... to ja, Anna... - Ziemianka poświeciła latarką na ścianę tunelu zamiast prosto na Enlę. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie... Ja... Nic mi nie jest.

- Czekamy na ciebie za zakrętem korytarza.

Enla z konieczności zmitrężyła sporo czasu. Atak ostrej biegunki odarł ją z sił.

Podpierając się o ścianę chodnika, ruszyła w końcu śladem Ziemian. Nogi miała miękkie i na wszelki wypadek niosła skafander w rękę, bojąc się, że w każdej chwili może ją dopaść kolejny atak.

- Enlo?... - odezwał się do niej łagodnie Pek Allen. Wszyscy Ziemianie płci męskiej mieli zakryte usta i nosy kawałkami cienkiego materiału.

- Czuję się dobrze...

- Nieprawda - zaprzeczyła Pek Sikorski, uzdrawiaczka. - Podejdź i wesprzyj się na mnie. Przyrzędy Dietera wskazują, że przed nami otwiera się przestronna jaskinia.

- Nie... mów - poprosiła Enla nazbyt wyczerpana, by dodać słowo „proszę”. Wiedziała jednak, że jeśli Pek Sikorski albo którekolwiek z nich znów powie coś co pogwałci dzieloną rzeczywistość i wywoła u niej ten ból głowy... Kiszki skręciły się jej ponownie.

- Dobrze, nie będę już nic mówić. Chodźmy dalej, Enlo. Powolutku...

Kuśtykając, parły przed siebie: nierzeczywista Światanka i podtrzymująca ją łagodna Ziemianka, której ciepłe ramiona dotykały zimnej, pozbawionej ochrony skafandra skóry.

Enla pozwoliła swoim myślom się rozplýwać, wtapiać w ciepło ciała Pek Sikorski.

Do czasu aż chodnik raptownie się urwał.

- *Verdammt!* - mruknął Pek Gruber. - Przyrządy pokazywały... Chwileczkę, tutaj jest...

Poświecił latarką o dużej mocy w górę. Tuż nad ich głowami światło wyłoniło z mroku wąski otwór, w który wcisnęłyby się w najlepszym razie męskie barki. Pek Gruber podskoczył, usiłując poświecić do środka. Wylądował krzywo na popękany podłożu skalistego korytarza i zwałił się na bok.

- Dieterze!

- Nic mi się nie stało, Anno - burknął gniewnie, rozcierając ramię. - Obawiam się jednak, że tędy prowadzi przejście do następnej kawerny. Chyba nie jest długie, ale tego nie mogę być pewien: promieniowanie fałszuje odczyty przyrządów.

- Jak silne promieniowanie? - spytał Pek Bazargan.

- Niezbyt silne... na razie. Mimo to Enla powinna włożyć z powrotem skafander.

Potrząsnęła głową. W dalszym ciągu obawiała się ataku biegunki.

Pek Gruber oznajmił:

- Muszę ocenić długość i szerokość tego przejścia. To może być najgorszy odcinek.

Davidzie, gdybyś był tak łaskaw...

Pek Allen wystąpił do przodu. Nie odzywał się przez cały marsz i dopiero teraz Enla dostrzegła wyraz jego twarzy. Uśmiechał się. W dziwacznych cieniach błędzących po kamiennych ścianach uśmiech ten wydawał się przesadny, jakby Pek Allen doświadczył

właśnie wielkiego triumfu. Ale jakiego? To było bez sensu, ci Ziemiańskie są bezsensowni, czego innego się po nich spodziewała, przecież wszyscy są nierzeczywiści...

- Spokojnie, Enlo - odezwała się Pek Sikorski - jestem przy tobie.

Jej łagodność raz jeszcze odciągnęła Enlę od przepaści, uratowała przed wpadnięciem w otchłań.

Pek Allen złączył dłonie, Pek Gruber stanął na nich jedną nogą, po czym wybił się drugą i młodszy z Ziemiańskich podrzucił go w górę. Po chwili Pek Gruber wpychał się w otwór.

Enla przez moment myślała, że zaklinuje się barkami, ale na oczach całej czwórki świecącej sobie słabymi latarkami mężczyzna zaczął wić się jak ryba, aż stracili z oczu jego tułów, potem nogi i

wreszcie stopy. Pek Gruber stopił się ze skałą.

Nikt się nie odzywał do czasu, aż Pek Sikorski szepnęła:

- A jeśli on tam utknie...

- To doświadczony grotolaz - odparł Pek Allen głosem równie radosnym jego uśmiech. - Jeśli jednak utknie, wejdem za nim i wyciągnę go stamtąd. Proste!

Pek Bazargan odwrócił się i zmierzył Peka Allena ostrym spojrzeniem.

Czas im się dłużył. Wszyscy milczeli. W którymś momencie Pek Sikorski pociągnęła Enłę, by usiadła, po paru chwilach dołączył do nich Pek Bazargan. Na nogach pozostał tylko Pek Allen, nadal szeroko uśmiechnięty i mrugający szeroko otwartymi oczami.

- *Ja!* - doszedł ich w końcu z komina okrzyk stłumiony przez skały. Po kolejnych niezliczonych minutach w otworze nad ich głowami pojawiła się umorusana wyszczerzona twarz Grubera. - Nie uwierzycie, dopóki tego nie zobaczycie! Chodźcie, korytarz nie jest taki długi. Nie ma nawet siedemdziesięciu jardów. I w żadnym miejscu nie robi się węższy niż tutaj.

Pek Allen chciał wiedzieć, co takiego zobaczą na jego końcu.

- Nie powiem wam, ale to coś cudownego. A dalej rozciąga się całkiem otwarta przestrzeń. Ze źródłem wody.

Coraz więcej Peka Grubera wyzierało z otworu: jego głowa, barki, tułów, biodra, aż Enla zaczęła myśleć, że jeszcze chwila i z pewnością przeważy i spadnie. Ale w tym właśnie momencie Pek Allen wystąpił do przodu, Pek Gruber uchwycił się go i został wyciągnięty niczym korek z butelki z pelem.

- Anno, ty pójdziesz pierwsza. Za tobą Ahmed i Enla. Razem z Davidem pomożemy wam osiągnąć otworu, a sami pójdziemy na końcu.

Pek Sikorski poinformowała:

- Zdaje się, że Enli wciąż jest niedobrze. Pewnie zaszkoziły jej nasze proszki żywieniowe. Jej organizm wyraźnie sobie z nimi nie radzi. Uznałam jednak, że musi coś zjeść, i podjęłam to ryzyko. Tylko że...

- Enlo... - odezwał się Pek Allen, przyklękając na wprost niej - czy wciąż źle się czujesz? Nadal masz biegunkę? - Użył światańskiego słowa, które w przeciwieństwie do pozostałych Ziemiaków musiał widocznie znać. No tak, to oczywiste, pracował w żłazie, z małymi dziećmi. Enla pokiwała głową. - Wolałabyś poczekać, aż choroba przejdzie?

- Zaczekam razem z nią - zaofiarowała się Pek Sikorski.

- Nie - rzekł Pek Allen, a Enla zastanowiła się przelotnie, czemu Pek Bazargan nie wydaje rozkazów. - Sama nigdy nie zdołasz jej podsadzić tak wysoko.

- Owszem, zdołam - odparła Pek Sikorski, czerwieniejąc lekko. - Nie docenia mojej siły, Davidzie.

- Anno - przemówił Pek Bazargan, odzywając się w tym samym momencie, gdy Pek Gruber westchnął:

- To nie jest...

- Nie zostanę tutaj - oświadczyła głośno Enla.

Ci Ziemianie zachowywali się, jakby była dzieckiem. Tymczasem ona nie była dzieckiem - była jedyną rzeczywistą osobą w tym gronie. Poza tym nie miała najmniejszego zamiaru zostać tutaj, w ciemności i ciasnocie, gdy kawałek dalej czekało obszerniejsze miejsce, w dodatku na otwartej przestrzeni. Z biegunką czy bez. Aczkolwiek musiała przyznać, że gdy zaczęła mówić, nieprzyjemne uczucie we wnętrzościach jakby ustąpiło.

Przez moment wszyscy Ziemianie wpatrywali się w nią jasnymi, pozbawionymi głębi oczami. Ostatecznie Pek Gruber skinął głową.

- Enla powinna decydować za siebie. Tak jak my wszyscy ma wolny wybór.

Ciekawe, czy miał pojęcie, jak obco brzmią jego słowa, jak nierzeczywiście...

Nikt nie wybiera rzeczywistości; rzeczywistość po prostu jest. Po raz kolejny Enla poczuła w głowie ukłucie bólu.

- Przysparzasz jej cierpienia, Dieterze - rzekł cicho Pek Bazargan. - Lepiej podsadź

Annę.

Pek Gruber złączył dłonie. Pek Sikorski została podrzucona w stronę otworu, uczepiła się palcami występu skały i zaczęła się wic. Wkrótce w otworze zniknęły jej stopy. Enla wstała i włożyła skafander, którego uprzednio w takim pośpiechu się pozbyła.

- Ahmedzie - ponaglił Pek Gruber.

- Nie mogę.

Pek Gruber i Pek Allen równocześnie się obrócili, by nań spojrzeć. Pek Bazargan był

bardzo blady, nawet jak na Ziemianina, i miał zlaną potem twarz. Enla widziała, jak goła skóra na jego szyi, gdzie powinny być włosy, pulsuje gwałtownie.

- Mam... kłopoty z zamkniętymi przestrzeniami. Do tej pory jakoś sobie radziłem, ale ten otwór jest dla mnie za ciasny, wygląda jak skalna pułapka. Po prostu nie mogę -

wzdrygnął się cały.

Enla nigdy wcześniej nie widziała, żeby Pek Bazargan okazywał słabość. Podobnie jego towarzysze Ziemianie. Pek Gruber zmarszczył czoło. Pek Allen znowu uśmiechnął się radośnie i stanął na palcach. Tego również Enla nie widziała nigdy wcześniej - żeby ktoś kołysząc się, stawał się wyższy, a następnie opadał do normalnego wzrostu, i tak raz po raz.

- Przykro mi - wyszeptał Pek Bazargan - ale nie mogę.

- W takim razie tu zostań - rzucił jakby nigdy nic Pek Allen. - Wrócimy po ciebie z tej samej strony, z której przyszliśmy, jak już zrobimy co trzeba w tych górach i przejrzymy spisek.

- Spisek? - powtórzyła Enla, która nie знаła tego słowa.

- Nie ma żadnego spisku, Davidzie - warknął Pek Gruber. - A ty, Ahmedzie, idziesz z nami. Potrzebujemy cię do nawiązania kontaktu z Zeusem.

- Możecie sobie zabrać...

- Wleziesz do tego tunelu, nawet jeśli będę musiał cię tam osobiście wepchać siłą przy pomocy Davida.

Pek Allen przestał kołysać się na piętach i palcach. Jego uśmiech stał się szerszy i zaczął się zmieniać, Enla jednak nie dostrzegła, jak ostatecznie się zmienił, gdyż wcześniej musiała odwrócić wzrok. Pekowi Allenowi najwyraźniej spodobał się pomysł, by wepchnąć Peka Bazargana siłą do otworu. Sprawiłoby mu to przyjemność. Pek Bazargan wodził

spojrzeniem od jednego Ziemianina do drugiego.

- Ty nie żartujesz, Dieterze...

- Oczywiście, że nie. Znam cię, Ahmedzie, i wiem, że nie jesteś tchórzem.

Bazargan, nadal blady i spocony, uśmiechnął się.

- Jestem już w tym wieku, że nie zawstydzi mnie takie wyzwanie rzucone przez młodszego mężczyznę, Dieterze.

- Tak czy siak, pójdiesz z nami.

Enla uznała, że Pek Gruber przypomina tumbana. Widziała raz jednego w obwoźnym zwierzyńcu. Głupie mocno umięśnione zwierzę ruszyło prosto przed siebie, żrąc liście po drodze, i nic nie mogło sprawić, by zboczyło z wybranej ścieżki. Parło przez błoto, przez kolczaste krzaki, nawet przez dymiący wciąż popiół. Na Świecie też byli tacy - na przykład siostra męża jej siostry. A z nierzeczywistych Ziemian - Pek Gruber.

Który zdawał się coraz bardziej rzeczywisty w oczach jej, Enli Pek Brimmidin.

Nie był tak znów różny od szwagierki Anu.

Tym razem spodziewała się ostrego bólu pod czaszką. Była nań nawet przygotowana, jak się przekonała, aczkolwiek niewystarczająco. Przez drżącą mgiełkę przyglądała się, jak Pek Bazargan stawia stopy na złączonych dłoniach Peka Grubera, chwieje się i próbuje ponownie. Przy drugim podejściu schwycił występ skalny. Długo tak wisiał, z głową i barkami wewnątrz otworu, z nogami dyndającymi bezradnie po ich stronie. Nagle zamachał

stopami. Usiłował się wycofać. Pek Allen podskoczył i mocno popchnął jego pośladki.

- *Verdammt!* Ostrożniej, Davidzie!

- Spiskowcy nie zasługują na to, by się z nimi cackać - stwierdził Pek Allen z podłym uśmiechem.

Pek Gruber zacisnął dłonie w pięści, powstrzymał się jednak i tylko zadarł głowę.

Stopy Bazargana właśnie zniknęły w otworze.

- Enlo... - odezwał się Pek Allen i na moment strach stłumił kłujący ból głowy. Czy ją także tam wepchnie w ten sposób? Jednakże Pek Allen pochylił się, złączył dłonie i delikatnie ją podsadził, podczas gdy Pek Gruber pomagał jej zachować równowagę. Poczwała, jak wnętrzności fikają koziołka, lecz po chwili się uspokoiły. Złapała występ skalny i zaczęła się wić, by zniknąć w otworze.

Ból głowy także zniknął. Rozpłynął się w chwili, gdy dłonie Peka Allena objęły podeszwy jej stóp, a wielkie, poznaczone odciskami ręce Peka Grubera spoczęły na jej biodrach. Pek Gruber był tumbanem, a kwiaty umysłu Peka Allena rozkwitały szaleńczo. Pek Bazargan był tchórzem. Pek Sikorski, choć taka łagodna, najwyraźniej potrafiła pogwałcić rzeczywistość. Wszyscy oni to potrafili, nawet między sobą (ciekawe jak). Ale byli tutaj z nią, rzeczywisci jak ciepło rąk dotykających jej ciała, i każde miało duszę, jakkolwiek dziwną.

Zachowywali się jak rzeczywiste osoby: myśleli i kłócili się, siali i zbierali, uprawiali się nawzajem w przeciwieństwie do tamtych nieszczęsnych dzieci, które musiały zostać zniszczone, ponieważ były nierzeczywiste. Tamte dzieci nikim się nie opiekowały, z nikim nie sprzeczały, nie miały żadnych nadziei ani nie snuły planów w odniesieniu do nikogo innego. A dorośli Ziemianie robili wszystkie te rzeczy jak Światanie. Enla na własne oczy widziała, jak je robią. Przeciskała się przez mroczne chodniki razem z nimi, czuła, jak dusza każdego z nich obija się o jej duszę, pieści ją i boleśnie kłuje - w sposób taki, jakiego nie doświadczyła nigdy w obecności kapłanów.

Enla czołgała się po kamienistym podłożu. Była informatorem. Zatem miała prawo informować samą siebie. Zebrała informacje i przyjrzała się im dokładnie, i z tego wyniknęła prawda - równie niemiała i nieunikniona jak gnucie kwiatu.

Ziemianie byli rzeczywisci.

Trzy dni i dwie godziny bliżej tunelu czasoprzestrzennego. Pozostało jeszcze dwa dni i piętnaście godzin. Syree prawie wcale nie spała, mimo że jak dotąd nie pojawiła się żadna przeszkoda podczas przesuwania obiektu orbitalnego numer 7. Wszakże nie pokonali nawet jednej trzeciej dystansu. Obecnie prędkość wynosiła dwa tysiące sześćset kilometrów na sekundę. Mimo to Syree ponaglała się w duchu. - Szybciej, szybciej! - co stanowiło wyczerpujące emocjonalnie ćwiczenie. Zeus dawał z siebie wszystko.

Statek nie rozpadł się na części, aczkolwiek został silnie nadwerężony. Jeśli zdoła utrzymać ten ciąg przez najbliższe dwa dni i piętnaście godzin, będą mogli odciąć zasilanie i mocą samej inercji wprowadzić obiekt orbitalny numer 7 do tunelu czasoprzestrzennego przy prędkości czterech tysięcy osmiuset siedemdziesięciu trzech kilometrów na sekundę.

O ile, rzecz jasna, obiekt orbitalny numer 7 w ogóle się tam zmieści. Z braku lepszego zajęcia Syree wielokrotnie rozwiązywała równania na dziesiątki sposobów, podstawiając różne zmienne, robiąc optymistyczne założenia i podpierając się różnymi współczynnikami tolerancji. Jeśli pojemność tego konkretnego tunelu czasoprzestrzennego różni się choćby o trzy procent od pojemności innych tuneli... jeśli przeciętna pojemność przyjęta przez marsjańskich inżynierów odbiega od prawdy o choćby dwa procent... jeśli masa artefaktu wynosi o cztery procent mniej, niż udało im się stwierdzić...

Nic z tego nie miało właściwie znaczenia. Każdej masie był przypisany określony promień Schwarzschilda, poniżej którego - o ile obiekt udało się wcisnąć wystarczająco głęboko do tunelu - masa ta zmieniała się w czarną dziurę. To właśnie spotkało Anakondę pięćdziesiąt trzy lata wcześniej. To samo miało spotkać artefakt. Chyba że w równaniu kryje się pętla, o której ziemscy fizycy jeszcze nie wiedzieli

Takie pętle istniały. W przeciwnym razie Fallerom nie udałooby się skonstruować alternatora fazy falowej. A ludzie nadal wiedzieli bardzo mało o artefakcie stworzonym przez te same istoty, którym zawdzięczano tunele czasoprzestrzenne. Prawdopodobnie. Zatem było możliwe, że obiekt orbitalny numer 7 wejdzie do Tunelu czasoprzestrzennego #438, mimo że inny obiekt o takiej samej masie, lecz innym pochodzeniu zostałby sprasowany do rozmiarów maleńkiej czarnej dziury.

Aczkolwiek nie to wynikało z równań.

Unicestwiony obiekt orbitalny numer 7 przynajmniej nie miał szans wpaść w łapy Fallerów. I zawsze można było liczyć na jakąś niezidentyfikowaną zmienną, która sprawi, że obiekt wirując, wypadnie jednak z drugiej strony tunelu.

- Mamy sygnał z Hermesa - zameldował Lee zajmujący miejsce naprzeciwko ekranów.

- Odtworzyć - rzucił Peres.

Wszyscy obecni na mostku zamilkli w oczekiwaniu na przekaz.

Hermes, nieduży myśliwiec Zeusa, powinien się zbliżyć już do tunelu, lecąc osiemset pięćdziesiąt milionów kilometrów przed nimi. Jego pilot, porucznik Amalie Schuyler, narażała się na

niewyobrażalne przeciążenia, byle tylko osiągnąć wrota do tunelu na długo przed statkiem matką. Cokolwiek miała im do powiedzenia, padło z jej ust czterdzieści siedem minut przed tym, zanim dotarło na pokład Zeusa.

- Witam, komandorze - rozpoczęła i Syree natychmiast poznała po jej głosie, że jest na skraju wyczerpania. - Zanim otrzymacie ten przekaz, powinnam wydostać się z tunelu po drugiej stronie. W tej chwili dzieli mnie od niego jakaś minuta. Lot odbył się bez problemów, nigdzie ani śladu wroga. Rozkazy dla dowództwa w systemie Kaliguli jasne i niezmiennie.

Powodzenia tam z tyłu. Bez odbioru.

Lee wyszczerzył się do Syree. Dobra nasza. Amalie była bezpieczna w znajdującym się pod panowaniem ludzi systemie Kaliguli po drugiej stronie Tunelu Czasoprzestrzennego

#438. System Kaliguli był daleko wysuniętą placówką wojskową; utrzymywał w ciągłym ruchu załogowy myśliwiec, którego zadaniem było patrolowanie okolic wylotu tunelu.

Porucznik Schuyler miała złożyć jego pilotowi meldunek, który następnie zostanie niezwłocznie przekazany dowództwu.

- Wszystko przebiega zgodnie z planem - obwieścił Peres na mostku. Z jakiegoś powodu w jego głosie było mniej satysfakcji niż w głosie Amalie Schuyler. „Plan” w wypadku Zeusa znaczył co innego niż w wypadku Hermesa, którego rola była bardziej jednoznaczna.

Przelatując przez Tunel Czasoprzestrzenny #438, Hermes postarał się o to, by następny obiekt, który nigdy jeszcze nie podróżował w ten sposób, również zmaterializował

się w systemie Kaliguli. Mógł to być artefakt, z tym że ani Syree, ani Peres w to nie wierzyli.

Fallerowie zdawali sobie sprawę ze specyfiki tuneli czasoprzestrzennych nie gorzej niż ludzie (a może nawet lepiej, biorąc pod uwagę nowo odkryty alternator fazy falowej). Prędzej czy później - aczkolwiek raczej prędzej niż później - statek Fallerów wychynie z tunelu. A następnie przezeń wróci, sprawiając, że cokolwiek dostanie się do tunelu po nim, skończy w przestrzeni zdominowanej przez Fallerów, a nie przez ludzkość.

Zadaniem Hermesa było nie dopuścić do tego. Syree wyliczyła prędkość Zeusa pchającego artefakt, czas oraz odległość do ósmego miejsca po przecinku. Jeżeli nic nie zakłóci akcji holowania, obiekt orbitalny numer 7 wślizgnie się do Tunelu Czasoprzestrzennego #438 za dwa dni, piętnaście godzin, pięćdziesiąt siedem minut i trzy sekundy od teraz - dokładnie o czternastej trzydzieści siedem czasu pokładowego. Pięć minut wcześniej, zgodnie z rozkazami przekazanymi przez porucznik Schuyler, myśliwiec wyleci z systemu Kaliguli do tunelu, aby się wydostać w tym systemie gwiazdny. A następnie błyskawicznie powróci, „otwierając” drogę artefaktowi.

Oczywiście Fallerowie mogli przewidzieć taki obrót rzeczy. W przeszłości udowodnili swoje zdolności strategiczne. Dlatego drugi myśliwiec powtórzy manewr pierwszego cztery minuty później, zaledwie sześćdziesiąt sekund przed dotarciem artefaktu do tunelu.

- Sześćdziesiąt sekund? - zdumiał się Peres, gdy Syree pokazała mu swoje wyliczenia.

- Naprawdę jesteśmy w stanie zminimalizować ryzyko do tego stopnia?

- Tak - potwierdziła Syree z większym przekonaniem, niż czuła w istocie. Liczby były pewne, jednakże rzeczywistość miała w zwyczaju mieszać w zmiennych, nie w pewnych liczbach. Tego jednak nie powiedziała na głos.

- Czyli odczepimy artefakt dosłownie w ostatniej chwili - mówił z zadowoleniem Peres - a on przedostanie się do systemu Kaliguli. Co potem?

Na to nie było odpowiedzi. Porucznik Schuyler miała ostrzec dowództwo systemu Kaliguli, że na ich teren może się dostać bezcenna broń Obcych. Ewentualnie maleńka czarna dziura poruszająca się z prędkością czterech tysięcy ośmiuset siedemdziesięciu trzech kilometrów na sekundę. Bądź też potężna fala destabilizująca jądra pierwiastków o masie atomowej przekraczającej siedemdziesiąt pięć. Lub też zupełnie nic.

Tymczasem oficerowie wegetowali na mostku, śpiąc w fotelach, nieumyjni i nieuśmiechnięci. Ekran przesłaniała wielka szara kula zakrywająca wszystkie gwiazdy.

- Lunch, sir. - Na mostku pojawił się szeregowy marynarz będący pomocnikiem kuka.

W rękach trzymał dużą zakrytą tacę, z której unosiły się smakowite zapachy. Postawił ją na wolnej powierzchni i odkrył jednym ruchem.

- Dziękuję - odrzekł Peres. - Możecie odejść.

Lee wziął sobie gorącą kanapkę i odgryzł spory kęs. Syree zmusiła się do zjedzenia takiej samej. Nie potrafiłaby powiedzieć, co jadła; dla niej było to wyłącznie paliwo dla organizmu.

Major Ombatu, którego samopoczucie najwyraźniej nie poprawiło się po nadejściu wiadomości z Hermesa, rzucił z irytacją:

- Nie mogę jeść, kiedy tutaj tak śmierdzi. Ktoś powinien wziąć prysznic.

- Zamknij się, Ombatu.

- Ani się waż - wycedził Ombatu - mówić mi, co mam robić, Lee.

Popatrzyli na siebie z pogardą, bezsensowną pogardą osób, które przebywają razem zbyt długo i w sytuacji nazbyt stresującej, a mimo to nadal są sobie nawzajem potrzebne.

Wszyscy śmierdzieli podobnie. Nikt jednak nie chciał opuścić mostka, chociaż nie zanosilo się na nic nieprzewidzianego.

Ale siedem godzin później wydarzyło się coś takiego.

Pierwszy oficer Debra Puchalla pełniła wachtę. Zwróciła się do Peresa, który leżał, nie śpiąc, na rozkładanym fotelu w kącie mostka.

- Sir! Z tunelu wyłonił się jakiś obiekt... Sprawdzam go... to ślizg!

- Fallerowie - stwierdził Peres. - W jakim kierunku zmierza obiekt?

- W naszym... ale... chwileczkę... właśnie pojawił się drugi obiekt. Sprawdzam go... to pancernik Fallerów!

Peres i Syree już byli przy ekranach. Odległość między dwiema wrogimi jednostkami, w postaci kropek na monitorach, zaczęła rosnać. Ślizg zawisł nieruchomo w pobliżu wrót do Tunelu Czasoprzestrzennego #438, gotów w każdej chwili przezeń wrócić. Natomiast pancernik zmierzał prosto na Zeusa. Wyglądało na to, że Fallerowie zidentyfikowali go i stwierdzili, że zwiększył dziewiętnastokrotnie swoją masę. Przeciwnik wiedział już, co zamierzają ludzie. Teraz miał przystąpić do ich powstrzymania.

- Komandorze - odezwała się znów Puchalla - wróg zmienia pozycje. Ślizg wycofuje się w stronę tunelu... właśnie w nim zniknął!

- Wraca do przestrzeni kontrolowanej przez Fallerów, by złożyć raport - ocenił Peres.

Naturalnie Syree wiedziała, co naprawdę ma na myśli komandor: że ślizg Obcych wykonał

ten manewr przed czterdziestoma trzema minutami. Każda informacja była opóźniona, ograniczała ich bowiem prędkość światła. Ograniczenie to z jakiegoś powodu nie dotyczyło tuneli czasoprzestrzennych.

Tymczasem Puchalla meldowała:

- Wrogi pancernik coraz bliżej... Przyśpieszenie wynosi dwa g... obecna odległość to siedemset osiemdziesiąt milionów i...

- Wyłączyć napęd - rzucił Peres.

- Zaraz, komandorze... - powiedziała prędko Syree. Zeus był jak mrówka modląca się pod balansującym niebezpiecznie melonem, jednakże na razie nie mogli sobie pozwolić na porzucenie cennego ładunku. - Jedną chwileczkę...- Proszę się wstrzymać z wykonaniem ostatniego rozkazu - powiedział Peres do Puchalli. Obrócił się w fotelu, by lepiej widzieć Syree. - Słucham, doktor Johnson?

To, iż użył jej stopnia naukowego, wiele mówiło; tym samym przypominał jej, że jest szefem naukowym ekspedycji, a nie oficerem liniowym. Syree kiwnęła głową.

- Komandorze, domyślam się, że pana zamiarem jest wyłączyć napęd i uwolnić się od holowanego

obiekta, tak aby mógł dolecieć prosto do tunelu, podczas gdy Zeus zyska możliwość walki. Ale jeśli teraz dojdzie do rozłączenia, artefakt będzie się poruszał z prędkością... - Zaczęła wściekle wklepywać dane, by otrzymać wynik równania. - Jeśli teraz dojdzie do rozłączenia, artefakt będzie nadal się poruszał z obecną prędkością, która wynosi dwa tysiące osiemset sześćdziesiąt kilometrów na sekundę. Zamiast z prędkością czterech tysięcy osiemset siedemdziesięciu trzech kilometrów na sekundę, które osiągnie dzięki dalszemu przyspieszaniu. Przy zmniejszonej prędkości dotrze do wrót tunelu czasoprzestrzennego dopiero za cztery dni i piętnaście godzin. Jeśli jednak nie przerwiemy przyspieszania, możemy ten okres znacznie skrócić.

- Doktor Johnson, zostaliśmy zaatakowani!

- Jeszcze nie. Ślizg zniknął. Zawsze możemy odłączyć artefakt dopiero po wejściu w strefę rażenia pancernika, mając margines czasu na nieprzewidziane wydarzenia. Byle nie teraz. Zaledwie godzina więcej przyspieszania zwiększy obecną prędkość o kolejne trzydzieści sześć kilometrów na sekundę. Po dziesięciu godzinach prędkość będzie wynosiła trzy tysiące dwieście szesnaście kilometrów na sekundę. A my nadal będziemy mieli możliwość odłączenia artefaktu i reakcji na działania wroga. Albo odpalenia ładunków, jeśli taką podejmie pan decyzję. - Peres milczał. Czyżby rozważał jej słowa? Syree podjęła pośpiesznie: - Proszę nie zapominać, że nasze myśliwce pojawią się w wyznaczonym czasie.

Im krótszy przedział czasu między ich pojawieniem się a zniknięciem artefaktu w tunelu, tym mniejsza szansa na to, że po drodze przyplącze się jakaś wroga jednostka, która skieruje obiekt orbitalny numer siedem do przestrzeni Fallerów. A żeby maksymalnie skrócić ten przedział, musimy nadawać artefaktowi przyspieszenie dosłownie do ostatniej chwili.

Peres ściągnął brwi.

- Naprawdę uważa pani, że Fallerowie po tym, jak się tutaj pojawili, pozwolą nam na dokończenie planowanego manewru? Jeśli będą musieli, zbombardują artefakt, zanim osiągnie wrota do tunelu. Wysadzą go, mówiąc wprost.

- Mogą tego spróbować. Ale nie wiemy, co faktycznie się stanie. Nadając dalsze przyspieszenie artefaktowi, niczego nie tracimy, a zyskujemy szansę na skrócenie czasu, w którym Fallerowie będą mogli pokrzyżować nam szyki. Poza tym póki jesteśmy połączeni z artefaktem, na którym wyraźnie im zależy, istnieje mniejsze ryzyko, że zostaniemy zaatakowani, chyba że tuż przy wlocie do tunelu, kiedy nie będą już mieli innego wyjścia.

Pamiętajmy, że nasze ładunki będą się wtedy znajdowały znacznie bliżej wrogiej jednostki.

Peres zrobił zamyśloną minę.

- Jeśli doprowadzimy do wybuchu zaledwie na minut przed tym zanim artefakt osiągnie wrota do tunelu... czy wtedy za jednym zamachem zniszczymy także statek Fallerów?

- To zależy od tego, jak blisko wrót będzie się znajdował. Ale istnieje taka możliwość, którą zaprzepaścimy, odłączając się i wywołując eksplozję już teraz.

Peres w dalszym ciągu się wahał. Syree wstrzymała oddech.

- Dobrze - zdecydował w końcu. - Będziemy kontynuować przyśpieszanie.

Przynajmniej na razie. Dopóki sytuacja się nie zmieni.

- Dziękuję, sir - powiedziała Syree, przełykając dumę. Decyzja należała do niego i Syree musiała się z tym pogodzić, w przeciwnym razie wyszłaby na kogoś, kto wyrywa się przed szereg i próbuje zburzyć obowiązującą hierarchię.

- Sternik, proszę trzymać dotychczasowy kurs i kontynuować przyśpieszanie.

- Tak jest. Kontynuuję.

- Pierwszy oficer Puchalla, proszę uzbroić systemy. Załogi na stanowiska bojowe.

- Tak jest, sir!

Zeus był klasycznym krążownikiem zaadaptowanym na potrzeby ekspedycji naukowej. Syree wątpiła, aby nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach jego uzbrojenie dorównywało uzbrojeniu pancernika Fallerów. Jednakże jej głównym zmartwieniem nadal pozostawał obiekt orbitalny numer 7. Ocaliła go, przynajmniej na jakiś bliżej niesprecyzowany czas. Na pokładzie całej jednostki rozbrzmiewały dzwonki alarmowe.

- Stan uzbrojenia?

- Wszystkie systemy uzbrojone i w gotowości, ale... prędkość wrogiej jednostki zmienia się... to znaczy maleje. Komandorze, Fallerowie się zatrzymują ich obecne położenie: dwieście kilometrów od tunelu czasoprzestrzennego, kąt dziewięćdziesiąt stopni.

Znajdujące się w odległości ośmiuset milionów kilometrów siebie dwie wrogie jednostki śledziły każdy swój ruch. Dane, którymi dysponowały pochodziły sprzed czterdziestu trzech minut, ale to wystarczało, by bawić się w kotka i myszkę. Kot trwał w bezruchu przy mysiej dziurze, a mysz poruszała się w jej kierunku z coraz większą prędkością. Tocząc przed sobą melon. Syree zmusiła się do usunięcia tego porównania z umysłu - jej babka nie pochwałała podobnych fanaberii.

Peres polecił jej:

- Doktor Johnson, proszę wyliczyć czas i pozycję zdetonowania artefaktu, tak, by eksplozja narobiła jak najwięcej szkód statkowi Obcych, zakładając, że nie zmieni on położenia oraz że my nie przerwiemy przyśpieszania do chwili, gdy Zeus znajdzie się sto kilometrów przed znanym polem rażenia takiej jednostki.

- Tak jest, sir. - Syree rozpoczęła mozolne obliczenia.

Bądź w ciągłym ruchu. Tak brzmiała najstarsza zasada wojskowych. Bądź w ciągłym ruchu, trzymaj się poza polem rażenia wroga, niech cię nie dziwi zmiana taktyki przeciwnika.

Zdaniem Syree w tym wypadku przeciwnik nie miał powodów, aby zmieniać taktykę.

Chyba że podejrzewał, iż artefakt może w każdej chwili zostać wysadzony - co było prawdopodobne, lecz nie stuprocentowo pewne. Jednakże jeśli Fallerowie to podejrzewają, pozwolą artefaktowi zbliżyć się do tunelu tylko na pewną odległość. Pytanie: na jaką?

O tym mieli się przekonać, dopiero gdy jednostka Fallerów wykona ruch.

Do tego czasu obiekt orbitalny numer 7, znany wcześniej jako księżyc Tas planety zwanej Światem, miał być nadal pchany przez kosmos. Nietknięty i narażony na przejęcie.

19

Góry Neury

Skąła zamknęła się wokół niego, dusząc go w uścisku. Bazargan czuł to w gardle, w płucach. Nie mógł oddychać. Wionący chłodem zapach wilgotnego kamienia dławił go, podczas gdy nieustępliwe bryły zgniatały mu ciało na miazgę... Ahmed opuścił powieki i przestał się posuwać węzowym ruchem do przodu. Nie był w stanie tego zrobić. Już teraz barkami dotykał ostrych ścian po obu stronach chodnika, a przed chwilą widział, że korytarz przed nim staje się jeszcze węższy. Nie był w stanie tego zrobić... Góra go miażdżyła, dusiła, zaraz tutaj umrze. Nie mógł się zmusić do najlżejszego ruchu. Ogarniały go mdłości, fala za falą, a serce waliło mu tak mocno, jakby chciało pęknąć. Pot, niezwykle zimny, wpadał

strużkami do zamkniętych oczu.

Nie był w stanie tego zrobić. Wpadł w panikę i był bliski śmierci.

Desperacko przekopywał pamięć w poszukiwaniu czegoś - czegokolwiek - co mogłoby mu przynieść ratunek. Czy myśl może zapobiec fizycznej reakcji organizmu? Nie miał przy sobie neurofarmaceutyków mogących zniwelować skutki szoku, zresztą bardzo rzadko sięgał po specyfiki, które stworzono raczej dla ludzi takich jak David Allen.

Amerykanie przywykli do łatwizny, do luksusów. On jest Irańczykiem, nie potrzebuje neurofarmaceutyków, potrzebuje...

Czego? Przecież i tak tutaj umrze. Nie był w stanie tego zrobić.

Coś - cokolwiek - byle się czegoś ucześć...

Nie możesz upuścić czary z winem ani poluznić chwytu na lodydze róży.

Łodyga róży! Bazargan zacisnąwszy powieki, wyobraził sobie ją, wyciągnął po nią rękę, drapiąc palcami po zimnej wilgotnej skale.

Nie pamiętał reszty wiersza. Hafiz był największym perskim poetą, a on, Bazargan.

nie pamiętał treści jego utworu! Mimo to róża nadal tam była, musiał tylko po nią sięgnąć...

Na szczęście były też inne wiersze...

Jakąż słodyczą tchnie poranna bryza, zwiastując czekające mnie radości...

Zachłyśnij się poranną bryzą. Świeżym powietrzem, słodkim, pachnącym kwiatami rosą...

Wieść, że róża jest tuż-tuż, dźwięczny ptak nocy przynosi...

Sięgnąć po różę. Powąchać, dotknąć jedwabistych płatków, usłyszeć słowika śpiewającego gdzieś w górze, wyraźnie i dźwięcznie.

Serce Ahmeda Bazargana przestało walić jak oszalałe, zmiana była nieznaczna ale wyczuwalna. Lepkie zimno macające go po całym ciele osłabło nieco. Nie był już w ciasnym korytarzu z milionami ton skały nad głową, lecz w ogrodzie o poranku. Śpiewały ptaki. Róże uwalniały obłoczki kwietnej woni, gdy się nad nimi nachylał.

... aromatyczny welon róż, jaśminu bieli płaszczy przynosi mi...

Jaśmin. Tak. Długie pociągłe listki, białe pachnące kwiatki.

Bazargan szedł przez ogród. Leniwie, upajając się każdą chwilą, każdym zapachem i odgłosem. Granat, róża, jaśmin, migdał... Ogród zasiany przez poezję był najżywszym i najrzeczywistszym, jaki kiedykolwiek widział; każda kropla rosy połyskiwała jak diament, każdy płatek porażał kolorem. Bazargan szedł przez ten ogród, zrywając kwiaty, trzymając je ciepłymi palcami... Mieć baczenie na ciernie, kłaść białe lilie obok czerwonych róż i radować się aksamitnym kontrastem, wdychać głęboko wspaniałe wonie...

Każdym włókienkiem swego ciała, ślepy na wszelką inną rzeczywistość, Ahmed Bazargan tworzył ogród. I przeciskał się ku wylotowi chodnika.

- Ahmedzie! Ahmedzie!

Powoli odzyskiwał przytomność. Siedział oparty plecami o skałę. Anna nachylała się nad nim, przykładając jakiś metalowy przyrząd do jego serca. Za nią tłoczyli się Dieter, David i Enla. Najmłodszy członek wyprawy miał tunikę podartą na strzępy, ramiona całe we krwi.

No tak - przedzierał się przez ciasny tunel bez skafandra.

Anna powiedziała doń:

- Zemdlałeś na sam koniec, pamiętasz?

Nie pamiętał. Anna pokiwała głową uspokojona odczytami na miniaturowym wyświetlaczu.

- Chyba już wszystko w porządku... Ból głowy? Nudności? Uczucie zimna?

- Nie jestem w szoku.

- Nie, nie jesteś w szoku. Jesteś tutaj z nami i to się liczy. Wszyscy tu jesteśmy

- Spójrz! - rzucił nagle Dieter, odstępując na bok i odsłaniając mu pole widzenia.

David Allen przybrał pogardliwą minę. Tunika spływała zeń zakrwawionymi strzępami. Gruber zdążył włączyć potężną latarkę i Bazargan aż sapnął z wrażenia. Zaczął gramolić się na nogi.

Byli w jaskini Alladyna, w skarbcu sułtana. Klejnoty połyskiwały na sklepieniu, na ścianach, w stertach na podłożu. Gdy wzrok mu się przyzwyczaił do rażącego światła, Bazargan stwierdził, że klejnotami są miriady grudek złota. Pomiedzy nimi rozsiane były płatki czystego kruszcu wielkością dorównujące paznokciom męskiego kciuka. Złote samородki lśniły pod ich stopami. Sterty białego piasku kwarcowego błyszcząły jak przędza szklana.

- To wug - wyjaśnił uszczęśliwiony Dieter. - Choć w życiu nie słyszałem o takim wielkim.

- Co takiego? - spytał Bazargan. Ta kawerna miała około dwudziestu metrów wysokości i jakieś pięćdziesiąt średnicy.

- Wug - powtórzył Niemiec. - A właściwie wewnątrz geody. Kiedyś musiała się tu znajdować kaldera wulkanu. Złoto wytrąca się z krążącej wody podgrzewanej przez magmę.

Bazargan dotknął ściany. Na opuszkach zostały mu złote płatki przypominające słoneczny pył.

- Niewiarygodne.

- Prawda? - Gruber, czując się ich gospodarzem, omiatał promieniem światła wszystkie ściany po kolei.

- Nie zrozumiałeś mnie, Dieterze - sprostował dowódca wyprawy. - Chodziło mi o to, że to jest tutaj od... właściwie od jak dawna?

- Od setek tysięcy lat - padła rzeczowa odpowiedź.

- Od tak dawna, a nikt ze Światan nie pokusił się o przyjsście, zbadanie i wydobywanie tego całego złota.

Allen rzucił karcąco:

- Złoto nie jest środkiem płatniczym na Świecie.

- Nie jest, to prawda - zgodził się z nim Bazargan. - Ale używa się go w jubilerstwie i sztuce dekoracyjnej. Ta skała mogła... nadal może... uczynić kogoś bogaczem.

- Nie - zaprzeczyła Anna. - Żaden kupiec nie poważy się pogwałcić spokoju świętej góry.

Enla potaknęła skinieniem głowy.

- Nikt poza mną tego nigdy nie zobaczy.

Powiedziała to z niezwykłą dla niej pewnością w głosie, co sprawiło, że wszyscy się na nią obejrzeni. Drobna, zgarbiona, z nieporządnymi szycjowłosami zmatowiałymi od kurzu i skalnego pyłu, Enla przyglądała się ze spokojem zakazanemu sercu religii panującej na jej rodzinnej planecie. W nagłej ciszy Bazargan usłyszał głos ciurkającej gdzieś wody.

- Enlo... - odezwała się Anna. - Dobrze się czujesz? Nie boli cię głowa?

- Boli - przyznała Enla. - Ale czuję się dobrze.

Coś stało się z tą Światanką - jednakże Bazargan nawet nie potrafił sobie wyobrazić, co to mogło być.

Nie kryjąc pogardy, David Allen powiedział:

- Światanie wiedzą, że mają znacznie większy skarb od tych błyszczących skał.

Gruber powrócił do zagadnień geologicznych.

- Promieniowanie nie jest tu zbyt wysokie. Nic ci tutaj nie grozi, Davidzie, nawet gdy nie masz na sobie skafandra. Ale gradient geotermalny nadal się obniża. W dalszym ciągu tego nie rozumiem. Tempo wzrostu temperatury powinno rosnać w miarę wynurzania się na powierzchnię, a spadać w miarę schodzenia w głąb. A jest dokładnie na odwrót. - Z marsem na czole przyglądał się odczytom urządzenia na nadgarstku.

Bazargan poprosił go:

- Wy tłumacz, czemu tak powinno się dziać.

- Na każdej planecie, jaką badaliśmy, w skałach powierzchniowych zachodzi bardzo wolny rozpad promieniotwórczy, który wytwarza małe ilości ciepła akumulującego się milionami lat, jako że skały są świetnym izolatorem. Jednakże wzrost temperatury obniża się wraz z głębokością, gdyż im głębiej, tym promieniowanie jest słabsze. Tymczasem tu jest inaczej.

- Czy to oznacza, że głęboko w tych górach znajduje się coś wysoce radioaktywnego?

- zapytała Anna.

- Być może - odparł Dieter. - Aczkolwiek owo coś musiałoby być olbrzymie, biorąc pod uwagę tempo wzrostu temperatury. Olbrzymie albo bardzo nietypowe.

- Ale... - zaczął Bazargan, widząc po minie Grubera, że ta sprawa jest ważna, choć on sam wolałby

zając się kwestiami pilniejszymi i dotyczącymi ich bardziej bezpośrednio. -

Przecież już wcześniej wiedzieliśmy, że góry Neury charakteryzuje wysoki poziom promieniowania. Doktor Johnson jeszcze na pokładzie Zeusa mówiła coś o strumieniu neutrin...

- Zgadza się. Ale nie tak ukierunkowanym, by zjawisko to mogło wywołać podobnie nietypowy gradient geotermalny. W tych górach musi promieniować coś niewielkiego, lecz niesłychanie potężnego. W dodatku promieniowanie jest bardzo nierówne. Po części za sprawą odmiennych własności poszczególnych warstw skał. Bo mamy tu prawie wszystko: lekki bazalt i ciężki granit, lawę trzewiową, a wraz z nią cały chronologiczny miszmasz.

- W takim razie chyba...

- Ale tylko po części. - Gruber nikomu nie dał dojść do słowa. - Rozkład radioaktywności również jest bardzo interesujący...

- Tak - przyznał Bazargan. - Skoro tak twierdzisz, Dieterze... Teraz jednak musimy ruszać dalej.

Z marsem nie schodzącym mu z czoła geolog sprawdzał dane pokazujące się na wyświetlaczu, przywołując kolejne kombinacje liczb. Bazargan westchnął w duchu. W

dalszym ciągu czuł się roztrzęsiony i bardzo, ale to bardzo zmęczony. Chwilami wciąż kręciło mu się w głowie. Otaczająca go niesamowita złocista kawerna pobłyskiwała jak baśniowy Sezam, lecz wszyscy obecni w niej ludzie zdawali się zdezorientowani, nie na miejscu i zgnębieni.

David Allen stał w przeciwległym krańcu kawerny, rozmawiając cicho z Enlą.

Bazargan nie widział twarzy dziewczyny, ale miał dobry widok na oblicze Allena, którego górna warga drgała konwulsyjnie, co stanowiło dziwny kontrast z przyklejonym do jego ust uśmiechem i gniewnym zmarszczeniem brwi. Zakrwawione strzępy tuniki sprawiały, że wyglądał jak okaleczony arlekin.

- Dieterze - odezwała się Anna - Ahmed chce, żebyśmy szli dalej. Mówiłeś, że gdzieś tutaj jest wyjście na powierzchnię, skąd moglibyśmy wezwać Zeusa, tak? I woda, z którą możemy zrobić proszki żywieniowe?

Gruber niechętnie porzucił odczytywanie danych i poprowadził grupę. Bazargan z ulgą stwierdził, że następny chodnik jest wystarczająco wysoki, by można poruszać się w nim w pozycji wyprostowanej. Niestety nierówne śliskie podłoże dość szybko okazało się zalane zimną wodą. Ahmed dwukrotnie się poślizgnął i cały zmoczył. Skafander zapewniał mu stałą temperaturę, nie dało się jednak nic poradzić na potworne znużenie. W dodatku jak na złość korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

A teraz jeszcze coś żywego umknęło przed nimi ślizgowym ruchem tuż pod powierzchnią wody.

Tutaj? W środku góry? Zanim zdążył lepiej się nad tym zastanowić, korytarz gwałtownie skręcił pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni i zniemacka znaleźli się na powierzchni.

Stanął pod ciężkim nawisem skalnym w czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało jeszcze jedną kawernę. Ale kiedy wzrok przywykł mu do nowego natężenia światła, Bazargan zobaczył, że to wcale nie kawerna, tylko biegnąca wysoko szczelina, większa nawet od poprzedniej. Nieomal ukryta dolina położona wysoko w górach. Na czystym nocnym niebie świeciły gwiazdy.

Znowu noc. Chyba już całkiem stracił poczucie czasu.

Gruber omiatał promieniem latarki niewielki płaski teren, z mroku wyłaniały się ciemne niskie sylwetki roślin. Wkrótce prowadził ich między sięgającymi ramion krzakami w stronę małego wodospadu bijącego prosto ze skały.

- Możemy tu rozbić obóz - rzekł - ale najpierw przebadam wodę. Patrzcie, pod tym nawisem jest prawie zupełnie sucho, jest też parę przytulnych wnęk. Davidzie, chyba już pora, żebyś włożył mój skafander, chociaż promieniowanie nie wydaje się specjalnie wysokie.

Oczy Davida Allena zapłonęły.

- Nie potrzebuję twojego cuchnącego skafandra! Myślisz, że nie wiem, do czego zmierzasz, skurwielu? - To powiedziawszy, zamasyście odszedł w ciemność.

Gruber natomiast zapytał z sarkazmem:

- Do czegoż to mianowicie?

- Do niczego - mruknął znużony Bazargan. - Nie, Anno, nie próbuj za nim iść.

Rozbijmy lepiej obóz i nawiążmy połączenie z Zeusem.

Gruber nie przestawał się złościć.

- O co mu właściwie chodzi?

Nieoczekiwanie dla wszystkich odpowiedziała mu Anna. Głos miała przygnębiony.

- Przypadek nieuleczalnej schizofrenii paranoidalnej, przynajmniej moim zdaniem.

Jego codzienna mieszanka Dyscypliny była raczej porażająca, a teraz musi się bez niej obejść.

- Nieuleczalna schizofrenia paranoidalna? - powtórzył Gruber. - Chcesz powiedzieć, że wydaje mu się, iż jest Napoleonem, a my wszyscy czyhamy na jego życie?

Bazargan nie miał siły się uśmiechnąć.

- Nie jest z nim aż tak źle. Jednakże Anna ma rację. Enlo, o czym David z tobą rozmawiał w kawernie ze złotem?

Drobna Obca odparła:

- O bólu głowy wywołanym niedzieloną rzeczywistością. Pytał mnie, czy go odczuwam.

Bazargan też był tego ciekaw.

- A odczuwasz?

- Tak. Ale inaczej. Dzielona rzeczywistość uległa zmianie. Rzeczywistość się zmieniła.

Mówiła prawie szeptem, a po jej słowach zapadła zupełna cisza. Anna położyła dłoń na ramieniu Enli. Gruber, odporny na takie niuanse, wybuchnął:

- Jakim cudem, do cholery, Allen w ogóle się zakwalifikował na tę ekspedycję?

Ojciec mu w tym pomógł, pomyślał Bazargan, lecz nie powiedział nic na głos.

Niemcy dobrze rozumieli obowiązki wynikające z pokrewieństwa i niewiele więcej.

Bazargan był niesłychanie zmęczony. Mimo to wydobył komunikator dowódcy wyprawy, póki znajdowali się na otwartym terenie.

Zeus nie odpowiedział na jego wezwanie.

- No dobra - rzucił Gruber - rozbijamy się tutaj. Tam, zdaje się, jest... Enlo, co się dzieje? Co się stało?

Fakt, że Gruber zauważył zmianę stanu emocjonalnego drugiej osoby, sprawił, że Bazargan odwrócił się czym prędzej. Enla stała na skraju kręgu światła rzucanego przez latarkę Grubera i patrzyła na niebo.

- Księżyc... księżyc odlatuje.

Na niebie, tuż obok górującej nad nimi skały, jeden z księżyców Świata zmieniał

położenie. Bazargan dopiero po chwili się zorientował, że jest to jeden z szybko rozkwitających księżyców - czyż nie przebiegał po nieboskłonie co kilka godzin? Tak. I do tego był tak szybki, że retrogradował. A teraz stał prawie nieruchomo, jeśli nie liczyć ledwie zauważalnego oscylowania ku punktowi zenitu.

- Artefakt - rzekł Gruber.

- Tas - powiedziała oszołomiona Enla. - Tas odlatuje.

- Ziemianie w wielkiej latającej łodzi zmieniają jego orbitę - wyjaśnił jej Dieter, w swoim mniemaniu z ogromną delikatnością. - Pamiętasz? Mówiliśmy o tym Voraturowi...

Enla nie odpowiedziała. Tamta chwila - czy to naprawdę było tylko przed dwoma dniami? - wypaliła się trwale w pamięci Bazargana. Ben, Bonnie, krew na żółtej koszulce nocnej... Starał się o tym nie

myśleć. Wiedział z doświadczenia, że wspomnienia prędzej czy później powrócą.

Anna odezwała się łamanym światańskim:

- Enlo, nie mam niczego, co przypominałoby rządowe pigułki, ale mogę dać ci coś na sen, żeby głowa przestała cię boleć.

- Głowa mnie nie boli - odparła Enla. Oderwała wzrok od nieba i dodała: - Nic mnie nie boli. Odkąd wyszliśmy z najmniejszego korytarza.

Nawet w półmroku Bazargan dostrzegł, jak spojrzenie Anny się wyostrza.

- Nic? W ogóle nic?

- W ogóle - potwierdziła Enla. - Teraz jest inaczej.

- Dlaczego, Enlo? Dlaczego jest inaczej?

Enla powtórzyła tylko swoje wcześniejsze słowa:

- Dzielona rzeczywistość uległa zmianie.

Ta odpowiedź wyraźnie nie usatysfakcjonowała Anny, która zwróciła się do Grubera.

- Dieterze...

Niemiec już wyciągał w jej stronę nadgarstek z przyrządem pomiarowym.

- *Lieber Gott!* Spójrzcie na to!

- Na co? - nie zrozumiał Bazargan.

- Radioaktywność... ustała. Wcześniej dało się ją wykryć, ale teraz... - Zaczął

obchodzić całą dolinkę z wyciągniętą przed siebie ręką. W drugiej trzymał latarkę.

Bazargan, Anna i Enla czekali w ciemnościach. Bazargan odniósł wrażenie, że księżyc znów przyspieszył, ale może była to tylko gra jego wyobraźni.

David wciąż się dąsał gdzieś w mroku, spacerując i bezskutecznie walcząc z tikami.

Przypadek nieuleczalnej schizofrenii paranooidalnej. Maskowanej przez Dyscyplinę aż do teraz.

Oto cena, jaką przychodzi nam płacić za technologię, która nas formuje.

Gruber wrócił ze słowami:

- Anno, rozkład temperatur odzwierciedla najlepiej toroid. No wiesz, coś jak pączek z pustym środkiem. Najgrubsze partie wykresu wskazują na miejsce, gdzie wczoraj wszyscy z wyjątkiem Enli nagle utraciliśmy zdolność myślenia. Natomiast obecnie znajdujemy się w jego samym centrum.

- Nie rozumiem - odrzekła Anna.

W tym momencie odezwał się Bazargan.

- Dieterowi chodzi o to, że rozkład temperatur i te... przerwy w myśleniu są powiązane. Najpierw my nie mogliśmy jasno myśleć, a teraz Enla nie przejawia mechanizmu dzielonej rzeczywistości?

- Tak - potwierdził Gruber. - To właśnie wynika z wyliczeń.

- Ale to niemożliwe - zaproponowała trzeźwo myśląca Anna. - Dieterze, sprawdziłeś, czy nie ma jakiegoś drugiego pola, na przykład elektromagnetycznego, które nakłada się na pierwsze?

- Nie, nie, z całą pewnością nie chodzi o elektromagnetyzm. Jeszcze nie wiem, co to może być. Natura nie zna czegoś takiego. Technika zresztą też! To przypomina... coś w rodzaju cyklonu. Z okiem, w którym panuje spokój. Wiatr najpierw gwałtownie przybiera na sile, a im bliżej oka, tym jest słabszy.

Bazargan, któremu ciężko się było połapać w zagadnieniach fizycznych, nawet gdy nie był wykończony tak jak teraz, miał spore kłopoty z nadażaniem za wywodem Grubera.

- Cyklon, mówisz... Ale tu nie ma żadnych wiatrów... Zatem co robi ta siła, pole czy jakkolwiek to nazwać? I jak?

- Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia.

- Gdybym tylko miała tu sprzęt do skanów Lagerfelda! - wybuchnęła Anna. - Gdybym mogła zeskanować nasze mózgi w różnych miejscach!... Dieterze, czy twoim zdaniem...

Gruber jej nie słuchał. Wcisnął parę numerycznych guzików na klawiaturze przyrządu umocowanego na nadgarstku, przyjrzał się wynikowi i odszedł. Wrócił dopiero po kilku minutach.

- To centrum... czymkolwiek ono jest, jest tam.

- Gdzie?

- Pod ziemią. Dokładnie pod naszymi stopami. Jakies ćwierć kilometra w dół.

Bazargana przepęłniła ulga. Ćwierć kilometra to było za głęboko nawet jak na wyposażonego w rozwidlony patyk Dietera. Jednakże wtedy Gruber powiedział.

- Tu jest tyle korytarzy wiodących w dół... Ale jak znaleźć właściwy?

- Nie - rzekł Bazargan, zadziwiając samego siebie siłą i donośnością tego jednego słowa. - Nie, Dieterze. Poziome chodniki to jedno, lecz eksploracja jaskiń i zapuszczanie się w pochylnie i pionowe kominy to całkiem co innego. Doskonale zdaję sobie sprawę z zagrożeń. Zwłaszcza przy braku odpowiedniego sprzętu. Jesteś dla nas zbyt cenny, byśmy mogli sobie pozwolić na takie ryzyko.

- Ahmedzie, to coś tam w dole jest jeszcze jednym artefaktem. Takim jak tunele czasoprzestrzenne, jak Tas. Było tam, zanim te góry wystrzeliły z dna morskiego, i nadal generuje pole o całkiem nowych własnościach. To potencjalnie najważniejsze odkrycie tego stulecia. Musimy to zbadać!

- Nie. Być może kiedyś, gdy przybędzie tu ekspedycja wyposażona jak należy w sprzęt wiertniczy i speleologiczny, ze stosownymi pozwoleniami Sojuszu Solarnego i rady Rafkit Seloe. Syree Johnson...

- Niech diabli porwą Syree Johnson! To jest moje!

- Nie twoje, tylko Świata - powiedział Bazargan, mając nadzieję, że podstawowa znajomość angielskiego uniemożliwia Enli śledzenie tej wymiany zdań. - Czy nie zaszкодziliśmy już Światu w wystarczającym stopniu? Nie wiemy nawet, czy pierwszy artefakt, Tas, nie wyemituje fali niewiadomej natury, która może zamienić całą planetę w radioaktywną kostnicę!

Gruber mierzył Bazargana wzrokiem przez dłuższy czas, w końcu pokiwał ponuro głową.

- Masz rację. Nie możemy myśleć o ściągnięciu ekspedycji wiertaczy w miejsce uznane przez Światan za święte.

Bazargan popatrzył na niego ostro - ostatnie słowa nie były w stylu Grubera - lecz zanim zdążył jakoś odpowiedzieć, odezwała się Enla.

- Obri był domem Pierwszego Kwiatu, zanim ten rozłożył swoje płatki i stworzył

Świat. Teraz góry Neury są domem dla duszy Pierwszego Kwiatu. Jeśli zaczniecie kopać w tych górach, dusza Pierwszego Kwiatu zwiędnie. A wraz z nią zwiędnie cały Świat.

Anna zapewniła prędko:

- Nikt nie będzie kopał w górach Neury, Enlo.

- Tak - rzekła Enla, lecz nawet po jej głosie nie można się było zorientować, co dokładnie ma na myśli. Jej rzeczywistość różniła się od ich rzeczywistości.

Coś dużych rozmiarów wpadło w niewidoczny krzak. Bazargan powiedział szybko:

- Nie mówcie Davidowi o tym polu toroidalnym. Ani o nowym artefakcie, ani... Nie mówcie mu w ogóle o niczym. Dopóki jego stan się nie poprawi.

Anna i Gruber pokiwali głowami. Bazargan w dalszym ciągu nie potrafił przejrzeć myśli Enli. Moment później wśród nich wyrósł David.

- Co z Zeusem? - zapytał bezceremonialnie.

- Nie odpowiada - odrzekł krótko Bazargan.

David równie zdawkowo kiwnął głową.

- W takim razie lepiej zacznijmy rozbijać obóz. Tu niedaleko znalazłem najsuchsze i najbardziej zaciszne miejsce. Chodźcie za mną.

- *Mein Gott!* - westchnął Gruber. - Zachowuje się jak generał wydający rozkazy swoim niewolnikom!

- Odpuść - poprosił Bazargan.

Rozwinęli koce z tyłu suchej, przypominającej wnękę szczeliny, jakieś piętnaście stóp w głębi skały. Gruber pozostawił jedną z mniejszych latarek włączoną - wystarczająco silną, by cokolwiek widzieć, i na tyle słabą, by nie marnować energii. Bazargan próbował zasnąć; wreszcie był suchy, ogrzany przez skafander, syty od napęczniałych w wodzie proszków żywieniowych. Powinno mu to przyjść bez trudu, skoro był wyczerpany fizycznie. Jednakże w głowie miał gonitwę myśli.

Nieznane siły. Pod powierzchnią planety i na niebie. Siła Fallerów przeciwko Zeusowi; siła dziwnej fali Syree Johnson przeciwko całemu Światu; siła pozbawionego neurofarmaceutyków umysłu Davida przeciwko niemu samemu. Siła religijnej wiary Enli, jej wrodzonego mechanizmu dzielonej rzeczywistości i otaczającej ją nowej rzeczywistości, która z nim kolidowała. Co Enla teraz sobie myśli? Czy dla niej rzeczywistość nie zmieniła się nieodwołalnie? Weszła w góry Neury i przeżyła. Przystawała z nierzeczywistymi osobami, a mimo to jej bóle głowy w tajemniczy sposób zniknęły. Widziała, jak Ziemianie przewyższający ją intelektualnie i technologicznie przeistaczają się w bezradne zombie, które musiała prowadzić za rączkę. Jakże wiele z tego, w co wierzyła dotąd Enla, okazało się nieprawdą...

Nieprawda jednak, o czym Bazargan świetnie wiedział, nie zawsze jest bezwartościowa. Nawet gdy kompletnie przeczy fizyce. W końcu to nieprawda na temat ogrodu o poranku umożliwiła mu przejście przez tamten korytarz.

Wystarczyło wziąć wiarę i religię, nieprawdy dawno zarzucone w Układzie Słonecznym. Dopóki wiara i religia trwały, dopóki miały swoich wyznawców, dopóty zapewniały alternatywny zestaw wartości dla tych, których i tak promowała rzeczywistość darwinowska. Współczesna cywilizacja punktowała rozpychanie się łokciami, podstępność, bogactwo, władzę, determinację, dbanie o własne dobro posunięte do absurdu. Religie natomiast - w znaczącej większości - stawiały nacisk na skromność, poświęcenie, powściągliwość. Wychwalały ciche życie, obowiązkowość, altruizm i wartości rodzinne, czyli wszystko to, co raczej nie przysparzało pieniędzy ani władzy. I wszyscy na tym korzystali.

Pokorna żona i matka, zginający grzbiet robotnik pracujący ku chwale swoich bogów, pacyfista nie

szukający władzy, lecz starający się ją rozbroić - wszyscy oni dzięki swojej wierze mogli się mierzyć inną skalą niż powszechnie stosowana, celebrująca pompę i sławę.

Kiedy przepadła religia, zachwiała się równowaga.

A na ile oni teraz zaburzali równowagę dla Enli i całego Świata?

Zakładając, że Świat jakimś cudem przetrwa zderzenie z darwinowską rzeczywistością Ziemi.

Rozmyślając niespokojnie o takich sprawach, Ahmed Bazargan w końcu zapadł w sen.

Kiedy się przebudził, szerokie wejście do ich kryjówki było zalane światłem dnia. Podniósł

się z posłania, słysząc, jak trzeszczą mu stawy - spanie na twardej skale nie służyło starym kościom - i zamrugał zaspanymi oczami. Nagle gwałtownie oprzytomniał.

Tylko Anna spała przy wciąż palącej się latarce. Dieter Gruber, David Allen i Enla zniknęli.

Nie znalazł ich nigdzie w dolince. Zaryzykował wołanie. Nikt mu nie odpowiedział.

Obudził Annę, złapał latarkę i niechętnie wrócił do wnętrza geody przez zalany wodą korytarz, pomyślawszy, że może poszli tam zdrapywać złoto ze ścian... Tyle że Enla nie rzuciłaby się zdrapywać złota ze ścian uświęconego domu Pierwszego Kwiatu. Gruber mógłby wrócić, żeby zebrać próbki, lecz nie zabrałby ze sobą Enli ani tym bardziej Davida.

Allen jawnie gardził rzeczami tak prozaicznymi jak ten kruszec.

Jednakże i tam ich nie było.

Anna czekała na niego u wylotu korytarza. Pojawił się w nim drżący i przemoczony.

Ona nie wyglądała lepiej - brudne włosy zwisały jej strąkami po bokach zapadniętej twarzy.

Sinawe kręgi znaczyły skórę pod oczami.

- Przejrzałam zapasy - powiedziała bez wstępów. - Zostawili nam trochę proszków żywieniowych, jedną małą latarkę, expando na wodę, mój medkit i wszystkie koce, ale...

- Ale co?

- Ale zabrali sprzęt Dietera. I jego broń.

- Broń - powtórzył głupawo Bazargan.

- Tę, o której zapomnieliśmy. Tę samą, dzięki której wydostaliśmy się z domowa Voratura.

- Ach tak - rzekł ze znużeniem Bazargan. Kiedy przepadła religia, zachwiała się równowaga... - Ja o niej nie zapominałem. Broń. Pytanie, kto ją dzierży i przeciwko komu.

Góry Neury

Enla przygotowywała się na śmierć z uczuciem radości, którego starała się nie pokazywać przed Pekiem Allenem. Przebudził ją, gdy leżała w kryjówce obok Pek Sikorski, mając na sobie dziwny ziemski skafander. Anna była tak blisko niej, że czuła na policzku delikatny powiew jej oddechu. Jednakże Ziemianka nawet się nie poruszyła, kiedy Pek Allen nachylił się nad Enlą, przyłożył wargi do jej ucha, a „broń” - w światkańskim nie było słowa opisującego taki przedmiot - do szyi.

- Chodź ze mną, Enlo - powiedział. - Tylko po cichu.

Podniosła się, nie robiąc hałasu, i wyszła za Pekiem Allenem na zewnątrz kryjówki.

Pek Bazargan i Pek Sikorski nadal twardo spali. Enla nie widziała nigdzie Peka Grubera; pewnie leżał gdzieś dalej. Razem z Pekiem Allenem opuściła krąg światła rzucany przez zapaloną latarkę, przedarła się przez gęsty mrok i wyłoniła po drugiej stronie, w jeszcze głębszych ciemnościach dolinki pogrążonej w bezgwiazdnej nocy górskiej. W powietrzu pachniało nadchodzącym deszczem. Pek Allen włączył swoją latarkę, dającą znacznie mniej światła niż wielka latarka Peka Grubera, i poprowadził ją po obrzeżu dolinki ku wejściu wiodącemu do wnętrza geody. Dopiero gdy znaleźli się w środku, odezwał się do niej ponownie.

- Nie bój, się, Enlo. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

Enla kiwnęła głową. Nie bała się. Nie miało znaczenia, czy Pek Allen ją zabije czy też spotka ją śmierć podczas wprowadzania przezeń w życie planu - jakikolwiek on był. Liczyło się tylko to, że umrze tutaj. Poza zasięgiem kapłanów, którzy by uwięzili ją w chemikaliach i szkle i w ten sposób zapobiegli jej połączeniu z przodkami. Tu, głęboko w zakazanych górach, jej ciało rozłoży się i uwolni duszę, a Enla będzie mogła dołączyć do swych przodków. W istocie Pek Allen nieświadomie ofiarował jej najwspanialszy z darów.

Oczywiście był wciąż Tabor - uwięziony w chemikaliach i szkle w domu Anu. Ale jak tylko Enla dotrze bezpiecznie do świata duchów, być może stamtąd uda jej się uwolnić Tabora. Takie rzeczy się zdarzały. Będzie zsyłać na kapłanów sny, niepokoić nocami Anu (biedna Anu), robić wszystkie wielkie i na razie nieznanne jej rzeczy wynikające z mocy, które nagle posiadzie, a którymi jej przodkowie już dawna dysponowali. Tak, Pek Allen był zbawcą Enli, a ona umiała być wdzięczna.

- Musisz zrozumieć, co tutaj się dzieje - mówił gorączkowo Pek Allen płynnym światkańskim. - To znaczy ty oczywiście rozumiesz, przecież dzielisz rzeczywistość. To inni niczego nie rozumieją. Bazargan, Dieter, nawet Anna... ale to też oczywiście wiesz. Są ograniczeni, z klapkami na oczach, źli. Tak, Enlo, są źli jak niedobrzy nierzeczywiści Światanie, którzy zakłócają sny współplemieńców. Niedawno zdałem sobie z tego sprawę. To prawda zwłaszcza w odniesieniu do Bazargana. On spiskuje z kapłanami, by ludzie i Światanie nigdy nie stali się jednością. Chce temu zapobiec, aby wspólnie z nimi panować nad Światem!

Enla ponownie skinęła głową. Nie знаła ziemskiego słowa „zły”, lecz to było bez znaczenia. Pek

Allen najwyraźniej zwariował. Gleba jego umysłu skwaśniała i rosnące na niej kwiaty stały się pokrzywione i zdeformowane. Wystarczyło na niego tylko spojrzeć, aby się domyślić, że choć jeszcze wczoraj był rzeczywisty, coś mu się przydarzyło w trakcie przypominającej sen podróży przez dom Pierwszego Kwiatu. Mięśnie jego odmiennej ziemskiej twarzy drgały, dziwne oczy płonęły. W ogóle całe jego ciało oddawało ciepło niczym ognisko pochłaniające samo siebie. Enla ponownie zmieniała w myślach zdanie.

Czymkolwiek są pozostali Ziemianie, David Pek Allen to najbardziej nierzeczywista osoba, jaką w życiu spotkała.

Zastanowiła się, dlaczego nie odczuwa przy nim bólu głowy. Albowiem nie odczuwała. Być może był to dar od Pierwszego Kwiatu tutaj, w domu jego duszy. Enla nie potrafiła znaleźć innego wytłumaczenia.

- Ale ja ich przejrzałem - mówił dalej Pek Allen. - I nie pozwolę im zwyciężyć.

Mechanizm dzielonej rzeczywistości należy do nas wszystkich, dlatego dopilnuję, aby był

dany wszystkim. Nie ma nikogo innego, kto by to zrobił, to także na pewno rozumiesz, Enlo.

Tak chciał los. Nie prosiłem o to, aby zostać zbawcą swojej rasy i twojej również, Enlo.

Wybrano mnie do tego zadania. Odmówić działania w takiej sytuacji byłoby do szczętu złe.

Jak to powiedział kiedyś jeden z Ziemiaków? „Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”. Nie! Cokolwiek myśli o mnie mój ojciec!

Teraz na przemian używał słów ziemskich i światańskich. Enla odetchnęła głęboko.

Jeśli zginie tutaj, być może Pek Bazargan zanieś jej ciało do Rafkit Seloe. To by było podobne do Peka Bazargana, który zawsze postępował odpowiedzialnie, jak na głowę domostwa przystało. I wtedy kapłani będą ją mogli uwięzić, nierzeczywistą na wieki. Nie może pozwolić, aby Pek Allen zabił ją w tym miejscu.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Powinniśmy już iść.

Oczy zapłonęły mu jaśniej.

- Tak! Widzę, że naprawdę rozumiesz! Wiedziałem, że tak będzie! Trzymaj się blisko, Enlo. Nie bój się... Poszedł przodem, zapaloną latarką oświetlając drogę w korytarzu nadal wypełnionym wodą po kolana. Enla brodziła za nim, nie pozwalając, by dystans między nimi się zwiększył. Skafander i buty z tego samego tworzywa zapewniały jej ciepło, ale Pekowi Allenowi, pozbawionemu takiej osłony, musiało być bardzo zimno. Nie wyglądał jednak na zmarzniętego. Parł naprzód, a gdy się przewracał, szybko wstawał znów na nogi, ani na chwilę nie przestając mówić. Do niej? Do siebie? Po prostu nie potrafił przestać.

- Ludzie boją się działać w imię prawdy. Nie dlatego, że to niebezpieczne, o nie.

Dlatego, że boją się wyjść na głupców, stanąć po złej stronie, zaryzykować swoją pozycję, przegrać... och, z tysiąca powodów! Przebrzydli tchórze! A trzeba tylko chcieć działać w imię słusznej sprawy, ryzykując nawet własny upadek... Ja jednak nie zawiodę, nie przegram. Nie mogę. Za mną stoi historia, triumf wszystkich śmiałych idei, które zawsze wygrywały na dłuższą metę, w całej historii! Galileusz... Pokora, Enlo. Oto, co czuję. To zaszczyt być wybrańcem, choć nie prosiłem o niego... dobry Boże, co pomyśli mój ojciec, kiedy się dowie... ale nie, nie dlatego to robię. Skądże! Ktoś musi stanąć w obronie prawdy i zbawienia... tylko spiski, byle zdobyć więcej władzy, cóż za godny pogardy koniec... kosztem pokoju i dzielonej rzeczywistości. Dobry Boże! Jacyż ludzie są...

Dotarli do wnętrza geody. Enla wytrząsała wodę z butów. Pek Allen zadarł latarkę, by poświecić na sklepienie. Złoto lśniło i pobłyskiwało. Czysty kruszec otaczał człowieka stojącego tam i ociekającego wodą, oszalałego, z rozedrganą tkanką twarzy płonącego ogniem nierzeczywistości. Enla odwróciła wzrok.

Tutaj także nie mogła pozwolić, by Pek Allen ją zabił. Pek Bazargan z łatwością odnalazłby jej zwłoki. To musi się stać w miejscu, gdzie ciało rozłoży się bez przeszkód.

- Zdołasz to zrobić, Enlo? Zdołasz przejść przez ten wąski tunel raz jeszcze? Proszę, weź latarkę, pójdziesz pierwsza. Podołasz?

Czemu nadal nie czuła bólu rozsadzającego głowę? Czemu?

- Podołam.

- Oczywiście, że tak. Będę tuż za tobą. Proszę, idź przodem, nie bój się, uda ci się, zrobimy wszystko, co należy, siła sama przychodzi nie wiadomo skąd zauważyłaś to że jeśli tylko potrzeba jest naprawdę ważna nigdy nie prosiłem o...

Enla poczuła ulgę, zagłębiwszy się w chodnik, gdzie nie dochodził jego głos.

Czołgała się, pomagając sobie łokciami, chroniona przez wytrzymały skafander.

Promień latarki oświetlał napierające ściany po bokach i nierówne niskie sklepienie. Krótszy, niż go zapamiętała, korytarz kończył się wysoko w skale. Do jej nozdrzy doleciał ohydny zapach.

Enla nie miała w ustach niczego, odkąd spożyła proszki żywieniowe. W brzuchu jej burczało, gdy wyłoniła się z ciasnego chodnika. A niech sobie burczy. Już niedługo cała będzie cicha i martwa.

Wróci do swoich przodków! Gdyby sama odebrała sobie życie, odrzuciliby ją bez wątplenia i nigdy by się nie przedostała do świata duchowego. Ale nie odbierze sobie życia.

W odróżnieniu od Tabora leżącego u stóp kwietnego ołtarza - co już samo w sobie było niemal niewyobrażalnym bluźnierstwem. Zadał sobie śmierć, ponieważ oboje kochali się zbyt mocno, bardziej, niż powinno się kochać rodzeństwo... Wciąż jeszcze pamiętała dotyk jego rąk na sekretnych częściach jej ciała...

Nadal nie czuła bólu głowy. Dlaczego?

Wychyła z korytarza po pas, poświeciła latarką w dół, szukając oparcia dla rąk. Po prawej sterczał ze ściany nieregularny występ. Chwyciwszy go, wydostała się z otworu, tylko nieco amortyzując upadek. Twarda skała posiniaczyła ją przez nienaruszony skafander.

Moment później w wylocie pokazał się Pek Allen, który rąbnął ciężko o podłoże.

Chwiejnie wstał na nogi i wyszczerzył się do Enli. Krew ciekła mu po szerokich nieosłoniętych barkach i spływała z jednego policzka. Dotarła do warg i maleńkimi kropelkami odrywała się przy każdym jego słowie. Zdawał się tego nie zauważać.

- Dobra nasza! Chodź, Enlo, damy radę, jesteśmy już prawie na zewnątrz!

Wcale nie byli blisko wyjścia. Pek Allen złapał ją za rękę, podniósł upuszczoną latarkę i ruszył

pośpiesznie w dół korytarza, ślizgając się, wyrywając do przodu i mówiąc, mówiąc, mówiąc. Zdawał się nie zauważać smrodu ani ekskrementów, kiedy przez nie przeszli.

Dotarli do następnej jaskini, małej i nieregularnej w kształcie, z dwoma odgałęziającymi się korytarzami. Nie, sprostowała Enla w myślach, gdy Pek Allen omiół

promieniem latarki wszystkie ściany. Z trzema korytarzami.

Pek Allen nie wahał się ani chwili.

- Ten jest właściwy, Enlo, tędy szliśmy wcześniej z Dieterem. Jestem pewien.

Chodźmy! Kto wie, ile czasu zostało do chwili, gdy ta zidiociała pułkownik Johnson użyje broni Obcych zakamuflowanej pod postacią księżycy?... Żeby wysadzić księżyc, dobry Boże!... Ona też jest w spisku, będzie się dzieliła władzą z Bazarganem i wstrętnymi kapłanami, władcy wszystkiego, Enlo, niektórzy ludzie tego właśnie pragną najbardziej, to jest jak choroba w ich żyłach, chociaż... chodźmy już! To właściwy chodnik!

Enla wiedziała, że to nieprawda.

Zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Jeśli wejdą w niewłaściwy korytarz, umrą oboje

- ona zginie z ręki tego oszalałego Ziemianina, gdy zwróci się przeciwko niej, a on, nie umiając znaleźć drogi powrotnej. Jego śmierć będzie straszniejsza - od głodu lub ran. A jeśli jakimś cudem opuści te góry, zostanie zabity przez pierwszych Światan, którzy go rozpoznają, czyli przez pierwszych w ogóle, którzy go zobaczą. Do tej pory wszyscy na Świecie dzielą już rzeczywistość na temat Ziemian.

Pek Allen zostanie pozbawiony życia szybko i bezboleśnie, ale potem jego ciało trafi do chemikaliów i szkła, przez co nie będzie mógł wrócić do swoich przodków (Czy Ziemianie też mają przodków? Ależ tak, muszą ich mieć). Z drugiej strony, jeśli Pek Allen zginie we wnętrzu gór Neury, jego ciało - podobnie jak jej ciało - rozłoży się bez przeszkód, uwalniając duszę. O ile ją ma.

Pozostali Ziemianie mają duszę. Cokolwiek mówili kapłani, Pek Bazargan i Pek Gruber, i Pek Sikorski, łagodna Anna, wszyscy oni byli rzeczywisci. Może więc i szalona dusza Peka Allena powróci do rzeczywistości za sprawą słodyczy Pierwszego Kwiatu, zakładając, że wypaczone naczynie jego umysłu zdoła ją uwolnić w sposób naturalny.

- Enlo! Nie słyszysz? To jest właściwy korytarz!

- Tak, Peku Allenie - odpowiedziała mu. - Tak.

21

Góry Neury

Bazargan i Anna czekali w dolince. Na co, trudno by im było powiedzieć; po prostu uznali to za

najlepsze wyjście z ograniczonej ich liczby. Rozważali podjęcie pościgu za trzema uciekinierami. Pościg, zgoda, ale dokąd? Po drugiej stronie geody znajdował się najciaśniejszy chodnik, którego Bazargan drugi raz by nie przeszedł. Nie dałby rady.

Postanowili jednak się nie rozdzielać - to by było zbyt niebezpieczne. Z miejsca, w które trafili, odchodziły liczne korytarze, jednakże nie sposób było odgadnąć, dokąd prowadzą ani jaką drogę wybrali tamci - i dlatego. Wracając, przynieśli więc tylko wodę i rozmieszali w niej proszki żywieniowe. Anna zebrała więcej okazów roślin, a Bazargan bezskutecznie próbował połączyć się z Zeusem.

- Anno, powiedz mi wszystko, co wiesz, na temat schizofrenii paranoidalnej -
poprosił.

Anna przepędziła owada, który krążył przy jej ręce. Siedzieli na ziemi, tuż poza nawisem, z kocem zasłanym zebranymi przez nią okazami.

- Obawiam się, że niewiele wiem. Większość chorób psychicznych dała się wyleczyć dzięki lekom, których skład opracowano na podstawie wnikliwych analiz biochemicznych, jednakże nie dotyczy to niestety zaburzeń urojeniowych. Potrafimy łagodzić objawy, lecz nie jesteśmy w stanie usunąć przyczyn schizofrenii, jak czynimy w wypadku zaburzeń takich, jak depresja czy nerwica. Wynika to z tego, że neurologiczno-biochemiczne podłoże schizofrenii jest zbyt skomplikowane.

- Twoim zdaniem David ma urojenia?

Anna nie odpowiedziała od razu. Najpierw tylko kiwnęła głową, co spowodowało, że posklejane kosmyki przetłuszczonych włosów opadły jej na podrapaną pokrytą smugami brudu twarz.

- Tak. Nie wiem jednak, do jakiego stopnia. Gdybym mogła przebadać jego krew na obecność fenyloetyloaminy... Jak wiesz, David nie był zbyt rozmowny w ostatnich dniach.

Tłamsił w sobie wszystko: śmierć bliźniąt, kłamstwa pułkownik Johnson, wpływ tego, co zakłóciło działanie naszych mózgów, gdy przechodziliśmy przez pole, którym nie przestawał

się podniecać Dieter... Nie sądzę jednak, aby miał to dusić w sobie w nieskończoność.

- Uważasz, że stan Davida pogorszył się pod wpływem tego pola? Że David odczuł je bardziej niż pozostali?

- Tak. Aczkolwiek nie mam pojęcia dlaczego. Podobnie jak nie rozumiem, czemu nagle Enla tak dobrze znosi rewelacje na temat rzeczywistości. Powinna cierpieć potworne bóle głowy, mieć mdłości, może nawet doznać fizycznego wstrząsu A tymczasem nic jej nie jest.

- Anno, znasz Dietera lepiej niż ja. Powiedz, dokąd mógł zabrać Davida i Enlę?

- Zakładasz, że to on ich zabrał? A może David zabrał tamtych dwoje, grożąc im bronią?

Bazargan poprawił się na twardym podłożu.

- Niczego nie zakładam. Po prostu wiele o tym myślałem. Nie ma ich od co najmniej dwunastu godzin. Dieter jest silny, bystry i znacznie bardziej doświadczony na takim terenie niż David. Gdyby nawet David okazał się aż takim głupcem, by uczynić z Dietera swojego jeńca, ta sytuacja prędko by się zmieniła. Zwłaszcza że nasz geolog aż się palił do dalszej eksploracji korytarzy i jaskiń.

- W takim razie dlaczego Enla nie wzywała pomocy, gdy ją zabierał? To nie ma sensu.

Nie... Widziałeś to? - zapytała nagle.

- Co? - Bazargan nie spostrzegł niczego poza większą liczbą owadów. Życiodaje, wedle nomenklatury Światan, zapylały ich drogocenne kwiaty. Rój przestał niepokoić Annę i podleciał do Bazargana, krążył teraz nad jego nieosłoniętymi rękami.

- Życiodaje - odrzekła Anna. - Przepędziłeś jednego. Podleciał do góry i niemal wylądował ci na policzku. O, a tego masz na policzku!

- No i? One nie żądają.

- Ale też nigdy nie lądują na niczyjej głowie. Niczyjej: ani Światan, ani Ziemi.

Zauważyłam to w Gofkit Jemloe i zapytałam zarówno Voratura, jak Enłę. Życiodaje nigdy nie dotykają niczyjej głowy. Spójrz, następny wylądował ci na czole!

- Przesuńmy się - zaproponował Bazargan. Życiodaje może nie żądliły, ale na pewno łaskotały.

- Nie. Jeśli pozwolisz, zaczekajmy i zobaczymy, co będzie dalej... O, jest kolejny. Tym razem na mnie. Czuję go.

- Co o tym sądzisz, Anno?

- Sama jeszcze nie wiem... Faktem jest, że tutaj lądują nam na głowach bez żadnych oporów, choć nie robią tego nigdzie indziej na całym Świecie. To pewnie dlatego, że znajdujemy się w samym środku pola odkrytego przez Dietera. Czy raczej, jak powiedział, w oku cyklonu, gdzie to pole nie działa. Tylko to różni tę dolinę i wug od innych miejsc, w których byliśmy.

Bazargan wyprostował się na siedząco.

- Myślisz, że brak bólu głowy u Enli też ma coś wspólnego z okiem tego pola?

- Skąd mam wiedzieć? Ale jedno i drugie wiąże się z anomaliami w funkcjonowaniu mózgu.

Bazargan usiłował to wszystko zrozumieć. Biochemia nie leżała w polu jego zainteresowań, specjalizował się w kulturze. Dla niego przejawem funkcjonowania mózgu było tworzenie społeczeństw. Poza tym czuł mdłości i było mu zimno, zbyt zimno, zważywszy, że miał na sobie skafander.

Gruber powiedział mu, że wchłonął za wysoką dawkę promieniowania, idąc bez osłony korytarzami.

Anna nie dostrzegała jego znużenia. Była zbyt podekscytowana.

- Ahmedzie, jeśli to „pole” wpływa na mechanizm dzielonej rzeczywistości u Enli, na nasze procesy myślowe, a nawet na schizofrenię Davida, to nie może być kwestia biochemii.

Żaden tajemniczy niewidoczny gaz czy pyłek nie byłby w stanie wywołać tak różnych skutków. Mówimy bowiem o całkiem odmiennych ośrodkach w mózgu, wyzwalających zupełnie inne kaskady reakcji neurochemicznych. Aż trudno mi w to uwierzyć.

Bazargan skinął głową. Było mu słabo.

- W dodatku Dieter się zarzeka, że tu nie ma żadnego pola elektromagnetycznego. Nie wiem, skąd czerpie taką pewność... Jeśli jednak ma rację, jeśli to zjawisko nie ma podłoża biochemicznego ani elektromagnetycznego, w takim razie na czym ono polega? Tak niewielkie zmiany temperatur nie mogą mieć wpływu na działanie mózgu. Co nam zostaje?

Może... - urwała nagle, robiąc wielkie oczy. - Dieter!

Gruber szedł w ich kierunku tak utyłany w błocie i skalnym pyłku, że Bazargan zastanowił się, jakim cudem Anna go rozpoznała. Zerwała się na równe nogi i wpadła mu w objęcia, co było tak nietypowym dla niej zachowaniem, że Bazargan musiał po raz pierwszy przyznać sam przed sobą, iż tych dwoje faktycznie łączy coś więcej.

- Wróciłem - rzekł Gruber, wyplątując się z objęć Anny. Teraz i ona miała skafander wybrudzony błotem i pyłem. - Ahmedzie, nie patrz tak na mnie. Lepiej posłuchaj, co odkryłem. To coś niebywałego! Zawołajcie resztę, żeby też mogli usłyszeć!

- Resztę? - powtórzył Bazargan, zdając sobie sprawę, że robi z siebie głupca. - Davida i Enlę? To oni nie poszli z tobą?

- Ze mną? Nie, oczywiście, że nie. Kiedy opuszczałem was w nocy, wszyscy spaliście... Chciałem odszukać korytarze prowadzące do źródła tego pola... Chwilkę, a gdzie David z Enlą?

- Zniknęli - rzuciła ponuro Anna. - Podobnie jak twoja broń.

Dieter się nie odezwał, co również nie było w jego stylu. Bazargan ze znużeniem stwierdził, że od pewnego czasu nikt nie zachowuje się normalnie. On także. Nie chciał

słuchać o wyprawie Grubera, której przecież mu zabronił. Chciał tylko spać.

- No dobrze - rzekł w końcu Dieter. - Postaram się ich odnaleźć. Ale najpierw muszę się przespać. A wcześniej powiem wam, co odkryłem. Będziesz musiał zdecydować, Ahmedzie, ile z tego i w jaki sposób przekazać Syree Johnson.

- Nie udało nam się skontaktować z Zeusem - wtrąciła Anna.

- Czy Tas pojawił się dzisiaj na niebie?

- Nie - przyznała Anna. - Specjalnie go wypatrywaliśmy. Cokolwiek naprawdę zaszło tam w górze, zdołali poruszyć księżyc z posad.

- Powinni obchodzić się z nim ostrożnie - stwierdził Gruber. - Moim zdaniem to, co leży tutaj pod powierzchnią, jest częścią tego, czym był Tas, zanim stał się księżycem.

Chodnik miał wiele załomów, ale nie zważał się przynajmniej. Przez większość czasu mogli iść wyprostowani. Z tego co zorientowała się Enla, schodzili w głąb ziemi, mimo iż chwilami korytarz prowadził pod górę. Zdarzało się, że słyszeli wodę albo w niej brodzili.

Miejscami sklepienie runęło i musieli gramolić się przez rumowisko albo torować sobie drogę, odrzucając zwalone kamienie. Pek Allen zdawał się niczego nie zauważać. Jak to jednak możliwe? Ta trasa w niczym nie przypominała poprzedniej, którą prowadził ich przez góry Pek Gruber. Pek Allen najwyraźniej zagubił się w ogrodzie własnych myśli. Mówił

nieprzerwanie.

- Wszyscy są zdolni do dokonywania wyborów natury moralnej, Enlo, tak, tak. Mało kto jednak to robi. Każdy wie swoje żałosne życie z nawyku albo dla wygody czy po to, by zrobić wrażenie na innych bądź też by osiągnąć doraźną przyjemność... to prawda!

Przypomina przez to tego chłopca z historii, tego, który zaciąga się do przechodzącej armii...

znasz tę historię? Nie, oczywiście, że nie znasz, to ludzka historia, zresztą wy na Świecie nie macie armii ani wojny... no więc zaciąga się do armii, ponieważ był nieurodzaj, a wojsko oferuje mu jedzenie, prycę i cel w życiu, ale on nie wie nawet, za kogo ta armia walczy ani dlaczego... Nawet tego nie wie, Enlo! I nie dba o to! Może bić się dzielnie i być dobrym towarzyszem broni, lojalnym, lecz nawet jeśli zostanie bohaterem wojennym, nic z tego nie było jego wyborem natury moralnej, ów chłopiec nie stoi ani po stronie dobra, ani po stronie zła, jest gdzieś pośrodku, na ziemi niczyjej, w swego rodzaju czyścicu duchowym... tak, to stara historia, znana na Ziemi i na Marsie, tylko że wciąż aktualna, Enlo, i nigdy się nie kończy, nigdy się nie kończy, bo aby zrobić cokolwiek innego, trzeba nie tylko odwagi... ten wiejski chłopiec może sobie być odważny... ale też wizji, a nawet...

Enla nie rozumiała sporej części słów. Potykając się, szła za rozgadany pek Allenem, odnotowując w świetle jego latarki, ile odgałęzień korytarza minęli, w które z kolei skręcili. Wiedziała, że nigdy nie uda im się odnaleźć drogi powrotnej. To tutaj umrze, rozłoży się i uwolni duszę, by mogła połączyć się z jej przodkami. I to samo spotka Peka Allena, jeśli tak zdecyduje Pierwszy Kwiat.

- ...zbawcą obu ras, co nie jest wcale takim śmiesznym pomysłem, jak by się mogło wydawać, a może jednak jest, niemniej nawet ze śmiesznych pomysłów wyrastają wielkie idee i...

Od jak dawna szli tymi korytarzami? Cały dzień i całą noc? Zatrzymali się, by Enla mogła się

przespać, lecz nie miała nic dojedzenia. Czy Pek Allen też spał? Nie wydawało jej się. Na pewno nic nie jadł. Nie był w stanie zrobić ani jednego, ani drugiego, nie był w stanie nawet usiedzieć spokojnie ani przystanąć na dość długo, by mogli oboje w spokoju umrzeć.

Nie pozwalał umrzeć towarzyszącej mu Enli. Ciągnął ją za sobą i mówił bez końca, a ona wlokła się za nim, potykając się ze zmęczenia i głodu, aż straciła poczucie czasu i kierunku.

Gdzieś pośród tej szarej niekończącej się konfuzji odezwał się skafander Enli.

Wrzasnęła, a moment później rozpoznała słowa. Skafander Peka Bazargana przemówił już do nich wcześniej.

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi sześćdziesiąt radów. Zagrożenie.

Ewakuować się. Wchłonięta dawka to...

- Włóż hełm, Enlo - polecił jej Pek Allen.

Patrzyła nań nierozumiejącym wzrokiem. Zwrócił się do niej po ziemsku. Pek Allen sięgnął ku niej, złapał coś miękkiego i bezkształtnego w jej kieszeni, o której nawet nie wiedziała. Ścisnął trzymany przedmiot, który zamienił się w sztywną przezroczystą kulę. Pek Allen odwrócił ją i nasadził jej na głowę. Enla stała biernie; co za różnica, czy umrze uduszona czy zamordowana? Pek Allen nasunął jej na dłonie rękawice, po czym pogmerał w miejscu, gdzie buty łączyły się z nogawkami skafandra.

- No, teraz jesteś zabezpieczona!

- Ale... - ku jej zdumieniu głos przedostawał się przez przezroczystą kulę, którą miała na głowie - na czym polega zagrożenie? A czy ty...

Pek Allen się uśmiechnął. Oświetlony skierowanym w górę promieniem latarki, z zakrwawioną twarzą i w strzępach tuniki, nie przypominał niczego, co Enla kiedykolwiek widziała czy wyobrażała sobie. Ręce mu drżały, sprawiając, że promień latarki rzucał co rusz inne cienie na ściany jaskini.

- Promieniowanie, Enlo. Choroba gór Neury... Słyszałaś o niej?

- Tak. - Teraz nagle zrozumiała. - A czy ty bez skafandra...

Niepotrzebnie się przejmowała. Przecież oboje i tak mieli zginąć.

Pek Allen wybuchnął strasznym śmiechem. Echo odbiło się od ścian chodnika, niknąc gdzieś daleko.

- Nie, mnie to nie dotyczy! Nie pojmujesz? Jestem uodporniony! Wszyscy zbawcy są ponad choroby, nawet jeśli wyglądamy, jakbyśmy mieli na jakąś zapasć. To nagroda za to, że robimy coś, czego nikt inny by nie zrobił dla dobra ludzkości. Twojej, mojej... No, chodźmy już...!

Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą, zagłębiając się chwiejnie w korytarz. Jej skafander nie przestawał się odzywać:

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi sto osiemdziesiąt radów. Zagrożenie.

Ewakuować się. Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi dwieście trzydzieści radów.

Zagro...

- No chodź! - krzyknął Pek Allen. Korytarz, który właśnie się rozszerzał, odpowiedział echem: „Oć! Oć! Oć!”

Biegli. Enla czuła, że robi się jej gorąco. Czy skafander nie powinien temu zapobiec?

Wokół musiała panować bardzo wysoka temperatura. Latarka Peka Allena podskakiwała szaleńczo, oświetlając to ścianę, to sklepienie, to znów jego gołe zakrwawione plecy. Z niego również pot lał się strumieniami.

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi siedemset sześćdziesiąt radów.

Zagrożenie. Ewakuować się. Wchłonięta dawka to...

- Chodź, Enlo!

„Lo. Lo. Lo”.

Upadła. Poderwał ją do pozycji stojącej, prawie wykręcając jej ramię w stawie, i kontynuował bieg.

- Już prawie!...

„Wie. Wie. Wie”.

Prawie gdzie?

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi tysiąc czterysta radów. Zagrożenie.

Ewakuować się. Wchłonięta dawka to...

Ostatnie ostre podejście. Stoczyli się, lądując na kupie kamieni. Pek Allen wstał

natychmiast, uśmiechając się szeroko. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie u boku. Była złamana. On jednak chyba tego nawet nie zauważył.

- Patrz! Oczyszczający ogień!

Enla wstawała powoli. Jej skafander nadal mówił o chorobie świętych gór. Pociła się w nim tak, że była bliska omdlenia. Stali w niewielkiej pieczarze po kostki w wodzie. Gorąc był zdumiewający, wypierał powietrze z płuc. Ściany wokół emanowały poświatą.

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi trzy tysiące sześćset radów.

Zagrożenie...

Pek Allen wyłączył latarkę. Ściany nadal świeciły dziwnym zimnym blaskiem, który sprawił, że Enla aż się wzdrygnęła. Usiadła, szykując się na śmierć.

- Nie, nie, nie ty! - Pek Allen znowu przemówił, włączając latarkę. - Ty nie jesteś zbawcą, biedactwo. I na pewno nie potrzebujesz oczyszczenia... w końcu jesteś Światanką!

Wy nie jesteście wiejskimi chłopcami, którzy się zaciągają do armii! Chodźmy już!

Znowu biegli, rozchlapując wodę w małej pieczarze, potem w kolejnym korytarzu i następnym, następnym, następnym, klucząc i skręcając pośród skał jeszcze bardziej szarych i mocniej napierających niż przedtem. Poświata zniknęła.

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi tysiąc sześćset radów. Zagrożenie.

Ewakuować się. Wchłonięta dawka to...

Enla nie mogła złapać tchu. W płucach jej świszczowało, zamieniły się w jedną kulę bólu.

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi dziewięćset radów. Zagrożenie.

Ewakuować się...

Wzrok jej zmętniał. Tak, z pewnością tak się stało, ponieważ odniosła wrażenie, że jakaś istota przemknęła obok nich w rozszerzającym się chodniku. Jakieś zwierzę. Freb. Ale to by znaczyło, że są blisko wyjścia...

- Stop. Promieniowanie na tym terenie wynosi sto dziesięć radów. Zagrożenie.

Ewakuować się...

Dalszy bieg. W końcu Enla się przewróciła i nie umiała wstać.

- Ten teren nie jest radioaktywny - poinformował skafander i umilkł.

Enla chwytiała łapczywie powietrze, niezdolna zaczerpnąć oddechu, niezdolna nic zobaczyć, zdolna tylko czuć ból. Paliły ją wszystkie mięśnie, każda kość. Ból ustępował

wolno, jak silny przyływ, powoli też wyostrzało się jej spojrzenie.

Światło. Dostrzegła przyćmione szarawe światło, jakże różne od rażąco żółtego, rzucającego cienie promienia latarki.

Pek Allen chyba zdjął jej z głowy przezroczystą kulę. Enla leżała na nierównym kamiennym podłożu ze skałami przy twarzy i stopach. Gdzieś przed nią majaczyło światło dnia.

Kiedy spojrzenie całkiem jej się wyostriżyło, zobaczyła stojącego nad nią Peka Allena, jego dwie nogi po obu swoich stronach, jakby ją przed czymś chronił... Wpatrywał się prosto w wylot chodnika.

- Wydostaliśmy się, Enlo. - Głos mu się zmienił. Teraz był spokojny, nie tak oszalały.

Ale sądząc po jego tonie, Enla uznała, że Ziemianin ma umysł wypaczony nawet bardziej niż przedtem.

- Wydostaliśmy się, a tu niedaleko jest wioska. Światańska wioska. Teraz już mogę dopełnić dzieła, które jest moim zadaniem i w którym ty musisz mi pomóc.

Enłę ponownie zalał ból. Tym razem nie był to ból mięśni ani kości, ani płuc.

Znajomy ból usadowił się jej w głowie, między oczami, a nabierał mocy, gdy patrzyła na Peka Allena. Na krótko zniknął w górach Neury, ale teraz powrócił: ból niedzielonej rzeczywistości. Albo przebywania z kimś nierzeczywistym.

Powrócił.

- Idziemy - rzucił Pek Allen po światańsku i szarpnięciem postawił Enłę na nogi.

22

W drodze

do Tunelu Czasoprzestrzennego #438

Pancernik Fallerów nadal się nie ruszał, zawieszony w przestrzeni dwieście kilometrów od wrót tunelu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do trajektorii Zeusa.

- Pająk czekający na muchę - mruknął major Ombatu.

Syree zignorowała go.

Zeus, wyjątkowo mozolna mucha, nadal pchał swoje brzemię. Obiekt orbitalny numer 7 nabierał przyśpieszenia. Załoga Zeusa i członkowie zespołu do zadań specjalnych nie schodzili z mostka, mało między sobą rozmawiali i jeszcze mniej spali. Syree zdawała sobie sprawę, że spowijająca ją szara mgła zmęczenia może mieć katastrofalne skutki. Spowalniała jej procesy myślowe i czas reakcji. Jednakże ilekroć zasnęła, budziły ją koszmary.

Była w kuchni swojej babki, gdzie jako czterolatka wysłuchiwała apelu poległych w rodzinie, żołnierzy, którzy zginęli honorową śmiercią podczas walki. Kapral James L.

Johnson w Bośni. Catherine Syree Johnson w Argentynie. Tam Wells Johnson na Marsie.

„Każdy, kto nosi nazwisko Johnson, umie nad sobą panować. Pamiętaj o tym, Syree”.

Była znów na Boliwarze, straciła nogę. „Robot medyczny! Robot medyczny!” -

krzyczał ktoś, a Syree jak przez mgłę cieszyła się, że to nie jej głos.

Była wewnątrz obiektu orbitalnego numer 7, poznawała jego sekrety, rozkoszując się każdą chwilą, gdy nagle badany artefakt powiadomił, iż zaraz wybuchnie. „Nie! - wrzasnęła w panice Syree. - Wystarczy, że bardziej przyśpieszymy! Jeszcze nie dotarliśmy do domu babci!”

- Przyśpieszenie jeden g, prędkość cztery tysiące siedemset trzydzieści dwa kilometry na sekundę.

- Kontynuować przyśpieszanie.

- Tak jest. Kontynuuję.

Sternik i Peres. Syree otrząsnęła się z resztek snu. Na jak długo zdrzemnęła się tym razem? Jak blisko celu już byli? Powiodła wzrokiem po ekranach, przecierając zaspane oczy.

Spała w swoim fotelu przez cztery godziny. Do tej pory Zeus zepchnął artefakt ponad miliard kilometrów od dawnej orbity. Jeszcze sześć godzin i dotrą do Tunelu Czasoprzestrzennego #438.

Lee zameldował:

- Komandorze, wróg zmienia pozycję. Pancernik Fallerów kieruje się do tunelu.

Dwadzieścia kilometrów... trzydzieści... czterdzieści...

- Przymierza się do konfrontacji - oceniła Puchalla. - Nie ma dla niego znaczenia, czy ciągniemy ze sobą artefakt czy nie.

- Nie - zaprzeczyła szybko Syree. - Nie dojdzie do konfrontacji, póki jesteśmy szczepieni z artefaktem. Fallerom zależy, aby przeszedł przez tunel i trafił do kontrolowanej przez nich przestrzeni.

- ...pięćdziesiąt kilometrów... sześćdziesiąt...

Peres okręcił się na fotelu, by spojrzeć na Syree.

- Skąd ta pewność, doktor Johnson? Być może wróg jest w stanie przewidzieć manewr naszego myśliwca i sprawić, by tunel utworzył się w przestrzeni Fallerów. Rozmawialiśmy już o tym. Nie wolno nam dopuścić do tego, by Fallerowie ostrzelali Zeusa w sytuacji, gdy nie możemy wykonywać uników. Bez względu na to, czy będzie to atak uprzedzający czy odwetowy. Proszę nie zapominać o tym, że znajdujemy się w stanie wojny.

- To prawda, sir - przyznała Syree. - Proszę jednak zwrócić uwagę, że nasz drugi myśliwiec przejdzie przez tunel dosłownie w ostatnim momencie. Załóżmy, że odłączenie nie nastąpi aż do tego czasu. Będziemy mogli równocześnie uwolnić artefakt i rozpocząć ostrzał.

- ...osiemdziesiąt kilometrów... dziewięćdziesiąt...

- To nie będzie możliwe - stwierdził Peres. - Wroga jednostka najwyraźniej zajmuje pozycję pomiędzy nami i tunelem. Jak tylko Fallerowie się zorientują, że nasz myśliwiec wyłania się z tunelu i natychmiast do niego wraca, skierują ogień na artefakt, aby zapobiec jego przedostaniu się na drugą stronę... i na nas przy okazji. Lub też, o ile nadal będą Wystarczająco blisko wrót, wskoczą w tunel, aby go zrekonfigurować. A my w żadnym z tych wypadków nie będziemy mogli odpowiedzieć ogniem, mając artefakt tuż przed nosem.

Co oznacza, że obiekt orbitalny numer siedem przedostanie się do przestrzeni wroga.

- Ten pancernik nie potrafi poruszać się aż tak szybko - skontrowała Syree. -

Fallerowie może przechytrzą nasz pierwszy myśliwiec, lecz już nie drugi. Proszę spojrzeć...

przestali się poruszać... Majorze Lee, jak daleko od wrót tunelu znajduje się obecnie wroga jednostka?

- Nadal dwieście kilometrów, pani pułkownik. Z tym że obecnie dokładnie na kursie kolizyjnym z nami.

- Zatem wszystko dalej się zgadza - upierała się Syree. - Nasz pierwszy myśliwiec pojawi się dzisiaj o czternastej trzydziści dwie czasu pokładowego, po czym natychmiast wróci. O tej porze my... zakładając, że nadal będziemy szczeni z artefaktem... znajdziemy się pięć minut od punktu wejścia, poruszając się z prędkością... jedną chwileczkę... czterech tysięcy ośmiuset sześćdziesięciu kilometrów na sekundę. - Żadnego więcej gadania o współczynnikach tolerancji i pętłach w równaniach. - Odłączymy artefakt wtedy, a proszę pamiętać, komandorze, że Zeus również będzie się poruszał z prędkością czterech tysięcy ośmiuset sześćdziesięciu kilometrów. To niemało, sir...

- Mamy dowody na to, że broń Fallerów potrafi nas namierzyć przy tej prędkości. W

dotatku znajdziemy się w jej zasięgu.

- Owszem. Jednakże taka prędkość utrudnia naprowadzanie. Trzeba też pamiętać o tym, że przeciwnik przez krótki czas będzie dezorientowany, nie wiedząc, czy strzelać do nas czy do artefaktu, czy raczej pędzić do tunelu. Tym samym zyskamy parosekundową przewagę i szansę na otwarcie ognia z zaskoczenia.

Peres zmarszczył brwi.

- Czy Fallerowie mogą się znaleźć w tunelu przed artefaktem? Kiedy zobaczą pierwszy myśliwiec, mogą się rzucić prosto w stronę tunelu, nie zwracając sobie głowy strzelaniem do nikogo. Pytanie, czy przy odległości dwustu kilometrów te pięć minut im wystarczy?

Syree odpowiedziała niechętnie:

- Niestety tak. Pokonanie dwustu kilometrów w pięć minut to dla pancernika nic trudnego. Tylko że

nasz drugi myśliwiec wyskoczy z systemu Kaliguli cztery minuty później.

Jeżeli Fallerowie skoczą za pierwszym myśliwcem, nawet nie będą wiedzieli, że drugi zdążył

zmienić konfigurację tunelu. A jeżeli nie skoczą, ponieważ wdadzą się w walkę z nami, nawet przy wygranej nie zdołają uprzedzić drugiego myśliwca. Pancernik musiałby pokonać dystans dwustu kilometrów w minutę, a nawet mniej, biorąc pod uwagę kilkanaście sekund potrzebnych na podjęcie decyzji. W tak krótkim czasie nie da się tego zrobić.

- A gdyby włączyli pełny ciąg? Jakie przyśpieszenie byłoby konieczne, by dostać się do tunelu w niecałą minutę?

- Jedenaście koma trzy. Byłoby to samobójcze pociągnięcie. Ale moim zdaniem warunki na to nie pozwolą. Kilka sekund zająłby im rozruch silników. Pod naszym ciągłym ostrzałem. Natychmiast po manewrze rozłączenia możemy gwałtownie skrócić, aby mieć czyste pole strzału, nie ryzykując trafienia artefaktu. Będą musieli albo zrobić unik, albo wykonać manewr umożliwiający im ostrzał.

- Zgoda - przyznał Peres. - Zawsze też możemy wysadzić artefakt i w ten sposób dopaść Fallerów, jeśli nie będzie innego wyjścia.

Syree pokiwała głową. Wysadzenie artefaktu było ostatnią deską ratunku. Miała nadzieję, że Peres zdaje sobie z tego sprawę. Powiedziała:

- Jeśli do rozłączenia dojdzie na pięć minut przed wejściem w tunel, zyskamy czas na oddalenie się od strefy wybuchu. I to z dużą prędkością, komandorze. Muszę jednak podkreślić, że znajdziemy się w odległości zabezpieczającej nas przed skutkami eksplozji wywołanymi ogniem naszych blasterów. Trudno jednak przewidzieć, jaką falę uderzeniową spowoduje wysadzenie artefaktu. - Chodziło jej o to, że w takim razie lepiej go nie wysadzać.

Przemilczała to jednak i zwróciła się do Puchalli: - Czy to jasne?

Pierwsza oficer odparła:

- Nie widzę problemu, żebyśmy wyczekali do momentu na pięć minut przed odłączeniem artefaktu. Zresztą do tego czasu nie znajdziemy się w zasięgu wroga, więc nie wyjdzie na to, że migamy się od walki.

- Zatem wszystko jasne - podsumował Peres. - Sterniku, kontynuujcie przyśpieszanie.

- Tak jest. Kontynuuję.

- Majorze Lee, nie spuszczaście z oka wrogiej jednostki. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

Zeus pędził przed siebie, z każdą sekundą zwiększając prędkość, ku temu, co wróg, artefakt lub tunel miał dla niego w zanadrzu.

Góry Neury

Anna i Bazargan przysłuchiwali się z uwagą, gdy pokryty grubą warstwą brudu Dieter z podnieceniem, machając rękami, opowiadał, co takiego znalazł głęboko pod górami Neury.

Ahmed wiedział, że to ważne, być może nawet najważniejsze odkrycie od dnia lądowania na Świecie. Mimo to nie potrafił się skoncentrować. Nie wystawił się na działanie bardzo silnego promieniowania i choroba popromienna w jego wypadku nie była aż tak ciężka, by go zabić.

Okazała się jednak wystarczająco poważna, by kiepsko się czuł, zwłaszcza że od dawna nie odżywił się ani nie odpoczywał jak należy, a w dodatku przepelnięny strachem przepchnął

się przez długi, mokry i z pewnością niezdrowy podziemny korytarz objęty działaniem dziwnego pola, w którego istnienie właściwie tylko Gruber wierzył.

- Zbadałem wiele chodników, aż w końcu znalazłem jeden z głębokim kominem jakieś pięćset metrów stąd. Nadal w oku pola według moich przenośnych urządzeń pomiarowych.

Miałem kotwy i liny, więc...

- To było ogromnie nierozważne z twojej strony - wtrąciła Anna. - Mogłeś zginąć.

Ukryte w jej brudnej twarzy oczy płonęły fascynacją, naganą, podziwem - wszystkim naraz. Bazargan pomyślał, że tylko ktoś młody może sobie pozwolić na taką mieszaninę emocji. Jego kości bolały aż do szpiku.

- *Ja* - przytaknął Gruber radośnie. - Ale nie zginałem. Komin wiódł do labiryntu korytarzy w lawie, gładkich, podpieranych przez znacznie starsze granitowe filary...

niezwykła struktura. Zaglądałem do wszystkich odnóg, oznaczając przebytą trasę, aż znalazłem. Aż odkryłem.

- Ale co? - dopytywała Anna. - Co?

- Małą jaskinię. Ma nie więcej niż cztery metry średnicy, to znaczy miałaby tyle, gdyby jej kształt był bardziej regularny. Ot, skaza w litej skale. Z jej podłoża wystaje krzywizna metalowej kuli. Zaledwie fragment, niewielki fragmencik... Większość tej kuli spoczywa w skale. Przeprowadziłem parę szybkich testów. Wiek skał stopionych wokół kuli pokrywa się z wiekiem warstwy gliny nagromadzonej, gdy coś rąbnęło w dno praoceanu, tworząc te korytarze. Zanim teren ponownie został wypiętrzony.

- Asteroida - sapnęła Anna.

- Nie, nie asteroida! To coś sztucznego. Sądząc z krzywizny, ma może promień dwudziestu pięciu metrów. Powierzchnia jest zbudowana z alotropowej odmiany węgla, czegoś w rodzaju fulerenów.

Więcej nie udało mi się ustalić, miałem ze sobą za mało sprzętu.

Ale dowiedziałem się jeszcze jednego... Ahmedzie, nie śpisz?

- Nie - burknął Bazargan.

Anna oderwała zafascynowany wzrok od Grubera, by spojrzeć na Bazargana.

Dowódca wyprawy spostrzegł, jak zmienia się wyraz jej brudnej twarzy, gdy nagle pojęła.

- Cierpisz, Ahmedzie. Choroba popromienna...

- Tak. Ale... nie przyjąłem zbyt wysokiej dawki. Wyzdrowieję. - Ledwie zdążył

odwrócić głowę, by zwymiotować nie na nią, tylko na ziemię.

Wspólnie zanieśli go z powrotem do jaskini i tam ułożyli na posłaniu z koców. Gruber umieścił w pobliżu swoją latarkę o wielkiej mocy, tak by ogrzewała drżącego z zimna Bazargana.

- Powinna była wypatrywać objawów - wyrzucała sobie Anna. - Między napromieniowaniem a pierwszymi symptomami zawsze upływa trochę czasu. Tyle się jednak działo... Ahmedzie, musisz się wypocić, ale nie możemy dopuścić do odwodnienia. Wypij to.

- Przyniosła mu ze strumienia wodę o lekkim posmaku błota. Wypił, ile zdołał. - Nie mam sprzętu, by oczyścić ci wnętrzności, ale zeskrobię ile się da ze skóry... No, nie wstydź się, Ahmedzie. W końcu jesteś antropologiem.

Bazargan chciał powiedzieć, że antropologowie lepiej się czują jako obserwatorzy aniżeli przedmiot badań, lecz nawet tego nie mógł zrobić. Miał zaciśnięte gardło.

Gruber i Anna wyszorowali go, polewając wodą i ściągając ją ze skóry ostrymi kamykami. Ścięli mu bardzo krótko włosy, zmusili do wymiotów, zrobili lewatywę. Bazargan znosił wszystko z godnością, wiedząc, że czynią słusznie, i zarazem nienawidząc siebie za własną słabość.

Kiedy skończyli i znów leżał na kamiennym podłożu jaskini owinięty w koce, Anna i Gruber powrócili do tematu znaleziska. Bazargan wyteżał słuch w miarę Możliwości.

- Pomiary wskazują, że zakopany artefakt znajduje się w samym środku pola, Anno.

Które rozkłada się toroidalnie. Odkąd weszliśmy w te góry, uważnie śledziłem wszystkie odczyty danych. Gradient geotermalny zwiększający się w miarę zagłębiania, a nie zmniejszający... Powinien się zmniejszać, ponieważ najbardziej radioaktywne skały leżą przy powierzchni, wytwarzając ciepło, które skała magazynuje przez miliony lat. Tutaj jednak jest inaczej, gdyż źródło promieniowania to ten pogrzebany artefakt. Nienaturalne źródło i stąd odmienny rozkład temperatur i gradient geotermalny. Ahmedzie, posłuchaj, to nasze największe odkrycie!

Dieter Gruber nie przestawał wymachiwać rękami. Zazwyczaj opanowany i sardoniczny, znalazł się u szczytu idealistycznego entuzjazmu, który Bazargan mógł co najwyżej obserwować ze znużonym zdumieniem.

- Siła promieniowania zazwyczaj maleje zgodnie z prawem odwrotnej proporcjonalności. Im bliżej źródła, tym wyższe promieniowanie. A tutaj, tak blisko źródła, promieniowania nie ma wcale. Zaczyna się jakieś ćwierć kilometra dalej, po czym gwałtownie wzrasta i równie gwałtownie się obniża. Jeszcze nie rozpracowałem równania.

Zdaje się, że zahaczyliśmy o apogeum, gdy Ahmed szedł bez skafandra i nałapał radów, które teraz dają o sobie znać chorobą popromienną.

- Rozumiem - kiwnęła głową Anna.

- Teraz skup się, bo to kluczowe. Zakopany artefakt nie emituje promieniowania jako takiego. Emituje jakiegoś rodzaju pole, które sprawia, że rzeczy wokół niego stają się radioaktywne, a przy tym jest powodem gradientu geotermalnego. Oczywiście pole zaczyna oddziaływać z pewnym opóźnieniem, co tłumaczy „oko”, w którym się znajdujemy. Ale ogólnie robi to samo, co zdaniem doktor Johnson może zrobić w przestrzeni ten księżyc, który został wyrwany z orbity, Tas...

Anna podniosła rękę, a następnie ją opuściła. Oszołomiona zapytała:

- Sądysz, że to drugi księżyc, taki sam jak Tas, który spadł na powierzchnię planety?

- Nie taki sam, *nein*. Syree Johnson twierdziła, że Tas emituje falę rozchodzącą się sferycznie. A tutaj mamy do czynienia ze spłaszczonym toroidem. Tak czy inaczej zebrane przeze mnie dane pokazują, że to pole pobudza lub wzmacnia znacznie potężniejsze pole, które obejmuje całą planetę. Nie będące ani promieniowaniem, ani falą elektromagnetyczną, ani cieplną.

- Dieterze... pod twoją nieobecność... razem z Ahmedem zastanawialiśmy się...

- Daj mi skończyć. To tajemnicze pole wtórne... które właściwie jest polem pierwotnym, podczas gdy tamto drugie jest wtórne!... także ma swoje „oko”, w którym też znajdujemy się obecnie. Jakby dziurę otaczającą bezpośrednio źródło. Mogę więc tylko spekulować na podstawie poprzednich danych. Drugie pole pokrywa całą powierzchnię planety, potężniejąc gwałtownie wraz z oddalaniem się od powierzchni, a następnie słabnąc...

- Oddalaniem na jaki dystans? - zapytała Anna głosem bardzo natarczywym jak na nią.

- Na jaki?

Gruber patrzył na nią, nic nie mówiąc.

- Nie jestem pewien, na jaki dokładnie...

- Podaj w przybliżeniu!

- Zdaje się, że pole jest najpotężniejsze na wysokości pół kilometra.

- A na jakiej wysokości znajdowaliśmy się wtedy w korytarzu, gdy wszyscy straciliśmy przytomność oprócz Enli?

Bazargan leżący bezwładnie na swoim pośłaniu zauważył, jak bardzo zmienił się wyraz twarzy Dietera.

- *Mein Gott!* Tak!... Byliśmy właśnie tyle nad poziomem morza, chodniki wiodą w górę i w dół, ale tylko raz znaleźliśmy się aż tak wysoko. Wleźliśmy w sam środek potężnego pola i ogarnęła nas głupawka, nas wszystkich oprócz Enli. Anno, zaczęłaś coś mówić o tym, że ty i Bazargan zastanawialiście się... Nad czym się zastanawialiście? Ahmedzie, jesteś z nami?

Żadne z nich nie czekało na odpowiedź dowódcy. Anna już mówiła:

- To tylko domysły, Dieterze. No ale dobrze... To pole obejmujące całą planetę nie jest, jak twierdzisz, polem elektromagnetycznym. Nie jest to też żadne promieniowanie...

jeszcze z Zeusa bowiem widzieliśmy, że w górach Neury występuje wyjątkowo silne promieniowanie, które nie rozciąga się równomiernie na cały Świat.

- Tak. Strumień neutrin. Mów dalej.

- Pole nie jest też natury biochemicznej: to nie feromony ani nic takiego. Akurat tego jestem pewna. A jednak oddziałuje na ludzki mózg. My odczuliśmy to w obszarze największej mocy pola, a Enla od dostania się w... jak je nazywasz... oko cyklonu. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale odkąd tu jesteśmy, Enla nie miała bólów głowy wywołanych niedzieloną rzeczywistością. Niewykluczone, że David zawdzięczał pogorszenie swojego stanu temu samemu polu, zważywszy na to, jak zachowywał się w minionych pięciu dniach, aczkolwiek gwoili szczerości mogło to wynikać z traumy nałożonej na odstawienie codziennej Dyscypliny.

- Czyli...

- Zaczekaj. Jest jeszcze coś. Życiodaje... no wiesz, te zapylacze przypominające ziemskie owady... One nigdy nie lądują na głowie czy to Światanina, czy Ziemianina. Nigdzie poza tymi górami. Ale tutaj, w tej dolince czy według ciebie w „oku” Pola, robią to bez oporów.

- Tak? I co z tego?

- To, że moim zdaniem też są czułe na to twoje niewiadomej natury pole wtórne.

Uważam, że ono oddziałuje na określone tkanki istot żywych. Całe tutejsze życie ewoluowało w interakcji z tym polem. A najbardziej narażona na jego wpływ jest tkanka mózgowa.

Gruber poprawił się na niewygodnym podłożu i ściągnął brwi.

- To niemożliwe. Mózgiem rządzi biochemia i elektromagnetyzm. A ja chyba dość długo cię

przekonywałem, że to pole nie jest ani takie, ani takie.

- Mózgiem rządzi biochemia i elektromagnetyzm, zgoda. Świadomość to nic więcej jak wzór neuronalnych wyładowań, zsynchronizowana oscylacja gamma. Ale biochemicy poczynili ostatnio nowe odkrycia, które nie zostały jeszcze rozpowszechnione na masową skalę. Istnieją dowody wspierające teorię, która jeszcze niedawno była uważana za radykalną, lecz traci na rewolucyjności w miarę, jak odkrywamy więcej faktów. Dieterze, czy wiesz, czym jest parakrystaliczna kolbka presynaptyczna?

- Nie - odpowiedział Gruber, geolog do szpiku kości.

- Wyjaśniłam to raz wcześniej, przy okazji skanu Lagerfelda przeprowadzanego na Voraturze, pamiętasz?... Nieważne. W każdym razie w ludzkim mózgu są ich miliardy.

Znajdują się na końcach synaps. To one kontrolują ilość neuroprzekaźnika wydzielanego przy każdym impulsie nerwowym, co w konsekwencji decyduje o kształcie naszych myśli i uczuć.

Kolbki presynaptyczne są bardzo małe. Obowiązują w nich zasady fizyki kwantowej, nie klasycznej. Są w stanie wywoływać zdarzenia kwantowe poza ich barierą energetyczną, ponieważ część ich kwantowego prawdopodobieństwa tam właśnie leży. Coraz bardziej wygląda na to, że w ten sposób świadomość wpływa na mózg. Poprzez zmianę pola prawdopodobieństwa. Nie ma innego sposobu, aby czysto mentalne zdarzenie, takie jak decyzja o wstaniu z krzesła, wywołało skutek w świecie materialnym bez pogwałcenia zasady zachowania energii.

- Chwila, chwila - przerwał jej Dieter. - Nie spałem zeszłej nocy, jestem potwornie zmęczony. Czy ty właśnie powiedziałaś, że mózg funkcjonuje dzięki polu prawdopodobieństwa?

- Tylko częściowo. Poza tym dzięki wyładowaniom elektromagnetycznym i biochemii oczywiście. Jednakże uwolnienie neuroprzekaźnika na poziomie kwantowym... i za sprawą pola prawdopodobieństwa... jest podstawą tego, co dzieje się w mózgu później na poziomie elektromagnetycznym i chemicznym.

- Pole prawdopodobieństwa - powtórzył Gruber z zadumą. - Dotyczy to każdego mózgu? Mojego, twojego, Ziemi, Światan...?

- Jeśli ta teoria jest prawdziwa.

- A zakopany tutaj artefakt wytwarza własne pole prawdopodobieństwa. Które ma wpływ na wszystkie istoty znajdujące się na Świecie. Równomierny poza górami Neury, sporadyczny gdzie indziej zależnie od tego, w którym miejscu toroidu się przebywa. My zareagowaliśmy inaczej niż Enla, ponieważ jej rasa w przeciwieństwie do naszej wyewoluowała tutaj... Anno! Pole prawdopodobieństwa oddziałuje na Świat od czasu, gdy artefakt zarył w dno tutejszego praoceanu. Może odpowiadać za ewolucję rozbieżną centralnego układu nerwowego u nas i u Światan i stanowić rozwiązanie zagadki, jaką według ciebie jest to, że dzielona rzeczywistość zatriumfowała na Świecie, choć wszelkie dane wskazują, iż nie jest wygrywającą strategią genetyczną.

- Taaak... - zgodziła się z nim Anna, nadal oszołomiona. - Dieterze, muszę się nad tym wszystkim zastanowić. Powinnam...

- Co więcej! - kontynuował niezrażony Gruber. - Skoro jest mowa o mechanice kwantowej, czemu nie miałyby być mowy o splątaniu kwantowym?!

- O czym? - spytała Anna.

- O splątaniu kwantowym! Kiedy dwa elektrony są splątane, wystarczy zrobić coś jednemu, by automatycznie wpłynąć na drugi, nawet gdyby znajdował się na drugim krańcu wszechświata. Czas i przestrzeń nie gra wtedy roli. Naukowcy podejrzewają, że właśnie ta teoria może stać za tunelami czasoprzestrzennymi, chociaż oczywiście ludzie nadal nie mają zielonego pojęcia, jak tunele zostały skonstruowane. Ale jeśli zakopany artefakt i Tas są ze sobą splątane... jeśli oba generują pole prawdopodobieństwa...

Anna jakby zapomniała, że przed chwilą odmówiła dalszych dywagacji.

- Mózg także działa na zasadzie prawdopodobieństwa. Wydzielanie neuroprzekaźnika w ludzkim mózgu odbywa się według reguł probabilistyki i tak samo musi być w przypadku mózgów Światan. Jeśli jednak to twoje pole prawdopodobieństwa wywiera wpływ na wydzielanie neuroprzekaźnika, faworyzując określone kolbki presynaptyczne, i czyni to od dłuższego czasu, od czasu mierzonego skalą ewolucji... To mogło doprowadzić do wytworzenia mechanizmu dzielonej rzeczywistości, Dieterze! Może być też wyjaśnieniem, dlaczego nasze mózgi... Ziemi i Światan... choć praktycznie identyczne pod względem budowy, działają inaczej. To kwestia częstotliwości zdarzeń losowych. Nic dziwnego, że nic z tego nie wyszło na jaw przy okazji skanu Lagerfelda.

- *Mein Gott!* To wszystko zaczyna się składać w całość!

- Potrzebny nam ktoś, kto zna się lepiej na fizyce. Ktoś taki jak Syree Johnson. - Anna zmieniła nagle ton głosu. - Dieterze, jeśli tu zginiemy, nikt nigdy się nie dowie o naszym odkryciu!...

Objął ją ramieniem.

- Nie zginiemy tutaj, *Liebchen*.

- Skąd możesz to wiedzieć...

Nie odpowiedział. Zasnął, siedząc na ziemi - umorusana, wycieńczona, zgarbiona ludzka postać nie przestająca czuć uniesienia.

Anna delikatnie ułożyła go na plecach. Sprawdziła stan Bazargana, który również spał. Potem odpięła z nadgarstka Dietera jego podręczny komputer, włączyła i zaczęła robić notatki z taką samą prędkością, z jaką zazwyczaj mówiła. Na zewnątrz jaskini zapadały ciemności, niebo zasnuwało się chmurami, aż w końcu zaczął padać deszcz.

Enla pozwoliła, żeby Pek Allen szarpnięciem postawił ją na nogi. Wciąż dyszała po szaleńczej wędrówce przez korytarze i jaskinie. Lecz silniejsza od klucia w płucach i bólu głowy wywołanego niedzieloną rzeczywistością była właśnie formująca się gniewna myśl.

Mimo wszystko nie umarli w górach Neury.

A skoro tak się nie stało, wypaczone kwiaty umysłu Peka Allena sprawiają, że teraz Ziemianin zawlecze ją do Światan, aby mógł ich „ocalić”. A Światanie oczywiście zabiją zarówno jego, jak i ją. Kapłani uwiężą ciała Peka Allena i Enli w chemikaliach i szkłe, by uniemożliwić im powrót do przodków i skażenie świata duchowego. Enla i Tabor już na zawsze pozostaną nierzeczywiści.

Próbowała się wyrwać z mocnego uścisku Peka Allena, lecz był od niej silniejszy.

Zakrwawiony, posiniaczony, z jedną bezwładną ręką zwisającą wzdłuż boku, wciąż niewyleczony z choroby gór Neury (nawet ziemski skafander o niej krzyczał!), Pek Allen nie utracił siły. Siły straszliwej nierzeczywistości.

- Spójrz, Enlo. Wioska.

Stali u wylotu chodnika, którym wyszli z wnętrza gór. Ostry spadek zasłany kamieniami prowadził na półkę skalną poniżej, skąd wiódł kolejny spadek, mniej stromy i porośnięty rzadkimi karłowatymi krzewami. Dalej rozciągały się pola, a za nimi dymiące kominy domów o dachach połyskujących od deszczu.

- Peku Allenie...

- Nie poddawaj się teraz, Enlo. Nadszedł czas działania. Kto może wiedzieć, ile ta suka Syree Johnson potrzebuje, żeby odpalić swoją broń i wymazać Świat z mapy kosmosu?

Mówił po światańsku, jednakże dwa słowa wypowiedział w swoim języku: suka i wymazać. Enla nie znała ich, lecz nie to było w tej chwili jej największym zmartwieniem.

Głowa pękała jej od nadmiaru nierzeczywistości. Opłakiwała już siebie i Tabora. Pomimo wszystko jakąś częścią swego niepocieszonego umysłu zauważyła, że Pek Allen przestał się zachowywać jak szaleniec. Odzywał się głosem spokojnym, mówił rozsądnie, jakby naprawdę był w stanie zrobić to, co zamierzał.

- No, Enlo... To już niedaleko. Na początek zdejmij ten skafander. Tylko szybko!

Dobrze, a teraz chodź ze mną.

Potykając się, szli przed siebie w ulewie. Otaczające ich żyzne pola rodziły plony, ale za nimi, wokół domów, rozciągały się grządki z kwiatami. Enla przyglądała się im głodnym wzrokiem zapewne po raz ostatni w życiu. Padźaliba, dżelitiba, niebieska koronkowa trifalitiba. Jasna drobna mittiba. Wonna ralibiba, lubiąca cień wekifiriba. Sadźiba z woskowymi różowymi kwiatami

wielkości jej dłoni. Wszystkie kwiaty przynoszące chwałę Światu...

Wioska była w dużym stopniu wyludniona; ogniska, przy których szykowano śniadanie na głównym placu, zostały zabezpieczone metalowymi osłonami, domy pozamykane. Z pewnością wszyscy mieszkańcy udali się na zbiór owoców drzewa zeli.

Właśnie był na nie sezon i nawet deszcz nie mógł im przeszkodzić. W takiej małej osadzie potrzebna jest każda para rąk, nawet kapłanów. Bez wątplenia jednak za mokrymi wejściami pozostało parę osób. Najstarsi opiekujący się najmłodszymi, chorzy, ci, którzy cierpieli na kwiatozę z powodu kariltefiby, zazwyczaj sadzonej w pobliżu drzew zeli.

Pek Allen zatrzymał się na głównym placu obwiedzionym wianuszkami palenisk.

- Halo! Światanie! Przybywam z ważną wiadomością od Pierwszego Kwiatu!

Enla zamknęła oczy, a potem je otworzyła. Była przekonana, że to ostatnie chwile jej życia. Och, Taborze...

- Światanie! Przybywam z ważną wiadomością od Pierwszego Kwiatu!

Bardzo stara kobieta wyjrzała na zewnątrz. Na widok Enli i wysokiego pokrytego krwią Ziemianina jej twarz zamieniła się w maskę przerażenia. Po chwili kobieta zniknęła z powrotem w środku.

- Światanie! Przybywam z ważną wiadomością od Pierwszego Kwiatu!

Teraz pojawił się mężczyzna, młody i silny. Na pewno uniknął pracy przy zbiorach dzięki kwiatozie; szyjowłosa miał zaplecione w pokutne warkoczyki. W dłoni trzymał długi nóż.

Nie tracił czasu na słowa. Rzucił się ku nim i zamachnął nożem prosto w pierś peka Allena.

Pek Allen złapał go zdrową ręką. W oczach Enli ruch ten był płynny, niemal nieunikniony, jakby zmaltretowane w skalnych korytarzach ciało Peka Allena całe życie czekało właśnie na ten moment. Odebrał nóż Świataninowi, powalił go i stanął nad nim z małym metalowym dziwnego kształtu urządzeniem. Była to, jak uświadomiła sobie Enla, wspomniawszy rozmowy Ziemian, „broń” Peka Grubera. Z jej końca ściekała woda. Nagle Pek Allen zrobił coś i rozległ się przeraźliwy hałas. Kiedy uszy przestały ją boleć, przekonała się, że przedmiot nie eksplodował mu w dłoni, tylko dalej tam tkwi - cały - a drewniana misa pozostawiona niedbale na placu leży strzaskana na bezużyteczne kawałki.

- Słuchaj, Pek... - odezwał się po światańsku Ziemianin. - Nazywam się David Pek Allen i pochodzę z Ziemi. Nadzór Rzeczywistości i Pokuty ogłosił mnie nierzeczywistym.

Przybywam, aby ostrzec cię przed czymś strasznym, co spotka Świat w najbliższej przyszłości. Być może nawet dzisiaj. W dzielonej rzeczywistości nastąpi duża zmiana.

Dlatego musisz posłuchać mnie uważnie... Na pewno już wiesz, że Tas zniknął. Ukradli go inni Ziemianie. Musiałeś to sam zauważyć... Nie wiesz jednak, że nierzeczywiści Ziemianie przyślą z gór Neury chorobę, taką samą jak dotąd, tyle że znacznie silniejszą. Ludziom nie uczyni ona większej krzywdy, ale skrzywdzi przedmioty: garnki, ozdoby, kwiaty ku pamięci.

Wszystkie te rzeczy staną się równie niebezpieczne jak same góry Neury. Musisz poinformować innych o zmianie dzielonej rzeczywistości.

Rozciągnięty na ziemi młodzieniec odwrócił głowę od potrzaskanej misy i splunął na nogi Peka Allena.

- Enlo - polecił jej Pek Allen - idź do tamtego domu, z którego wyjrzała staruszka.

Przyprowadź mi dziecko, które z nią jest.

Enla drgnęła. Ale tak, w tamtym domu musiało być dziecko... stara kobieta nie była wystarczająco niedołączna, aby wykręcić się od pracy przy zbiorach. W najgorszym razie pojechałaby na wozie i przygotowywała południowy posiłek. Tak czy inaczej byłaby częścią dzielonej radości.

- Enlo! Idź, ale to już!

Enla się nie poruszyła.

Pek Allen pobiegł ku niej spojrzeniem i zaraz znów patrzył na przewróconego mężczyznę.

- Jeżeli nie pójdziesz, Enlo, będę zmuszony go zabić. W grę wchodzi dobro całego Świata. Nie zmuszaj mnie do tego, Enlo.

Kwiaty jego umysłu były aż tak wypaczone! Enla nie miała o tym pojęcia.

Ruszyła w stronę wskazanego domostwa. Wejście było zastawione od wewnątrz. Enla krzyknęła:

- Otwieraj, inaczej ten szaleniec na zewnątrz wysadzi twój dom! Razem z tobą i dzieckiem. Przykro mi, ale to prawda.

Ból głowy nieomal ją oślepił. Naprawdę to zrobiła? Ona, Enla Pek Brimmidin zrobiła to na rozkaz jakiegoś nierzeczywistego szaleńca?

Za wejściem rozległo się szuranie. Enla weszła do środka - jakie to normalne, wejść do domu, w tak prosty sposób dzielić rzeczywistość - i przemówiła szeptem do staruszki:

- Opuść dom tylnym wyjściem. Każ dziecku być cicho. Idź w dół tego zbocza, pamiętaj, by budynek zawsze zasłaniał cię przed oczami Ziemianina, i ukryj się w ogrodzie warzywnym.

Staruszka patrzyła na nią tępo. Nie dlatego, że miała do czynienia z nierzeczywistą osobą, lecz dlatego, że strach tak ją ogłupił. Od strony stojącego w kącie kredensu dobiegło ciche skrzypnięcie. Na szczęście ukryte tam dziecko było dość duże, by nie robić hałasu.

- Idź, ale to już! - Enla starała się nadać swojemu głosowi brzmienie podobne do brzmienia głosu Peka Bazargana, gdy wydawał jej polecenia. Jednakże i tak ją zdziwiło, gdy staruszka usłuchała.

Enla wróciła na zewnątrz.

- Nie ma tu żadnego dziecka, Peku Allenie. Szukałam.

Zerknął przelotnie na jej twarz.

- Kłamiesz.

Powiedział to po ziemsku, ale znaczenie było właściwie jasne. Nie było to dzielenie rzeczywistości, tylko coś zupełnie innego. Teraz pewnie zabije ją swoją bronią. Moment był

równie dobry jak każdy inny. Enla zamknęła oczy.

Ktoś krzyknął.

Ona jednak nadal żyła. Nadal stała w deszczu. A kiedy otworzyła oczy, mimo iż nie było przenikliwego ogłuszającego dźwięku, młody mężczyzna wił się, trzymając z jękiem za nogę.

- To tylko draśnięcie - rzekł Pek Allen tym samym ostrym tonem. - Żebyś nie zrobił

mi krzywdy, zanim uda mi się przekazać wiadomość. Wyjdiesz z tego. Chodźmy, Enlo.

Ruszyła za nim bezmyślnie. Nie miała pojęcia, co innego mogłaby zrobić. W głowie jej pulsowało, wiedziała jednak, że leżący mężczyzna cierpi jeszcze bardziej. Ona napatrzyła się już na nierzeczywistego Peka Allena i rozumiała, że im dłużej ma się kontakt z nierzeczywistością, tym trudniej dostrzec różnicę.

Ból głowy ustąpił nieco.

Pek Allen kroczył szybko i pewnie do warzywnika, gdzie bezbłędnie znalazł

ukrywającą się przed nim staruszkę. Mała dziewczynka obejmowała ją kurczowo za szyję, chowając buzię na piersi babki.

- Śmiało, matko - powiedział Pek Allen. - Nie skrzywdzę cię. Ani dziecka.

Mimo to musiał wyciągnąć ją siłą spomiędzy grządek z warzywami.

- Posłuchaj, matko. Nazywam się David Pek Allen i przybywam z wiadomością od Pierwszego Kwiatu z gór Neury. Czy w tej wiosce mieszka uzdrowiacz?

Staruszka z grzebieniem skulonym z bólu nie była w stanie odpowiedzieć.

Pek Allen westchnął. Sięgnął w stronę dziewczynki, co spowodowało, że Staruszka krzyknęła i

złapała dziecko mocniej. Przez jedną straszliwą chwilę Enla myślała, że Pek Allen poderżnie dziewczynce gardło nożem, który odebrał młodzieńcowi. Czyż nie to uczynili Światanie ziemskim dzieciom? Jednakże Pek Allen tylko oswobodził dziecko z objęć babki i wziął je delikatnie na ręce.

- Chodź, Enlo.

Staruszka wrzeszczała i zawodziła. Dziewczynka się darła. Ignorując je obie, Pek Allen zaczął się oddalać wiejską drogą.

Enla szła za nim. Co innego mogła zrobić? Może uda jej się odebrać mu dziewczynkę... Tyle że nadal trzymał tę broń. I był szalony. Przyśpieszyła kroku. Staruszka, wołając coś niezrozumiale, pokuśtykała za nimi.

Pek Allen maszerował tak prędko, że Enla co parę kroków musiała podbiegać, aby za nim nadążyć. Grunt pod stopami był grząski, ale Pek Allen zdawał się tego nie zauważać, mimo że niósł zachłystujące się powietrzem szamoczące dziecko. Staruszka zostawała coraz bardziej w tyle. Gdy Enla po raz kolejny się obejrzała, staruszka siedziała pośrodku błotnistej drogi, a jej krzyki zagłuszał nasilający się deszcz.

Po pewnym czasie dziewczynka się uspokoiła, Enla zaś - truchtająca z konieczności -

usłyszała, że Pek Allen śpiewa coś po światańsku. Była to stara kołysanka, melodyjna i miła dla ucha. Bez wątpienia nauczył się jej w złązie Peka Voratura. Zaśpiewał ją raz, drugi, trzeci i na oczach Enli spięte ciało wyraźnie się rozluźniło.

Enla zrozumiała, że Pek Allen nie zabije dziecka. Pozostawało jednak pytanie, kiedy wreszcie pozbawi życia ją.

Śpiew umilkł. Po chwili Pek Allen potknął się, ale odzyskał równowagę i nie zaprzestał marszu. Wszakże ona to dostrzegła. Siła Peka Allena, ta sztuczna moc kielkująca z jego szaleństwa, słabła. Co dalej? Mogłaby uciec... choćby teraz, gdyby się zdecydowała. Pek Allen słabł, niosąc dziecko. Mogła odejść. Ale dokąd? Nie miała gdzie pójść.

Taka była jej rzeczywistość. Co najwyżej mogła ją dzielić.

Na szczycie niewielkiego wzniesienia pokazał się wóz załadowany owocami drzewa zeli oraz wieśniakami wracającymi ze zbiorów. Na widok Peka Allena wóz się zatrzymał.

Ruszył znowu, gdy wieśniacy zobaczyli, że Ziemianin trzyma na ręce dziecko. Koła wozu skrzypiały, obracając się z trudem w błocie. Po chwili Enla zaczęła rozróżniać poszczególne twarze, wszystkie przerażone i ściągnięte z powodu bólu głowy.

- Nazywam się David Pek Allen. Przybywam z ważną wiadomością od Pierwszego Kwiatu.

- Oddaj mi Estu - powiedział jeden z mężczyzn, przemawiając z charakterystycznym niewyraźnym akcentem górali i nadzwyczajnym spokojem. - Oddaj mi ją.

Dziecko dosłyszało coś w znajomym głosie i natychmiast od nowa się rozpłakało.

- Posłuchajcie mnie - ciągnął Pek Allen donośnie. - Przybywam, aby ostrzec was przed czymś strasznym, co spotka Świat w najbliższej przyszłości. Być może nawet dzisiaj.

W dzielonej rzeczywistości nastąpi duża zmiana. Dlatego musicie posłuchać mnie uważnie...

Na pewno już wiecie, że Tas zniknął. Ukradli go inni Ziemianie. Musieliście to sami zauważyć... Nie wiecie jednak, że nierzeczywiści Ziemianie przyślą z gór Neury chorobę, taką samą jak dotąd, tyle że znacznie silniejszą. Ludziom nie uczyni ona większej krzywdy, ale skrzywdzi przedmioty: garnki, ozdoby, kwiaty ku pamięci. Wszystkie te rzeczy staną się równie niebezpieczne jak same góry Neury. Musicie poinformować innych o zmianie dzielonej rzeczywistości.

- Oddaj mi Estu.

- Oto Enla Pek Brimmidin. Ona potwierdzi, że to, co mówię, należy do dzielonej rzeczywistości.

Enla popatrzyła na Peka Allena. Czy on naprawdę sądził, że mu wierzy? Albo że ci ludzie uwierzą jej, która została uznana za nierzeczywistą? Okazywało się, że Pek Allen w ogóle nic nie wiedział o Świecie! Aż do tej pory jego szaleństwo miało jakiś sens - podobnie jak kwiaty, które rosną powykręcane na wszystkie strony, a mimo to wyciągają się ku słońcu.

To jednak... chociaż z drugiej strony Pek Gruber mówił to samo o ozdobach i kwiatkach ku pamięci, i wielu jeszcze innych rzeczach - a Pek Gruber z całą pewnością nie był szalony.

Czy to znaczyło, że ta choroba przedmiotów faktycznie spadnie na Świat, a wszystko przez to, że został zabrany Tas?

Pek Allen nie przestawał mówić.

- Musicie zabrać wszystkie te rzeczy z domów i wyrzucić je. Albo możecie opuścić domy i schronić się w piwniczkach na warzywa do czasu, aż choroba przeminie. Nie będzie trwała długo. Powiem wam, kiedy znów będzie bezpiecznie. Dzielcie tę rzeczywistość, rozpowszechnijcie ją po całym Świecie. Ja, David Pek Allen, powiadam wam to wszystko dla dobra was samych i waszych dzieci.

Potykając się, zrobił parę kroków do przodu i przekazał Estu w ręce najbliższej stojącej mężczyzny. Kiedy Światanin odbierał od niego dziewczynkę, Pek Allen wymamrotał:

- Bądź grzeczna, Bonnie. Bądź zdrowa.

Mężczyzna cofnął się z płaczącym dzieckiem w ramionach. Wszyscy dorośli Światanie odsunęli się od Ziemianina i nierzeczywistej Enli, najwyraźniej nie wiedząc, co dalej. Właściwie powinni zabić oboje. Mieszkańcy całego Świata dzieli tę rzeczywistość.

Jednakże ci wieśniacy byli nieuzbrojeni. Byli to cisi ludzie, nieprzywykli do gwałcenia ich spokojnej rzeczywistości. Patrzyli po sobie nawzajem, starannie omijając spojrzeniem Enlę, wszelako ona wyczuwała ich zmieszanie i strach, dzieliła je z nimi całkowicie.

Pek Allen zachwiał się, rozstawił nogi dla pewniejszego podparcia, lecz zaraz znów ugięły się pod nim kolana.

Nagle Enla wiedziała już, co ma robić.

Wystąpiła w stronę grupki Światan, którzy cofnęli się przed nią jak jeden organizm.

Powiedziała do nich:

- On umiera. Umiera od choroby gór Neury. W górach nie chorował. Nikt nie choruje w domostwie Pierwszego Kwiatu. Choroba dopada dopiero po opuszczeniu gór.

Tyle, jak było jej wiadomo, należało do dzielonej rzeczywistości.

- Pek Allen mimo to opuścił góry. Aby przekazać wam wiadomość od Pierwszego Kwiatu. I umrze za to. Czy to nie dowodzi, że jest rzeczywisty? Tylko rzeczywista dusza oddaje życie za drugich, czyż nie?

Jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie:

- Umiera, bo opuścił góry Neury, umiera jak każdy, kto je opuszcza! Wcale nie umiera za nas!

- Nie. Ale Pierwszy Kwiat użył go do przekazania wiadomości, że rzeczywistość uległa zmianie. Tas zniknął. Choroba... choroba wyrobów wkrótce się zacznie. Musicie zostawić wszystkie przedmioty, które wymienił Pek Allen, i schronić się na pewien czas w swoich piwniczkach.

Największy z mężczyzn ruszył ku Enli, zaciskając dłonie w pięści. Albo otrząsnął się z niepewności, albo jej bluźnierstwa spotęgowały nie do wytrzymania jego ból głowy. Schylił

się po gruby kij.

- To, co mówię, należy do dzielonej rzeczywistości - rzekła pośpiesznie Enla.

- Oto znak Pierwszego Kwiatu w moich słowach: też byłam w górach Neury, jak wiecie. A mimo to nie zapadłam na chorobę. Spójrzcie na mnie! Nie jestem chora!

Mężczyzna z kijem nadal zmierzał w jej stronę. Enla nieomal już czuła cios spadający na jej głowę... i chciała umrzeć. Ale nie tak. Bo ich kapłan umieści ją w chemikaliach i szkle, na zawsze. Nie, nie umrze w ten sposób!

- Nie jestem chora! - wrzasnęła.

Pek Allen wyciągnął ku niej dłoń, lecz nie dosięgnął jej. Ponownie się zachwiał, tym razem jednak nie odzyskał równowagi i przewrócił się na drogę. Enli wydawało się, że upada bardzo powoli, jakby rzeczywistość czasu zmieniła się wraz ze wszystkim innym. Broń wypadła mu z ręki prosto w błoto.

- Zaczekaj, Riflit - odezwała się ta sama kobieta co przedtem. - Ona... ona nie wygląda na chorą.

Mężczyzna burknął coś, ale się nie zatrzymał.

- Zaczekaj, powiedziałam! - powtórzyła kobieta, a Enla zdała sobie sprawę, że ta para jest małżeństwem. Żona ostrym tonem kazała mężowi się wstrzymać, grożąc, że w przeciwnym razie będzie tego żałował po stokroć, i to przez dłuższy czas.

Tak jak Tabor kazał Enli zostawić kwietny ołtarz, aby mógł odbyć pokutę. Tyle że potem jego czas się skończył.

Riflit przystanął rozeźlony, nie wypuścił jednak kija.

Kobieta powiedziała znów:

- Ona nie wygląda na chorą. Może...

- Jest nierzeczywista! - wybuchnął Riflit. - Nadzór Rzeczywistości i Pokuty zdecydował, że musi umrzeć!

- W takim razie mnie zabij! - skorzystała ze swojej szansy Enla. - Chętnie umrę za przyniesienie tej wiadomości, podobnie jak umiera Ziemianin. Nie zapominaj jednak, że sam Pierwszy Kwiat oszczędził mi choroby gór Neury, bylebym mogła dostarczyć wam wiadomość. Dzielcie rzeczywistość mojej wiadomości!

Mężczyzna trzymający Estu powiedział niepewnie, z widocznym cierpieniem spowodowanym przez ból głowy:

- Jest skłonna zginąć w imię dzielenia z nią wiadomości. Riflicie... on także jest skłonny za to umrzeć... Dzielona rzeczywistość jest najsilniejsza pośród tych, którzy są skłonni oddać życie za innych...

- Och, sam już nie wiem! - wykrzyknął skołowany Riflit. - Jestem wieśniakiem, nie kapłanem!

Kobieta wystąpiła zdecydowanie naprzód.

- Nie zabijaj jej. Jeśli nie zapadła na chorobę gór Neury, to jest znak od Pierwszego Kwiatu. Musi być. Zawsze możemy ją zabić, gdy jednak zachoruje i wszystko, co powiedziała, okaże się nierzeczywiste.

- Ty również nie jesteś kapłanką, Imino! - rzucił Riflit. Ale nareszcie opuścił uniesiony kij.

Mężczyzna trzymający Estu wtrącił nieśmiało:

- Skoro oboje zgodzili się umrzeć za dostarczenie wiadomości... Śmierć za innych sprawia, że

rzeczywistość rozkwita nawet w nierzeczywistych, jak mawiała moja babka. A ona była kapłanką.

Enłę ogarnęło nagle zmęczenie. Opanowała je jednak, gdyż nie mogła wyglądać na chorą. Będą się jej uważnie przypatrywać, czekając na najlżejszy przejaw słabości czy choroby. Musi sprawiać wrażenie zupełnie zdrowej.

Pek Allen wymiotował niemrawo.

Enla przykucnęła przy nim, przytrzymała mu głowę i otarła usta, gdy już skończył.

Odpowiedział jej uśmiechem. Skóra na jego twarzy poczerwieniała jak od opania. Kiedy otworzył usta, by się odezwać, Enla zobaczyła, że język ma spuchnięty.

- Enlo, tu wy jesteście prawdziwi...

- Wy także, Davidzie - odparła, aczkolwiek później nie była pewna, czy faktycznie użyła jego dziecięcego imienia.

- Powiedz im... jak ochronić Świat... przed nami.

- Dajmy go tutaj - powiedział mężczyzna trzymający Estu, chyba jednak najwrażliwszy z całej trójki.

Podniósł Davida Peka Allena i położył go na wozie pełnym owoców drzewa zeli, gdzie już wdrapała się Enla. Imina i zaciekły Riflit unieśli drążki służące do ciągnięcia wozu i wolno go obróciwszy, rozpoczęli wędrówkę z powrotem na miejsce zbioru, gdzie byli wszyscy mieszkańcy, aby dzielić z nimi zmienioną rzeczywistość Świata.

25

Tunel Czasoprzestrzenny #438

Czternasta zero sześć czasu pokładowego. Za dwadzieścia sześć minut pierwszy myśliwiec wypadnie z Tunelu Czasoprzestrzennego #438 i momentalnie doń wróci. Zeus odczepi artefakt i rozpocznie walkę z wrogiem. Cztery minuty później pokaże się drugi myśliwiec, a po kolejnej minucie artefakt przekroczy wrota tunelu. Na mostku przebywali milczący członkowie zespołu do zadań specjalnych oraz oficerowie liniowi - wszyscy byli zapatrzeni w ekrany. W powietrzu dawało się wyczuć rosnące napięcie. Pancernik Fallerów drgnął.

- Szlag - zaklął major Lee, przerywając ciszę. - Komandorze, wróg zmienia pozycję.

Zmierza prosto na nas z dużym przyspieszeniem.

- Wyłączyć napęd - wydał rozkaz Peres. - Odłączyć artefakt.

- Tak jest - potwierdził major Lee. - Rozpoczynam wyłączanie napędu.

Syree uruchomiła program na podręcznym komputerze. Wiedziała, że tym razem przekonywanie

Peresa nic nie da - komandor nie zaryzykuje dodatkowego obciążenia w sytuacji, gdy zanosilo się na bezpośrednie starcie. Obiekt orbitalny numer 7 był teraz zdany tylko na siebie. Utracono szansę na dodatkowe dwadzieścia sześć minut przyśpieszenia.

Mimo to artefakt trafi do wrót tunelu tylko trzy koma cztery sekundy później, niż planowano, co nie było znaczącą różnicą. Chyba że ktoś zdąży go wcześniej wysadzić.

Przy wyłączonym napędzie sternik Zeusa odpalił boczne dysze, zmieniając tym sposobem kurs, wskutek czego artefakt zniknął z pola widzenia. Syree zamruła. Przez ponad pięć dni wielki, rozdęty Syzyfowy kamień przesłaniał im widok, a teraz nagle zniknął, gdy Zeus zmienił kierunek na rozkaz Peresa, aczkolwiek nie zszedł z kursu i poruszał się dalej z prędkością czterech tysięcy osmiuset sześćdziesięciu kilometrów na sekundę. Ustała również ciągła wibracja pod czaszką. Syree tak do niej przywykła, że przestała ją zauważać i obecny jej brak był przez to tym wyraźniejszy. Zeus nie musiał już pracować pod tak wielkim obciążeniem. Leciał teraz swobodnie, zmieniając kurs dzięki dyszom kierunkowym.

Zostało dwadzieścia pięć minut do pojawienia się pierwszego myśliwca. Trzydzieści do przejścia artefaktu.

Syree natychmiast się poprawiła: do próby przejścia.

- Pancernik wroga odpalił z pokładu ślizg - zameldował major Lee.

- Co...

- Ślizg mknie prosto w stronę tunelu. Pancernik zmierza wciąż na nas.

Syree zaczęła gorączkowo wklepywać dane, choć z góry znała wynik. Ślizg znajdował

się mniej niż trzysta kilometrów od tunelu. Wejdzie weń na długo przed artefaktem, któremu pozostało wciąż cztery i pół minuty. Gdy z tunelu wypadnie pierwszy myśliwiec, zostanie rozwalony w drobny mak. Ślizg przejdzie następnie przez tunel czasoprzestrzenny jakby nigdy nic, zmieniając jego konfigurację, tak że koniec końców artefakt przedostanie się do przestrzeni kontrolowanej przez Fallerów.

Pytanie tylko, czy ślizg pozostanie po drugiej stronie tunelu. Gdyby tak się stało, drugi myśliwiec zdoła przywrócić pierwotną konfigurację. Pokaże się i powróci w bezpieczne miejsce... podczas gdy statek Fallerów będzie nazbyt daleko, by dosięgnąć tunelu, zwłaszcza że wcześniej wda się w walkę z Zeusem.

Wówczas artefakt przedostanie się za drugim myśliwcem do systemu Kaliguli.

Tak.

Wtem Syree pomyślała o czymś jeszcze.

Jak długo działa tunelowa pamięć, o ile tak można ją nazwać? Tysiąclecia? Dłużej?

Ten, kto stworzył artefakt, uczynił to w określonym punkcie czasoprzestrzeni. Być może stało się to tutaj, w tym systemie. A być może nie. Może artefakt powstał gdzie indziej i został tutaj sprowadzony tunelem. Jeśli tak było, czy tunel czasoprzestrzenny mógł to „pamiętać” i teraz przywrócić go pierwotnemu systemowi?

Jeśli tak, wszystkie starania ludzi i Fallerów pójdą na marne.

Ale i tak mogą pójść na marne. Masa artefaktu najprawdopodobniej była zbyt duża, aby mógł on przejść przez tunel.

Chyba że obliczenia Ziemiaków były mylne. Chyba że jednak istniała owa nieznana zmienna, ów współczynnik tolerancji, owa pętla w równaniu.

Sfrustrowana i bezradna Syree mogła tylko patrzeć na ekrany. Obiekt orbitalny numer 7 sunął ku wrotom tunelu. Ślizg gwałtownie przyśpieszył w pobliżu tunelu. To miało sens -

potrzebna mu była ochrona alternatora fazy falowej, który najwyraźniej do funkcjonowania wymagał dużych prędkości. Pancernik Fallerów i Zeus leciały prosto na siebie. Gdzieś w systemie Kaliguli, pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd, a zarazem tylko po drugiej stronie Tunelu Czasoprzestrzennego #438, dwa myśliwce zmierzały ku wrotom tylko po to, by napotkać zaczajony na nie ślizg, gwałtowną śmierć, której sprawcy nawet nie zdążą zarejestrować. Chyba że jednak istnieje owa nieznana zmienna, ów współczynnik tolerancji, owa pętla.

Wynik nadal nie był przesądzony. Nie do końca. Wszystko było kwestią prawdopodobieństwa.

26

Góry Neury

Dieter Gruber przespał w płytkiej jaskini bite dwadzieścia godzin. Zanim się przebudził, Bazargan zdążył poczuć się trochę lepiej. Nie wymiotował już i potrafił ustać na nogach.

Anna rzekła z powagą:

- Obawiam się, że najgorsze dopiero przed tobą, Ahmedzie. W wypadku choroby popromiennej po początkowych objawach następuje remisja, która jednak nigdy nie trwa długo.

- Pozostańmy przy remisji, bez dodatkowych szczegółów - rzekł sucho Bazargan.

Właśnie odkrył, że jest w stanie utrzymać się na nogach, aczkolwiek kolana nadal miał jak z waty. - Domyślam się, że nastąpiło u mnie uszkodzenie tkanek i DNA. Na szczęście nie zamierzałem mieć więcej dzieci. Dzień dobry, Dieterze.

- Dzień? Znowu? - Gruber przysiadł w wylocie jaskini, mrugając zaspanymi oczami. -

Jak długo spałem?

- Dwadzieścia godzin - poinformowała Anna. - Teraz mamy już popołudnie.

- Co z Ahmedem?

- Poprawiło mi się - odparł Bazargan, połowicznie zgodnie z prawdą.

Wolnym krokiem opuścił jaskinię. Na otwartej przestrzeni niewielkiej górskiej doliny wyjął komunikator i spróbował nawiązać połączenie z Zeusem. Nadal bez skutku.

- Pozostaw połączenie aktywne - podpowiedział Gruber, stając mu za plecami. -

Dzięki temu jeśli i oni pozostawili połączenie otwarte, urządzenia będą mogły same się skomunikować, o czym natychmiast się dowiemy. Usłyszemy każdy dźwięk dobiegający z pokładu Zeusa.

- Taki miałem zamiar - rzekł Bazargan cicho.

Oczywiście Gruber nie złapał sarkazmu w jego głosie. Rozprostował potężne ramiona, ziewnął szeroko i roześmiał się.

- Umieram z głodu. Zostały nam jeszcze proszki żywieniowe, Anno? A potem pójdę się umyć w strumieniu. Największe odkrycie tego stulecia wymagało brudnej roboty.

- Hm, trudno na razie mówić o odkryciu - sprostowała Anna. - Nawet jeżeli się nie mylisz i zakopany artefakt faktycznie generuje pole prawdopodobieństwa...

- Nie myślę się! - wyszczerzył się do niej Gruber.

- ...odpowiedzialne za mechanizm dzielonej rzeczywistości u Światan, nie sposób przewidzieć, co się z nim stanie, gdy Syree Johnson wysadzi Tasa. Zakładając, że to robi. I zakładając, że oba artefakty faktycznie są splątane...

Gruber spoważniał.

- Masz rację. Ile czasu zostało do chwili, aż ci szaleńcy wejdą w tunel? Tak na oko?

Odpowiedzi udzielił mu Bazargan.

- Powinno to nastąpić jeszcze dzisiaj. Aczkolwiek nie wiemy, co właściwie dzieje się tam, w górze. Równie dobrze Tas może być od dawna w proszku. Albo po drugiej stronie tunelu. Albo...

Gruber wpadł mu w słowo, przyjmując z rąk Anny expando z rozmieszczanymi z wodą proszkami żywieniowymi.

- Z pewnością nie po drugiej stronie tunelu. Nie zmieści się. Jest na to za duży, mówiłem o tym nie raz. Syree Johnson podejmie tę próbę... o ile ją podejmie... z czystej desperacji.

Wypił miksturę jednym haustem. Tymczasem Anna powiedziała:

- Tas nie pokazał się na niebie minionej nocy. Sprawdziłam, kiedyście obaj spali.

Patrzyłam na niebo kilkakrotnie, gdy nie było chmur.

- Zatem - skwitował Bazargan - Zeusowi udało się przynajmniej zepchnąć go z orbity.

Sądzę, że najwyższa pora zdecydować, gdzie powinniśmy czekać na jego hipotetyczny wybuch. Dieterze, czy w tej jaskini będziemy bezpieczni?

- Tak - potwierdził Gruber. - Będziecie bezpieczni, ty i Anna. Bo ja, Ahmedzie, wracam do zakopanego artefaktu. Chcę zobaczyć, co się stanie, gdy jego odpowiednik w przestrzeni eksploduje miliardy kilometrów stąd. I czy będziemy mieli do czynienia z falą, o której mówiła doktor Johnson.

Bazargan spodziewał się czegoś podobnego. Sprzeciwił się łagodnie:

- To nie najlepszy pomysł, Dieterze. Sam powiedziałeś, że zejście tym kominem nie należało do najłatwiejszych. Ciężko było, prawda?

- Ahmedzie, wszystkie wielkie odkrycia wymagają poświęceń, które...

Anna mu przerwała.

- Jeśli tam wrócisz i zginiesz, nie będzie nikogo, kto by mógł przekonać zarząd Fundacji Uniwersytetu Transplanetarnego, że wydobycie zakopanego artefaktu jest warte poniesionych kosztów i konfliktu międzykulturowego. Ahmed i ja nie znamy się na fizyce.

Nawet ty znasz się na niej ledwie, ledwie. Bez ciebie ten artefakt pozostanie pogrzebany pod górami Neury po kres wszechświata.

Mówiąc, nie patrzyła w stronę Grubera, tylko z obojętną miną rozglądała się po rozstłonecznionej dolince. Jednakże Bazargan dostrzegł zdradzające jej napięcie drganie w zagłębieniu obojczyka. Anna zaryzykowała, byle powstrzymać Grubera przed kolejną niebezpieczną wyprawą. Bazargan uśmiechnął się w duchu na dwulicowość zakochanych kobiet i ten sekretny uśmiech był pierwszą dobrą rzeczą, jaka go spotkała od wielu dni. Dał

mu też nieoczekiwaną dziwną siłę. Nawet w obliczu zagłady światów ludzkie związki trzymały się mocno.

Poparł ją poważnym tonem:

- Obawiam się, że Anna ma rację, Dieterze. Jeśli podejmiesz drugą próbę zbadania tego artefaktu, pozostanie już na zawsze pogrzebany.

Gruber mruknął coś, co zabrzmiało jak szpetne niemieckie przekleństwo. Następnie ruszył w stronę strumienia, wołając przez ramię:

- Idę się umyć!

Bazargan porównał szanse na przywołanie go z powrotem z szansami na to, że artefakt wybuchnie w tym krótkim czasie, gdy Gruber będzie zanurzony w zimnym górskim strumieniu pod otwartym niebem. Ostatecznie zdecydował, że pozwoli geologowi odejść.

Liczył, że to pomoże mu ostudzić rozpaloną głowę.

- Wracaj do jaskini, Ahmedzie - powiedziała doń Anna.

- Dobrze. Ale zostawię tutaj komunikator, może uda mu się nawiązać połączenie z Zeusem. I nie wejdę zbyt głęboko, bo muszę go przez cały czas mieć w zasięgu słuchu. -

Zakładając, że będzie czego słuchać...

Oboje weszli na parę stóp pod nawis skalny. Anna przyniosła koce i zbudowała coś w rodzaju prowizorycznego posłania. Gruber dołączył do nich ubrany już w swój skafander.

Zarówno on, jak i jego skafander wydawali się tylko odrobinę czystsiej: warstwa zaskorupiałej szarości zmieniła się w szarość rozmazaną. Mimo to Dieter odzyskał dobry nastrój. Powymował i rozłożył w jaskini, a nawet przed wejściem do niej wszystkie swoje przyrządy, a potem wręczył Annie jaskrawoczerwony kwiat zerwany w dolince.

- To dla ciebie, *meine Blume*.

Anna się uśmiechnęła. Bazargan nie zmienił wyrazu twarzy. Znów czuł się gorzej, choć nie miał nudności.

- Siadaj, Dieterze. Siadaj i mów jeszcze raz, co twoim zdaniem stanie się z pogrzebanym artefaktem i jego „polem prawdopodobieństwa”, jeśli Tas zostanie wysadzony.

- Nie mam choćby mglistego pojęcia - odparł Gruber wprost. - Najmglistszego.

Naprawdę, Ahmedzie... Do wczoraj nawet nie wiedziałem, że w ogóle może istnieć coś takiego jak pole prawdopodobieństwa obejmujące zasięgiem całą planetę. A ty mnie pytasz, co się stanie z drugim artefaktem, oddalonym od tamtego o miliardy kilometrów, połączonym z nim lub nie, gdy tamten przejdzie lub nie przejdzie przez tunel czasoprzestrzenny.

- Nie masz nawet żadnych domysłów?

- Domysły mam, a jakże. Czemu by nie? Tas zapadnie się w czarną dziurę, a jego odpowiednik pod powierzchnią Świata zostanie zmuszony przez siły mechaniki kwantowej do przybrania stanu odwrotnego, zaś ty, ja i Anna zostaniemy nadmuchani i zamienieni w bogów. Będziemy zdolni do kontrolowania prawdopodobieństwa. Do przechodzenia przez ściany, rządzenia atomami i kochania się przez wiele dni z rzędu. Dlaczego by nie?

Anna patrzyła na niego z mieszaniną rozdrażnienia i rozbawienia, wzrokiem, jakim matka obdarza

wesołkowatego synka. Bazargan musiał sobie przypomnieć w duchu, że Gruber również działa w wielkim stresie.

- Dobrze, Dieterze. Już dobrze. Po prostu zaczekamy i przekonamy się w swoim czasie...

- Co innego nam pozostaje? - zapytał Gruber znacznie ciszej. - Nie rozumiem tej sytuacji, Ahmedzie. Żaden człowiek jej nie rozumie. Możemy więc tylko czekać.

27

Gofkit Rabloe

- Nie możecie czekać - powiedział David Pek Allen do kapłanki nachylającej się nad wozem. - Nawet minuty.

Enla widziała, jakim wstrętem napawa go ta rozmowa. Mimo to nie przestawał

mówić, wyrzucał z siebie słowa przez opuchnięte gardło, wyglądając przy tym tak, jakby sam już się nie kontrolował. I chyba faktycznie utracił kontrolę nad sobą.

- Ty oślizgła, zboczona, ohydna kreaturo... interesuje cię wyłącznie to, co może ci pomóc zyskać i utrzymać władzę, mam rację? Nawet w takiej sytuacji! Szkoda, że nie mogę cię zabić, rozszarpać, ty śmieciarska, wyzyskująca bliźnich potworna...

Kapłanka wpatrywała się w niego w milczeniu. Była to łagodna, dobiegająca do wieku średniego kobieta odziana z okazji zbiorów w zgrzebne szaty, z gałązkami i kawałkami mięszu owoców drzewa zeli poprzyczepianymi do tuniki. W zaawansowanej ciąży.

Zdumionymi brązowymi oczami wodziła od powalonego chorobą Ziemianina do nierzeczywistej Enli. Enla widziała, jak w kapłance na ich widok rodzi się ból głowy, widziała, ile kosztuje ją cała ta sytuacja.

- Jego słowa nic nie znaczą?...

- To ziemskie słowa - wyjaśniła Enla. - Przetłumaczę je na światański.

- Dobrze.

- Pek Allen mówi, że Pierwszy Kwiat przysłała jego i mnie jako... jako wiadomość.

To, że po wyjściu z gór Neury nie umieram jak on, jest znakiem, iż wiadomość faktycznie pochodzi od Pierwszego Kwiatu. To, że Pek Allen umiera w imię dostarczenia wiadomości, która ma ocalić Świat, jest znakiem, iż jest rzeczywisty.

Kapłanka skinęła głową z grzebieniami czaszkowymi zmarszczonymi bardziej niż zwykle. Starła się - Enla widziała wyraźnie - pojąć to, co usłyszała, a nie tylko przyjąć do wiadomości, ponieważ dzielona rzeczywistość nie pozostawiała niedomówień. Z jakiego innego powodu Ziemianin miałby

umrzeć, ratując wszystkich Światan, jak nie z tego, że dzielił potężniejszą nawet rzeczywistość? Nie znalazłby się na to mocniejszy dowód.

Jednakże nic podobnego nie miało nigdy miejsca w spokojnej wiosce Gofkit Rabloe ani też nikt taki jak Pek Allen nie był w niej widziany.

Wyraźnie bardzo cierpiał. Czerwone plamy pokazały się na jego twarzy, rękach, nawet tułowiu ledwie zakrytym poszarpanym przez skały odzieniem. Opuchnięty język mu czerniał, krwawa plwocina wypływała spomiędzy popękanych warg, gdy lżył służebnicę Pierwszego Kwiatu w nieznanym jej języku.

- Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? - dyszał ciężko Pek Allen. - Ani kto jeszcze spiskuje z tobą? Bazargan, Voratur, ta suka Syree Johnson... - Chciał usiąść, ale wymachując pięścią, stracił równowagę i znów opadł na dno wozu, gniotąc następne owoce drzewa zeli.

Wokół czerwonych plam jego skóra wolno ciemniała, co nie przypominało ani śladów gorączki, ani wielkiego gniewu. Zdaniem Enli wyglądało to tak, jakby Pek Allen żywcem gotował się od środka. Czy to właśnie góry Neury robiły tym, którzy się w nie zapuścili? Jej jednak, w skafandrze, który dostała od Peka Allena, nic się nie stało...

- Wszyscy jesteście potworami, spiskowcami, szkodnikami... wszyscy jesteście źli.

Dorwanie się do władzy, żeby uciskać innych...

- Pek Allen mówi - Enla zwróciła się znów do kapłanki - że trzeba koniecznie rozesłać tę wiadomość po całym Świecie. Natychmiast. Przekazać najbliższej wieży luster, że sprawa jest niezwykle pilna. Nieboza... straszna choroba... nadchodzi od strony nieba. Wszyscy muszą się schronić do piwniczek i zostać tam do odwołania. Inaczej czeka ich śmierć.

- Tak, śmierć! - pisał Pek Allen, tym razem po światańsku. - Wy wszyscy spiskowcy powinniście umrzeć! Ale nie umrzecie, ponieważ was ocalę, to moje brzemię, taka jest rzeczywistość... - Słowa przeszły w mamrotanie, w którymś momencie Pek Allen znów wrócił do ziemskiego. Enla powoli się w tym gubiła. Nie miała pewności, co tak naprawdę rozumie ta prosta wiejska kapłanka o nabrzmiętym brzuchu i łagodnych zdumionych ciemnych oczach.

Coraz więcej wieśniaków tłoczyło się przy wozie, nadciągali wciąż nowi, których podczas zbiorów dosięgła wiadomość. Każdy Światanin zerkał na Peka Allena i cofał się z przerażeniem, po czym był informowany przez sąsiada o zmianie w dzielonej rzeczywistości.

Wówczas zbliżał się do wozu ponownie, już ostrożniej, z grzebieniem czaszkowym nastroszonym od bólu głowy, aby przyjrzeć się lepiej Ziemianinowi będącemu darem od Pierwszego Kwiatu.

Pek Allen znalazł w sobie siły, by podnieść prawą rękę. Uczynił dziwaczny gest w powietrzu, poruszając ręką najpierw w dół, a potem w poprzek.

- Błogos... - Jego powieki opadły.

Enla wiedziała, że wciąż żyje. I nie przestaje gotować się żywcem od środka.

Odezwała się kapłanka, mówiąc z takim samym góralskim akcentem jak wieśniacy.

- Pek Harit, Pek Yillatir i ty, Unu... Biegnijcie do Gofkit Beslo. Pek Tarbif...

Enla przerwała jej pośpiesznie:

- Nie, zaczekaj. To jeszcze nie wszystko... Nieboza sprawi, że pewne przedmioty staną się niebezpieczne. Nie mniej groźne od gór Neury. Nikomu nie wolno ich zabrać ze sobą do kryjówek. Nikomu. Przedmioty te to... Peku Allenie?

Zemdlał - albo zasnął, albo jego organizm doznał szoku. Spuchnięte wargi mu pękały i zaczynały obficie krwawić na oczach Enli. Odwróciła się, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć, co jeszcze powiedział Pek Gruber.

- Ozdoby - zaczęła wyliczać. A może Pek Gruber powiedział tylko: złote ozdoby?

Enla nie pamiętała dokładnie, lecz to nie miało znaczenia. - Wszystkie ozdoby. Garnki do gotowania. Kwiaty, kwiaty ku pamięci... - Pek Gruber rzekł o tych ostatnich po ziemsku: „W

ich elementach szklanych płynie rtęć”, co dla Enli nie nosło żadnego znaczenia, ale tym także nie zamierzała się przejmować. - I... i wszystkie kamienie, które błyszczą albo świecą w ciemnościach. To bardzo ważne!

- Oby twoje kwiaty rozkwitały wiecznie, Pek Brimmidin - odezwała się kapłanka.

- Oby twoje kwiaty cieszyły twoją duszę - odparła Enla i nagle zmęczona twarz niemłodej kapłanki rozmyła się jej w oczach.

- Zatem dobrze - rzekła kapłanka wciąż tym samym łagodnym tonem. Nikt jej się nie sprzeciwił. Taka była dzielona rzeczywistość. - Słyszeliście, jakich przedmiotów nie wolno zabierać do piwnic. Pek Harit, Pek Yillatir i ty, Unu... Biegnijcie do Gofkit Beslo. Pek Tarbif... Masz nowy szybki rower, jedź główną drogą na południe aż do domostwa Pek Rafhil, ona przekaże wiadomość do wieży luster w Gofkit Amloe. Ty, Unja, pedałuj do domostwa Cannihifów...

W ciągu paru minut rozesłała wszystkich gońców. Enla mogła mieć pewność, że za kilka godzin groźna nieboza stanie się dzieloną rzeczywistością na całym Świecie. Pierwsi gońcy przekażą wiadomość następnym, tamci roześlą kolejnych i nikt nie będzie zadawał

żadnych pytań.

Co do tego Enla również nie miała najmniejszych wątpliwości. Wiadomość pochodziła od Pierwszego Kwiatu. Taka była dzielona rzeczywistość.

Deszcz, który nie ustał ani na moment, nagle rozpadał się jeszcze mocniej. Niewysoka kapłanka ujęła Enlę pod ramię. Enla dopiero wtedy zorientowała się, że przy wozie zostały tylko we dwie.

- Jestem Aza Pek Laridor, sługa Pierwszego Kwiatu. Chodź ze mną, Pek Brimmidin.

Zaciągniemy wóz do mojego domostwa, gdzie ty i... Ziemianin posilicie się, zanim zejdziemy do piwnicy. Zostało od śniadania trochę zupy, a wczoraj babka upiekła świeży chleb.

Chodźmy.

Enla ruszyła za nią, potykając się o błotniste grudy w drodze ku ciepłu i odpoczynkowi.

28

Tunel Czasoprzestrzenny #438

Czternasta trzydzieści jeden. Zeus i pancernik Fallerów zmniejszyły dystans dzielących ich dziewięciu milionów kilometrów. Zeus ponownie uruchomił pełny ciąg.

Poruszając się z prędkością osiągniętą dzięki długiemu przyspieszaniu, mógłby z łatwością umknąć jednostce Fallerów, lecz myśl o ucieczce nie zagościła nawet na moment w głowie Peresa. Wojna to wojna. Wydał rozkaz zatoczenia szerokiego łuku, dzięki czemu oba okręty miały wkrótce wejść w pole wzajemnego rażenia.

Pozostało pięćdziesiąt sekund do pojawienia się pierwszego myśliwca z systemu Kaliguli.

Na mostku znów rozległy się ludzkie głosy - spokojne i bezosobowe. Zdaniem Syree brzmiały tak, jakby każda z tych osób była oddzielnym terminalem dostarczającym dane, działającym w połączeniu z resztą, lecz na nie do końca kompatybilnym oprogramowaniu.

Ślizg Fallerów orbitował wokół wrót z dużą prędkością w odległości jakichś trzydziestu kilometrów od mgławicowych paneli, z których składała się widoczna część maszynierii tunelu czasoprzestrzennego. Czterdzieści sekund. Syree sięgnęła po swój podręczny komputer. Jednakże kiedy już miała go w dłoni, zdała sobie sprawę, iż brakuje jej danych, jakie mogłaby doń wprowadzić. Wszystkie informacje na temat artefaktu - wszystkie znane im informacje - znajdowały się już w pamięci urządzenia oraz biblioteki pokładowej.

Znaczna ich część została też przesłana na pokładzie Hermesa do systemu Kaliguli. Wraz z wszelkimi wyrywkowymi danymi na temat alternatora fazy falowej Fallerów, Tunelu Czasoprzestrzennego #438, a nawet pozbawionej całkowicie znaczenia wyprawy antropologów na powierzchnię zamieszkaną planety. Poza tymi wiadomościami nie było żadnych nowych. Pozostawały jednak spekulacje.

Można było na przykład rozważyć strumień neutrin z gór Neury. Jak dotąd nigdy nawet nie brali go pod uwagę. Zapewne była to jakaś anomalia wynikająca z układu warstw skał promieniotwórczych bądź samej budowy planety... Syree nie znała się ani na geologii, ani na kosmologii, ale strumień neutrin mieścił się w granicach normy dla skał

promieniotwórczych planety o tej masie - jedynie jego koncentracja w górach Neury była nietypowa. Lecz skoro pole radioaktywne występowało na planecie tylko lokalnie i nie miało żadnego wpływu

ani na artefakt, ani na żaden inny obiekt znajdujący się na orbicie, Syree pozostawiła jego badanie wiecznie wyszczerzonemu prostackiemu geologowi z zespołu naziemnego. Doktorowi Gruduerowi czy Grulerowi albo jakoś tak... Minerale promieniotwórcze nie wchodziły w zakres misji zleconej Syree Johnson.

Trzydzieści sekund.

Z tym że obiekt orbitalny numer 7 emitował tę swoją falę i zmieniał naturę wiązań jądrowych, co oczywiście było definicją radioaktywności. Dlaczego nikt wcześniej nie wpadł, że jedno z drugim ma związek? Dlaczego Syree na to nie wpadła? Zbyttno się skupiła na samym artefakcie oraz działała pod presją czasu wywołaną przez nadciągającego wroga.

Prowadziła badania naukowe w stanie wojny, a wojna, jak wiadomo, hamuje nie tylko czyny, ale i myśli.

Dwa czynniki mają wpływ na stabilność jądra atomowego. Oddziaływanie silne przyciąga do siebie wszystkie protony i neutrony, natomiast odpychanie elektryczne występuje tylko między protonami. Jako że oddziaływanie silne zmniejsza się wraz z rosnącą odległością szybciej niż odpychanie elektryczne, w wypadku jądra atomowego przekraczającego pewien rozmiar oddziaływanie silne zawsze „przegrywa”. Takie jądra nie mają wystarczającej energii wiążącej je razem, a zatem są niestabilne. Wiedza ta zaliczała się do zupełnych podstaw i Syree Johnson rzadko do niej wracała. Tak po prostu jest i już. Tak wygląda rzeczywistość.

Dwadzieścia sekund.

Jednakże czasami promieniowanie jest emitowane przez cząstki wbrew ograniczeniom narzuconym przez energię wiązań. Bez przerwy dochodzi do zdarzeń na poziomie kwantowym odbywających się poza progiem potencjalnym reakcji, aczkolwiek oczywiście żadne nie może zostać przewidziane ani kontrolowane. Na tym zasadza się istota teorii kwantowej, w której rzeczywistość oparta jest nie na pewności, lecz na prawdopodobieństwie.

Część pola prawdopodobieństwa danego jądra zawsze znajduje się poza spodziewanym zasięgiem, a więc dajmy na to, emisja cząstki alfa odbywa się pomimo oddziaływania silnego w jądrze. Jądro czasowo się destabilizuje. W istocie falę emitowaną przez obiekt orbitalny numer 7 można było zinterpretować jako zjawisko wpływające na teoretyczne pole prawdopodobieństwa wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu rzeczoności obiektu. Zatem normalnie stabilne atomy - czy raczej względnie stabilne - ulegały destabilizacji. Właśnie to zabiło Daniela Austena. Niezwykła koncentracja zdestabilizowanych atomów.

Takich, jakie wykryto w górach Neury za pomocą detektora neutrin.

Dziesięć sekund.

Syree tkwiła w bezruchu za długo. Dwie sekundy, trzy. Nie, to niemożliwe. Co gorsza, nie dało się wykazać, czy to możliwe czy nie. Matematyka zawodziła. Teoria zawodziła. Nikt nigdy nie zidentyfikował znajdującego się pod kontrolą pola prawdopodobieństwa, nie mówiąc o stworzeniu

go. Lecz czy nie tym właśnie, na podstawowym poziomie, jest alternator Fallerów? Sprawił, że strumień cząstek z Zeusa pozostał falą, jakiej nie da się śledzić. Innymi słowy alternator fazy falowej był w stanie zmanipulować rzeczywistość. Ale tylko na określonej przestrzeni, na przykład w bezpośredniej bliskości ślizgu, gdyż inaczej mogłaby ucierpieć materia czasoprzestrzeni, nie wyłączając węzła zajmowanego przez Zeusa. Do czego nie doszło.

Czyżby więc zmiany w prawdopodobieństwie spowodowane przez radioaktywną

„falę” emitowaną przez obiekt orbitalny numer 7 miały jakiś związek z koncentracją neutrin stwierdzoną w górach Neury? Czyżby istniał między jednym a drugim związek przyczynowo-skutkowy? A może obiekt orbitalny numer 7 i stwierdzony na powierzchni planety strumień neutrin są w jakiś sposób splątane na poziomie kwantowym, podobnie jak splątane są dwa końce tunelu czasoprzestrzennego, aby zlikwidować między nimi jakąkolwiek odległość?

A jeśli artefakt - niegdyś księżyc planety! - i góry Neury są splątane w skali makro, jak silny jest to związek? Teraz artefakt znajdował się miliardy kilometrów od gór Neury.

Czy to, co spotka jedno, będzie oddziaływać także na drugie? W wypadku splątania kwantowego odległość nie grała roli.

- Myśliwiec numer jeden opuszcza tunel - zameldował major Lee. - Komandorze... O

mój Boże!

Jednostka pojawiła się zgodnie z planem, wyrastając u wrót tunelu jak obiekt stworzony dokładnie w tej sekundzie. W następnej sekundzie ze ślizgu czatującego przy wrotach wystrzelił promień. Myśliwiec wyparował, a jego oprawca zniknął w tunelu.

- Myśliwiec został zniszczony - zameldował major Lee. Przy ostatnim słowie głos zaczął mu się załamywać.

- Otworzyć ogień do pancernika wroga - wydał rozkaz Peres.

- Otwieramy ogień... Trafienie, sir. Dystans ponad pięć.

Dystans ponad pięć oznaczał, że nie byli w stanie uszkodzić wrogiej jednostki.

Pancernik dopiero wchodził w pole rażenia, o czym Peres doskonale wiedział. Syree uznała, że rozkaz otworzenia ognia był zwykłym odruchem zemsty. Było nie było, przed chwilą zginął pilot myśliwca. Na miejscu komandora Syree Johnson postąpiłaby tak samo.

Pozostały trzy minuty i czterdzieści sekund do pojawienia się drugiego myśliwca.

Peres gapił się na artefakt mknący w stronę Tunelu Czasoprzestrzennego #438, w którego pobliżu znowu krążył wrogi ślizg, wyłoniwszy się z wrót.

- Wysadzić obiekt - rzucił Peres do majora Lee. - Natychmiast.

- Nie, czekajcie! - krzyknęła Syree. Potrzebowała czasu na zastanowienie, na obliczenia... Jeżeli artefakt to generator dającego się kontrolować pola prawdopodobieństwa, musi być za wszelką cenę ocalony i wykorzystany, jest niezastąpiony, by go stracić czy to na rzecz wroga, czy w wyniku wybuchu.

- Wysadzam obiekt - potwierdził major Lee i na oczach Syree wklepał komendę ręcznego odpalenia ładunków.

Nic się nie stało.

Artefakt nadal mknął z prędkością czterech tysięcy osmiuset sześćdziesięciu kilometrów na sekundę w stronę tunelu czasoprzestrzennego, obecnie niecałe cztery minuty drogi od wrót.

- Do cholery, kazałem wam go wysadzić! - zaczął się pieklić Peres.

- Wykonałem pański rozkaz! Powtarzam czynności... powtarzam... Nic z tego, komandorze! To znaczy, mam raport zwrotny o wybuchu, przyrzędy twierdzą, że doszło do eksplozji, ale nijak nie zaszkodziła artefaktowi. I nie ma nawet szczątkowej fali... zupełnie nic. Jak gdyby eksplozja miała miejsce i równocześnie nigdy się nie zdarzyła... albo jakby fala skierowała się całkiem gdzie indziej!

Poza próg potencjalny reakcji, pomyślała Syree. W innej rzeczywistości. Obrona doskonała.

Ponownie odezwał się major Lee:

- Pozostało sto pięćdziesiąt sekund do pojawienia się drugiego myśliwca. Dwieście dziesięć sekund do chwili dotarcia artefaktu do wrót... sto czterdzieści pięć sekund...

- Zmiana kursu! - krzyknął nagle Peres. - Prosto na wrota, przyśpieszenie pięć g, przygotować się do otwarcia ognia.

- Potwierdzam zmianę kursu. Przyśpieszenie...

Gwałtowne przyśpieszenie wcisnęło Syree w fotel. Peres podjął ostatnią próbę ocalenia drugiego myśliwca. Później wróci, by zmierzyć się z pancernikiem Fallerów, który w obecnej chwili znowu znajdował się bliżej tunelu dzięki zatoczonemu przez statek Ziemi szerokiemu łukowi. Teraz obowiązkiem Peresa, w jego własnym mniemaniu, było zaatakowanie ślizgu, skoro nie mógł wykorzystać artefaktu do jego zniszczenia. Syree doskonale знаła tok rozumowania komandora. Może ten ślizg, w przeciwieństwie do poprzedniego, nie jest wyposażony w alternator fazy falowej. Może uda się go zestrzelić, uratować życie pilotowi drugiego myśliwca i przepchnąć artefakt do systemu Kaliguli...

Peres stawiał wszystko na jedną kartę, jak desperat liczył na łut szczęścia, na nieoczekiwany zwrot prawdopodobieństwa. Syree, wtłoczona w fotel, usiłowała zaczerpnąć tchu. Wiedziała, że nie mogą utrzymać takiego przyśpieszenia i przeżyć. Ale pozostało już tylko dziewięćdziesiąt sekund, osiemdziesiąt pięć...

Nie była w stanie nic powiedzieć. Siła zgniatająca jej płuca i gardło wydusiła z niej całe powietrze.

Ale nadal słyszała. Jej komunikator, solidniejszy niż ludzka tkanka, ożył w wybuchu staticu, po czym rozległ się głos Bazargana. Kiedy doszło do połączenia? Czy wtedy, gdy nie udała się detonacja artefaktu? A może gdy następowało rozłączenie artefaktu z Zeusem? Czy jeszcze wcześniej? Nie sposób było tego stwierdzić. Ani odpowiedzieć - przy tej odległości opóźnienie w komunikacji wynosiło pięćdziesiąt cztery minuty. Syree mogła więc jedynie przysłuchiwać się słowom, które padły przed prawie godziną.

- Doktor Johnson? Doktor Johnson? Co się dzieje? Proszę posłuchać, dokonaliśmy odkrycia, jest coś pogrzebane w górach Neury...

Nacisk na pierś Syree zelżał. Major Lee - albo system bezpieczeństwa okrętu -

zmniejszył przyśpieszenie w celu ratowania załogi. Syree poczuła, jak gałki oczne ją pieką i wyłazą na wierzch, gdy nieoczekiwanie przestały być wciskane w głąb czaszki z pięciokrotnym przeciążeniem.

Pozostało siedemdziesiąt sekund do pojawienia się drugiego myśliwca.

- ...uważa, że to jakiś rodzaj pola prawdopodobieństwa i że może być połączony z Tasem.. z artefaktem, który holujecie do tunelu czasoprzestrzennego. Dieter jest tutaj, on wyjaśni wszystko lepiej niż ja...

Syree próbowała się odezwać, lecz okazało się to niemożliwe. Zresztą nie miała właściwie nic do powiedzenia.

Pięćdziesiąt sekund.

- Doktor Johnson. Mówi Dieter Gruber. Jest tam pani?

Na ekranie przed nią pancernik Fallerów zaczynał nabierać prędkości, zmierzając ku tunelowi na pełnej mocy. Zapewne aby zniszczyć Zeusa, zanim ten zaatakuje ślizg.

- *Scheisse*, co ja robię? Przecież oni są godzinę świetlną stąd. Ahmedzie, nic dziwnego, że Zeus nam nie odpowiada.

Odpowiada... Nie, Syree nie odpowie, być może już nigdy nie odpowie. Wielka szkoda, chętnie by popracowała nad tym nowym fascynującym zagadnieniem, nad polem prawdopodobieństwa zwiększającym możliwość wystąpienia reakcji nuklearnej tylko w określonej odległości i w wybranych atomach.... Zdumiewające. Bez precedensu. Po prostu nowa rzeczywistość.

- Ognia! - rzucił krótko Peres.

Wiązka protonowa wystrzeliła z Zeusa, gdy statek wciąż pędził z wielkim przyśpieszeniem w stronę wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #438. Wybałuszone przekrwione oczy rozpaczliwie próbowały zakomodować się na ekranach. Promień trafił w ślizg... i przeszedł przez niego.

Nie, poprawiła się w myślach Syree. Przeszedł przez inną konfigurację materii, z innym

prawdopodobieństwem, że zostanie „zaobserwowana”. „Wytropiona” „Przejęta”. I nie...

Maszyna Fallerów pomknęła w stronę wrót i po pół minucie zniknęła w tunelu.

Po dziesięciu sekundach wróciła.

Za nią wyskoczył z tunelu myśliwiec.

Czekający nań ślizg natychmiast otworzył ogień. A potem ponownie wleciał do tunelu.

- Potwierdzam otwarcie ognia do artefaktu - zameldował major Lee, a Syree zdała sobie sprawę, że nie słyszała Peresa wydającego rozkaz, choć oczywiście musiał to zrobić.

Detonatory nie zadziałały, ale wiązka protonowa z Zeusa... Prawdopodobieństwo wynosiło...

Wiązka wystrzeliła z burty okrętu, przecięła przestrzeń z prędkością światła i uderzyła w artefakt. Nic się nie wydarzyło. Czternaście sekund później obiekt orbitalny numer 7

wleciał w niewidoczne wrota Tunelu Czasoprzestrzennego #438. Promień Schwarzschilda nie ma nic wspólnego z prawdopodobieństwem. Nie jest tak, że czasem obowiązuje, a czasem nie. Obiekt orbitalny numer 7, zbyt wielki, aby jego przejście przez tunel było możliwe, najpierw zapadł się w sobie, a potem implodował, aczkolwiek przedtem wysłał we wszystkich kierunkach potężną falę - do tego został stworzony. Uczynił to, aby bronić się przed napastnikiem zbyt potężnym nawet jak na niego. Była to prosta kwestia równań, bez nieznanymi zmiennymi, bez pętli, bez współczynników tolerancji. Bez anomalii leżących poza progiem potencjalnym reakcji.

Fizyka klasyczna, nie kwantowa, przyczyniła się do końca artefaktu.

Pancernik Fallerów, znajdujący się najbliżej, oberwał pierwszy. Syree widziała skutek uderzenia na ekranach. Wroga jednostka rozbłysła, jaśniejac coraz bardziej, aż wreszcie eksplodowała trylionem maleńkich bomb atomowych, jakimi się stała. Fala przemieszczała się z prędkością światła, lecz jak pokazała katastrofa wahadłowca Daniela Austena, obowiązywało ją również prawo odwrotnej proporcjonalności. Zeus znajdował się znacznie dalej niż statek Fallerów. Syree łudziła się, że wystarczająco daleko, by fala przed dotarciem doń zdążyła osłabnąć... albo przy maksymalnej mocy wpłynąć wyłącznie na pierwiastki o liczbie atomowej niższej niż siedemdziesiąt pięć.

Żałowała głównie tego, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie pozna prawdy.

Komunikator odezwał się zdegustowanym głosem Grubera (tak, tak brzmiało jego nazwisko: Gruber):

- Ahmedzie, nie zdołamy się z nimi skontaktować.

Nie, przyznała mu w duchu rację pułkownik doktor Syree Johnson. Albowiem jesteście gdzie indziej - bądź niebawem tam będziemy. Ułamek sekundy później poczuła, jak jej wargi układają się mimowolnie w uśmiech, odsłaniając zęby, gdy fala - ani trochę nie słabsza mimo przebytej odległości - uderzyła w Zeusa i momentalnie niszcząc wszystkie jądra od pewnej liczby atomowej wzwyż, doprowadziła do jego unicestwienia.

A potem pobiegła dalej we wszystkich kierunkach.

Syree Johnson i jej zespół fizyków nie mylili się: fala generowana przez obiekt orbitalny numer 7 przy niższej mocy podlegała prawu odwrotnej proporcjonalności. Broń ta została zaprojektowana, aby mogła niszczyć rzeczy w bezpośrednim zasięgu, nie wyrządzając niepotrzebnej szkody innym, znajdującym się dalej.

Jednakże ustawienie jej na pełną moc to zupełnie co innego. Cała energia była wykorzystywana tylko wówczas, gdy broń napotkała siłę zdolną jej zagrozić, a więc faktycznie przepotężną. Coś takiego musiało ulec zniszczeniu bez względu na odległość.

Po czternastu minutach i dwu sekundach fala dotarła do najbliższej planety w tym systemie gwiazdnym. Światanie, obserwujący ten glob na swoim niebie, nazywali go Nimitri, czyli Siostrzanym Kwiatem. Nijaki, pokryty lodem, pozbawiony atmosfery okruch kosmicznej skały był bogaty w iryd i platynę, a zwłaszcza w tor i uran. Jądra atomowe pierwiastków w tych złożach, podobnie jak wszystkich innych zawierających więcej niż siedemdziesiąt pięć protonów, uległy destabilizacji. Znacząco wzrosło prawdopodobieństwo, że każde jądro wyemituje w dowolnym momencie falę radioaktywną. Rozpad promieniotwórczy nabrał gwałtownie tempa.

Gdy zjawisko ustąpiło, Nimitri była najbardziej promieniotwórczym obiektem w całym systemie - dwadzieścia dziewięć razy silniejszym od innych źródeł. Na razie. Jednakże na tej planecie nie istniało życie, które mogłoby odnotować lub choćby odczuć ten fakt.

Następnie fala pomknęła w stronę Świata.

29

Góry Neury

Po południu, które ciągnęło się niemiłosiernie, Bazargan leżał na prowizorycznym postaniu z wszystkich koców złożonych na kupę tuż za wejściem do jaskini, natomiast Anna z Gruberem siedzieli w pewnym oddaleniu od niego, rozmawiając ściszymi głosami.

Bazargan nie potrafił wychwycić poszczególnych słów. Po zastanowieniu uznał, że to dobrze.

Jeśli bowiem rozważali skutki nadciągającej fali, on czuł się zbyt słabo, aby śledzić niewątpliwie skomplikowane spekulacje. Jeśli zaś ich rozmowa dotyczyła spraw prywatnych, tym bardziej nie miał powodu jej słuchać.

Musiał postanowić, co zrobią, kiedy fala w końcu nadejdzie. Przecież nadal był

dowódcą tej nieszczęsnej wyprawy. Z lekka przysmażonym przez promieniowanie dowódcą wyprawy, w której skład wchodziła dwójka martwych dzieci, jeden zaginiony szalony Ziemianin oraz jedna porwana Obca - obecnie najpewniej również zaginiona i także szalona z powodu kontaktu z niezrównoważonym Ziemianinem bądź własnej fizjologii.

Starożytni perscy poeci nie napisali poematu, który można by zacytować w podobnej sytuacji. Chyba że byłoby się skłonny nieco ją naciągnąć. Sadi na przykład pisał: *Gdy serce wyrusza w poszukiwaniu zmian, w zaciszu samotności nie znajdzie ni spokoju, ni zalet...*

Czysta prawda! Porzucił zacisze akademii dla pracy badawczej w terenie i w obecnej chwili brakowało mu zarówno spokoju, jak i zalet.

A może - ta myśl uderzyła go nagle - zrobił się za stary, by pracować w terenie? Ten los prędej czy później spotykał każdego antropologa...

- O czym myślisz, Ahmedzie? - zapytała Anna, wykazując się zwykłą dla niej wrażliwością. Gruber powiódł dokoła nieprzytomnym wzrokiem; oddał się teoretyzowaniu i jak zwykle zapomniał o bożym świecie.

Bazargan odpowiedział:

- Zastanawiałem się, co powinniśmy zrobić, gdy fala przeminie. O ile pozostaniemy przy życiu.

- Wyjdziemy z tych gór. Wezwiemy Zeusa, odnajdziemy Davida, opuścimy Świat i przekonamy decydentów na Ziemi, by przysłano tu należycie wyposażoną ekspedycję w celu odkopania pogrzebanego artefaktu.

- W twoim ustach brzmi to bardzo prosto, Dieterze...

- Nie twierdzę, że to będzie proste!

Do rozmowy włączyła się Anna.

- Bez wątpienia będziemy musieli wyjść z gór. Ale ty, Ahmedzie, nie zdołasz wrócić drogą, którą się tu dostaliśmy. Jesteś na to zbyt chory. - I zbyt przerażony, by wejść do tamtego chodnika, dodał w myślach Bazargan. Był wdzięczny Annie, że nie powiedziała tego na głos. Tymczasem ona kontynuowała: - Dieter uważa, że znajdzie inną trasę w oparciu o swoje ostatnie wędrówki. Pójdzie przodem, zrobi rozeznanie i wróci po nas.

- Świetnie - przystał na tę propozycję Bazargan. - Najpierw jednak... - urwał nagle. -

Słyszycie? To komunikator...

Od strony komunikatora, pozostawionego na otwartej przestrzeni nieopodal wejścia do jaskini, dochodziły jakieś szумы. Bazargan z trudem podniósł się na nogi i wspierany przez Grubera wypadł w szarówkę kończącego się popołudnia. Anna uprzedziła go i schyliła się po komunikator, po czym mu go podała.

- Doktor Johnson? Doktor Johnson? Co się dzieje? Proszę posłuchać, dokonaliśmy odkrycia, jest coś pogrzebane w górach Neury... - Bazargan zrozumiał, że musi się streszczać; nie można było przewidzieć, jak długo potrwa połączenie. - Doktor Gruber uważa, że to jakiś rodzaj pola prawdopodobieństwa i że może być połączony z Tasem... z artefaktem, który holujecie do tunelu

czasoprzestrzennego. Dieter jest tutaj, on wyjaśni wszystko lepiej niż ja...

Gruber przejął od niego komunikator.

- Doktor Johnson. Mówi Dieter Gruber. Jest tam pani?

Żadnej odpowiedzi.

- *Scheisse*, co ja robię? Przecież oni są godzinę świetlną stąd. Ahmedzie, nic dziwnego, że Zeus nam nie odpowiada.

- Miliard kilometrów - rzuciła stojąca z boku Anna.

Zdegustowany Gruber skomentował:

- Ahmedzie, nie damy rady się z nimi skontaktować. Co najwyżej możemy złożyć raport.

- No to do roboty - zachęcił go dowódca wyprawy. - Po wszystkim nie wyłączaj komunikatora.

Wrócił na koce do jaskini. Anna i Gruber pozostali na zewnątrz. Bazargan widział, jak podają sobie komunikator z rąk do rąk, raportując, co zauważyli, odkryli, wymyślili. Poprzez mgłę słabości słyszał tylko co któreś słowo. Skan Lagerfelda. Pole prawdopodobieństwa.

Egzocytotyczne wydzielanie substancji przekaźnikowej. Pogrzebany artefakt. Tunel czasoprzestrzenny, pole toroidalne, rozpad beta...

Tak. Zdecydowanie był za stary na badania w terenie.

Zapadł w niespokojny, nie przynoszący ulgi sen chorego. Gruber przebudził go, wołając od wejścia jaskini:

- Ahmedzie! Ahmedzie! Syree Johnson odezwała się przez komunikator. Powiedziała:

„Doktorze Gruber, tu Syree Johnson”, po czym umilkła. Ona...

Ryk: kataklizmowy, wybuchowy. Był tak donośny, że komunikator z tworzywa aż podskoczył na podłożu dolinki. Bazargan słyszał, jak rozlega się echem we wnętrzu jaskini za jego plecami, a po chwili znowu, tylko że na zewnątrz, odbijając się od skalnych ścian.

Później zaległa cisza.

Po jakimś czasie Bazargan szepnął:

- To chyba Zeus. Oni wszyscy... nie żyją...

Gruber rzucił:

- Schrońmy się głębiej w jaskini. Natychmiast. Fala przemieszcza się z prędkością światła.

Cała trójka cofnęła się głęboko pod nawis skalny. Bazargan starał się nie myśleć, co będzie, jeśli fala wywoła trzęsienie ziemi w skali planetarnej i strop jaskini się zapadnie. Ale czy to nie powinno nastąpić równocześnie z otrzymanym przekazem? Nie, Gruber wspominał

coś o opóźnieniu...

Opadli wszyscy na podłóżę jaskini i czekali, co będzie dalej.

Nic się nie wydarzyło.

W którymś momencie Anna przerwała milczenie:

- Sama nie wiem, czego się spodziewałam... błysku, grzmotu, ruchu...

- Patrzcie! - odezwał się podekscytowany Gruber. - Mój skafander... niczyj skafander nie rejestruje podwyższonego promieniowania! Gdyby fala rzeczywiście destabilizowała wszystkie pierwiastki o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć, promieniowanie śladowe w tych górach powinno podskoczyć... tymczasem nic takiego się nie stało! *Nichts!*

- Co to oznacza? - zapytała Anna.

- Muszę sprawdzić odczyty przyrządów - odrzekł, wstając.

- Nie teraz! - odezwał się ostrym tonem Bazargan. - Przyrządy masz na zewnątrz. Przy opóźnieniu wystawisz się na niebezpieczeństwo. Zaczekaj tu z nami...

Gruber niechętnie usiadł z powrotem. Minęło parę minut. W końcu nie wytrzymał i spytał:

- Jak długo mam czekać?

Anna zachichotała. Obaj mężczyźni popatrzyli na nią oburzeni.

- Przepraszam - rzekła szybko, przerażona swoją reakcją. - To okropne, wiem, ale przypomniła mi się moja matka przestrzegająca nas, byśmy nie szli pływać, zanim upłynie godzina od posiłku!

Matka Bazargana mówiła to samo. Dowódca wyprawy uśmiechnął się wbrew sobie.

- Na pewno nie będę czekał godziny! - wybuchnął Gruber.

I nie czekał. Wstał raptownie, posłał Bazarganowi ostrzegawcze spojrzenie i wymaszerował na zewnątrz.

Po dziesięciu minutach wrócił.

- Sprawdziłem wszystkie przyrządy - poinformował. Nawet w słabym oświetleniu Bazargan widział podniecenie na jego zaczerwienionej twarzy. - W całej dolince. Żaden nie zarejestrował podwyższonego promieniowania takiego czy innego rodzaju, nawet tuż przy niewielkim złożu toru!

Nie wzrosła też temperatura ani nic! Fala nas ominęła!

Bazargan stwierdził:

- Może straciła moc, zanim tu dotarła.

- To możliwe. Prawo odwrotnej proporcjonalności... Ale to nie wszystko!

- Co jeszcze, Dieterze? - dopytywała Anna. - Wyglądasz, jakby... O co chodzi?

- Moje przyrządy mają mechanizmy zegarowe. Godzinę temu zarejestrowały falę sejsmiczną biorącą początek ćwierć kilometra pod powierzchnią. Zbyt słabą, abyśmy mogli ją odczuć, niemniej bardzo wyraźną. I wywołaną przez artefakt. Godzinę temu!

Bazargan nie widział związku.

- No i?

- Fala sejsmiczna wzbudziła się dokładnie pięćdziesiąt cztery minuty przed tym, jak Syree Johnson odezwała się przez komunikator. Pięćdziesiąt cztery minuty przed eksplozją!

Rozumiecie już?

Bazargan, zbyt osłabiony, aby jasno myśleć, nadal nie rozumiał. Jednakże Anna powiedziała wolno, z namysłem:

- Fala dosięgła nas pięćdziesiąt cztery minuty przed tym, jak usłyszeliśmy eksplozję Zeusa. Odgłos eksplozji i słowa pułkownik Johnson przemieszczały się z prędkością światła.

Jednakże aktywność sejsmiczna uruchomiona przez pogrzebany artefakt nastąpiła w tym samym momencie co eksplozja Tasa!

- Otóż to - potwierdził Gruber. - Anno, widzisz więc, że oba artefakty były jednak splątane! Nie było między nimi skrawka czasoprzestrzeni, zupełnie jak między elektronami na poziomie kwantowym. To może oznaczać... że wszystko wygląda inaczej, niż myślimy.

Całkiem inaczej.

- Jeśli był to symultaniczny wzrost natężenia pola prawdopodobieństwa wokół

Świata... Tylko że nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić z całą pewnością. Nie wiemy nawet, jak mierzyć natężenie pola prawdopodobieństwa. Jakich jednostek używać. Na pewno nie standardowych. Twoje przyrządy, Dieterze, nie wykazały niczego z wyjątkiem fizycznego przemieszczenia się skał, co było raczej skutkiem ubocznym tego, co się stało. Cokolwiek to było naprawdę!

- Nie jestem w stanie wykazać, że coś tu w ogóle zaszło! Ani że pogrzebany artefakt miał z tym coś

wspólnego!

- Może nie miał. Może fala sejsmiczna była przypadkowa. Zwykły zbieg okoliczności...

- Zbieg okoliczności? Pokrywający się w czasie z eksplozją Zeusa? Nie, nie...

Pogrzebany artefakt zareagował natychmiast po tym, jak Tas został zniszczony przez wybuch czy cokolwiek innego. Zareagował, generując pole prawdopodobieństwa, które zneutralizowało działanie fali docierającej do Świata. Posłuchaj, *Liebchen*... promieniowanie jądrowe zawsze jest kwestią prawdopodobieństwa. Wyemitowana cząstka musi pokonać próg potencjalny reakcji, a może to uczynić wyłącznie dzięki temu, że część pola prawdopodobieństwa leży poza tym progiem. Zatem jeśli pole prawdopodobieństwa otaczające Świat zmieniło prawdopodobieństwo na poziomie jąder, które powinny były ulec destabilizacji... Tylko że nic z tego nie da się udowodnić! - Gruber zawył z intelektualnej frustracji.

Bazargan przemógł z trudem słabość i odezwał się:

- Istnieje przecież jeden sposób pomiaru pola prawdopodobieństwa... Anna mówiła, że... ludzki mózg...

Gruber wpadł mu w słowo.

- Mój mózg niczego nie odczuł. A twój, Ahmedzie? Anno?

Oboje pokręcili przecząco głową. Zaraz jednak Anna sprostowała:

- Nie ludzki mózg, Ahmedzie. Zresztą znajdujemy się w oku tego pola, pamiętasz? I nie wyewoluowaliśmy pod jego wpływem. Właśnie dlatego nie możemy „dzielić rzeczywistości”. Musimy zbadać wpływ działania tej fali na mózg Światanina. Enli.

- Tak! - podchwycił Dieter. - Ahmedzie, dasz radę iść? Ruszajmy!...

Bazargan wiedział, że jego protesty na nic się nie zdadzą. Poza tym w najbliższej przyszłości raczej nie zanosilo się na poprawę jego stanu. Zwłoka mijała się więc z celem.

Anna jednak zapytała:

- Nie powinieneś najpierw znaleźć łatwiejszej drogi powrotnej, Dieterze? Żeby Ahmed nie musiał się forsować.

- Znam łatwiejszą drogę - rzekł Gruber, którego teraz nic nie było już w stanie powstrzymać. - Przynajmniej na ogół łatwiejszą. Poniosę cię, Ahmedzie.

Ahmed wstał. Nie chciał, by Dieter go niósł. Ale podparty z jednej strony przez geologa, a z drugiej przez Annę był w stanie poruszać się w miarę wygodnie. I wydostać się z gór Neury.

Tylko dokąd? Jeżeli fala wywarła wpływ na Świat poza strefą zero Grubera, mogą się natknąć na

powszechny chaos. A jeżeli fala bądź pole prawdopodobieństwa broniące przed tą falą wywarły wpływ na mózgi Światan... kto wie, co zastaną poza tym łańcuchem górskim?

30

Gofkit Rabloe

Rozesławszy współmieszkańców z misją ostrzeżenia reszty Światan, Aza Pek Laridor, sługa Pierwszego Kwiatu, zabrała Enłę i Peka Allena do ogólnej piwnicy w Gofkit Rabloe, wytrzymałej i przestronnej. Enła widziała podobne w innych małych wioskach. Gdy większym miejscowościom zaczynało brakować żywności, osady takie jak Gofkit Rabloe były gotowe wymieniać swoją nadwyżkę zapasów na „miejskie słodycze”: cienkie tkaniny, rowery, szklane naczynia i kwiaty ku pamięci.

Tę piwnicę wbudowano w zbocze niewielkiego pagórka. Aza pociągnęła pochyłą drewnianą klapę. Większość wieśniaków pracujących przy zbiorach została rozesłana po Świecie w charakterze gońców, jednakże starcy, dzieci i chorzy zbierali swój skromny dobytek, by dołączyć do Azy w piwnicy. Enła widziała, jak opuszczają główny plac wioski i kierują się ku pagórkowi.

- Faj! - skrzywiła się Aza. - Pachnie tu stęchlizną. Ostatnio dużo padało... Ale piwnica jest solidna, Enlo. I całkiem wygodna.

Uniosła lampę i poprowadziła w dół, z trudem zachowując na stopniach równowagę z powodu przeciążającego brzucha. Schody prowadziły na drewniany podest, który zakrywał

całe podłoże, utrzymując suchość pomimo wilgotnego gruntu pod spodem. W powietrzu unosiła się woń gliny i drewna wymieszana z ostrym zapachem suszonych owoców drzewa zeli. Przy ścianach ciągnęły się rzędy byle jak zbitych półek zastawionych słojami, skrzynkami i leżącymi luzem warzywami. Na podeście stały drewniane baryłki, z których każda została oznaczona znakiem danej rodziny. Ich wieka służyły za podstawki dla większej liczby lamp oliwnych, które teraz Aza zapalała jedna po drugiej. Nikt nie zadał sobie trudu, by upiększyć to pomieszczenie - z wyjątkiem obłych baryłek wszystko miało proste linie i ostre kąty. Na prawo od wejścia znajdował się kwietny ołtarz.

Enła dotknęła go. Miała prawo to uczynić, skoro znów była rzeczywista. Jako że ołtarz mieścił się pod ziemią, nie było na nim żywych kwiatów. Jednakże na ociosanym kamieniu stała waza z suszoną trifalitibą, wyblakłą, lecz nadal uwalniającą delikatny zapach.

Obok wazy leżał kwiat ku pamięci, pamiątka po niegdysiejszych ogrodach. Ten konkretny musiał pochodzić spoza Gofkit Rabloe. W górnej komorze spoczywały suszone płatki trifalitiby, która była widocznie kwietnym patronem wioski. W dolnej przelewała się błyszcząca ciecz, którą Światanie nazywali „duszą kwiatu”, a Pek Gruber określił mianem

„rtęci”.

- Obawiam się, że trzeba to wystawić na zewnątrz - rzekła Enla do Azy. - Czy zechcesz...

- Tak, będę musiała to zrobić - zgodziła się kapłanka. Właśnie kończyła zapalanie lamp spowolniona

przez krągłość brzucha. - Najpierw jednak sprowadźmy do środka Peka Allena i umościśmy go wygodnie. Oho, już nadchodzi Pek Callin, pierwsza jak zwykle. Nic nie może się dziać bez udziału tej staruszki...

Enla rzuciła spojrzenie w górę schodów i dalej, na zewnątrz. Do wejścia zmierzała, kuśtykając, stara kobieta, której groził Pek Allen, babka Estu, dziewczynki, którą Pek Allen porwał. Ciągnęła za sobą Estu. Obie poruszały się wolno, lecz zdecydowanie. Przechodząc obok wozu z Pekiem Allenem, staruszka zerknęła nań, przystanęła z wrażenia, po czym pokuśtykała dalej. Jednakże Enla dostrzegła, iż wrażenie zrobił na niej raczej wygląd Peka Allena: zakrwawionego, ugotowanego od środka i zmarnowanego, a nie fakt, iż to on sterroryzował jej rodzinę. Rzeczywistość od tamtej pory zdążyła się zmienić. Pek Allen stał

się rzeczywisty, więc staruszka musiała go zaakceptować. Taka była obecnie dzielona rzeczywistość.

Enla to rozumiała. Mimo to nie była w stanie dzielić rzeczywistości do końca.

Wiedziała znacznie więcej, niż staruszka miała szansę kiedykolwiek się dowiedzieć. Choć Enla była rzeczywista, ostry ból głowy, który ją opuścił, gdy razem z Azą ciągnęły wóz z Pekiem Allenem, nagle powrócił.

Aza krzątała się po piwnicy.

- Wchodź, wchodź, Udello, wybierz dla siebie kącik, zanim pojawi się reszta.

Przyniosłaś koce? Doskonale, te tutaj zdają się lekko nadbutwiałe... Co jeszcze masz ze sobą?

Enla wszystko przejrzy, ona wie, co może złapać niebożę... a takich rzeczy tutaj nie chcemy!

Ale przede wszystkim zatroszczymy się o Peka Allena.

Okazało się to nie najlepszym pomysłem. Pek Allen w dalszym ciągu spał, ale jak tylko dwie kobiety zaczęły go podnosić, zadrzał i krzyknął z bólu. Wszystko zdawało się sprawiać mu potworne cierpienie. Znosił je jednak dzielnie, zaciskając powieki, i nie wydał z siebie najlżejszego dźwięku, gdy Enla i Aza przenosiły go na stertę brezentu złożoną w odległym rogu pomieszczenia, a następnie okrywamy suchym kocem.

- Wody...

- Woda jest w tej baryłce - wskazała Enli kapłanka, po czym wyszła z piwnicy, niosąc nabożnie kwiat ku pamięci.

Enla przyniosła Pekowi Allenowi kubek, ale był w stanie wypić zaledwie parę kropli.

Reszta spłynęła po jego obrzmiałej czerniejącej brodzie i szyi, lecz przynajmniej zasnął dzięki temu ochłody. Enla ostrożnie pokropiła go resztą wody z kubka.

Wówczas otworzył oczy i zobaczyła jego przekrwione białka i zasnutę mgłą tęczęwki.

Żrenice skierowane były na wprost i nie zmieniały wielkości. Pek Allen oślepl.

W piwnicy przybywało miejscowych, pośród których znalazło się też kilku gościów po zakończonej misji. Wszyscy się mościli, podczas gdy Aza ich zliczała, a Enla sprawdzała przyniesione przez nich przedmioty, aby się upewnić, że nie mają ze sobą niczego, co znajdowało się na zakazanej liście Peka Grubera. Część wieśniaków narzekała, że tracą dobre światło, w jakim mogliby zbierać owoce drzewa zeli. Inni wyraźnie czuli strach przed tajemniczą chorobą mającą nadejść z nieba. Niektórzy odebrali tę sytuację jako znak od Pierwszego Kwiatu i stosując się do zasad swojej religii, siedzieli i kontemplowali bukiety przyniesione ze sobą. Parę młodych osób skorzystało z okazji i usiadło blisko siebie w mrocznych zakamarkach piwnicy, stykając się rękoma i udami.

Nikt jednak nie protestował. Nikt nie winił Enli ani Azy, ani Peka Allena. Wszyscy akceptowali to, że teraz muszą być przez jakiś czas tutaj - taka była dzielona rzeczywistość -

toteż nie rozlegały się niezadowolone głosy.

- Nigdzie... indziej... w znanym... wszechświecie... - wydyszał nagle Pek Allen. Enla musiała się nachylić, by zrozumieć, co mówi. Krew pociekła mu z kącików ust. - Enlo...

powiedz im...

- Co mam im powiedzieć? - zapytała szeptem, lecz zdążył znowu zamknąć oczy.

Znacznie później Aza ogłosiła:

- To już wszyscy. Zamknij klapę, Hertilu.

Potężnie zbudowany mężczyzna z bujnymi szyjowłosami wykonał polecenie. W

środku nie zrobiło się prawie wcale ciemniej. Na zewnątrz uporczywy deszcz padał z gęstych chmur; wewnątrz wesoło płonęły lampki oliwne. Do woni gliny, stęchlizny, drewna i suszonych owoców drzewa zeli dołączył zapach zbyt wielu ciał ściśniętych na zbyt małej przestrzeni. Enla odetchnęła głęboko kilka razy i ból głowy jakby się zmniejszył.

Wtem mieszkańcy Gofkit Rabloe zaczęli śpiewać. Nie uzgadniali tego między sobą i początkowo słyhać było dwie czy trzy konkurujące pieśni, ale wkrótce wszyscy złapali tę samą nutę, melodię nuconą podczas zbiorów. Podobną Enli znała ze swojej rodzinnej wioski, Gofkit Jemloe. Prawdopodobnie na całym Świecie wieśniacy nucili jakąś jej wersję. Enla Pek Brimmidin dołączyła do chóru cichych głosów.

Po paru kolejnych pieśniach wieśniacy równie nagle ucichli. Odezwała się Aza, przemawiając w imieniu wszystkich zgromadzonych w piwnicy:

- Peku Allenie? Jak długo musimy tu zostać, aby uchronić się przed chorobą z nieba?

„Powiedz im”, wydyszał do niej Pek Allen. Enla odpowiedziała na zadane pytanie głosem tak wyraźnym, na jaki ją było stać przy nasilającym się znów bólu głowy:

- Dopóki nie otrzymamy znaku od Pierwszego Kwiatu.

Wszyscy obecni pokiwali głowami, po czym wrócili do śpiewania - tym razem najstarszych, najukochańszych pieśni: kwietnych ód.

Tylko Enla nie śpiewała. Powiedziała pierwsze, co przyszło jej na myśl, i to zostało uznane za dzieloną rzeczywistość. Powiedziała to, ponieważ ktoś musiał coś powiedzieć, a nikt nie wiedział na pewno, jak przedstawia się rzeczywistość. A także dlatego, iż wieśniacy -

ci z Gofkit Rabloe, jak i wszyscy pozostali na Świecie - nie mogli tkwić wiecznie w piwnicach. Oraz z tego powodu, że przyglądając się Pekowi Allenowi podczas najrzewniejszej i najbardziej melodyjnej pieśni, zobaczyła, że Ziemianin nie żyje.

Wszyscy oprócz niej zasnęli mniej więcej w tym samym czasie. Enli wydawało się, że jest późne popołudnie, lecz w piwnicy trudno było stwierdzić to z całą pewnością. Przedtem zawsze potrafiła robić to co inni teraz: spać, kiedy przyszła jej ochota albo kiedy nie miała nic innego do roboty, albo kiedy wszyscy wokół niej spali. Tym razem jednak nie mogła zasnąć.

Ciche oddechy wznosiły się i opadały w mdłym świetle lamp oliwnych i do nozdrzy Enli dolatywał niosący otuchę zapach śpiących ciał. Ale nie potrafiła dzielić rzeczywistości snu z pobratymcami, mimo iż znowu była rzeczywista.

Przyglądała się twarzy martwego Peka Allena. Ile trwa rozkład ciał Ziemian umożliwiający uwolnienie duszy? O ile, rzecz jasna, w ogóle mają dusze.

David Pek Allen miał ją na pewno. Tak mówiła dzielona rzeczywistość i umysł Enli.

Siedząc obok zwłok na drewnianej podłodze, zastanawiała się, co powinna zrobić teraz. Nie: co podpowiadała jej dzielona rzeczywistość, lecz: co ona powinna zrobić, mimo że ukrywanie się w piwnicy należało do dzielonej rzeczywistości.

Znów dopadł ją ból głowy.

Enla stwierdziła, że jest zdolna się od niego oddzielić, obserwować go z boku.

Znajdując się poza zasięgiem wzroku jakiegokolwiek żywej istoty, rozszerzyła oczy. Nigdy czegoś podobnego nie robiła, nie oddzielała się od bólu głowy wywołanego przez dzieloną rzeczywistość, jakby nie był nią, tylko czymś całkiem odrębnym. Oczywiście nie ulegało wątpliwości, że ból jest nią. Ale w takim razie jakim cudem obserwowała go z zewnątrz? Nie było żadnego „zewnątrz”, był tylko jej umysł, była tylko dzielona rzeczywistość...

Ból głowy jeszcze się wzmógł. Zauważyła jednak, że nie jest aż tak silny jak wtedy, gdy była

nierzeczywista. Ale teraz była słaba, głodna, przestraszona i nawet takie natężenie bólu przekraczało jej wytrzymałość. Jęknęła cicho i przycisnęła palce do powiek. Czy to się nigdy nie skończy? Przecież jest znów rzeczywista, coś takiego nie ma prawa przydarzać się komuś, kto jest rzeczywisty!... Był Ziemianinem, nie Świataninem, te słowa wślizgnęły się do jej umysłu... do jej głowy. Och, jej głowa!

Znienacka ból ustał całkowicie.

Nie minął. Po prostu zniknął zupełnie i momentalnie, między jednym oddechem a drugim. Jego miejsce zajęło coś, co przybyło pod czaszkę Enli z zewnątrz. Przepelniła ją radość, szczęście większe niż wszystko, czego zaznała w swoim życiu. Większe niż podczas kwietnej ceremonii, większe niż podczas pożegnalnego całopalenia, większe nawet od jej miłości do Tabora...

Zaśmiała się w głos. W mrocznej piwnicy, w otoczeniu śpiących wieśniaków, śmiała się jak dziecko, jak Fentil, nie mając nawet pojęcia, dlaczego się śmieje. Nie dlatego, że Tabor był wolny - ta myśl nie była dla niej nowa. A zarazem właśnie dlatego, że Tabor był

wolny, dlatego, że ona była teraz wolna, dlatego, że Świat był pełen kwiatów i że Pierwszy Kwiat zesłał jej znak.

- Co... co mówiłaś? - spytała zaspana Aza, unosząc głowę z drewnianej podłogi. -

Zdawało mi się, że cię słyszę... Śniłam...

Uniesienie powoli mijało. Zanim zniknęło całkowicie, Enla uśmiechnęła się do krąglutkiej kapłanki.

- Możemy już wyjść, Azo. Nieboza już nam nie grozi.

- Otrzymałaś znak?

- Tak. O czym śniłaś?

Aza zamrugnęła zmieszana.

- Nie pamiętam dokładnie. Ale to był cudowny sen. Zaraz... Śniłam o mojej siostrze i o naszym dawnym domu w Gofkit Kenloe. Och, i o mówiącej skale... to dopiero dziwne i nieprawdopodobne!

- Niskie prawdopodobieństwo...

- Proszę?

- Nie, nic. To ziemskie wyrażenie. Możemy już opuścić piwnicę, Azo. Obudź

wszystkich.

Nie kwestionując decyzji Enli, kapłanka odwróciła się, aby to zrobić.

- Enlo!... Pek Allen nie żyje!

- Tak - odrzekła Enla. - Wiem.

- Oby jego dusza pławiła się w kwiatach jego przodków.

- Oby jego ogród wiecznie rozkwitał. Czy dokonasz całopalenia pożegnalnego?

- Oczywiście... Unja, zbudź się... możemy już wyjść. Riflit, Unu, Pek Callin...

zbudźcie się wszyscy... Enlo, czy mogę cię o coś spytać?

Enla stała zapatrzona na Peka Allena. Na ceremonię całopalenia będą potrzebne kwiaty, przez co zbiór owoców drzewa zeli opóźni się jeszcze bardziej. Cóż, nie było na to rady.

- Tak, Azo?

- Wiemy teraz, że Pek Allen jest rzeczywisty. Ale czy pozostali Ziemianie również?

Pek Bazargan, Pek Sikorski i Pek Gruber? Czy dzielona rzeczywistość zmieniła się także dla nich?

Nawet tutaj, w leżącym na uboczu Gofkit Rabloe, znano ich dziwne imiona. Enla schyliła się i naciągnęła róg koca na spaloną twarz Peka Allena.

- Nie wiem, Azo. Pierwszy Kwiat tego mi nie powiedział. Na to pytanie będzie musiał odpowiedzieć Nadzór Rzeczywistości i Pokuty.

Aza skinęła głową.

- Naturalnie... Unja, ty leniuchu, wstawaj! Pora opuścić piwnicę!

31

Gofkit Rabloe

Gruber był świetnym grotolazem. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu znalazł w miarę prostą drogę, która wyprowadziła ich z gór Neury i nie była ani nazbyt klaustrofobiczna, ani nazbyt długa czy podmokła. Bazargan był tym zdumiony, mimo iż rozum podpowiadał mu, że nie ma powodów do zdziwienia. Gruber posiadał nie tylko rozległą wiedzę, lecz również niebywałą siłę oraz optymizm, które pozwalały mu skupić się na konkretnym zadaniu w zadziwiający sposób. Nadawał się na speleologa jak nikt inny.

Wynurzyli się wieczorem w lesie - bujnym, szybko rosnącym światańskim lesie, pod miriadami zielono-purpurowych liści rozkładających się nad nimi niczym troskliwe ręce.

Słońce zdążyło już całkiem zejść, ale nawet tutaj, w dole, unosiło się łagodne perłowe światło

sprawiające wrażenie dziwnie czystego. Przez poszycie wiodły ścieżki, podobnie jak wszędzie indziej na tym zamieszkanym kontynencie. Bazargan napawał się wspaniałymi wieczornymi zapachami. Rozkwitające w dzień kwiaty zamknęły płatki, za to pootwierały się kwiaty nocne: nieśmiałe plamki koloru wśród chłodnego cienia.

Bazargan wspierał się na ramieniu Grubera, a Anna dzielnie dotrzymywała im kroku, niosąc worek Dietera. Pomimo nieustępującej słabości Bazargan odkrył, że jest w stanie iść.

Najwyraźniej wciąż znajdował się w fazie pomiędzy wystąpieniem objawów choroby popromiennej a mającym nadejść ogólnym wyniszczeniem organizmu.

- Las nie może być rozległy - powiedział do Grubera, który skinął głową. Było powszechnie wiadome, że lasy na Świecie nigdy nie są duże. Niewielkie, a za to liczne, najlepiej zaspokajały potrzeby Światan, którzy musieli mieć dostęp do dziko rosnących kwiatów i drewna. Bazargan, utykając, czuł wdzięczność dla światkańskiej dzielonej szczodrości.

- W takim razie lepiej już się uzbroję - rzekł Gruber w odpowiedzi, aczkolwiek Bazarganowi wcale nie o to chodziło.

Geolog miał jednak słuszość. Ziemianie nadal byli na Świecie wyrzutkami, grzesznikami, potencjalnymi ofiarami morderstwa. Gruber przekazał brzemień Bazargana Annie, po czym wyszukał grubą gałąź mogącą służyć za pałkę. Chwilę potem rozglądał się za drugą podobną. David Allen zabrał im pistolet. Jaki też zrobił z niego użytek od czasu, gdy wraz z Enlą opuścił jaskinię w górach Neury?

Gruber spodziewał się najgorszego.

- Ktoś nadchodzi! - rzuciła Anna. - Dieterze...

Gruber, trzymając w każdej ręce okazałą gałąź, wysunął się przed swoich towarzyszy.

Światanin, na wpół ukryty za drzewem, zawołał:

- Habkint, to ty? Słyszałeś już?

Gruber, którego znajomość światkańskiego pozostawiała wiele do życzenia, spytał

szeptem:

- Co on mówi?...

- Habkint? Wszyscy możemy już wyjść, nieboza przestała nam zagrażać... Ale na pewno już o tym słyszałeś od... - Światanin urwał w pół słowa.

Był młody, ledwie wyrósł z wieku młodzieńczego, szyjowłosa miał wciąż ciemnozłote i kręcone, a grzebień czaszkowy gładki. Jednakże cały był zlany potem, który matowił mu szyjowłosa i przyciemniał zgrzebną tunikę pod pachami i na piersi, a nawet perlił

się nad górną wargą. Jeszcze przed chwilą biegł, korzystając z ostatnich promieni słońca, by z radością właściwą jego młodemu wiekowi rozpowszechnić wieść, jakakolwiek ona była, wśród wszystkich, którzy mieszkali dalej od wioski niż on.

Bazargan zapytał szybko po światańsku:

- Nieboza minęła? Skąd to wiesz?

- Wiadomość nadeszła z... Gofkit Rabloe... - jękał się młodzik. - Jesteście Ziemianami!

Bazargan uśmiechnął się mimowolnie. Uświadomił sobie, że uśmiech zbiegł się w czasie z początkiem bólu głowy młodzika, który przyłożył sobie dłoń do głowy i ruszył

biegiem z powrotem, przedzierając się przez poszycie, zamiast skorzystać ze starannie wyciętej ścieżki. Chmara życiodajów poderwała się w powietrze z kępy wekifiriby.

Anna skomentowała ponuro:

- No to mamy odpowiedź na niezadane pytanie. Nadal jesteśmy uważani za nierzeczywistych.

- Skoro tak - odezwał się Gruber - nie idziemy dalej. Wioski stanowią dla nas zagrożenie. Ahmedzie, moim zdaniem powinniśmy wrócić w góry. Przynajmniej kawałek.

Tam po nas nie przyjdą, dzięki czemu przeżyjemy. Nocami będę się zapuszczał na pola po żywność.

- A co z Davidem i Enlą? - wtrąciła Anna. Kiedy stało się jasne, że Gruber nie ma na to odpowiedzi, Anna dodała z westchnieniem: - Chyba masz rację, Dieterze. Musimy się trzymać miejsc, w których Światanie nas nie wytropią. Przecież nie możemy chodzić i rozpytywać o Davida i Enłę. Nikt by nam nic nie powiedział. Zresztą najpewniej nawet nie opuścili gór. A jeśli opuścili... - nie dokończyła zdania. Zrobił to za nią Bazargan.

- Jeśli opuścili góry, prawdopodobnie nie żyją.

Anna odwróciła wzrok. Mimo to Bazargan kontynuował, tak spokojnie jak potrafił, pragnąc, by wszyscy stawili czoło faktom.

- Wrócimy w góry, ale na jak długo? Skoro zostaliśmy uznani za nierzeczywistych, nigdy nie będziemy mogli się pokazać żadnemu Świataninowi. Zeus uległ zniszczeniu... Peres nie przyśle po nas wahadłowca. Nikt nie przybędzie nam z pomocą, zwłaszcza że Fallerowie mogą kontrolować ten układ. Czy mamy żyć jak jaskiniowcy w górach Neury, kradnąc żywność i pijąc napromieniowaną wodę, aż wszyscy pomrzemy?

- I co z dalszymi badaniami? - nieoczekiwanie poparł go Gruber. - Jeżeli mózgi Światan są jedynym miernikiem pola prawdopodobieństwa, musimy się dowiedzieć od Enli, co czuła w chwili, gdy eksplodował Tas!

Bazargan skontrował z irytacją:

- Dalsze badania nie są naszym priorytetem. Natomiast przeżycie owszem. Jak długo twoim zdaniem zdołamy kryć się po jaskiniach?

Gruber i Anna wymienili spojrzenia. Odezwała się kobieta, ale nie miało to znaczenia.

Czasem Bazargan zapominał, jak młodzi oboje są, jak wielka nadzieja ich przepełnia.

- Tak długo, jak długo będzie trzeba, Ahmedzie. Pozostaniemy w górach tyle, ile będzie wymagała sytuacja.

Gruber rzekł zaś:

- Kto może wiedzieć, co jeszcze się wydarzy?

Bazargan nie miał siły się sprzeczać. Zresztą nie był nawet pewien, jakie zajmuje stanowisko. Nie mieli wyboru, jeśli nie chcieli popełnić zbiorowego samobójstwa. Ani dać się zamordować Światanom.

- Chodźmy więc.

Zawrócili w stronę gór. Ciemność zapadała szybko na planetach z niewielkim nachyleniem orbity względem ekliptyki. Na niebie widniały już dwa księżycy: Ap i Lil bądź

Kat i Rai, bądź Sel i Obri. Lecz nie Tas. Tasa już nigdy na nim nie będzie.

Anna przerwała ciszę.

- Czekajcie... właśnie z czegoś zdałam sobie sprawę! Pamiętacie, co powiedział ten młody goniec? „Wszyscy możemy już wyjść, nieboza przestała nam zagrazać”. David albo Enla, albo oboje musieli się wydostać z gór i ostrzec Światan przed przejściem fali!

- *Ja!* - potwierdził z zapalem Gruber. - Sądysz, że...?

Zaskrzeczał komunikator.

Bazargan aż podskoczył; całkiem zapomniał, że go niesie. Cała trójka popatrzyła po sobie nerwowo. Anna szepnęła:

- Zeus? Ale jak to?...

Przeszukując kieszenie skafandra, Bazargan w końcu natrafił na komunikator i uaktywnił go, aby odsłuchać wiadomość, która właśnie została zarejestrowana.

- Doktorze Bazargan - odezwał się ktoś po angielsku, aczkolwiek z ciężkim, trudnym do zidentyfikowania akcentem. - Tutaj porucznik Michihiko Gray z floty Sojuszu Solarnego, z myśliwca Komar bazującego na pancerniku Hachiya z bazy numer trzydzieści dwa w systemie Kaliguli... Właśnie opuściłem tunel czasoprzestrzenny i zmierzam z maksymalną prędkością do zamieszkaney

planety układu celem przejścia członków pańskiej ekspedycji. W

chwili obecnej układ ten jest wolny od jednostek wroga, ale proszę zwrócić uwagę, że ten stan może lada moment ulec zmianie. Niniejsza wiadomość dotrze do pana za pięćdziesiąt cztery minuty. Przewidywany czas dotarcia na miejsce to trzy dni dwadzieścia godzin. Proszę kontaktować się na zastrzeżonym paśmie, ale z podaniem współrzędnych pana obecnej pozycji oraz liczby osób. Koniec wiadomości.

- Ha! - wykrzyknął Gruber. - Lecą po nas! Ahmedzie, prześlij im nasze koordynaty!

- Ty to zrób - poprosił Bazargan, czując kolejną falę słabości. Gruber złapał

komunikator i podał wszystkie wymagane dane, kończąc słowami: - Jest nas... Ahmedzie, ile osób? Trzy? Cztery? Pięć?

Pięć osób... Gruber musiał wliczyć w skład ich zespołu Enlę - zakładając, że żyje.

Pobratymcy okrzyknęli ją nierzeczywistą. Była także spalonym informatorem. Czy to znaczy, że zostanie zamordowana, jeśli nie zabiorą jej ze sobą? Ale jeśli to ona przekazała wiadomość

- albo uczynił to David - i jeśli żyli... Co za szkoda, że nie wie, co naprawdę się wydarzyło!

- Trzy osoby lub cztery. Lub pięć osób - odrzekł Bazargan po chwili milczenia.

- Jest nas troje, czworo lub pięcioro, na chwilę obecną niemożliwe do ustalenia -

powiedział do komunikatora Gruber. - Prosimy o podanie przybliżonego czasu lądowania. I dziękujemy.

Bazargan ruszył wolno przed siebie... podjął mozolny marsz, mający przybliżyć ich do gór Neury. Gruber jednak położył mu dłoń na ramieniu, powstrzymując go w pół kroku.

- Zaczekaj, Ahmedzie. Jedną minutkę. Muszę coś zrobić, zanim znów znajdziemy się pod osłoną skał.

W zapadających ciemnościach ściągnął skafander i usiadł tam, gdzie stał. Bazargan dostrzegł błysk noża odbijającego światło księżyców, kiedy Gruber odcinał fragment skóry na udzie w miejscu, gdzie zaszyto mu komunikator awaryjny. Nawet nie otarł z niego krwi, tylko od razu włączył.

- Davidzie... Davidzie Allen. Tutaj Dieter Gruber. Odpowiedz, proszę.

Cisza. Ja powinienem był to zrobić, pomyślał Bazargan. Ale czuł zbyt wielkie zmęczenie, by na to wpaść, i zbyt wielką słabość, by wprowadzić zamysł w czyn.

Anna bez słowa uklękła przy Gruberze i opatrzyła mu świeżą ranę na nodze.

- Skoro nie odpowiadasz, Davidzie, pozostawię nagraną wiadomość.

To na nic, uznał w myślach Bazargan. David Allen nie odpowiada, gdyż nie żyje.

Zabili go Światanie. Co dowodzi, że są przekonani o nierzeczywistości Ziemi.

Ale Grubera nie interesowały fakty. Do działania popychała go nadzieja.

- Kiedy otrzymasz tę wiadomość, Davidzie, odpowiedz na częstotliwości planetarnej.

Podaj swoje współrzędne. Jeśli będzie trzeba, przyjdziemy po ciebie, albo ty dołącz do nas.

Myśliwiec Sojuszu odbierze nas za trzy dni i dwadzieścia godzin. Przyrowadź ze sobą Enłę, jeśli na Świecie grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Myślami jesteśmy z tobą.

- Nic więcej nie możesz zrobić, Dieterze - rzekła cicho Anna.

- Wiem. Musimy już iść. No, Ahmedzie, oprzyj się o mnie...

Bazargan wsparł się na nim, aczkolwiek nie dałby sobie głowy uciąć, że Gruber wciąż o nim pamięta. Poruszając się w ciemnościach tak szybko, jak to było możliwe, Gruber z podnieceniem snuł plany, mówiąc do Anny:

- Dzięki orbitalnym skanerom myśliwca zyskamy nową szansę na odnalezienie Davida i Enli *ja*? A wtedy będziemy mogli zapytać Enłę, co dokładnie się stało z jej poczuciem dzielonej rzeczywistości, gdy fala uderzyła w Świat. Być może skan Lagerfelda ujawni jakieś trwałe, dające się udokumentować zmiany w mózgu. A potem zostanie skompletowana ekspedycja, która odgrzebie artefakt generujący pole prawdopodobieństwa w górach Neury. Anno, to będzie początek nowej ery w nauce, faktem staną się rzeczy, na których temat mogliśmy tylko teoretyzować.

Anna odpowiedziała mu takim samym podnieconym tonem, jednakże Bazargan nie dosłyszał jej słów. Starał się wyobrazić sobie, co mogło się stać na Świecie, jeśli Davidowi i Enli udało się przekazać informację o „niebozie”. Wieść na pewno rozeszła się po całej planecie szybko i skutecznie i nie została podważona przez nikogo, wszyscy zatem posłuchali apelu wzywającego do zachowania środków bezpieczeństwa. Nigdzie w całym wszechświecie coś podobnego nie było możliwe. Nigdzie.

Co do Enli zaś... Jeżeli Światanie nadal chcieli ją zamordować, Bazargan i jego ludzie nie mieli innego wyjścia, jak tylko zabrać ją ze sobą. Lecz w systemie Kaliguli czy na Ziemi lub Marsie albo w Pasie, otoczona ciągle przez nierzeczywistych, Enla będzie cierpiała niewysłowiony, nie słabnący ani na moment ból głowy. Nie będzie dla niej dzielonej rzeczywistości... Bazargan nie był pewien, czy Enla zdoła coś takiego przeżyć. Aczkolwiek gdyby miała wybór, pewnie zdecydowałaby się na śmierć w systemie Kaliguli, gdzie jej ciało mogłoby się bez przeszkód rozłożyć, a ona - wedle swej rzeczywistości - zyskałaby szansę na połączenie z przodkami.

Do chwili śmierci jednak - która mogłaby nie nadchodzić latami - Enla żyłaby, nie dzieląc rzeczywistości z Ziemi. Dla niej byłaby to potworna, kompletnie niesatysfakcjonująca egzystencja. Coś na kształt porównania pieśni o kwiecie z rykiem silników startującego wahadłowca.

Albo umieszczeniem człowieka na Świecie.

Anna i Gruber nadal tryskali entuzjazmem. Bazargan nie miał im serca powiedzieć, że nic z tego, o czym mówią, się nie urzeczywistni. Każda ekspedycja zwołana w celu odkopania pogrzebanego artefaktu musiałaby się zmierzyć z niebagatelną przeszkodą natury politycznej

- mianowicie taką, że Ziemianie przestali być mile widzianymi gośćmi na Świecie. Badanie mózgu Enli czy choćby jej subiektywnych wspomnień istotnie mogło wyjaśnić, co się stało z jej mechanizmem dzielonej rzeczywistości w chwili, gdy eksplodował Tas. Lecz byłby to wyłącznie pośredni dowód, nieudokumentowany i ze swojej natury niemożliwy do powtórzenia. A zatem nie mający wiele wspólnego z nauką.

Należało również przyjąć do wiadomości jeszcze jedną prawdę. Nawet gdyby największe marzenie Peka Allena ziściło się i gdyby jakiś genetyk odkrył sposób na wplecenie w ludzki genom sekwencji kodującej mechanizm dzielonej rzeczywistości, nic by z tego nie przyszło, ponieważ dzielona rzeczywistość mogła się rozwinąć wyłącznie na Świecie obmywanym przez pole prawdopodobieństwa generowane przez zagrzebany pod powierzchnią planety artefakt. Dzielona rzeczywistość mogła być prawdziwa, lecz i tak znajdowała się poza zasięgiem ludzkości.

Ostatnie smugi gasnącego światła znikły zupełnie. Gruber włączył swoją latarkę o dużej mocy i jej promień rozświetlił przed trojgiem Ziemian wąską ścieżkę prowadzącą przez las Obcych.

EPILOG

Gofkit Rabloe

Światanie ściągali przez cały dzień, zazwyczaj parami lub trójkami, na rowerach, pieszo albo wozami. Niektórzy włożyli kosztowne tuniki i szale, ale tych nie było wielu. Nie licząc kapłanów z Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty, którzy przyjechali z Rafkit Seloe, większość osób przybywała z małych wiosek położonych u podnóża gór Neury. To one uznały tę ceremonię za swoją. Enla widziała przybycie Azy Pek Laridor. Kapłanka ciągnęła rozpadający się wózek, na którym podskakiwał Kalit jadący obok niemowlęcia śpiącego w koszyku. Aza była zakurzona, zgrzana i bardzo szczęśliwa. Zatrzymała wóz na tyłach tłumu, rozprostowała ramiona i zrobiła groźną minę, patrząc na Kalita. Dziecko się uspokoiło, lecz tylko trochę.

Enla stała ani blisko, ani daleko od miejsca kultu, które jak na kwietny ołtarz nie robiło wielkiego wrażenia - był to pojedynczy zaoblony kawał skały opierający się na trzech nogach wyrzeźbionych na podobieństwo łodyg trifalitiby. Otaczające go rabaty także nie były olśniewające, aczkolwiek bujne kolorowe krzewy padzałiby prezentowały się całkiem ładnie.

Dominowała żółć i pomarańcz, barwy gościnności. Ziemianie mogli śmiało wracać na Świat.

Nie uczynili tego jednak od trzech lat.

Sługa Pierwszego Kwiatu uniósł ręce, na co niesforny tłum się uciszył. Wszyscy naraz zaczęli śpiewać. Najpierw było słyhać przyśpiewki towarzyszące żniwom, później kwietne ody - w takiej

samej kolejności, w jakiej zostały niegdyś odśpiewane w piwnicy w Gofkit Rabloe. Kątem oka Enla zauważyła, że mały Kalit zaczął tańczyć na wozie i matka musiała go skarcić łagodnym gestem.

- Światanie - zaczął przemawiać kapłan, gdy śpiewy ucichły - oby wasze kwiaty wiecznie się radowały.

- Oby twoje kwiaty rozkwitały po kres czasu - odpowiedzieli chórem zgromadzeni.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby oddać hołd posłańcowi Pierwszego Kwiatu, Davidowi Pekowi Allenowi, który ocalił Świat przed niebożą.

Wszyscy pokiwali głowami. Przez te trzy lata Enla nieraz słyszała plotki, że w dzielonej rzeczywistości powstały wątpliwości, czy nieboza w ogóle miała miejsce. Z całą pewnością nie było po niej ani śladu, gdy Światanie wychynęli ze swoich kryjówek w piwnicach. Żadnych chorych zwierząt, zwiędłych kwiatów, przesiąkniętych chorobą garnków do gotowania, jak zapowiadał Pek Gruber i jak się działo, gdy ktoś zapuścił się zbyt daleko w góry Neury. Jednakże nikt nie rozważał poważnie możliwości, że Pek Allen spłatał im jakiegoś trudnego do wyobrażenia kosmicznego psikusa. To, że nieboza była faktem, należało do dzielonej rzeczywistości, w której nie zaszła zmiana w kierunku jawnej niewiary. Taka była dzielona rzeczywistość, aczkolwiek z każdym rokiem poświęcenie Peka Allena zajmowało w niej coraz mniej znaczące miejsce, a nawet jako się rzekło, było podawane w wątpliwość. Jego wspomnienie ograniczało się do tej pomniejszej uroczystości w tylko tym jednym miejscu.

Sługa Pierwszego Kwiatu zakończył przemowę i wezwał ofiarników. Wskazani występowali do przodu jeden po drugim i składali dary na gołym kamiennym ołtarzu, mamrocząc kwietne błogosławieństwa.

Estu, dziewczynka, którą Pek Allen porwał, by zmusić mieszkańców Gofkit Rabloe do wysłuchania go, złożyła na ołtarzu bukiet własnoręcznie zerwanych kwiatów. Ludzie się uśmiechali; był to bardzo odpowiedni dar z rąk młodej dziewczyny.

Pek Callin, babka Estu, złożyła na ołtarzu upleciony z rafiriby wieniec, istne dzieło sztuki z powodu licznych obłości.

- Ooooooch - westchnął z zachwytem tłum.

Riflit Pek Lafir z żoną Iminą złożyli bochenek świeżo upieczonego chleba.

Mężczyzna, którego Enla nie rozpoznała, złożył drewnianą rzeźbę góry.

Następnie wystąpiła Aza prowadząca marudnego Kalita. Chłopczyk był za mały, aby uznać go za rzeczywistego, a jednak obserwował wszystko bacznie bystryimi oczkami, które podobnie jak reszta jego ciała nie potrafiły ani na moment się uspokoić. Enla westchnęła.

Nigdy nie wiadomo, jakie będą dzieci. Na przykład Anu miała nie tylko grzeczne nasionko, ale także siostrzenicę Enli, Obrę, która bez przesady była najhałaśliwszym dzieckiem w Gofkit Shamloe. Aza złożyła na ołtarzu owoc zeli spleciony z kwiatem trifalitiby.

Następny ofiarnik zadziwił Enłę. Był to mężczyzna ubrany w tunikę z domostwa Peka Voratura. W minionym roku Pek Voratur nie przysłał żadnego daru. Co takiego wydarzyło się pod jego dachem, że spowodowało zmianę nastawienia gospodarza? Pewnie Enla nigdy się tego nie dowie. W tym roku Pek Voratur przesłał piękną, lecz nie nazbyt zdobną kwietną tapiserię, którą posłaniec udrapował na czele ołtarza z nagiego kamienia.

Enla była ostatnia. Gdy stało się jasne, że nie ma już więcej ofiarników, przepchnęła się do ołtarza. Parę osób poznało ją i wspomniawszy godziny wspólnie spędzone w piwnicy w Gofkit Rabloe, uśmiechnęło się do niej. Większość jednak była jej obca - młodzi ludzie, którzy ściągnęli na ceremonię głównie ze względu na mające nastąpić później tańce i ucztowanie. Młodość taka już jest.

Tłum zaczynał się nudzić, lecz nagle wyostrzył uwagę, gdy Enla odpakowała swój dar i umieściła go na tapiserii Peka Voratura.

- Ooooooch - rozległo się znowu, aczkolwiek w innej tonacji niż wtedy, gdy chóralnie doceniono sztuk wieńca starej Callin.

Enla przyniosła kwiat ku pamięci, najwspanialszy, jaki można było kupić za pieniądze w Rafkit Seloe. Oszczędzała nań trzy lata. Marzyło jej się, że przybędzie na ceremonię razem z Anu i złoży ofiarę w imieniu Tabora, jednakże Anu - która towarzyszyła jej tutaj w minionym roku - znowu była w ciąży i bardzo bliska rozwiązania.

Kwiat ku pamięci Enli był zrobiony z dmuchanego szkła, a tyle w nim było zaokrągleń i obłości, że nie ulegało kwestii, iż wyszedł spod ręki najlepszego Światanina parającego się tym rzemiosłem - Avina Peka Molariana. Wieśniacy nigdy nie słyszeli o Peku Molarianie, lecz potrafili docenić subtelne piękno szklanych tunelików. W nich przelewał się połyskliwy płynny metal: dusza kwiatu omywająca dwie doskonale zachowane ziemskie rosiby. Zamknięte na zawsze w szkle kwiaty pochodziły z uprawy Peka Voratura, który swego czasu dobił targu z Ziemianami.

Enla, której słowa przeznaczone były wyłącznie dla duszy Peka Allena, wyszeptwała:

- Od Enli Pek Brimmidin ze Świata i Tabora Peka Brimmidina przebywającego wśród swoich przodków.

- Oby ogrody was wszystkich rozkwitały w radości - rzekł sługa Pierwszego Kwiatu, ponownie unosząc ramiona. Uroczystość dobiegła końca.

Tłum powoli zaczął się rozchodzić. Młodzi ludzie zgromadzili się na pustym skrawku terenu kawałek od ołtarza; wkrótce rozbrzmiały tam dźwięki fletów wzywające do tańca w ciepłe popołudnie. Przedstawiciele Nadzoru Rzeczywistości i Pokuty wsiedli na rowery, żeby wrócić do stolicy.

Aza przyciągnęła swój wóz bliżej Enli.

- Oby twoje kwiaty rozkwitały, Enlo.

- I twoje także, Azo - uśmiechnęła się Enla.

- Zostaniesz na tańce?

- Nie, muszę wracać do siostry. Jest bliska rozwiązania.

- Mój ogród raduje się z jej powodu. Może jednak byś zechciała... Kalit! Przestań natychmiast!

- Jest piękny, Azo.

- I sam jeden przyprawia mnie o ból głowy... Dobrze wyglądasz, Enlo.

- Dziękuję - odparła Enla, wiedząc, że wygląda tak jak zawsze: jest duża, zwyczajna, nie wyróżniająca się w żaden sposób. Wiedziała też, że w porównaniu z dniem, gdy Aza zobaczyła ją po raz pierwszy, wygląda kwitnąco.

Kalit właśnie znalazł sobie do zabawy kamień dziwnego kształtu. Korzystając z krótkiej chwili spokoju, Aza zapytała:

- Enlo, czy twoim zdaniem Ziemianie kiedykolwiek wrócą?

Enla wpatrywała się w ołtarz, gdzie leżał jej kwiat ku pamięci, który kosztował ją niemal całość trzyletnich zarobków w odzyskanym życiu. Nikt, nawet Anu, nie rozumiał, dlaczego upierała się, by jej ofiara była dziełem Avina Peka Molariana, a Enla nie kwapiła się z wyjaśnieniami. Wiele się nauczyła, spędzając czas z Ziemianami. Są sprawy, których po prostu nie da się wyjaśnić. Enla wiedziała teraz, w przeciwieństwie do Anu i Azy, a nawet do wszystkich sług Pierwszego Kwiatu, że jest więcej niż jedna rzeczywistość. Niektóre rzeczywistości są tym, co Pek Gruber nazywał „wysokimprawdopodobieństwem”, inne zaś

„niskimprawdopodobieństwem” - ani jedno, ani drugie ziemskie wyrażenie nie miało odpowiednika w światańskim. Pewne rzeczywistości zarazem istnieją i nie istnieją, dopóki ktoś taki jak David Pek Allen - samą siłą woli - nie powoła ich do istnienia.

Ziemianie wiedzieli o tym od zawsze, a teraz wiedziała o tym również Enla. Ta wiedza wyrzucała ją poza margines społeczności Świata; nawet w tej chwili czuła ból głowy.

Ale taka była jej rzeczywistość.

Aza czekała na odpowiedź.

- Nie wiem - odezwała się w końcu Enla - czy kiedykolwiek wrócą. O tym musi zdecydować Pierwszy Kwiat.

Aza pokiwała głową - sama była kapłanką.

- Zajdziesz do mnie na szklanę pelu, zanim udasz się w drogę powrotną do siostry?

- Tak - przystała na zaproszenie Enla. - Z miłą chęcią.

Ujęła drugi dyszel, Aza zagoniła protestującego Kalita z jego kamieniem na wóz i obie ruszyły w stronę domostwa kapłanki w pobliskiej wsi.

Table of Contents

